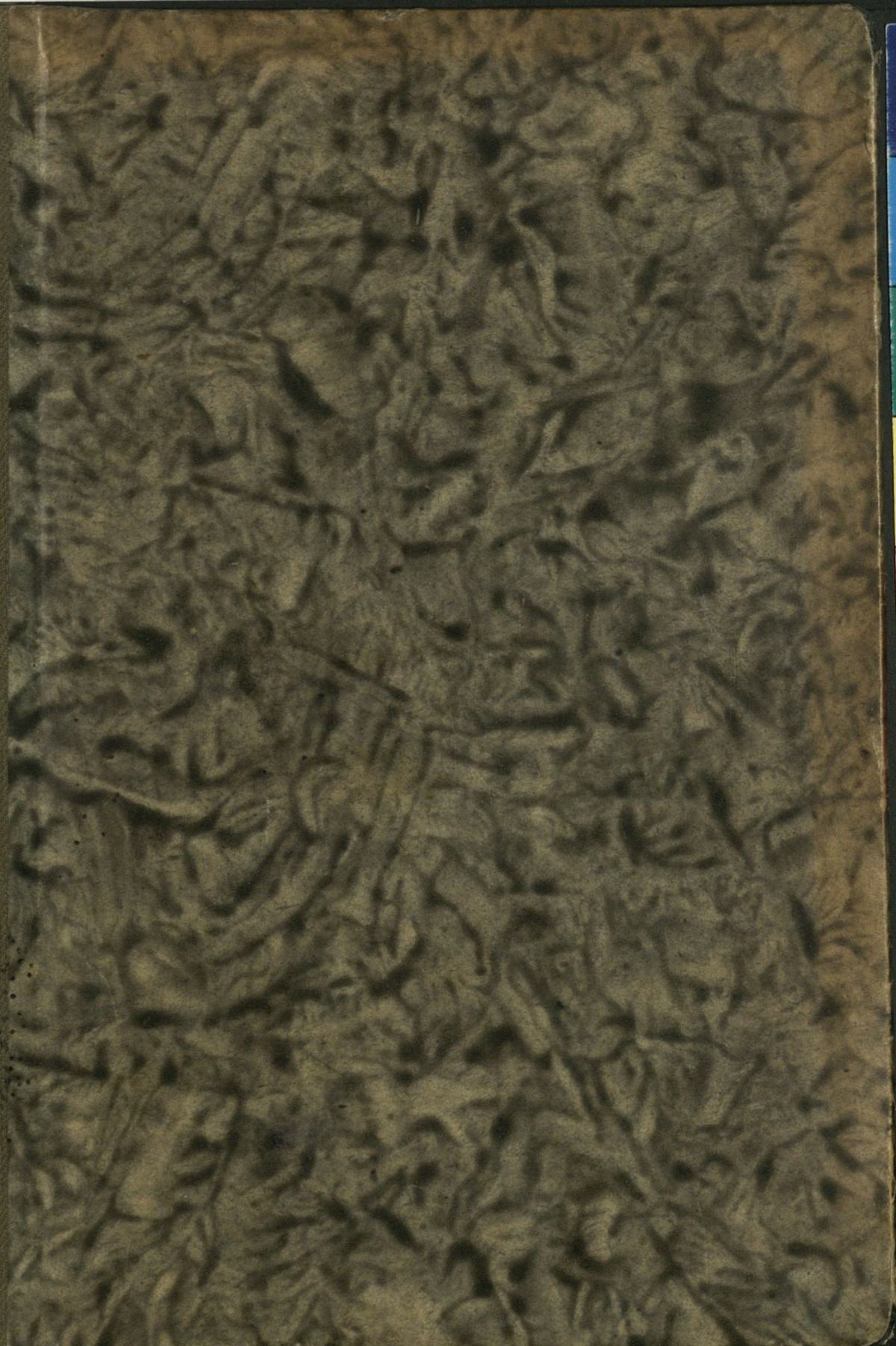
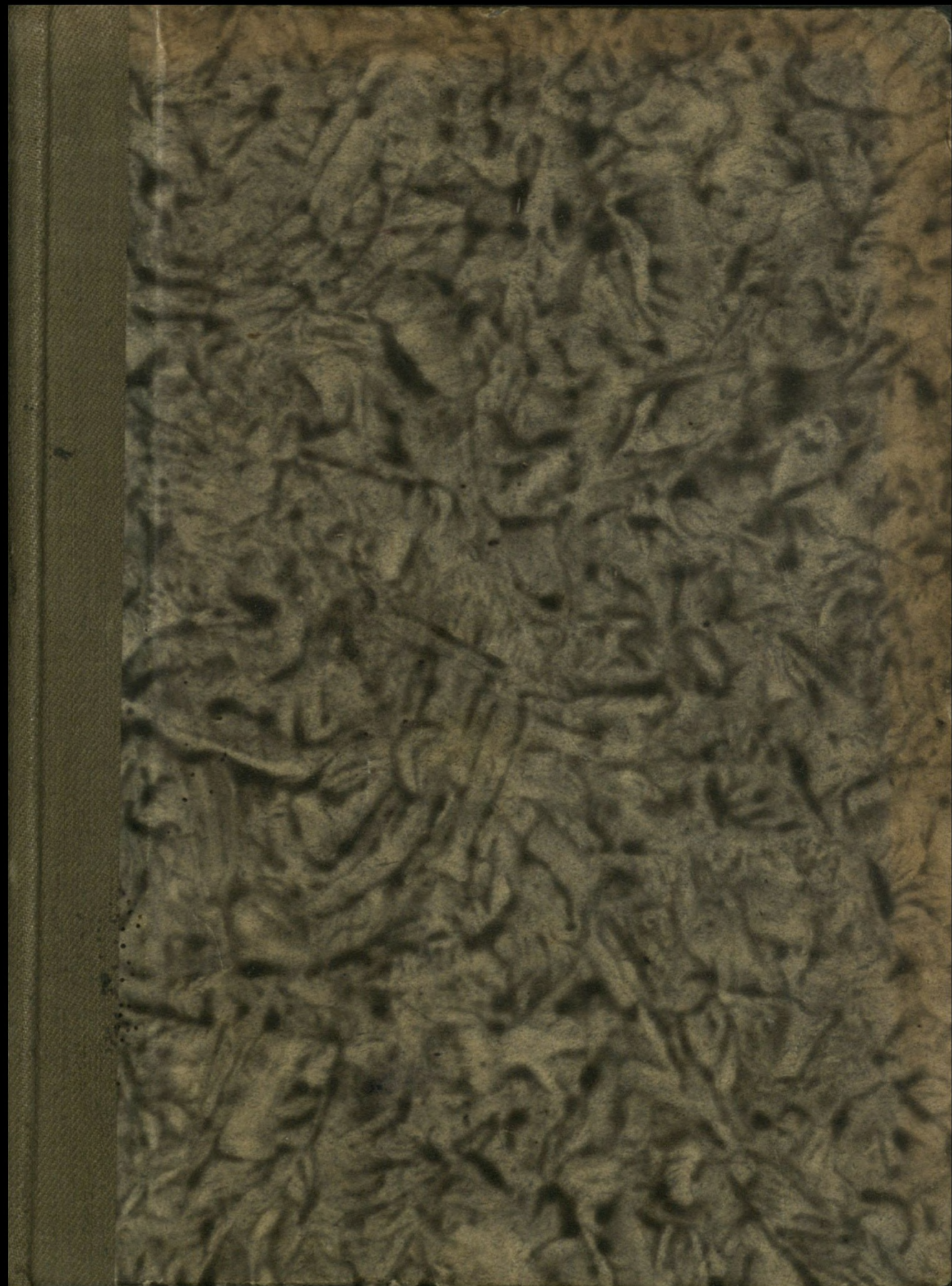


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





416

Z. Z. P. P.
Główny Posa. Ministerstwo Edukacji

WSPOMNIENIA MŁODZIEŻY WIELKOPOLSKIEJ
Z LAT OKUPACJI NIEMIECKIEJ 1939 — 1945



WOJSKO POLSKIE
JEDNOSTKA WARSZAWA

Nr. 3136

194 — 2.

DOCUMENTA OCCUPATIONIS TEUTONICAE

III

KOMITET REDAKCYJNY:

K. M. POSPIESZALSKI — K. SOSNOWSKI — Z. WOJCIECHOWSKI

b 2

WSPOMNIENIA
MŁODZIEŻY WIELKOPOLSKIEJ
Z LAT OKUPACJI NIEMIECKIEJ
1939 — 1945

OPRACOWALI
DR ZDZISŁAW GROT
DR WINCENTY OSTROWSKI

chw 12
jęs leg



WOJSKO POLSKIE
JEDNOSTKA WOJSKOWA

Nr. 3136

194 — 1.

POZNAN

INSTYTUT ZACHODNI

1946

SZANUJ KSIĄŻKE

002 : 52 22 : 92 (26.11.1913) : 93 (438) / 13

4070



31900 / 2

K — 18598

TŁOCZONO W DRUKARNI ŚW. WOJCIECHA
POD ZARZĄDEM PAŃSTWOWYM W POZNANIU

TREŚĆ

I

PRZEDMOWA STR. 7

II

WSPOMNIENIA JAKO DOKUMENTY STR. 11

III

WRZESIEŃ I POCZĄTEK OKUPACJI STR. 37

IV

WYSIEDLANIE STR. 47

V

W GENERALNEJ GUBERNI STR. 67

VI

W „KRAJU WARTY” STR. 97

VII

NA OBCZYŻNIE STR. 153

VIII

W WIĘZIENIACH I OBOZACH STR. 181

IX

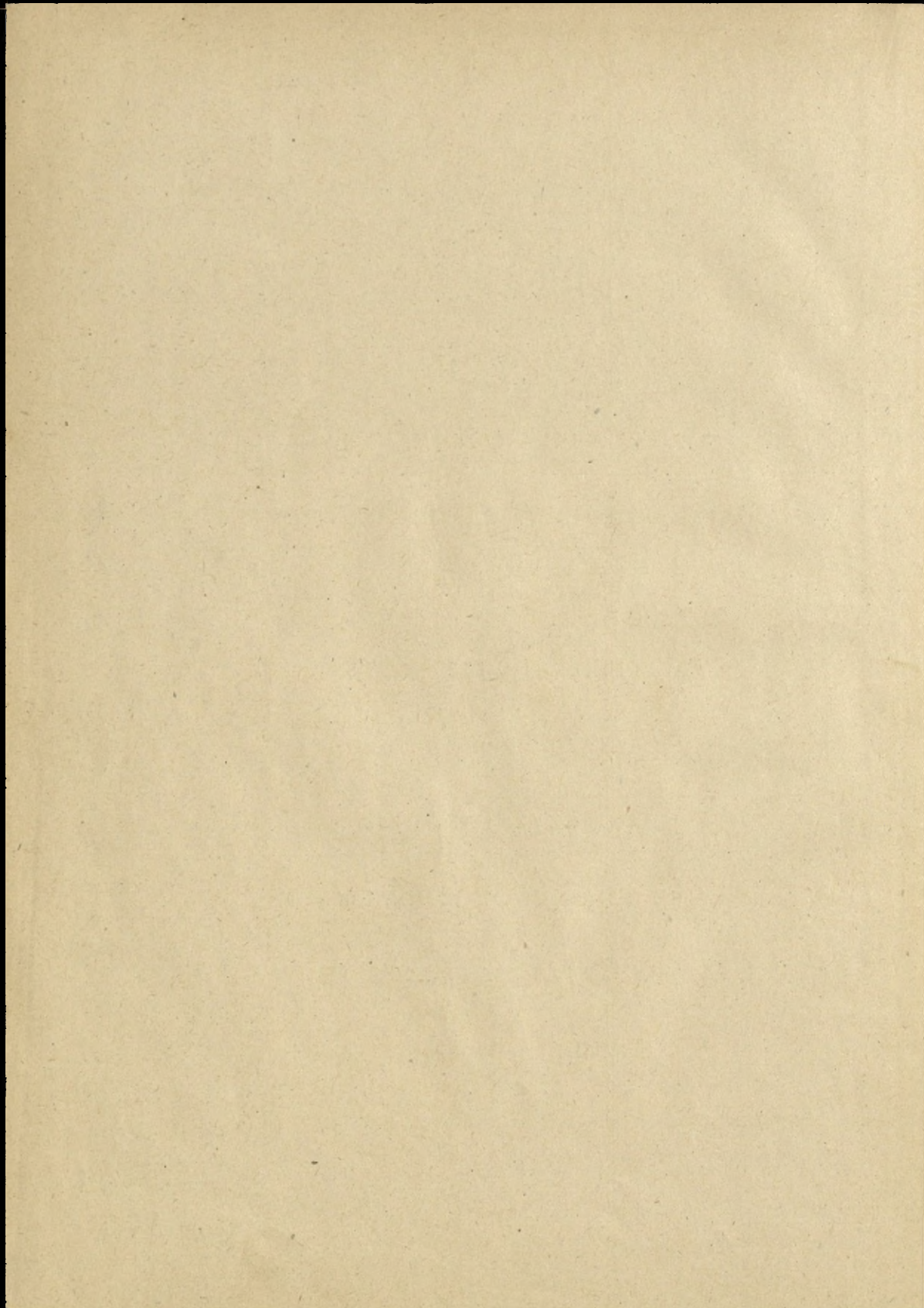
WYZWOLENIE STR. 253

X

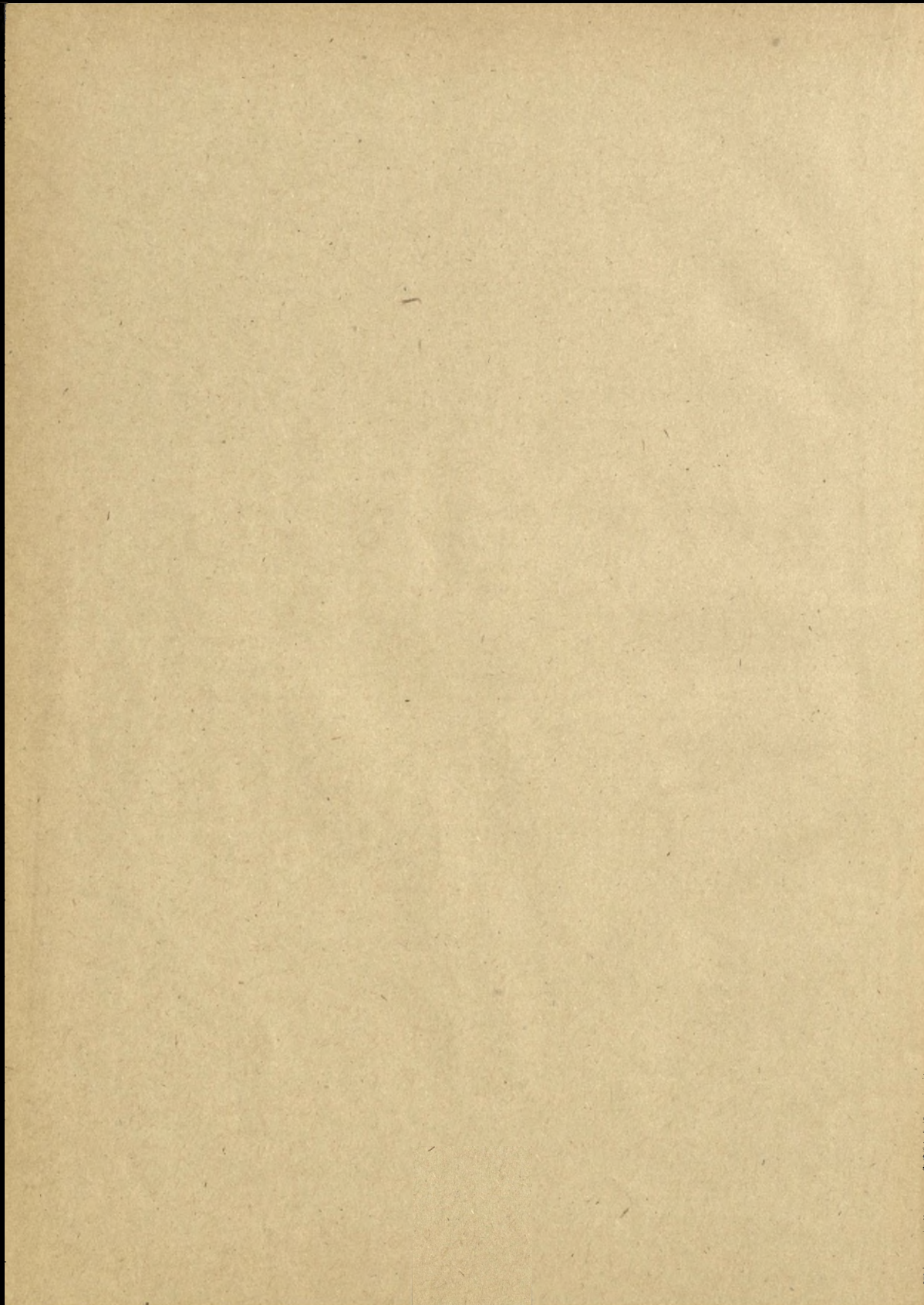
CAŁOKSZTAŁT WYDARZEŃ STR. 267

XI

SPIS AUTORÓW STR. 311



PRZEDMOWA

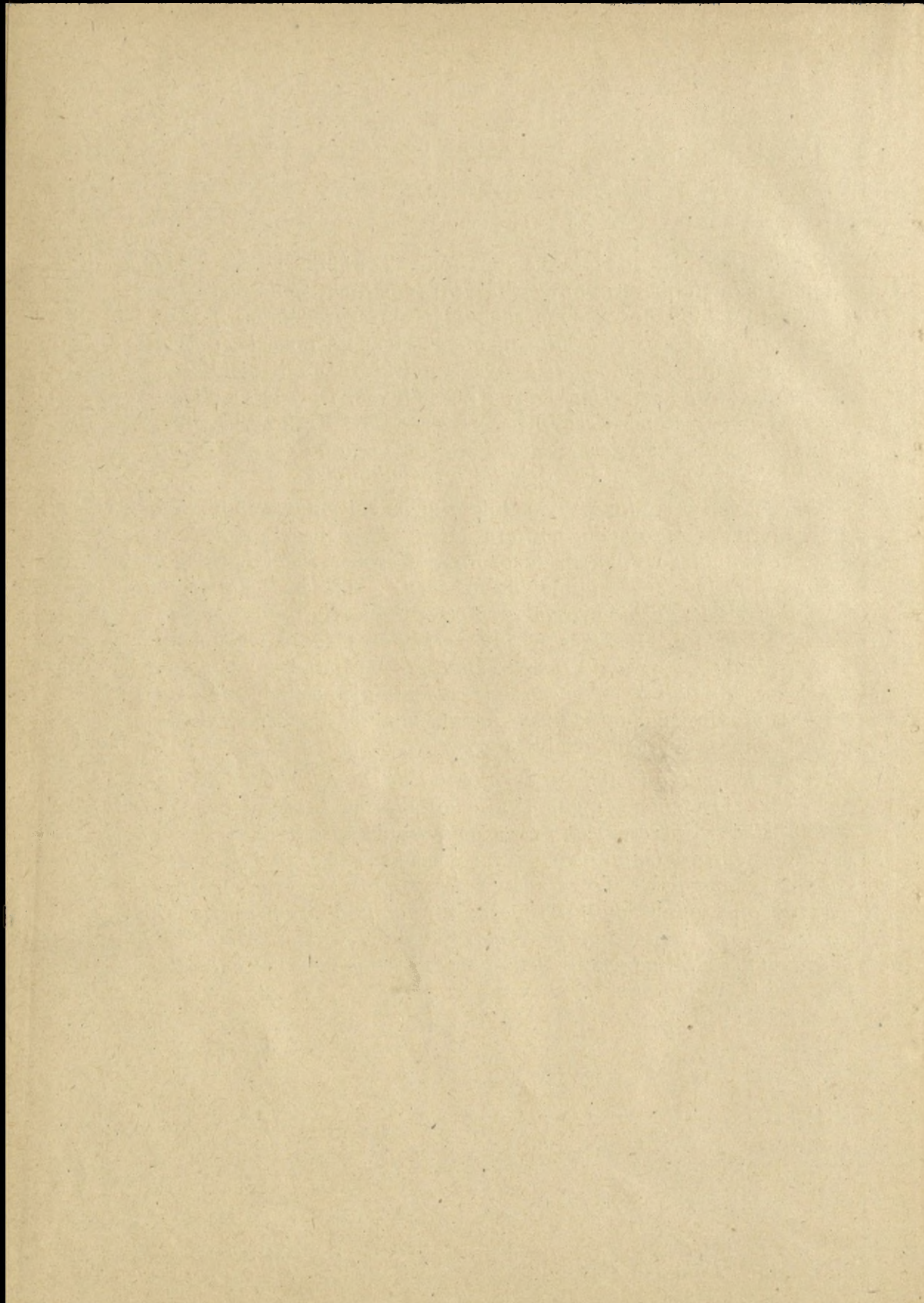


Trzeci tom „*Documenta Occupationis Teutonicae*“ różni się od poprzednich obszernym wachlarzem tematów. O ile pierwszy i drugi tom były poświęcone zagadnieniom szczególnym, nędzy robotnika polskiego i zbrodni niemieckiej w Warszawie, o tyle ten tom obejmuje całokształt życia polskiego pod niemiecką okupacją. Jest i wrzesień 1939, i wysiedlenie, i praca w Niemczech, i obozy koncentracyjne.... Warszawa, Kraków, Lwów, Lublin rozproszyły się po świecie i wszędzie byli ludzie z różnych stron Ojczyzny. Była wszędzie także Wielkopolska.

Niezwykłe szczęśliwa była inicjatywa spisania wspomnień przez uczniów szkolnych, podjęta latem 1945 przez Kuratora Okręgu Szkolnego Poznańskiego mgra Karola Strzałkowskiego. Trafną przede wszystkim wybrano chwilę. Okupacja dopiero co minęła. Dla uczniów była to pierwsza okazja dania wyrazu swoim uczuciom. Podczas wojny wyjątkowo tylko spisywano wspomnienia ze względu na złączone z tym poważne ryzyko. A więc ogólnie biorąc, dopiero po zrzuceniu niemieckiego jarzma można było dać swobodne ujście naporowi przeżyć. Wspomnienia uczniów noszą wyraźne ślady tego nastroju.

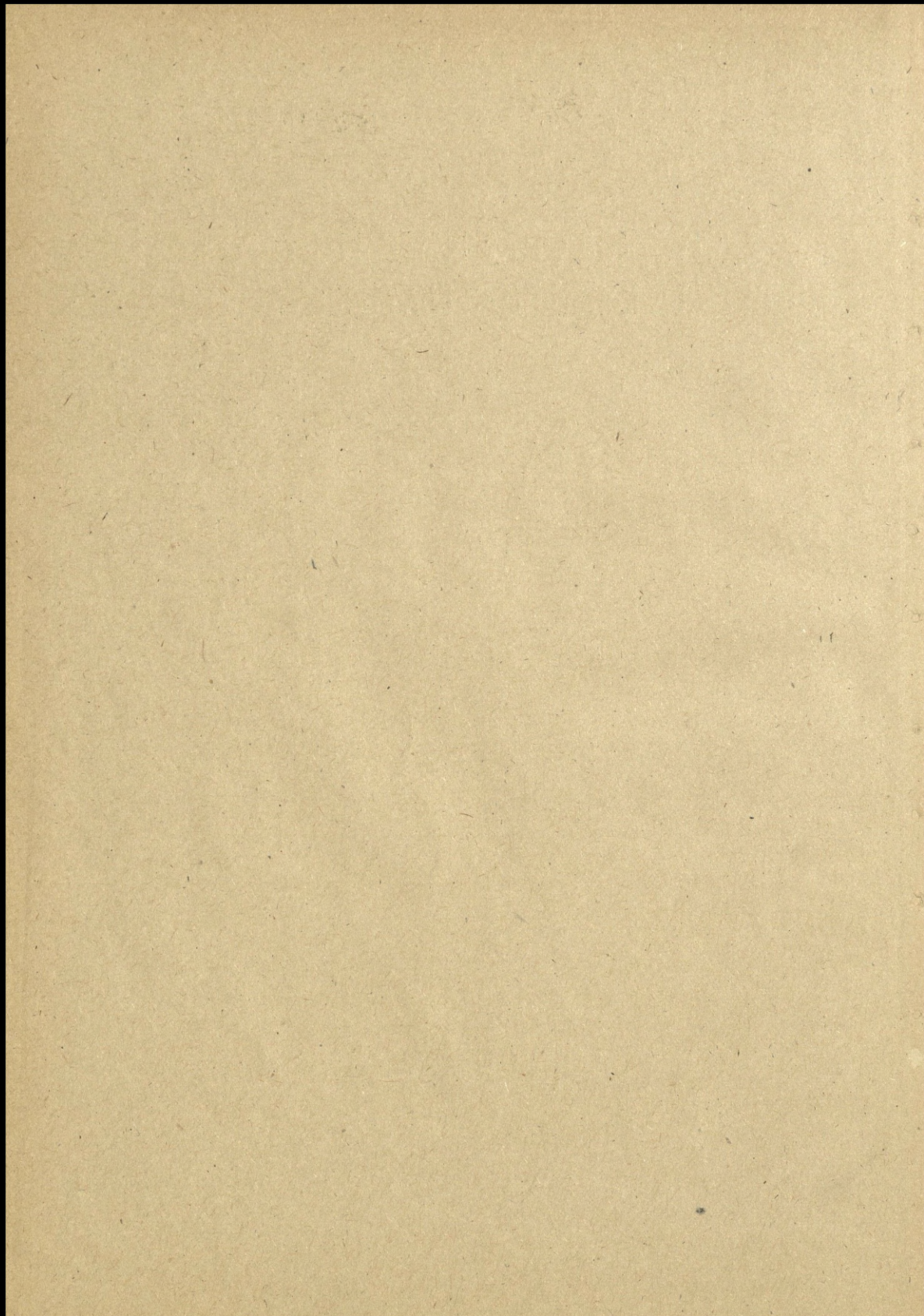
Jak cenne zdobyto dzięki Kuratorowi dokumenty, osądzi sam czytelnik. Osiągnięte wyniki potwierdzają ważność zabezpieczenia śladów przeszłości, przez spisywanie wspomnień. Taką akcję przeprowadzają obecnie na szeroką skalę Instytut Zachodni i Poznańskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk przez rozpowszechnianie instrukcji dla piszących pamiętniki, opracowanej przez prof. dra Jana Rutkowskiego, i zbieranie materiałów. Oby „*Wspomnienia Młodzieży Wielkopolskiej*“ stanowiły zachętę dla pracy w tym kierunku.

Komitet Redakcyjny



WSPOMNIENIA
JAKO DOKUMENTY

II



WSPOMNIENIA MŁODZIEŻY JAKO ŹRÓDŁO HISTORYCZNE

NAPISAŁ ZDZISŁAW GROT

Lata wojny minionej, tak bogate w przeżycia i wypadki, niewątpliwie pozostawia ślad w licznym zasobie źródeł. Znajdzie się zarówno materiał urzędowy porzucony przez uciekającego wroga, względnie ukryty w niemieckich archiwach, jak i prywatny w postaci korespondencji, różnych relacji i pamiętników. Autorami zaś tej ostatniej grupy będą nie tylko osoby wysoko postawione w hierarchii społecznej, politycznej czy wojskowej, jak to w dawnych najczęściej bywało epokach, ale niezależnie od stanowiska, wykształcenia i wieku ci wszyscy, którzy w krwawej dobie niedawnej wojny mieli ciekawsze przeżycia i mają coś do powiedzenia.

Po raz pierwszy bodaj w historii zabierają też w sprawach publicznych głos dzieci i młodzież szkolna. Istniały niewątpliwie i dawniej wspomnienia z lat młodzieńczych, te wszakże pisane były ręką ludzi dojrzałych i ich systemem myślenia, wspomnienia zaś kreślone przez samą młodzież miały specyficzny charakter i stąd interesować mogły tylko pedagogów lub psychologów, nigdy natomiast historyków. Nie stanowiły źródła historycznego we właściwym tego słowa znaczeniu. Dopiero ostatnie wydarzenia dziejowe, w swej potworności nie notowane w dziejach nowożytnych, wciągnęły również młodzież, a często nawet dzieci w sferę życia i działań publicznych, skutkiem czego przyszło tak przedwcześnie pożegnać się ze światem dziecięcym, wejść przedwcześnie w życie i przedwcześnie dojrzeć. „Skończonych lat dwanaście — pisze jeden z młodych pamiętnikarzy, uczennica II klasy liceum im. Dąbrówki w Poznaniu, Agnieszka Marciniakówna — dawało patent na pierwszorzędnego robotnika. Na cóż

Polakowi więcej nauki? Tak czy tak, będzie zawsze automatem do pracy, którego nikt o zdanie nie prosi. Widziałam dwunastoletnie dzieci, tłukące kamienie na szosie okrężnej, śpieszące na godzinę szóstą rano do fabryki lub dźwigające, jako biedne dzieci do posyłek, olbrzymie ciężary. Praca od rana do nocy, dla każdego tylko praca. Nauka, rozrywki kulturalne zupełnie niedostępne" — na równi więc ze starszym pokoleniem przyszło młodzieży przeżywać okropną tragedię osobistą i narodową i na równi z nim cierpieć.

Przeżycia wojenne młodzieży, lubo tak bogate w treść i spostrzeżenia, uległyby przecież niechybnie zapomnieniu, gdyby nie pomyślano o ich szybkim spisaniu, czym zaraz po ustaniu działań wojennych z całą gorliwością zajęła się szkoła polska. Uczniom wszystkich szkół, niezależnie od wieku i środowiska, polecono w formie zadań domowych skreślić wspomnienia przeżytych lat wojennych, z czego zrodził się bogaty zasób materiału i objął na terenie samego Kuratorium Szkolnego Poznańskiego tysiące pozycji, mających swoją wymowę. Jako źródło historyczne, wspomnienia uczniowskie posiadają tym większe znaczenie, że nie były pisane z myślą ujawnienia ich drukiem, lecz stanowiły jedynie pewnego rodzaju spowiedź czy wywewnętrzzenie się z bólu, który przez długie lata szarpał dusze. Różną też była reakcja. Podczas kiedy jedni spełniali chętnie takie zlecenie akcentując właśnie potrzebę tego rodzaju wypowiedzi, inni wprost wzbraniali się pisać, nie chcąc dzielić się z kimkolwiek własnym bólem i odsłaniać swych ran.

*

Wspomnienia wojenne młodzieży nie są materiałem jednolitym zarówno co do formy jak i treści. Jedne, zwłaszcza pisane przez uczniów młodszych, są krótkie, niekiedy kilkunastowersowe, i notują zazwyczaj tylko fakty; inne, pisane przez starszych, są dłuższe, objętości nieraz arkusza druku, a nawet więcej, i ubrane często w wykwintniejszą formę narracyjną. Strona językowa, stylistyczna a zwłaszcza ortograficzna także jest nierówna. Wyraźnie daje się zauważyć przerwę w nauce, skutkiem czego zadania tych uczniów, którym dane było ją kontynuować,

— w szczególności na terenie Generalnej Gubernii — są pod tym względem poprawniejsze. Młodzież która pozostała w Wielkopolsce i tutaj okupację przeżyła, wykazuje co do formy większe zaniedbanie.

Pod względem treści rzecz przedstawia się zupełnie inaczej. Przede wszystkim należy podkreślić, że większość uczniów koncentrowała swoje opowiadania na momentach, które przeżyła najgłębiej i które na trwałe wryły się w jej pamięć. Są to, rzecz by można, momenty kulminacyjne, o największym nasileniu dramatycznym. Do nich należą własne, nieraz ponad miarę ciężkie katusze fizyczne i moralne, aresztowania i śmierć któregoś z rodziców lub rodzeństwa, utrata mienia, tułaczka oraz nędza materialna.

Zależnie od wieku i talentu, rozmaicie owe momenty ujmowano, niemniej fragmentaryczny sposób pisania, uwzględniający tylko przeżycia najsilniejsze, przeważa. Całkiem rzadkie natomiast są przykłady przedstawienia całokształtu przeżyć. Stanie się to przecież zupełnie zrozumiałe, gdy się zważy zarówno młody wiek pamiętnikarzy jak i ograniczone bądź co bądź ramy wypracowań. Jakoż zanikają w ten sposób wszelkiego rodzaju dłużyzny i werbalizm, a sam pamiętnik staje się zwartszy, treściwszy i jako źródło historyczne cenniejszy. Wspominając tutaj ową zwartość wypracowań, należałoby podkreślić, że celowała w tym raczej młodzież wielkopolska z zachodniej części województwa, szerzej natomiast i z większą swadą literacką pisała młodzież powiatów wschodnich: Kalisza, Turka, Koła i Konina.

Różnice zaznaczają się w dalszym ciągu co do skali pierwiastka osobistego. U uczniów młodszych oraz tych, których przeżycia wojenne były na ogół słabsze, spotyka się częstokroć ogólne, obiektywne, względnie sprawozdawcze ujęcie tematu. W miarę natomiast jak wzmaga się intensywność przeżyć, pierwiastek subiektywny pogłębia się. Wraz z tym rośnie też znaczenie źródła, jego siła sugestywna, żywość i barwność. Nie oznacza to bynajmniej, aby ów subiektywny ton miał się tylko ograniczyć do spraw osobistych, prywatnych. Są uczniowie, którzy potrafili wznieść się ponad tragedię osobistą i zrozumieć oraz odczuć

tragedię narodową. Niektórzy poszli jeszcze dalej, docierając do tajników metafizycznych. Poglębia się religijność i wiara we wszechmoc Boga. Nowoczesny jak gdyby rodził się mesjanizm, który kwestię polską kojarzył z Bożą sprawiedliwością. Jeden z uczniów (Przykucki Marian z gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu), zastanawiając się nad ową dziwną bądź co bądź wiarą w ostateczne zwycięstwo Polski w latach, kiedy przemoc niemiecka święciła swoje największe tryumfy, tak swój pogląd na tę kwestię formułuje: „Moją głęboką wiarę w zwycięstwo koalicji gruntowałem przede wszystkim w samym Bogu. Zawsze z całkowitym przekonaniem wierzyłem, że nigdy nie zwycięży ten, który samemu Bogu wypowiedział wojnę. Do udowodnienia tych przekonań przypominałem sobie historię, która rzeczywiście mą ufność pogłębiła. Wiemy bowiem, że nie zwyciężyły hasła Nerona, Decjusza i Dioklecjana. Zawsze Chrystus był ostatecznym zwycięzcą. I tym razem ludzkość przeżywała nic innego, jak powtórzenie się historii“. Jakkolwiek bądź zdołano ogarnąć dość szeroki zakres ludzkich dążeń i pragnień, lubo oczywiście w postaci jeszcze dość prymitywnej.

*

Ramy chronologiczne wspomnień uczniowskich pokrywają się z latami wojny. Ani ją poprzedzają, ani poza jej kres wychodzą. Pierwszym więc wypadkiem, który poruszył umysły i wbił się w pamięć, to wybuch wojny i jego bezpośrednie skutki w pamiętnych dniach wrześniowych. Data to przełomowa w życiu młodzieży, stąd też każdy uczeń od niej swoje dzieje zazwyczaj rozpoczyna. Czyni to jednak więcej machinalnie, stereotypowo niż z zastanowieniem się co do jej sensu i znaczenia. I nie dziwić się zgoła. Wydarzenie tak epokowe, skomplikowane nie może być wyjaśnione nawet przez współczesnych pamiętnikarzy dorosłych (z wyjątkiem może najbardziej wtajemniczonych mężów stanu i wojskowych), a skąd dopiero przez młodzież. W dodatku wypadki stanowiły fazę początkową całego dramatu wojennego i nie należały do najtragiczniejszych. Po nich następowały dni w swej grozie i sile tragicznej daleko potężniejsze, które siłą rzeczy musiały usunąć tamte na plan dalszy, a wrażenia, zrazu

wcale mocne, podporządkować późniejszym, w swoim tragizmie o ileż głębszym. Toteż wizja tych pierwiastkowych dni doby ostatniej wychodzi we wspomnieniach dość blado, okraszona pustą frazeologią, patosem albo krytyką na ogół powierzchowną a często pretensjonalną. Rzadko w ich masie znaleźć opisy istotnie wartościowe. Przecież niektóre, mówiące o tułaczce pełnej różnych przygód oraz o bohaterskiej obronie Warszawy, mają swój walor.

Jakoż posuwając się chronologicznie dalej, wspomnienia stają się głębsze, pełniejsze. Widok Niemców i ich pierwsze bezeceństwa czynią wrażenie, zwłaszcza że liczne aresztowania i egzekucje odbywają się w oczach młodzieży, a dzieci tracą już swoich ojców. Wrażenie sprawia również bezwzględna walka z polskością, której symbolem stają się w Poznaniu takie fakty, jak obalenie Pomnika Wdzięczności i usunięcie Orła Polskiego z wieży ratuszowej, a w Gnieźnie zdruzgotanie pomnika Bolesława Chrobrego. Flagi hitlerowskie powywieszane w miastach i miasteczkach polskich, buta Niemców i pierwsze oznaki gnębienia ludności polskiej rodzą odruchy buntu, lubo wszystko to jeszcze tłumaczyć można surowym prawem wojny. Znamienny przykład reakcji młodzieży na owe gwałty niemieckie, zaobserwowane w Słupcy, podaje uczennica SS Urszulanek w Poznaniu Aleksandra M., pisząc: „Naraz drzwi się otworzyły z trzaskiem i wypadł rozgniewany Niemiec z obrazem polskiego Orła w rękę: „Oto Polska!“ krzyknął i wygrażając strasznie zaczął drzeć i deptać Orła. Ludzie milczeli. W niejednych oczach szklily się łzy bezsilności. Wtem mały chłopiec, liczący może dwanaście lat, krzyknął: „Nasz klasowy Orzeł!“ I nim się kto spostrzegł, rzucił kamieniem w Niemca. Ze zgrozą patrzyłam, jak złapano tego chłopca i w oczach wszystkich Niemiec zastrzelił go krzycząc: „Za znieważenie niemieckiego narodu“. — Tak zginął bohaterski chłopiec w obronie swego klasowego orła“.

Inni, choć bardziej opanowani, reagowali niemniej silnie. „Na widok flagi hitlerowskiej — pisze uczeń św. Marii Magdaleny Włodzimierz Kasprowicz — powiewającej na ratuszu i Niemców maszerujących butnie po ulicach, stawały nam łzy w oczach, łzy żalu i bezsilnej wściekłości. W sercu wzbierała

nienawiść i pragnienie zemsty". Inny zaś uczeń tejże samej starej poznańskiej uczelni, Posieczek Zbigniew, notuje: „W tej obecnie urdeutsche Stadt witają mnie sztandary hitlerowskie ze swastyką panoszące się na tych wszystkich zabytkach miasta, które dotychczas były naszą dumą i świętością. Och! jak przykro! — Ale to chwilowo tylko — pocieszam się. Jeszcze prędzej znikną, niż pojawiły się tu“.

Jakoż ta przede wszystkim wiara niezłomna nie pozwoliła upaść, gdy nadeszły dni stokroć groźniejsze.

W listopadzie rozpoczęła się akcja wysiedleńcza. Gwałtowna, brutalna, w swej ohydzie wprost bezprzykładna, siłą rzeczy musiała skupić uwagę powszechną i utrwalić się w ludzkiej pamięci, zwłaszcza że wraz z nią dla bardzo wielu nowy zaczynał się okres życia. Wszystkie te wspomnienia uczniowskie o tym wydarzeniu mówią. Ponieważ posiadało ono charakter lokalny, przyszło je łatwiej ogarnąć, aniżeli skomplikowane wypadki wojenne. Relacje stają się przeto bardziej konkretne. Rejestrują znaczną ilość faktów, ujawniają różne metody postępowania i pokazują, jaka była reakcja ze strony polskiego społeczeństwa. Stwierdzają bodaj zgodnie, że była to walka nerwów, mająca być dopiero wstępem do działań stokroć bardziej wyrafinowanych i okrutnych! Jakoż sceny przewijają się w swej grozie istnie dantejskie. Opisane są ponure, straszne noce, pełne wyczekiwań i lęku, brutalne wyrzucanie z mieszkań całych rodzin z małymi dziećmi, niemowlętami, starcami i chorymi, nędzne i brudne baraki, systematyczne okradanie z mienia, wywózka wreszcie wśród straszliwych mrozów w bydlęcych wagonach do Generalnej Guberni i pozostawienie wygnańców na łasce losu, skutkiem czego wiele osób, zwłaszcza dzieci i starców, postradało życie. Nic więc dziwnego, że zanim jeszcze z gorszymi zapoznano się metodami wroga, utożsamiano wysiedlonych z męczennikami sprawy narodowej. Z nimi współczuto i z ofiarną spieszono pomocą. Ci, których wysiedlenie ominęło, nie posiadali się wprost ze szczęścia. Dopiero późniejsza niedola kazała niejednemu żałować, że i jego nie wywieziono, jak to w pamiętnikach parokrotnie się powtarza. Wszak bądź co bądź mimo całej potworności godziło owo wysiedlenie przede

wszystkim w materialny byt człowieka, a to zawsze jeszcze przychodzi łatwiej znieść, niż udręki fizyczne czy moralne, na które niebawem w nieznanych ludzkości rozmiarach narażone być miało całe, niezależnie od miejsca zamieszkania, polskie społeczeństwo.

Akcja wysiedleńcza miała jeszcze inny ważny skutek, doniosły mianowicie w życiu młodzieży. Oto rozrywała jednolity dotąd bieg życia, stwarzając dwa odrębne środowiska, tak zwany Warthegau i Generalną Gubernię. Na kształtowanie się światopoglądu młodzieży oraz na jej przeżycia wywarło to decydujący wpływ, co też nader dobitnie ujawnia się we wspomnieniach.

Młodzież wysiedlona podkreśla zgodnie ogromne trudności, jakie przyszło pokonywać w pierwszych zaraz dniach na nieznanym sobie terenie. Nie wszyscy znaleźli gościnne przyjęcie i egzystencję choćby minimalną, lubo zaznaczyć wypadnie, że społeczeństwo miejscowe przeważnie życzliwie i ofiarnie ustosunkowało się do przybyszów. W każdym bądź razie można było przetrzymać niezwykle ostrą zimę i znaleźć jakie takie zabezpieczenie bytu. Niewątpliwie pomocną w tym była również znajomość języka niemieckiego, dzięki której wielu wysiedlonych znalazło zatrudnienie. Młodzież zaś już nawet w tych pierwiastkowych dniach wygnania zaczęła korzystać z nauki tajnej, zorganizowanej sprawnie i prowadzonej z dużą ofiarnością przez nauczycielstwo polskie. Ruch ten rozwinął się na bardzo szeroką skalę i znalazł w pamiętnikach uczniowskich żywy odgłos. Młodzi o tym piszą i starsi. Wspominają ze zrozumiałym sentymentem te bądź co bądź niebezpieczne schadzki, a niektórzy dorzucają sporo ciekawych szczegółów posiadających wartość dokumentarną. Żywym również echem odbiły się na kartach pamiętników uczniowskich owe wszystkie szykany, jakie tam wobec Polaków stosowali Niemcy, a więc obławę i osławione łapanki, których celem było wywożenie młodzieży do pracy fabrycznej i rolnej w Niemczech, a często nawet do obozów koncentracyjnych, dalej aresztowania i tortury więzienne, wreszcie czynny udział w akcji konspiracyjnej, w szczególności w powstaniu warszawskim, gdzie również młodzieży naszej przyszło chlubną zapisać się głoską. Oczy-

wiecie, podobnie jak wydarzenia wrześniowe, tak i te o szerszej skali dziejowej wypadki warszawskie mogły być tylko ujęte z osobistego stanowiska i na wąskim odcinku własnych przeżyć. Takie też tylko posiadają większą wartość, nie zaś te, w których usiłowano wyrokować o rzeczach ogólnych. Jakoż w ogólności cechuje młodzież wysiedloną, zgodnie zresztą z warunkami bytu, aktywniejszy stosunek do wypadków współczesnych, szersza skala przeżyć i większy romantyzm niż młodzież niewysiedloną, która znalazłszy się w cięższej obręczy ucisku przeżywała wojnę przyziemniej i tylko biernym oporem oraz wewnętrznym buntem manifestować mogła swoją polskość.

Bo cokolwiek by się mówiło, stwierdzić przecież wypadnie, że młodzież, pozostała w Wielkopolsce, miała trudniejsze pod okupacją życie aniżeli młodzież w Generalnej Guberni. Tu bądź co bądź oddziaływanie niemczyzny było większe a tryb życia w regularniejsze ujęty ramy niż w na poły meksykańskim „władztwie“ Franka. Nie można było się uczyć. Ta młodzież, która miała obowiązek uczęszczać do szkoły niemieckiej, zgodnie podkreśla, że szkoła ta stanowiła tylko jeden z dalszych sposobów znęcania się nad Polakami, że oślepiała naszą młodzież i wykorzystywała ją do robót fizycznych, jak na wiek uczniów stanowczo za ciężkich. Doznawano tam przeróżnych udręczeń i chorowano. A że i w domu brakowało rodzicielskiej opieki, bo rodzice pracowali 10—12 godzin dziennie, nasza najmłodsza młodzież wyrastała na prawdziwych „simplicissimusów“.

Trafnie uchwyciła to jedna z pamiętnikarek, Stanisława Adamiakówna z liceum Dąbrówki w Poznaniu, gdy pisze: „Do 12-go roku życia rosły dzieci jak dzikusy. Rodzice nie mieli czasu zajmować się nimi. Wtedy gdy ojciec i matka pracowali, dzieciaki wychowywały się same na ulicy czy na podwórzu, same niejednokrotnie sprzątały, gotowały, zatwiały sprawunki. Od czasu do czasu chodziły do szkoły, aby nauczyć się czytać i pisać po niemiecku i odrobinę liczyć. To miało im wystarczyć. Bardzo było mi przykro, kiedy u znajomych popisywały się ich dzieci czytaniem i pisanem po niemiecku, a po polsku nie mogły jednego zdania poprawnie przeczytać. Gdybym miała siły i czas,

nie byłoby takich dzieci między mymi znajomymi. Okupantom zależało właśnie na tym, aby nikt nie miał czasu na uczenie i wychowanie dzieci“.

Nawet dzieci same na to opuszczenie swe i szkolną niedolę gorzko narzekają. Zbigniew Rogalski z 16. szkoły powszechnej w Poznaniu, wówczas 9-letni chłopiec, pisze: „Ponieważ mamusia cały dzień pracowała, więc chodziłem po sprawunki; w drodze zaczepiali mnie niemieccy chłopacy, rzucaли kamieniami, bili i wyzywali od polskiej świni“. Rówieśnik zaś jego, Arkadiusz Richter, z tejże samej szkoły, wspomina: „Zawsze musiałem przebywać w ogrodzie, bo jeżeli wyszedłem na ulicę, bili mnie, nazywali mnie polskim bandytą“. A 9-letnia wtedy dziewczynka Lucyna Berger, także z wspomnianej szkoły, dodaje: „Pamiętam, gdy raz byłam zmęczona i usiadłam na ławce, to mnie zbilo. Bo ławki były tylko dla Niemców“. „Ustały zabawy na ulicy — pisze znów uczeń 10. szkoły powszechnej w Poznaniu Bronisław Kromulski — bo Niemcy odbierali nam rowery i piłki. Nawet na lodzie nie mieliśmy spokoju. Patrząc nawet nie było wolno na zabawy Niemców, bo od razu rzucali się na nas i bili nas“. Inny wreszcie uczeń tej szkoły, Kazimierz Józwiak, opowiada: „Gdy się kąpałem, to Hitlerjugend topili mnie, ubranie moje obryzgali błotem i mieli zadowolenie z tego“. Od „polskich bandytów“ lżono także dzieci w szkole, bijąc je i maltretując na każdym kroku.

Krótko, ale charakterystycznie obrazuje szkołę ówczesną Róża Antkowiakówna z szkoły powszechnej im. Wszystkich Świętych w Poznaniu, pisząc: „Lekcje trwały przeważnie 1½ godziny. Podczas krótkich przerw nie mogliśmy po polsku rozmawiać. Nauczycielki niemieckie karały nas bardzo często aresztem i biciem za to, że nie umieliśmy wymawiać poprawnie słów lub zdań niemieckich. Bito nas trzcinią po rękach, głowach i plecach. Jedną z nauczycielek posługiwała się przy biciu prętem drucianym obszytym skórą. Wyrażała się, że szkoda rąk na takie podłe dzieci“.

Całkiem przeto słusznie konkluduje uczennica klasy 5. szkoły powszechnej w Kobylinie Danuta Sobiejewska: „Szkoła niemie-

cka pozostawiła nam tylko przykre wspomnienie. Straciliśmy kilka lat czasu i niczego się nie nauczyliśmy“.

Stosunkowo nieliczni tylko korzystali z tajnej nauki polskiej, która się i tu odbywała, lubo w ograniczonych rozmiarach. Są i na ten temat wzmianki i to nieraz bardzo wartościowe i wzruszające. Notują zazwyczaj wypadki konkretne, choć niekiedy i ogólne kreślą obrazy. Mówią zarówno o reakcji psychicznej i głodzie wiedzy jak i o trudnościach i niebezpieczeństwach, które czyhały na każdym kroku. Podkreślają zgodnie, że były to chwile niezapomniane, pełne najgłębszych przeżyć. Franciszka Sempieńska, uczennica gimnazjum im. Gen. Zamojskiej w Poznaniu, pisze: „Zbierałam się z kilkoma koleżankami regularnie co tydzień na lekcje literatury polskiej, później historii. Tych chwil nigdy nie zapomnę, jak rozmiłowałyśmy ducha w naszej literaturze pięknej, we wszystkim, co polskie. Nie zapomnę tych myśli, które się w nas wtedy budziły, tych pragnień i wzlotów, i tego przewijającego się jasnego pasma w monotonii naszych, jakże szarych dni“.

Inna uczennica, mianowicie Helena Matłoczanka z gimnazjum im. E. Szczanieckiej w Ostrowie Wlkp., mówiąc o trudnościach w nauce, wspomina: „Aby nie zwrócić na siebie uwagi Niemców, zbierałyśmy się rzadziej i co lekcję w innym domu, przy tym najpotrzebniejsze książki i zeszyty nosiłyśmy czy to w specjalnych woreczkach, czy w dzbankach od mleka lub w torebkach“.

Atmosfera na lekcjach panowała zazwyczaj podniosła. Uczono się różnych przedmiotów, ale najchętniej historii polskiej i literatury. Są wzmianki we wspomnieniach o lekturze wieszczów, która stała się aktualną i emocjonowała, o czytaniu Norwida, Sienkiewicza i Kisielewskiego znakomitej książki „Ziemia gromadzi prochy“. Sięgano nawet do tematów, które dawniej by nudziły, a teraz podnosiły ducha, jak staropolskie kroniki i dokument Dagome Iudex.

Urządzano, lubo w skromnych rozmiarach, także wieczorki literacko-muzyczne, wycieczki krajoznawcze, tajne nabożeństwa i wspólne modlitwy, mające znamię trwałych przeżyć. Młodzież starsza, która uczyła na komplety, opiekowała się młodszą,

również chętnie garnącą się do nauki. Wzmiankowana już Sempińska wspomina, że dzieci „odmawiały sobie spaceru, kąpieli czy ślizgawki“, aby móc tylko korzystać z nauki. „Patrzyły na życie jakoś głębiej. Wypracowania polskie, rojące się częstokroć od skandalicznych błędów ortograficznych, uderzały jednak dziwnie poważnym ujęciem“. W ogólności nauka w owych dniach ratowała najskuteczniej młodzież od zjałowienia i zdzioczenia, od desperacji nawet i psychicznych załamania. Myśl wtedy biegła w daleką przyszłość, tam dopiero odnajdując właściwy sens życia:

*Jak długo w sercach naszych choć kropla polskiej krwi,
Jak długo w rękach naszych ognista szabla łśni,
Stać będzie kraj nasz cały, stać będzie Piastów gród,
Zwycięży Orzeł biały, zwycięży polski lud!*

Jakby Konradowe zatem rodziły się górne myśli i wzloty.

Ciężka praca fizyczna była dalszym i intensywniejszym jeszcze etapem wyniszczenia i znęcania się nad młodzieżą polską. Choć już i dzieci szkolne z nią się zapoznały, pracując ciężko w czasie wakacyj, a także w okresie nauki, najdotkliwiej przecież dotknąć ona miała młodzież powyżej lat 12. Gnano ją do prac rolnych i jeszcze gorszych, fabrycznych. Dziewczęta nadto maltretowane były przy niezwykle przykrej i poniżającej obsłudze domowej. Opisy tych nieludzkich męczarni, zarówno fizycznych jak i moralnych, są rzewne i wprost wstrząsające. Wykazują najpotworniejszy ucisk, niepamiętny chyba od czasów egipskich Tutmosisów i Ramzesów lub asyryjskich Assurnasirpalów i Sargonów. W tamtą też jak gdyby żywcem przenoszą epokę, malując niewiarogodny wprost sadyzm i brutalność niemieckich landwirtów, ekonomów wiejskich albo majstrów fabrycznych. Degeneraci psychiczni i fizyczni, często karły potworne przypominające jakiegoś Quasimoda czy Albertyka, otrzymali specjalną misję dręczenia Polaków i tę z całą gorliwością wykonywali.

„Kierownikiem oddziału, gdzie ja byłem zatrudniony — pisze Henryk Neldner z klasy IV gimnazjum im. Bolesława Chrobrego w Gnieźnie — był niejaki Sudetendeutscher, odznaczający się

szczególłą nienawiścią do Polaków z Wielkopolski. Mały, chuderlawy człeczyna, wprost kał/katura, miał specjalną słabość do boksu i kopania swym ciężkim, okutym w żelazo żołnierskim butem“. „Jeder z najokropniejszych (majstrów) — pisze Maria Jankowska, uczennica z kl. I gimnazjum Sacré Coeur w Polskiej Wsi — to kaleka garbaty. Miał on tak straszną fizjonomię, że gdy ktoś przy nim się uśmiechnął, myślał, że to z niego, i bił w niemożliwy sposób żelaznym prętem po głowie... Mścił się bardzo“. O „przekłętej kreaturze“, która przy każdej okazji powtarzała „du verfluchter polnischer Hund“ oraz setki innych epitetów, wyszydzała wszystko co polskie i drwiła z „polskiego Boga“, wspomina wreście Ireneusz Kamiński z gimnazjum gnieźnieńskiego, pracujący w jednej z fabryk berlińskich. Pod kierownictwem takich półludzi ciężka praca fizyczna stała się tym dokuczliwszą. Nękani nadmiernym wysiłkiem, głodem i biciem Polacy stawali się automatami roboczymi, robotami. Podkreślają to zgodnie młodzi pamiętnikarze, którzy przeszli to piekło dantejskie na własnej skórze. Wymieniony zaś już Henryk Neldner z Gniezna pisze: „Hitlerowcy drogą doświadczeń starali się wydostać z pracowników polskich maksimum wydajności... Każdy ruch był obliczony matematycznie, panowało niepodzielne hasło: czas to pieniądz.... Nie znano litości dla tego, który nie był zdolny podporządkować się tym wymaganiom. Oczekiwał takiego najpierw lokalny bunkier, a jeżeli to nie potrafiło złamać oporu delikwenta, następował dalszy etap w tej drodze męczeńskiej, tj. osławiony lager dla Polaków, haniebna fabryka śmierci, Żabikowo“.

Praca fizyczna, w miarę jak się posuwały lata wojny, nie ustawała bynajmniej. Nasilenie jej wzrosło nawet, kiedy pod koniec przyszło kopać rowy obronne, strzeleckie i przeciwczołgowe. Był to tzw. „Einsatz“. Nowe szykany, nowe metody gnębienia, acz w swym oddziaływaniu już nie tak beznadziejne, skoro w oddali świeciła jutrzeńka wolności. I doba Einsatzu ma swoją literaturę. Praca zbiorowa na wolnym powietrzu i wśród oznak zbliżającego się końca wojny budziła mimo oczywiście ciężkich zmagań z losem, a często i załamań duchowych, werwę i humor, optymizm i junactwo. Budziła się znów polska natura.

Dopóki pracowano na polskiej ziemi, choćby i bardzo ciężko, podtrzymywała na duchu atmosfera kraju. Doznawano ulgi, gdy po pracy można było wrócić do swoich domów i rodzin. Gorzej było na obczyźnie, gdzie wegetowano w lagrach. Tam żarła nostalgia. Ci, co to wszystko przeżyli, a dziś swoją niedolę opisują, wyraźnie o niej mówią. „Nie budził nas słodki głos matki, lecz obcy, gardłowy głos wyrwał nas ze snu“ — pisze Alfons Mikołajczak z gimn. Bolesława Chrobrego w Gnieźnie. — Toteż żalność i tęsknotę, wzorem dawnych wygnańców polskich na Sybirze czy w Ameryce, najskuteczniej polską kojono pieśnią. Tu się raz jeszcze ujawnia jej moc prawie cudowna. Śpiewano często wbrew zakazowi, zwłaszcza kolędy i pieśni ludowe. Ale odgrzebywano również dawne zapomniane melodie z ubiegłego stulecia a niezmienne rzewne, lub tworzone zastosowane do sytuacji nowe. Bezmiarem smutku dźwięczy np. pieśń śpiewana nad brzegami Renu na gruzach starożytnej Kolonii, którą w swych wspomnieniach przekazał wzmiankowany już Alfons Mikołajczak. W niej, powierzając swoją tęsknotę wierzbie nadjeziornej, śpiewano m.i.:

*Tu nie widzę ojca, matki
I uśmiechu siostry mej,
Každy uśmiech tu mi rzadki,
Bo nie widzę ziemi swej.*

*Ciężką pracę tutaj mamy,
A jeść mało dają nam;
My do pracy sił nie mamy,
A pracować każą nam.*

Takich pieśni było więcej. Może kiedyś, zebrane razem, wejdą one do naszego śpiewnika, jak weszły pieśni sybiraków z najpopularniejszą z nich: „Nie dbam, jaka spadnie kara“.

Rodziła się w tych dniach smutku i nostalgii również poezja. Nie tyle może górna i o dużej mocy artyzmu, ile znaczone stygmatem cierpienia i wyrażająca uczucia istotnie realne. Ma więc charakter do pewnego stopnia dokumentowy i pod tym należy oceniać ją kątem. Jako przykład niech służy wiersz Zofii Stachowiakówny z poznańskiego liceum im. Klaudyny Potockiej, powstały „przy maszynie w chwili najgłębszego smutku“. Zda-

wało mi się, — pisze autorka, — że ktoś stoi przy mnie i pociesza mnie tymi słowy:

*„Ty płaczesz, dzieciно, ty płaczesz, dzieciно,
że zgasła na niebie twa gwiazda?
a z oczu twych smutne, ach, smutne łzy płyną,
a ciężka jak perła jest każda...”*

I szepce dalej ten głos nadziemski strudzonemu ciężką pracą dziewczęciu, aby ukoili swoją boleść, bo choć ta gwiazda na razie się rozbiła, przecież znów przyjdzie czas, że zaświeci dawnym blaskiem:

*„...Ja zaraz podążę w przestworze
Pozbierać twej gwiazdki okruchy,
i może ją jeszcze w jedną całość złożę,
tylko ty nie trać otuchy!”*

Należałoby zatem i tę poezję tułaczą, wyrażającą przeżycia istotnie bolesne, zachować od zniszczenia. Wszak koila nie tylko rany, ale wprost ratowała od zagłady młodsze dusze, zachowując je dla Polski. Na równi z pieśnią, choć może nie tak powszechnie, spełniała więc swoją rolę.

Nie ma bodaj rodziny w Polsce, która by w tej wojnie nie straciła kogoś z najbliższych. Te straty nie mniej od własnych cierpień raniły dusze. W pamiętnikach sporo o nich wzmianek. Niezmiernym tragizmem rysują się brutalne sceny aresztowania, a potem tęsknota i wyczekiwanie na powrót lub na wiadomości od uwięzionych przy ciągłej równocześnie trwodze o ich życie. Tylko że inna była reakcja u dzieci, a inna u młodzieży starszej. Dzieci stratę ojca lub matki wspominają ze łzą. Ich skarga jest rzewna. Dziewczynka ze szkoły powszechnej w Poznaniu pisze:

„Jest godzina 4,30. Do naszego mieszkania weszło dwóch bruchatych gestapowców. Przyszli po mojego tatusia, kazali mu się ubrać i iść ze sobą. Ach, pożegnanie niezapomniane! Płacz nasz, tj. troje dzieci, z których ja najstarsza, obecnie 13 lat, i mojej mamusi nie wzruszał tych zbirów. Tatus mój wyszedł z płaczem, lecz pewny i z dumą Polaka. Wyszliśmy na próg, a w samochodzie, który stał na ulicy, było już dwóch Polaków, a tatus

był trzeci. Dzień spędziliśmy z mamusią jedynie na modlitwie z prośbą o powrót tatusia“.

Tej łzawej skardze dziecięcej przeciwstawiała się mocna reakcja młodzieży starszej. Łzę najczęściej zastępuje nienawiść i uczucie zemsty.

Kulminacyjnym w swej grozie rozdziałem całej młodzieżowej literatury pamiętnikarskiej są jednak wspomnienia kaźni więziennej, tortur zadawanych w czasie śledztw, oraz obozów koncentracyjnych, gdzie za Polskę przyszło cierpieć całej młodzieży, niezależnie od miejsca pobytu. W Warszawie Aleja Szucha i Pawiak, w Krakowie Monteluppi, w Poznaniu Dom Żołnierza i Fort VII, Żabikowo, dalej Majdanek, Treblinka, Oświęcim, Stutthof, Mauthausen, Gusen, Lübenau, Dachau, Ravensbrück, Linz, Oranienburg, Buchenwald, Belsen, Gross Rosen — oto miejsca po wsze czasy pamiętne już nie tylko w dziejach Polski, ale w historii świata. Przeżycia w tych obozach śmierci to najbardziej koszmarna karta ludzkości, wspomnienia kaźni tam przebytej — to najokropniejszy rozdział naszego pamiętnikarstwa. Nasi szkolni pamiętnikarze nie zajmą w nim pozycji ostatniej. Ich opisy, lubo realistyczne, posiadają umiar. Nie ma w nich ani przejaskrawień, ani fanfaronady. Wraz z cierpieniem jakby spotęgowała się dojrzałość myślenia i poczucie odpowiedzialności. Dostrzeże to każdy, kto je będzie czytał. Nie widać też na ogół płytkich uogólnień i przedwczesnego pędu do stwarzania obrazu syntetycznego, co częstokroć uwydatnia się we wspomnieniach starszych. Konkretnie obrazy, jakie rysuje młodzież z odcinka własnych przeżyć, to dziś najtrafniejszy sposób ujmowania zjawisk życia obozowego, bo jakże tu wyrokować o całości, skoro się ledwie wegetowało i było się ograniczonym do ruchów na własnym bloku i niektórych sąsiednich.

Tak te, jak i wszystkie inne męczarnie narodu zakończyły zwycięstwa aliantów. Chwile wyzwolenia przeżywano w napięciu do ostatnich granic. Uczuciom radości towarzyszył lęk „wykończenia“ przez Niemców. Obawiano się także samych skutków walki. Te wszystkie sprzeczności znalazły swój wyraz we wspomnieniach młodzieży. Na ogół przecież nie widać w nich głębi przeżyć. Przeważają opisy, jak dni wrześnieowych roku

1939, tonące w ogólnikach i frazesach. Tu i tam zaledwie jakieś sceny konkretne, malujące rzeczywistość. Jakoż walki o Poznań i bój o cytadelę znalazły swój wyraz.

Jak w kalejdoskopie więc przesuwać się na kartach wspomnień młodzieżowych wszystkie ważniejsze wydarzenia z doby ostatniej wojny. Mnóstwo szczegółów w nich zawartych przyczyni się kiedyś z całą pewnością do skonstruowania obrazu epoki, gdy odpowiednia wytworzy się perspektywa historyczna. Dziś wspomnienia te stanowią nade wszystko piękny dokument hartu ducha, ofiarności, poświęcenia, patriotyzmu, wielkiej mocy moralnej, dojrzałości wewnętrznej, wielkości, a często bohaterstwa młodego pokolenia, lubo zarazem są i bolesnym aktem oskarżenia przeciwko nieludzkiemu ciemięcy. Stąd do pewnego stopnia ich jednostronność. Stąd owo stałe podkreślanie grozy sytuacji ogólnej i własnej, stąd prawie zawsze tylko mowa o cierpieniach i ich przetrwaniu, a nader rzadko o pracy konstruktywnej, która również kwitła, i to nie tylko na odcinku konspiracyjnym czy szkolnym. Wszak były wysiłki zarówno na polu gospodarczym jak i kulturalnym, które powinny znaleźć w pamiętnikarstwie (zwłaszcza starszego pokolenia) swoje echo. Inaczej potomność posądzi nas o słabość.

Nie znajdują też zapewne pełnego zrozumienia dzisiejsze sądy o Niemcach. I im zarzuci się z czasem jednostronność, posądzi może o histerię. Powie się, i to z teoretycznego założenia niewątpliwie słusznie, że niesposób jedną miarą oceniać całego narodu, mieniąc wszystkich katami, a zgoła nie dostrzegać wśród Niemców także ludzi. Niech więc dziś, albo może na wszelkie sądy jeszcze za wcześniej, popłyną słowa wytłumaczenia. Jest racją, że nie wszyscy Niemcy byli zaraz zbrodniarzami. Nie we wszystkich wygasły uczucia ludzkie, nie do wszystkich przeniknęły hasła obłędnej teorii hitleryzmu. Ale nie zagłębiając się w to, jaki stanowiło to procent, owi „lepsi” Niemcy nie mieli w ogóle głosu. Byli sterroryzowani i na równi z Polakami bali się żandarma hitlerowskiego i Gestapo. Stąd jak gdyby ich nie było. Zresztą pozostali oni najczęściej na swej rodzinnej ziemi, a tu na gnębienie Polaków przychodzili kaci specjalnie w tym kierunku szkoleni. Zaledwie ten i ów

ujawnił jakieś uczucia wyższe, co jednak praktycznego znaczenia nie miało. W pamięci pokolenia, które tyle przecierpiało, zwłaszcza zaś młodego, któremu odebrano prawo do życia, wyrzył się nade wszystko wyraźny, choć może nieco uproszczony obraz Niemca-kata, nie dający się już niczym wymazać. Najtrafniej bodaj, a przy tym bardzo wnikliwie ujął to Leszek Cholewa, uczeń IV klasy gimnazjum św. Marii Magdaleny w Poznaniu, kiedy pisał: „Mało spotkałem w czasie wojny Niemców-ludzi, przeważnie to byli, jak oni sami się wyrażali, nadludzie, czyli kaci, gnębiciele lub manekiny, posłuszne rozkazom. A nawet ci Niemcy, którzy byli ludźmi i nas traktowali jako równych ludzi, rzadko mówili o jakimś bezprawiu lub krzywdzie nam wyrządzonej; raczej namawiali do zrobienia się Niemcami. Muszę przyznać, iż najwięcej ludzkości zaznałem od niemieckich żołnierzy frontowych w czasie ich wycofywania się. Nie można im było nic zarzucić. Nie wszędzie jednak tak było“.

*

Z uwagi na obfitość materiału, otrzymanego ze szkół różnego stopnia i typu na obszarze Kuratorium Szkolnego Poznańskiego, a równocześnie z uwagi na szczupłość miejsca przeznaczonego na publikację, dokonać musiano daleko sięgającej selekcji. Ponieważ obrano zasadę, aby uwzględnić jak najszerszą skalę przeżyć młodzieżowych, odrzucić nieraz musiano z bólem serca takie relacje, które dany fakt czy przeżycia, opisane gdzie indziej, omawiały powtórnie. Powstała konieczność jednorazowego, tylko uwzględnienia poszczególnego zjawiska, a tylko wtedy, gdy było ono szczególnie ważne, dopuszczano drugi, niekiedy zaś i dalsze jeszcze głosy, aby w ten sposób je wzmocnić.

Wspomnienia uczniowskie są jednocześnie źródłem historycznym i psychologicznym. Przy wyborze miano je obydwoma uwadze, jakkolwiek o samym układzie książki zdecydował wzgląd historyczny, tak że cały materiał pod tym kątem widzenia został ugrupowany. Stąd też często jego ułamkowość czy fragmentaryczność, powstała na skutek skreślenia ze

wspomnień takich ustępów, które pod względem rzeczowym nie wnoszą nic nowego. Takie skreślenia stosowano tym rygorystyczniej, że chciano pomieścić możliwie największą ilość pozycji, aby tym samym podnieść źródłowe znaczenie książki.

Cały materiał podzielono na 8 rozdziałów, którym nadano następujące tytuły:

1. Wrzesień i początek okupacji (III).
2. Wysiedlanie (IV).
3. W Generalnej Guberni (V).
4. W „Kraju Warty“ (VI).
5. Na obczyźnie (VII).
6. W więzieniach i obozach (VIII).
7. Wyzwolenie (IX).
8. Całokształt wydarzeń (X).

W ramach tych rozdziałów każda pozycja otrzymała swoją numerację, pod którą umieszczono nadto imię i nazwisko autora, miejscowość oraz nazwę uczelni. Przynależność szkolną i klasową podano według stanu z roku szkolnego 1945 (marzec — lipiec). To samo dotyczy adresów*). Komentarz w tekście okazał się na ogół zbyteczny; przecież tam, gdzie wymagała tego konieczność, zwłaszcza w odniesieniu do niektórych nazw geograficznych, zamieszczono u dołu danej strony pod tekstem odpowiednie objaśnienie. „Wspomnienia“ pozostawiono w ich oryginalnym brzmieniu, poprawiając tylko ortografię i interpunkcję.

*) Redakcja starała się wespół z dr. Grotem i dr. Ostrowskim niekompletne personalia, podane przez uczniów w ich wypracowaniach, uzupełnić przez dodatkowe zdobycie informacji w dyrekcjach szkół i od samych uczniów wzgl. ich rodziców.

WSPOMNIENIA MŁODZIEŻY
JAKO DOKUMENT
PSYCHOLOGICZNO-SOCJOLOGICZNY

NAPISAŁ WINCENTY OSTROWSKI

Wspomnienia dzieci i młodzieży wielkopolskiej z okresu wojny minionej są nie tylko dokumentem faktów i wydarzeń zewnętrznych, charakteryzujących dzieje Wielkopolski tego okresu. Są one zarazem dokumentem psychologiczno-socjologicznym: pozwalają zajrzeć w głąb duszy obecnego pokolenia młodzieży wielkopolskiej i śledzić jej wyobrażenia, myśli, sądy, uczucia i czyny w chwili wielkiej próby dziejowej.

Wielka liczba przepracowanych wspomnień, których wynikiem jest ta oto publikacja, a z których drobna tylko część umieszczona być mogła w zakreślonych z góry ramach wydawnictwa, jest dostateczną podstawą do uogólnień.

Jasno i wyraźnie zarysowują się na tle wspomnień przeżycia i duchowe przemiany dzieci i młodzieży w latach wojny. Są one nieraz przedmiotem refleksji samej młodzieży.

*

Trudno byłoby doszukać się w nastrojach przedwojennych i pierwszych tygodni wojny śladów jakiegokolwiek militarizmu.

Dzieci mniejsze zastaje wojna najzupełniej psychicznie nie przygotowane do wielkiej próby. Wyrwane gwałtownie z sielanek życia dziecięcego, otwartymiszeroko ze zdumienia oczyma patrzą one na pierwsze sceny dramatu wojennego, zdziwione, niczego nie rozumiejące, pytające „dlaczego“, przerażone.

Młodzież słyszała już niejedno o możliwości wybuchu wojny. Często nie była jej przeciwną, często nawet — wyobrażając ją sobie po swojemu — życzyła jej sobie po cichutku. Musiała sobie zdawać z tego sprawę, iż głośne wypowiedzenie takich życzeń spotkałoby się z niemiłosierną oceną jej inteligencji ze strony starszych. Dla tych młodych jednak perspektywa dłuższych wakacyj była powodem zupełnie wystarczającym do tego, aby życzyć sobie wojny. Z wojną łączyła ona nadzieje niecodziennych przygód, zaspokojenia ciekawości, romantyczne niekiedy marzenia o bohaterskich bojach polskich żołnierzy lub o cichym poświęceniu samarytanki, które by zresztą nie pozostało bez nagrody...

Młodzież nie rozumiała wielkiej groźby, która zawisała nad narodem.

Ciosy, zadane narodowi przez zbrojnego najeźdźcę, rozgromienie wojsk, w których waleczność tyle pokładano nadziei, bombardowanie miast i osiedli, strzelanie do bezbronnej ludności, mordowanie najlepszych obywateli, wysiedlanie, wywożenie do obozów, stosowanie kar fizycznych i tortur, szykany i ucisk — wszystko to wywiera głębokie wrażenie i wywołuje głębokie przemiany w młodzieży, która jest nie tylko obserwatorem, lecz na równi z dorosłymi przedmiotem niemieckich metod walki.

Niebawem młodzież ta, wprzężona w tryby maszyny produkującej Trzeciej Rzeszy, musi poddać się gwałtowi zadanemu jej naturze, musi stać się dorosłą.

Młodzież patrzy na najeźdźców ze zdumieniem. Kategorie myślenia, uczuć i czynów okupanta są niezrozumiałe, są inne. diametralnie inne od tych, którymi uczono młodzież myśleć, czuć i postępować. Pojęcia honoru i poszanowania godności człowieka, wolności i ojczyzny, miłości bliźniego i prawdy — przestają być nudnawym nieco bagażem umysłowym szkolnego wychowania i nauczania z czasów przedwojennych. Teraz, na tle ciemnego tła roztaczanego przez Niemców nihilizmu duchowego, nabierają znaczenia i wagi życiowej, w cień zapomnienia odsuwając sport, rozrywki towarzyskie, filatelistykę i sporo innych spraw pasjo-

nujących młodych przed wojną. Krew mordowanych ojców i braci krasi pojęcia te rumieńcami życia i nadaje im treść gorącą, serdeczną.

I już ten wróg zwycięski nie jest dla młodzieży tylko wrogiem politycznym, który zwyciężył nas orężnie i Rzeczypospolitej odebrał suwerenność. Takim go była skłonna młodzież w pierwszej chwili sobie wyobrażać. Takiego wroga umiałaby nienawidząc szanować. Ten wróg jest jednak wrogiem człowieka i człowieczeństwa, wrogiem wszystkiego, co piękne, dobre i prawdziwe. Żołnierz jego i urzędnik nie zasługuje na miano żołnierza i urzędnika, lecz nazywany jest: zbiorem, drabem, katem, zbójem, złoczyńcą, kreaturą. Budzi nie tyle nienawiść (co jest uderzające), ile strach i przerażenie, a potem pogardę i wstręt.

Wśród gonionej, tropionej, pozbawianej wolności, odrywanej od stron ojczystych, morżonej głodem i chłodem i wyniszczanej nadmierną pracą, więzieniami i obozami młodzieży wielkopolskiej wyrasta głęboka wiara we wzniosłość i wartość życiową nie docenianych dotąd pojęć i kategorii, głębokie przekonanie w absolutną wartość kultury własnej i w niezmierną wyższość jej nad niemiecką, ocenianą i odczuwaną jako barbarzyństwo, a nieraz jako przerażające błazeństwo. Wiara ta w tragicznych okolicznościach szuka i znajduje psychiczne oparcie w Bogu, jako wieczystej podporze wyznawanych ideałów dobra, piękna i prawdy. Wiara ta wydaje szeregi młodocianych wyznawców i męczenników, z godnością i dumą znoszących cierpienia i katusze fizyczne i moralne. Z wiarą w słuszość sprawy łączy się najczęściej wiara w ostateczne zwycięstwo i tryumf, jako postulat wiecznej sprawiedliwości bożej. Nie klóci się to z nadziejami, pokładanymi w mądrość i potęgę wielkich sprzymierzeńców, których eskadry powietrzne, niosące zagładę siedliskom zła i zbrodni, witane są z zapalem przez młodych z narażeniem życia.

Młodzież podejmuje w ciężkich warunkach walkę kulturową z barbarzyństwem niemieckim. Pomocy i pokrzepienia szuka w nauce. Nauka ta to nie tylko wyraz troski o przyszłość swą i pozycję w przyszłej Polsce, nie tylko ucieczka przed wyjało-

wieniem myśli. To przede wszystkim szukanie w dziejach narodu, w jego poezji i filozofii upewnienia i ugruntowania swego credo, credo swego narodu, deptanego przez najeźdźcę, i prawa do życia, i wiary w słuszość tego, co wyznaje i za co — być może — jutro przyjdzie dać to, co młodzieży tak bardzo drogie: życie. Szuka przeto młodzież w dziejach ojczystych i w księgach, i znajduje, i stwierdza, że jej myśli, uczucia i postępowanie są ogniwem myśli, uczuć i dziejów narodu. Stąd też nie dziwi nas, że bijąca z kart pamiętników дума i poczucie godności osobistej tak harmonijnie spleta się z poczuciem godności narodowej i dumą narodową.

Gdzie można było lub gdzie nie umiano sięgać po skrzepienie do historii, wielkiej poezji i filozofii narodu, tam prosta piosenka patriotyczna czy ludowa podnosiła serca i prostowała plecy. Nabrzmiałe bólem, tęsknotą i nadzieją dusze nieraz we własnej, nieuczzonej pieśni wyśpiewały swe uczucia.

Zatrzeć się musiały i istotnie zacieraly się w tym okresie antagonizmy, powstające normalnie na tle różnych zainteresowań między dorosłymi a młodymi. Młodzieży kazano być dorosłą i nałożono na nią obowiązek ciężkiej pracy. Młodzież w tych warunkach dojrzewała wcześniej. Ciosy, spadające na rodziny, skupiły myśli i uczucia starych i młodych w jedno ognisko, a serca jednych i drugich zgodnym były rytmem zwątpień, smutków, bólów, rozpacz i nadziei. Rodzice i starsi opiekowali się młodymi, a częściej jeszcze młodzi ratowali od zguby starszych w morderczych przemarszach czy w pracy ponad siły. Częściej też młodzi starszym dodawali otuchy i wiary w świetlaną przyszłość i wzruszającą pociechę nieśli dotkniętym niedolą i nieszczęściem.

Nie tylko uczucia rodzinne się pogłębiają. Serdecznym przywiązaniem, szacunkiem i podziwem darzy młodzież pełniących swe powinności narodowe nauczycieli. Jakże inaczej patrzy ona teraz na swych belfrów, którym przed wojną tyle płała figlów. Nigdzie też we wspomnieniach młodzieży nie napotkaliśmy na krytykę myśli, sądów i postępowania starszego pokolenia: rodziców, nauczycieli, narodu. Snadź młodzież czyny starszego pokolenia uznawała za słusze mimo nieszczęść, jakie

spadły na naród i na nią, której zabrano młodość. Niejednokrotnie za to napotykamy na uczucia dumy z zachowania ojca czy heroizmu matki w chwili próby. Ojciec i matka czy bohaterzy ginący w egzekucjach uznawani są za wzory, którym młodzież pragnęłaby dorównać.

Młodzież w granicach swych możliwości podejmuje niejednokrotnie trud tajnego nauczania i wychowywania młodszych od siebie kolegów i koleżanek. Aby uczcić bohaterów, czekających na stracenie, drżąc z przerażenia dziewczynka siłą woli opanowuje chęć ucieczki daleko od koszmarne go widoku i zmusza się do patrzenia na okrutną egzekucję. Uważa, iż ucieczka byłaby dezercją i uchylaniem się od obowiązku oddania czci bohaterom.

*

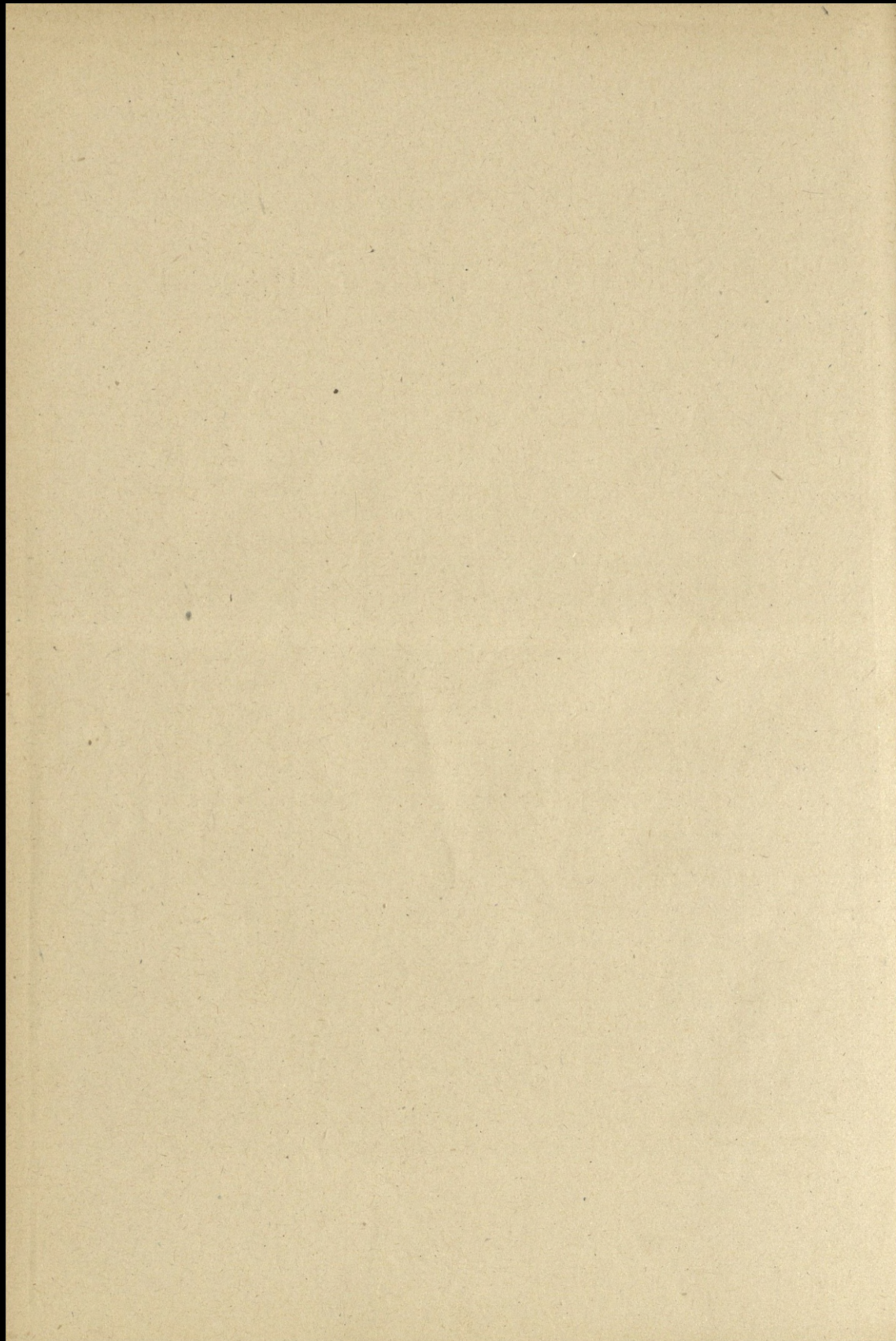
W doborze opracowań młodzieży, umieszczonych w niniejszej publikacji, nie kierowano się kryteriami literackimi, lecz w pierwszym rzędzie względami na wartość historyczną.

Ogólnie da się o wspomnieniach powiedzieć, iż utrzymane są w tonie spokoju i zrównoważenia epickiego, a nuta subiektywna — gdy się weźmie pod uwagę przeżycia opisywane — przebija stosunkowo słabo. Silniej da się słyszeć we wspomnieniach dziewczęcych niż u chłopców, choć i tu uderza spokój opowiadania i opanowanie. Ma się wrażenie, że piszący oszczędnie szafowali słowem, które dzięki temu — zamykając w sobie dużą treść wydarzeń i przeżyć — przemawia z siłą rzeczywistości. Na ten spokój i na tę powściągliwość wpłynąć mogły, sądzę, dwa czynniki. Jednym z nich — to pewna odrębność psychiczna młodzieży wielkopolskiej, obserwowana potocznie przez nauczycieli a potwierdzana przez badaczy; drugi — to owa przedwczesna dojrzałość, która dyspozycje wrodzone musiała raczej spotęgować. Zrozumiałym byłby na tym tle zaobserwowany przez nas fakt, iż wspomnienia młodzieży ze wschodnich stron Wielkopolski są bardziej „literackie“, stąd mogące budzić czasami niepewność w historyku, w przeciwieństwie do wspomnień młodzieży z zachodnich stron Wielkopolski, które tak mało stosunkowo wykazują momentów subiektywnych.

Liczne jeszcze cisną się na usta słowa, które lepiej, że nie zostaną tutaj wypowiedziane. To pewne, że czytelnik nie będzie zawiedziony lekturą wspomnień. Nie zawiedzie się ani historyk, ani wychowawca, ani psycholog, ani polityk, ani literat. Nie będzie też wśród nich nikogo, kto by suchym okiem przebrnął do końca i kto by, przeczytawszy całość, nie uchylił czoła.

WRZESIEŃ I POCZĄTEK OKUPACJI

III



Zygmunt Dreżewski

ur. 23. I. 1928 w Poznaniu.

W czasie okupacji wysiedlony z Poznania, ul. Za Bramką.

Obecnie: Poznań, ul. Śniadeckich 19.

Uczeń IV Państw. Gimn. i Lic. im. św. Marii Magdaleny w Poznaniu.

Kl. I c przysp.

...Właśnie zabezpieczałem okna w myśl zarządzenia o obronie przeciwlotniczej, gdy przyszedł brat i oznajmił mi, że Niemcy przekroczyli granicę i rozpoczęli natarcie na Polskę. Zaraz poszedłem słuchać komunikaty radiowe i dowiedziałem się, że o godz. 3 w nocy zostały rozpoczęte działania bojowe i wojska polskie pod natarciem wroga opuściły Częstochowę. Na Śląsku zaś toczyły się zażarte walki. A więc już naprawdę nie żadna złuda, lecz rzeczywistość. Wojna się rozpoczęła. Co przyszłość przyniesie, nie wiadomo. Wszystko w rękę Boga. Jeszcze nie wszyscy ludzie o tym wiedzą. Miasto wre normalnym życiem.

Nagle około godz. 12 słychać warkot. Widać samoloty. Lecą bardzo wysoko. Ludzie podnoszą głowy. „To nasi!” krzyczą. Lecz co za gorzka niespodzianka, gdy na głowy zaczęły się sypać pierwsze bomby. Teraz dopiero zrozumieli. Od razu wszystko zaczęło szwankować. W urzędach chaos, gazeta codzienna nie wyszła z druku, jednym słowem, „bałagan”.

Parę minut przed g. 14 drugi nalot. Biegniemy do schronów. Tym razem jest więcej samolotów. Z rzadka słychać zenitówki. Nagle świst, jeden, drugi... Sypią się bomby. Detonacje. I znowu cicho. Słychać oddalający się warkot. Naszych myślicieli ani śladu. Ludzie wychodzą z piwnic i oglądają szkody. Czuć dym.

O godz. 18 trzeci nalot, największy. Słychać głośnie dudnienie bombowców. Przez radio ryczą syreny. Zapowiadają nalot. Znowu zbiegamy do schronu domowego w piwnicy. Jest tam już dużo ludzi. Słychać eksplozje. Pierwsze bomby. I znów,

pierwsza, druga, trzecia — całe serie. Słuchamy z zapartym oddechem. Nagle! Trzask, huk i łomot tak straszny, że głowa chce pęknąć. Kurz, brzęk tłuczonych szyb. Wszystko zdaje się walić na głowę. To bomba musiała trafić w nasz budynek. Zostaliśmy odrzuceni przez siłę wybuchu pod ściany. Wszyscy krzyczą „Gaaz!!!“ i biegną na wyższe piętra. Jesteśmy na najwyższym piętrze u nas w mieszkaniu. Wygląda ono jak obraz grozy i rozpacz. Pełno szkła, firanki w strzępach wiszą żałostnie, drzwi i okna z żaluzjami wyrwane, słowem, obraz zniszczenia. Jakaś kobieta głośno się modli. Przez okienne otwory widać ponury widok płonących domów. Wszystko sprawia nastrój grozy i strachu. Wszędzie pełno dymu i pyłu, który mylnie uważaliśmy za gaz.

Tymczasem już nalot minął. Lecz nikt nie chce zostać w mieszkaniu. Przenosimy się do publicznego schronu, gdzie jest już pełno ludzi. Był on przeznaczony na 500 osób, tymczasem jest w nim przeszło 2000. Jednak razem zawsze lepiej. Rozglądam się wokoło. Warunki straszne. Wilgoć spływa po ścianach. Zaduch okropny. Spoglądam na ludzi. Bładzi, o wystraszonych oczach, nic nie mówią. Do ogólnego przygnębienia przyczyniają się coraz to nowe transporty rannych. Wnosi ich na noszach służba sanitarna. Głośno jęczą. Ludzie milczą. Od czasu do czasu powie ktoś słowo i znów cisza. Słychać przytłumione eksplozje. To znowu gdzieś „rąbią“. Każdy myśli, czy jego dom nie uległ zniszczeniu. Czasem rozświetli niebo łuna palącego się domu.

Tak upływa pierwsza noc i w ten sposób spędziliśmy 2 doby. Chodzimy jak mary. Już nam wszystko jedno. Idziemy do domu. Widzę skutki bomby. Padła w sam róg. Wyrwany lej i pęknięta ściana — oto skutki. Mieliśmy szczęście. Po przejściu do mieszkania rzucam się w ubraniu na łóżko i zasypiam od razu od przeszło 48 godzin nieznany snem. Rano dowiaduję się, że ta noc minęła spokojnie. Obecnie na ulicach pełno wojska. Opuszczają miasto. Musiało coś zajść ważnego na froncie. Co? Nie wiadomo! Wychodzę i daję żołnierzom papierosy. Twarze smutne. Wiadomo. Odwrót. Po wyjściu wojska z miasta słychać głośne detonacje, to wysadzają mosty. Prawdopodobnie

wróg jest już blisko. Ta noc upływa w ponurym nastroju. Takie były pierwsze dni wojny...

Zakończenie

Dzisiaj, kończąc te wspomnienia tak niedawnej przeszłości, rozumiem, że ofiarność i poświęcenie żołnierza polskiego nie poszły na marne, że będą nam zawsze wskazywać, jak należy służyć i składać życie na ołtarzu Ojczyzny. Jestem wdzięczny naszemu żołnierzowi, że znów mogę uczęszczać do polskiej szkoły, że widzę polskie sztandary, że dał nam — Wolność!!!

2

Teresa Szychówna

ur. 11. 1. 1931 r. w Poznaniu.

Przed wojną mieszkała w Poznaniu, ul. Źródłana 19 m. 32.

Obecnie: Poznań, ul. Szamotuńska 21 a m. 1.

Uczennica XVI Szkoły Powsz. w Poznaniu. Kl. VI.

Gdy Niemcy wkroczyli w tak bezczelny sposób do naszego ukochanego polskiego kraju, wtedy miałam 8 lat. Ale utkwiło mi w pamięci i pamiętam jak dziś, gdy byłam z mamą w mieście, jechali Germanie na rowerach, samochodach i pluli na naród polski. Gdy przyszłam do domu, byłam niespokojna, pytałam się co chwile: „Mamo, kto to był? mamo, dlaczego oni pluli? jak rozmawiali? skąd oni przyjechali?” Mama tłumaczyła mi, że to są nasi wrogowie, pluli dlatego, że nas nienawidzili, mówiła mama. „A my także ich nienawidzimy.” Upływały ciężkie chwile, nie mogłam się uczyć, a taką miałam chęć i zamiłowanie...

3

Alina Włodarczakówna — Poznań.

ur. 22. 5. 1932 w Poznaniu.

Mieszkała w Poznaniu, ul. Marsz. Focha 149 m. 4.

Obecnie: Sopot, ul. Bieruta 45 m. 1.

Uczennica Szkoły Powszechnej w Poznaniu. Kl. VI a.

Kilka dni przed rozpoczęciem się tej strasznej wojny widzieliśmy duży ruch wojska w Poznaniu. Wszyscy mówili o nieuniknionej wojnie z Niemcami. Dnia 27 sierpnia dostali urzędni-

cy P. K. O. rozkaz, żony i dzieci ewakuować. Ponieważ tatuś także był urzędnikiem P. K. O., wysłał nas do Siedlec za Warszawę. Mamusia spakowała wszystkie rzeczy i wyjechaliśmy dnia 28 sierpnia. Podróż mieliśmy względnie dobrą, choć był ścisk wielki, bo dużo z Poznania wyjeżdżało ludzi. Do Siedlec zajęchaliśmy 30 sierpnia, w tym dniu była właśnie mobilizacja ogłoszona i tu był wielki ruch i niepokój. Wujek mój już nazajutrz wyjeżdżał do wojska. Pozostaliśmy więc bez opieki męskiej, bo tatuś pozostał jeszcze w Poznaniu, a wujek poszedł do wojska. Kilka dni jakoś spokojnie przeszło.

Nadszedł 1 wrzesień i już nazajutrz pierwsze bombardowanie, ale nie takie groźne, i tak przez kilka dni, aż dopiero 7 września rano o godzinie ósmej nadjechało 48 samolotów niemieckich i zaczęło się straszne bombardowanie. Znajdowaliśmy się w samym śródmieściu; działy się okropne sceny, schronów nie było tam żadnych, więc ofiar było dużo. Nasz dom jakoś ocalał cudem, ale wokół same gruzy i ogień. Po kilku godzinach była krótka przerwa, więc uciekaliśmy na przedmieście. Uciekaliśmy po gruzach i przez palące się belki. Drzewka zielenią pokryte stały także w płomieniu. Ledwieżeśmy kawałek uszli, zaczęło się znów to piekło i trwało aż do zmroku. Noc była spokojna, tylko od dymu było można się udusić, bo okna powybijane. Spaliśmy tylko do godz. 3 rano.

Mamusia wyszła na ulicę zobaczyć, co się dzieje, i polscy żołnierze radzili wyjechać gdzieś poza miasto. Dzięki nim też dostaliśmy furmankę, którą dojechaliśmy do wioski Pieróg. Zdawało nam się, że tam będzie już dobrze i spokojnie, lecz niedługo się cieszyliśmy. Nadjechali i tam i siekli z maszynówek do spokojnej ludności. Obawialiśmy się, że będą rzucać bomby zapalające i spalać całą wioskę, gdyż tam chaty słomą pokryte. I znów byliśmy w strachu, toteż już skoro zaczęło świtać, wychodziliśmy 1 km za wieś i całe dni siedzieliśmy w zagajniku o głodzie i pragnieniu. Dopiero wieczorem wracaliśmy, aby coś ugotować i się posilić. W dzień słyszeliśmy, jak pobliskie wioski bombardowali, a nocą huk armat, który nam spać nie dał.

Dopiero po 14 dniach uspokoiło się, ale co najgorsze, z tym spokojem weszli Niemcy, i już wiedzieliśmy, że jesteśmy w nie-

woli. Strasznie płakaliśmy, że tak się to skończyło. Mamusia nam zaraz mówiła, że będzie nam bardzo źle, ale myśmy sobie wtedy z tego nie zdawali sprawy. Do Poznania wróciliśmy 11 listopada; był to przykry powrót. Nasz polski Poznań pławił się jak we krwi, udekorowany czerwonymi sztandarami hitlerowskimi...

4

Wiesław Allery

ur. 2. 5. 1925 w Przybychowie, pow. Czarńków.

W czasie okupacji przebywał na wysiedleniu w G. G.

Obecnie: Rogoźno Wlkp., Wójtostwo 17.

Uczeń Państw. Lic. i Gimn. im. Przemysława w Rogoźnie Wlkp. Kl. II gimn.

Rok tysiąc dziewięćset trzydziesty dziewiąty, dzień piękny, wrześniowy, dzień tygodnia piąty, kiedy dyktator faszystowskich Niemiec rzucił swe wojska na Ojczyznę naszej ziemi. W dzień ten pamiętny dla całego narodu opuszczałem dom, ciche zakątki ogrodu, w których tak miłe chwile upływały, wszystko trzeba było pożegnać, by uniknąć nawały.

Zbliżały się dni męczącej ucieczki. Pierwszy punkt, gdzie zatrzymałem się wraz z rodziną, to miasto Inowrocław. Zaraz nazajutrz, będąc oddaleni kilka kilometrów od Inowrocławia, mieliśmy możliwość zaobserwowania pierwszego nalotu bombowców niemieckich i skutków bombardowania. Wydawało nam się, że to nic strasznego, tym więcej, że nam młodym imponował sam wyraz „wojna“. Niejeden na pewno przedstawiał sobie rycerzy okutych pancerzem, lub chciał zobaczyć, jak ułani szablami walczyć będą, a wszystko to opierał na słowie „wojna“. Dziś nie przypominam sobie wszystkiego; jedno pamiętam, kiedy usłyszałem, że wybuchła wojna, byłem zadowolony.

Przez pierwsze trzy dni wyglądało jak wycieczka, lecz czwartego dnia podróży ogarnął nas strach z powodu dość mocnego bombardowania ewakuującej się ludności cywilnej. Od tego dnia jechaliśmy nocą, a w dzień był odpoczynek dla nas i dla koni, gdyż taką lokomocję tylko dano nam. Na szóstą noc jazdy wjeżdżaliśmy do Warszawy. Ta właśnie noc i następny dzień, niedziela 10 września, żywym obrazem stoją mi w pamięci.

W Warszawie wśród nocy rodzina pogubiła się, jednak siła wyższa zrzuciła tak, że znowu połączyliśmy się. Przy ogłuszającym huku, pod leżącymi bombami i gradem kul, przebiegliśmy przez kilka ulic szkłem zasłanych i most na Wiśle, chcąc się przedostać na Pragę. Niemcy w ów dzień tak strasznie bombardowali, że trudno opisać. Człowiek, przemęczony bardzo, po prostu był jak obłądny. Nie wiedział, czy żyje, czy to sen lub złudzenie; brak słów nawet, by wyrazić stan psychiczny człowieka.

Wieczorem po palących się zgliszczach wyjechaliśmy wszyscy cało z Pragi. Jadąc w kierunku Mińska Mazowieckiego nocowaliśmy w Wesołej pod Warszawą, a następnego dnia dostaliśmy się do majątku Glinianka koło Mińska Maz. W dwa dni potem próbowaliśmy pojechać za Mińsk dalej, lecz zawróciła nas z drogi ludność, która w wielkiej panice uciekała przed zbliżającymi się wojskami hitlerowskimi. Załopotało nam serce, gdy w nocy tego dnia usłyszeliśmy poza drzwiami mowę niemiecką i czterech drabów weszło do mieszkania. Zaświecili latarki i kazali nam, wtedy dziećmi będącym, podnieść ręce, a ojca zabrali. Następnego dnia ojca zwolnili. Po ośmiu dniach dostaliśmy od władzy wojskowej niemieckiej papiery z nakazem powrotu do domu. Wyjazd nasz z majątku Glinianka nastąpił 22 września i w przeciągu tygodnia byliśmy w domu...

5

Tadeusz Zborowski

ur. 1. 1. 1925 w Czeknie, pow. Dubno.

W czasie okupacji przebywał w Tlukawach, pow. Oborniki.

Obecnie: Rogoźno Wielkopolskie — Wójtostwo.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. im. Przemysława w Rogoźnie Wlkp.

Kl. III gimn.

Całe lato roku 1939 upłynęło na naprężonym oczekiwaniu. Nareszcie pierwszego września usłyszałem to straszne słowo: wojna! Nie trzeba było długo czekać, aby zobaczyć jej skutki. Już następnego dnia ciągnęły tłumy uciekinierów, a w dzień później zostałem nim i ja sam. Jechałem jak nieprzytomny,

z przerażeniem patrząc na rozgorączkowane tłumy, które jakby przed zarazą morową uciekały, szepcząc coś trwożliwie pomiędzy sobą.

Niebawem znalazłem się w Wągrówcu. Oglądałem z zaciekawieniem ruiny i zgłiszcza domów zniszczonych przez samoloty. Około 200 metrów ode mnie wysadzono most. Deski i kamienie wyleciały w górę z ogromną siłą. Dokoła widać było łuny pożarów. Całe niebo wyglądało jak zlane krwią.

Lęk jakiś ogarnął mnie i pognałem w kierunku Gniezna, byle dalej od tych strasznych widoków. Lecz i tam nie znalazłem upragnionego spokoju. Widziałem setki ludzi stojących przed urzędami i domagających się broni. Nieliczni spośród nich byli uzbrojeni w stare fuzje i dwa naboje. Kto tylko mógł, spieszył na pozycję pod Kłeczko*). Lecz to nic nie pomogło; bandy**), jak ludzie mówili między sobą, zbliżały się do Gniezna. Nie pozostało nic innego, jak opuścić miasto, które miało być o godzinie 9 zajęte.

Koło południa pojechałem do Witkowa***), w którym był istny „sądny dzień“. Z pobliskich sąsiednich wzgórz cywilne zbiry hitlerowskie prażyły ludność ogniem karabinów maszynowych. Przedarłem się przez miasto i jechałem dalej w kierunku Kutna. Naraz piorun z jasnego nieba: o 200 kroków przede mną wyłoniła się z bocznej drogi kolumna wojska niemieckiego. Zrozumiałem. Byliśmy odcięci. Natarczywe pytanie, co robić? — cisnęło mi się do mózgu. Tak, nie pozostało nic innego jak wrócić do domu.

Przyszłą niewolę wyobrażałem sobie wten sposób, że będziemy żyć, jak żyliśmy, tylko ze zmniejszonymi prawami. Jak się bardzo myliłem, poznałem to później na swojej własnej skórze. Zawróciłem więc i jechałem z powrotem do Gniezna. Na przedmieściu natknąłem się na żołnierza otoczonego grupą Polaków, słuchających z zaciekawieniem kłamstw sypanych jak z rękawa. Jechałem dalej.

*) w powiecie gnieźnieńskim

**) składające się z kolonistów niemieckich

***) Miasteczko na wschód od Gniezna.

Pod wieczór zatrzymałem się w małej wiosce przed Kłeckiem. Wchodzę na pierwsze z brzegu gospodarstwo. Na podwórzu nie ma żywej duszy, dopiero w ostatnim kącie mieszkania znajduję zapłakaną kobietę. Nie zdążyłem się zapytać o powód łez, a już wieści spadają na mnie jak grom. „Panie, jesteś Polakiem? Skryj się szybko! Niemcy mordują! Przed chwilą w moich oczach rozstrzelano męża i syna.“ Nie pozostało mi nic innego, jak usłuchać nieszczęśliwej i wyszukać bezpieczne schronienie na nocleg. Nazajutrz rano, otrzymawszy kilka wskazówek, wyruszyłem polnymi drogami w kierunku Rogoźna. Po licznych rewizjach i legitymowaniach przybyłem wreszcie do domu.

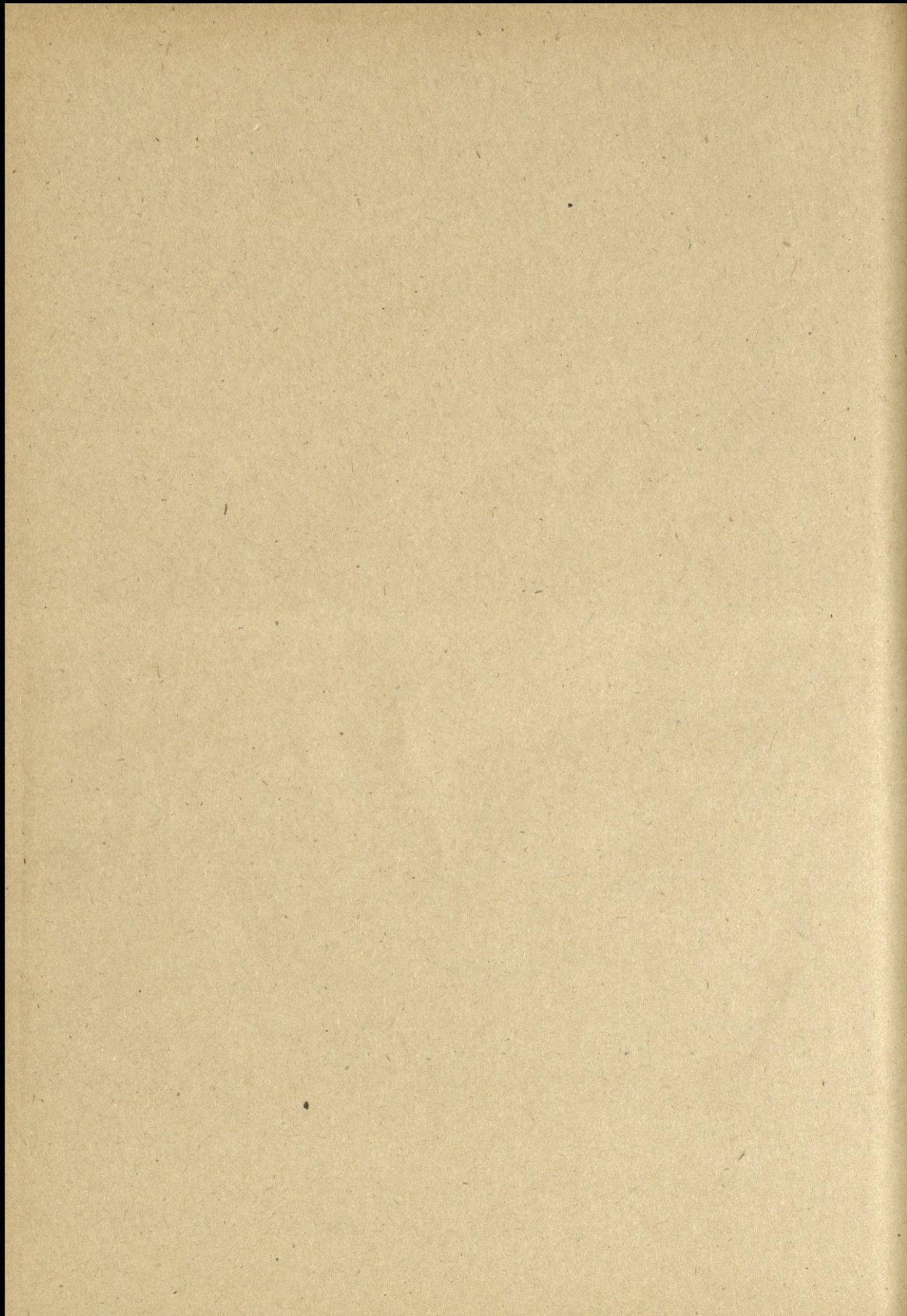
Myślałem, że odetchnę swobodniej. I znowu zawód. Straszliwe wieści dochodziły z okolicy. Morderstwo i przemoc zapanowały nad nami. Co dzień przed wieczorem słyhać było w pobliskich lasach strzały, przecinające nić życia najlepszym Polakom.

Po trzech dniach pobytu w domu ujrzałem ich sześciu, jeden z nich był nawet inwalidą o drewnianej nodze, siedł podpierając się laską. Dokąd ich prowadzą? na co? po co? Pewnie do roboty! Niemożliwe, żeby i kaleków zabijali! A jednak była to bolesna prawda. Za pół godziny padło sześć strzałów, a następnego dnia po kilkugodzinnym szukaniu znalazłem między sosnami w pobliskim lesie grób zrównany z ziemią i zarzucony dla niepoznania mchem.

Upłynęły pierwsze dwa tygodnie. Z czasem przyszła policja, strzały ucichły i zaczęto wprowadzać ten osławiony „porządek“. Przed probostwem wywieszono swastykę. Przechodząc koło niej musieliśmy zdjąć czapkę. Biada temu, kto by się od tego obowiązku uchylił! „S. S.“ zaprosił go bezceremonialnie do mieszkania dając mu naukę rzemieniem i pięściami. Na tym nie koniec. Każdemu z „wyższej rasy“ trzeba się było uklonić i ustąpić z drogi, inaczej mówiąc nie tylko nie mieliśmy żadnego prawa, ale byliśmy w najwymyślniejszy sposób szykanowani. Tak upłynęły jesień i zima...

WYSIEDLANIE

IV



1

Grażyna Remleinówna

ur. 6. 6. 1931 w Poznaniu.

Uczennica III Szkoły Powszechnej. Kl. VI a.

Przeprowadziła się do Gdyni, ul. Żwirki i Wigury 6, m. 7.

„...O! tam!” — szepcze ktoś.

Naprawdę! Powoli wysuwa się spoza cieni wieczorowych duży autobus. Niedaleko domu stanął. Trzech policjantów wysiadło. Skierowali swe kroki w stronę tej kamienicy.

„Oni idą do nas!” — zawołała strwożona matka.

Zaciemnili szybko okno i zaczęło się bieganie. Jeden ubierał się, drudzy szykowali tobołki, a dzieci pobiegły na korytarz i usłyszały dochodzące z sieni odgłosy kroków policjantów, idących po schodach na górę. Brama musiała jeszcze być otwartą, gdyż weszli bez pukania.

Wtem odetchnęli wszyscy. Kroki nie zatrzymały się przed ich drzwiami, lecz słyszano oddalanie się ich. Wszyscy wrócili milcząc do pokoju i cicho usiedli.

Za chwilę słychać było głośnie dobijanie się buciarami i pięściami do jakiegoś mieszkania.

Po krótkim czasie rozległy się głosy schodzących na dół ludzi, płacz dzieci i uspokajający je głos matki. Gdy zeszli na dół, zatrzasnęli bramę i za parę minut doleciał siedzącą w pokoju rodzinę warkot odjeżdżającego samochodu, który im oznajmił, że znowu jedna rodzina więcej znajduje się między cierpiącymi.

2

Regina Garyantasiewiczówna

ur. 25. 5. 1933 w Poznaniu.

Obecnie: Poznań, Traugutta 23, m. 7.

Uczennica I Szkoły Powszechnej w Poznaniu. Kl. VI.

...Choć miałam wówczas dopiero 6 lat, pamiętam dokładnie dzień, w którym wywieziono nas do Radomska. W mroźny

wieczór grudniowy, kiedy wszyscy leżeliśmy w łóżkach, rozległ się ostry, niecierpliwy dzwonek. Uwierzyć się nam po prostu nie chciało, kiedy dwóch żandarmów niemieckich kazało nam natychmiast opuścić nasze kochane mieszkanko i pójść za nimi. Dokąd? To pozostało dla nas tajemnicą. Ojciec musiał oddać wszystkie posiadane pieniądze. Zostawili nam tylko 13 zł. Tak ogołoconych ze wszystkiego zawieźli nas do baraków w Głównej nad Wartą. Tam trzymano nas za kratami jak zbrodniarzy. (Biedny Romek miał dopiero dwa latka). Spaliśmy na słomie, człowiek obok człowieka. Jeszcze dzisiaj w uszach szumi jeden płacz i narzekanie.

Po tygodniu załadowano nas jak bydłatka w towarowe wagony i ruszono z nami w nieznane strony. Głodno i chłodno jechaliśmy tak dwa dni. Zmęczeni i zmartwieni stanęliśmy wreszcie na małej ponurej stacji w Radomsku. Ciemną nocą szliśmy w stronę nowego domu z nadzieją, że wreszcie stanimy i odpoczniemy. O! jakie spotkało nas rozczarowanie. Pokój brudny, ciemny, niczym pieczara. Przykry to był widok. Ani stołu, ani nawet łóżek nie było. My z Romkiem spaliśmy na podłodze, a ojciec w tym czasie starał się o słomę. Ciężkie przeżyliśmy dni. Głód i mróz dokuczał nam na każdym kroku. Pociaszaliśmy się tylko myślą, że niedługo skończy się wojna i wrócimy znów w swoje strony...

3

Teresa Krupska

ur. 19. 6. 1932 w Poznaniu.

Okres okupacji przeżyła w Radomiu, ul. Limanowskiego 19.

Obecnie: Poznań, św. Wawrzyńca 31, m. 4.

Uczennica VI Szkoły Powsz. w Poznaniu, Kl. V.

...W pewien wieczór zimowy mamusia położyła się wcześniej spać, bo była chora. Ja i moja młodsza siostra, która miała pięć lat, pomagała mi obcierać naczynia po kolacji. Potem wszyscy położyliśmy się spać. Tatuś zasnął, mamusia jeszcze nie spała i ja też jeszcze nie spałam. Nagle ktoś mocno zapukał do drzwi, mamusia szybko wyskoczyła z łóżka, idzie

do drzwi, patrzy przez szkiełko i zobaczyła żandarma z cywilem. Oni zawołali, żeby otwierać! Mamusia otworzyła, a oni jak wpadli, pozapalali wszędzie światła i kazali się wynosić. Przyszedł sąsiad, pomagał nam się ubierać i pakować, ja i moja siostra płakałyśmy bardzo, lecz nic nie pomogło. Stali nad nami, nie pozwolili nic zabrać, jedną pierzynę i parę poduszek pod głowę. Wszystko to trzeba było brać pod ukradkiem, żeby nie widzieli, bo gdy zobaczyli, zaraz kazali to zostawić.

Gdy już było wszystko popakowane, musieliśmy wyjść, zapieczętowali drzwi i wyprowadzili nas na ulicę, gdzie stał już autobus. Zawiózł nas do baraków, gdzie na rewizji odebrali nam wszystkie pieniądze. Potem poszliśmy do drugiego baraku. Jak tylko weszliśmy, cały zaduch nas uderzył, wilgoć tam była okropna, w nocy woda kapiała z sufitu na nas. Tak przeżyliśmy dwa tygodnie w barakach na barłogu.

Po dwóch tygodniach wywieźli nas do Generalnego Gubernatorstwa. Tam w mieście Radomiu wyrzucili nas na dworcu. Był wtedy wielki mróz.

Ja i moja siostra stałyśmy, aż tatuś poszuka dorożki. Ale kiedy szukał jej, nadszedł jakiś nieznajomy i zabrał nas wszystkich do siebie. Tam mieszkaliśmy dwa do trzech tygodni. Potem byliśmy na drugim mieszkaniu i na trzecim. Bieda była okropna. Nie było co jeść, spaliśmy na podłodze, bo nie było łóżek. Siostra moja mała zaziębiła się bardzo i zachorowała na krup, wreszcie musiała jechać do szpitala, zrobili jej operację na gardło i wsadzili rurkę. Nic nie pomogło, wysłali ją do Warszawy, tam nie pożyła długo i umarła...

4

Zenon Łakomy

ur. 31. 5. 1931 w Sebastianowie, pow. Śrem.

Obecnie: Poznań, ul. Niecała 8, m. 2.

Uczeń Państw. Gimn. Mechanicznego w Poznaniu. Kl. I.

Noc z 18 na 19 stycznia 1940 r. była dla mnie straszna. Niemieckie gestapo rozbiło bramę i weszli na podwórze. Na-

stępnie rozbiło drugą bramę i zadzwonili do mieszkania. Ze strachu aż struchlałem.

Weszli do mieszkania i zaświecili światło, zobaczyłem pięć osób uzbrojonych w helmy, karabiny i w zielonych mundurach. W piętnastu minutach gestapo niemieckie kazało nam opuścić mieszkanie. Tatusia nie było w domu, był u pracy. Mamusia i ja namęczyliśmy się przy pakowaniu. Przy opuszczaniu domu mamusia prosiła gestapowców, ażeby poczekali, aż tatuś przyjdzie od pracy.

Gestapowiec wyrzucił nas z mieszkania. Myślałem, że ten Niemiec ma serce z kamienia. Młodszy brat i ja płakałem. Jeden Niemiec miał miększe serce, chciał nam dać cukierków, myśmy sobie postanowili, że od takich szatanów nie weźniemy. Następnie zaprowadzili nas do autobusu koło teatru. W aucie było już więcej wysiedleńców. Stamtąd zawieźli nas do Główniej do baraków.

5

Teresa Hasińska

ur. 22. 9. 1931 w Poznaniu.

Obecnie: Poznań, Maleckiego 11, m. 12.

Uczennica III Szkoły Powszechnej. Kl. VIa.

...W końcu następuje pamiętny dzień 13 lutego 1940 roku. Dziś wyjątkowo jestem zdenerwowana, a to wszystko przez oczekiwanie i spoglądanie, czy już nie idą brutalni gestapowcy. Ze snu budzi mnie kołatanie i kopanie butami w drzwi naszego mieszkania. Rzucam wzrokiem na zegar ścienny: godzina 1,15. Po pięciu minutach gestapowcy wtargnęli do mieszkania. W ostrych słowach w języku niemieckim, słyszymy, że w piętnastu minutach mamy się wynieść do posterunku policji, skąd mamy się udać do obozu. I tak z wielu, wielu Polakami musieliśmy autem udać się z resztą dobytku do obozu w Główniej. Po miesięcznym czasie w ciężkich warunkach pobytu wywieziono nas do Sanoka...

Zbigniew Posieczek

ur. 4. 3. 1922 w Krotoszynie.

W czasie okupacji wysiedlony z Poznania, ul. Za Bramką 5a.

Obecnie: Poznań, ul. Za Bramką 5a.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. im. św. Marii Magdaleny w Poznaniu. Kl. II .lic.

...Dzień 9 listopada 1939 roku. Dzień dość pogodny, nie wróżący tego, co stało się. Wieczorem, gdy jestem z całą rodziną przy kolacji, nagle słyszymy nie dający się opisać łoskot dobijania się do bramy wejściowej. Struchleliśmy wszyscy. Wreszcie ktoś odważa się pójść otworzyć drzwi. Z krzykiem przepycha się przez nie hurma żołdaków niemieckich i kieruje się małymi grupkami do poszczególnych mieszkań. Wywóz!!! Dokąd, po co, nie wiemy. Do naszego mieszkania wpadło 7 umundurowanych drabów. Jeden z nich to leiter N. S. D. A. P., drugi to gestapowiec, reszta Schutzpolizei. „In fünfzehn Minuten raus“ — brzmi kateryczny rozkaz poparty bardziej przekonującym argumentem, to jest uderzeniami kolby karabinowej w podłogę. Wolno zabrać tylko ubranie, które posiadamy na sobie, i trochę żywności. Reszta jest „beschlagnahm“ na korzyść państwa. Meją małej dziesięcioletniej siostrze, chcącej zabrać poduszeczkę swą z łóżka, wyrwano ją z ręki i rzucono na ziemię. „Du polnischs Ferkel!“ — zyskuje na dodatek. Wszystko w nas burzy się, ale zacisnąwszy zęby, trzeba się powstrzymać! Zajeżdżają wreszcie autobusy, na które pakują nas. Jest ich rząd nieskończony. Mają one przecież wywieźć całą ulicę. Ulicą tą jest Za Bramką. Ona to jako pierwsza uległa ewakuacji. Była ona jakby ostrzeżeniem przed metodami, którymi w przyszłości posługiwać się będą „zwycięzcy“.

Po półgodzinnym kołowaniu po ulicach miasta wjeżdżamy na plac jakiś olbrzymi otoczony drutem kolczastym i zastawiony barakami. Jest zupełnie ciemno. Gdzie jesteśmy — na razie nie wiemy. Jak się po chwili okazuje, znajdujemy się na terenie dawniejszych magazynów wojskowych na Główniej^{*)}. Nieświadomość przyszłego losu nie nastawia nas zbyt optymistycznie,

^{*)} Przedmieście Poznania.

tym bardziej że po wyładowaniu z samochodów ustawiają nas, kobiety i mężczyzn osobno. Zaczyna mżyć deszcz. Robi się chłodno. Po godzinnym jeszcze postoju na deszczu kierują nas do baraku. Kobiety zajmują jeden, my — drugi. Legowisko cementowe pokryte cienką warstwą słomy. Wszyscy są zmęczeni, lecz nikt nie może usnąć. Pośród czterystu osób znajdujących się na sali panuje cisza. Czasem tylko głośniejsze westchnienie przerywa ten iście stypowy nastrój. Wszyscy zmęczeni, zziębnięci, apatycznym wzrokiem patrzą przed siebie. Ta niepewność wszystkich dobita.

Ranek nie przynosi odprężenia. Brak ciepłego napoju daje się we znaki. W południe dopiero jest kawa, ale tylko dla... dzieci. O ciepłej strawie ani słyszeć. „To będzie później“ — z ironicznym uśmiechem odpowiadają dozorcy. To później było mniej więcej za tydzień od chwili przyjazdu. Czym do tego czasu żyło się, nie mogę doprawdy powiedzieć. Mam wrażenie, że nikt nie mógł naprawdę jeść, więc te „zapasy“ zabrane z domu starczyły na uchronienie się od śmierci głodowej. Po tygodniu normuje się niby wszystko, to znaczy, że na głowę przypada dziennie $\frac{1}{4}$ l zupy i $\frac{1}{8}$ chleba kilowego. Po ponownym upływie tygodnia racja ta podwaja się i w tej ilości zostaje aż do chwili rozwiązania obozu. Menu obiadowe jest ściśle na cały czas trwania obozu ustanowione. Jeden dzień brukiew, na drugi kapuśniak, na trzeci krupnik z kaszy i znów od początku: brukiew, kapuśniak i kasza. Ułatwia to zarządowi obozu dostarczenie wszystkim regularnie „pożywnej strawy“ a nam obozowcom trawienie. Objawy biegunki są na porządku dziennym.

Muszę też zaznaczyć jeszcze, że od dnia 9. XI. stan liczebny „mieszkańców“ obozu stale wzrasta. Spotyka się dużo znajomych twarzy, następują przywitania i oprowadzanie po terenach obozu. My „weterani“ służymy objaśnieniami.

Między innymi spotkałem także w obozie moich byłych i częściowo obecnych pp. profesorów, jak p. prof. Węgrzynowicza, p. prof. Jakubisiaka, p. prof. Abgarowicza, p. prof. Marszałkiewicza i in. Jednym z najsłynniejszych baraków, wchodzących w skład „apartamentów“ mieszkalnych, był barak IV. Była to olbrzymich rozmiarów szopa, o długości przeszło

120 metrów, o szerokości przekraczającej 30 metrów i dwupiętrowej wysokości. Ściany stanowiły deski, miejscami nie przylegające do siebie. Zimą przy 40-stopniowym prawie mrozie trudno sobie wyobrazić spanie, a chociażby tylko siedzenie. Były wprawdzie cztery piece mające ogrzać to potwornie olbrzymie wnętrza baraku, kiedy przydział węgla na każdy piec wynosił aż półtora wiadra na dobę.

Najokropniejszymi chyba były transporty zimowe. Przywożono wtedy ludzi w godzinach wieczornych mniej więcej od 10. W oczekiwaniu na swą kolejkę do rejestracji biedacy ci czekali nieraz dość długo na dworze, nim wpuszczono ich do wnętrza. Jakie były skutki tego, nie trudno domyślić się. Grypa była chorobą powszechną. Jeszcze gorzej było w chwili narodzin lub zgonu. Biedna matka, wydająca na świat nowe życie, pozbawiona była pomocy lekarskiej. Zdana tylko na siebie lub pomoc dobrych ludzi. Nie zapomnę dnia, w którym na świat przyszedł bliźniaczki. O ile się nie mylę, było to w baraku II. Maleństwa te po narodzeniu wykąpano w ciepłej kawie, gdyż o zgrzanej wodzie nie było w ogóle mowy. Później zostały one też wraz z rodzicami wywiezione do G. G. Nastąpiło to w trzy tygodnie po narodzeniu. Co się dalej z nimi stało, nie wiem już. Poza drutami był już dla nas pozostających w obozie świat odcięty. Nie mieliśmy z nim żadnego kontaktu.

Przytoczę jeszcze jeden fakt wskazujący, jakie były „kulturalne” postępowania „Herrenvolku”. W baraku I w sali na pierwszym piętrze miałem za sąsiada pewnego staruszka. Mógł on mieć około 75 lat. Wskutek przeziębienia nabawił się on grypy i po dwóch dniach w nocy o godz. 2 zmarł. Zwłoki jego znajdowały się przez przeciąg 36 godzin jeszcze na wspólnej sali. Wreszcie „Lagerverwaltung” ulitowało się i pozwoliło łaskawie na przeniesienie zwłok w inne miejsce aż do chwili transportacji na cmentarz.

Komendantem obozu był początkowo „Sturmabannführer” Sauer. Za czasów jego „panowania” stosowano największe szyskany wobec nas, Polaków. Wyzwiska w rodzaju „polnischer Mist” albo „polnische Sau” były dodatkami do wszelkiego rodzaju przemów czy rozkazów. W dużej mierze komitetowi

polskiemu utworzonemu w obozie trzeba zawdzięczać, że warunki dość trudne nie stały się jeszcze gorszymi. Każdego w obozie obowiązywał przymus pracy. Trzeba było dbać o porządek wewnątrz, dostarczyć kuchni opału, sprzątać ustępy itp. Z najbardziej wzruszających momentów przeżytych w Głównej były gwiazdka i msze św. Na miejsce osławionego Sauera, który poszedł do Łodzi, komendantem został Sturmbannführer Schwarzhuber, rodem z Bawarii. Będąc katolikiem ustosunkował się do nas nieco lepiej. Pierwszym jego „dobrodziejstwem“ było pozwolenie na urządzenie wspólnego opłatka. Dzięki ofiarności społeczeństwa poznańskiego na tradycyjną wigilię zjawiono się pieczywo, nieco wędlin, a nawet jabłek i owoców innych. Przysłano nam także choinkę, która została dość pomysłowo ubrana; znalazły się świeczki, a przede wszystkim opłatek. Ze łzami w oczach łamaliśmy się nim życząc sobie nawzajem lepszego jutra. Po uroczystości łamania opłatkiem nastąpił podział darów i część „artystyczna“. Grono młodzieży przedstawiło „wesele krakowskie“ w imitacjach zresztą dość udanych stroi krakowskich, potem parę monologów, moc piosenek i kolęd. Trudno opisać nastrój panujący podczas trwania całej tej uroczystości. Był on poniosły, smutny trochę, ale nie pozbawiony wiary w lepsze jutro.

Do drugich równie wzruszających momentów należały msze św. Było ich razem pewnie osiem. Odbywały się one w owym słynnym baraku IV. Wykorzystaliśmy dużą ilość miejsca, bo na 4 tys. osób mniej więcej. Msze św. odprawiał ks. Helak. Z narażeniem swego życia wykonywał on swoje obowiązki duszpasterskie. Słuchał spowiedzi, przeprowadzał wspólne modlitwy, w końcu nawet komunikował. Mszału, wina, kielicha i komunikantów dostarczyła parafia w Głównej. Jaką one drogą się dostały do wnętrza obozu, to zostanie pewnie tajemnicą. Ołtarz, krzyż, świeczniki i inne drobiazgi wykonaliśmy sami w warsztacie obozowym. Jako dzwonka do mszy używaliśmy dawnego dzwonka alarmowego o dość okazałej wielkości. Proszę sobie wyobrazić odbywającą się we wnętrzu baraku mszę św., a na zewnątrz chodzących „cerberów“ niemieckich nie domyślających się niczego. Muszę zaznaczyć, że w mszy św. brała udział

cała ludność obozu bez wyjątku. Na zakończenie mszy św. po usunięciu mszału, świec itd. śpiewaliśmy pieśń: „Pójdź do Jezusa“. Stała się ona naszym hymnem obozowym. Pieśń ta śpiewana przez parutysięczny tłum głosiła daleko, że my tu nie wąpimy i ufamy miłosierdziu Bożemu. Jeśli chodzi o stan liczebny obozu, to był on rozmaity. Przeciętnie wynosił 3—4 tys. ludzi. Gdy wychodziły transporty do G. G., wolne miejsca zapelniano zaraz nowym nabytkiem. Ogółem od początku trwania, to jest 5 listopada 1939 r., aż do chwili rozwiązania obozu, tj. 22 maja 1940 r., przeszło przez niego około 40 tys. ludzi.

Do połowy marca 1940 roku wywożono tylko z Poznania, a od połowy marca aż do końca, tj. maja, przywożono do obozu i wywożono „mieszkańców prowincji“. Na rozkaz „Lagerverwaltung“ obowiązani byliśmy do gimnastyki porannej, a później do siatkówki. Podczas tych ćwiczeń robiono zdjęcia, by potem pokazać światu, jak „kulturalnie“ postępują Niemcy ze swymi wrogami. Tylko że były także i inne dowody tej „kultury“ i te na pewno nie zostały opublikowane, m. in. zdjęcia z odchodzących transportów, z rewizji osobistej, z rewizji paczek. Tego nie pokazało się. W czasie rewizji osobistych wszelkie kosztowności, jak biżuteria, srebrne etui, cygarniczki, zegarki, ulegały konfiskacie. Osobnika, wyglądającego podejrzanie przeprowadzającym rewizję oprawcom, rozbierano do naga bez względu na płeć!

Na temat tych metod mógłby dużo powiedzieć dziś już nieżyjący b. prezydent miasta Poznania Cyryl Ratajski. On też przez pewien czas przebywał w obozie, wybitnie szykanowany przez Niemców.

Jednym przykładem takich szykan był zwyczaj kłaniania się wszystkim Niemcom przechodzącym przez obóz. Jeżeli nie zdjęło się przed nimi nakrycia głowy, zostawialiśmy obrzuceni stekiem wyzwisk popartych dosadniejszym argumentem, tj. uderzeniami, czy zrzuceniem kapelusza w najlepszym razie. Raz też komendant obozu zainterpelował prezydenta Ratajskiego, czemu nie kłania się. Ten odpowiedział, że nie zna jeszcze tych obowiązujących przepisów. Wśród gradu wymysłów powiedziano mu, by zdarzyło się to ostatni raz. Następnym razem

przed przechodzącym komendantem prezydent Ratajski z wielką czołobitnością zdejmuje kapelusz i mówi: „Panie Boże, odpuść im, bo nie wiedzą, co czynią“. Wśród takich warunków garstka nas, należących do tego szumnego polskiego komitetu, przetrwała do końca maja. W dniu 22 maja 1940 roku po rozwiązaniu całkowitym obozu zostaliśmy zwolnieni i wypuszczeni na wolność. Po 8-miesięcznym prawie więzieniu wróciliśmy znów do Poznania. Przydzielono nam tu mieszkanie, ale już z dala od naszych poprzednich przedwojennych siedzib...

7

Teresa Górską

ur. 20. 4. 1930 w Kaliszu.

Wysiedlona z Blizanowa, pow. Kalisz, do G. G.

Obecnie: Kalisz, ul. Poznańska 2.

Uczennica Państw. Gimn. i Lic. w Kaliszu. Kl. II gimn.

Noc ostatniego października 1940 r. była nocą okropną. Mieszkaliśmy w Blizanowie. Ojciec mój był w niewoli. W tę pamiętną noc październikową padał deszcz wraz ze śniegiem. Poszliśmy spać wcześniej. Około północy usłyszeliśmy pukanie w okno. Był to umówiony znak, że coś złego się dzieje. Mamusia nasza wstała z łóżka, aby zobaczyć, co to jest. Ponieważ noc była ciemna, nic nie ujrzała, tylko gdzieś daleko było słychać jakieś głosy i szczekanie pobudzonych psów. Naraz jak trzęsienie ziemi, walenie do naszych drzwi połączone z przekleństwami. Ciocia nasza otworzyła i ujrzała dwóch Niemców, jednego żandarma i jednego esesowca. Zdażywszy tylko krzyknąć: „Niemcy!“ — padła pchnięta przez jednego z żandarmów. W złowrogiej ciszy, w której było słychać tylko trwożne bicie serc naszych, zagrzmiął głos Niemca: „Za 10 minut macie być gotowi“. Mamusia nasza z przelęknienia, a może i z rozpaczyny dostała ataku serca. Wtedy ręce nam wszystkim opadły, nie wiedzieliśmy, co mamy robić. Ciocia, która z nas wszystkich zachowała jeszcze zimną krew, zaczęła ratować mamusię, która po odzyskaniu przytomności kazała nam co najlepszego kłaść na siebie. Za chwilę weszły dwie Niemki i nie pozwoliły nic zabrać.

Ściągnęły ze mnie futerko, a z brata kożuszek i poodbierały nam wszystkie wartościowsze rzeczy.

Jeden z żandarmów rozłożył szynkę i bułki, począwszy jeść z apetytem. Braciszek mój, dwuletni Antoś, prosił jeść. Lecz to jakby jeszcze więcej pobudzało apetyt Niemca. Ciocia napaliła ogień, chcąc zagotować mleka. Żandarm uderzył ją w twarz i rzekł: „Wy, polskie świnię, pozdychajcie z głodu“. Wypędzili nas z domu bez niczego. Sąsiadka, staruszka, wyniosła nam paczkę mówiąc: „Proszę to wziąć dla dzieci“. Była to jej pierzyna, bo naszej nie pozwolili zabrać.

Wyszliśmy na szosę, za nami dwóch żandarmów. Oczom naszym ukazał się okropny widok. Na przestrzeni 2 kilometrów wóz za wozem i ludzie z paczkami otoczeni jak zbrodniarze żandarmami, z karabinami gotowymi do strzału. Niemcy, którzy prowadzili nas, zatrzymali jeden z wozów i kazali nam sięść na niego.

Zawieźli nas na plac, na którym było pełno błota. Ustawiali, liczyli i zapisywali. Przy tej czynności żandarmi bili ludzi kolbami, którzy upadali w śnieg pomieszany z błotem, a oni deptali ich nogami. Jeden staruszek błagał ich, by pozwolili mu tu pozostać, aby umarł na swojej ziemi. Został uderzony kolbą w głowę, po chwili zachwiał się i upadł, brocząc krwią — został na swojej ziemi. Dzieci były wydzierane z rąk rodziców i rzucone w błoto, z którego wyciągano już tylko trupki. Mój dwuletni braciszek objął mamusię za szyję rączkami, krzycząc: „Mamo, nie daj mnie, nie daj!“ Ja trzymałam go z całych sił i wołałam: „Boże, ratuj go!“ Żandarm, widząc to, uderzył mnie i odszedł.

Wozami zawieziono nas do Kalisza. Tu wyładowano nas na Poznańskiej w obozie, gdzie było już bardzo dużo ludzi i robactwa. Nie można było wytrzymać. Byliśmy tam trzy dni. — Ludzie, Polacy, podawali nam jedzenie, za które byli bici, lecz oni nie zważali na to i pomagali nam. Po trzech dniach zapakowano nas w pociąg, w którym nie było okien ani żadnych otworów. Słabsi poumierali, dzieci podusiły się. Tak dojechaliśmy do Warszawy. Potem zemdlalam, ponieważ brak było powietrza. Gdy odzyskałam przytomność, byliśmy na powietrzu.

Był duży mróz. Mamusia powiedziała mi, że jesteśmy w Mińsku Mazowieckim. Po chwili przyjechała duża ilość wozów z gospodarzami, którzy zabierali nas do siebie. Tam przyjęli nas serdecznie i współczuli naszej niedoli...

8

Jan Węgrzyn

ur. 8. 2. 1926 w Kaliszu.

Wysiedlony z Kalisza do G. G.

Obecnie: Kalisz, ul. Staszica 19.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. w Kaliszu. Kl. I lic.

...W przedpokoju dudnią ciężkie kroki. Słysząc głośnie rozmowę w języku niemieckim. Tak, nie mam już najmniejszej wątpliwości: rozpoczyna się wysiedlanie. To, czego obawialiśmy się wszyscy i spodziewali od dawna, co wisiało nad nami groźne i nieuchwytnie jak przeznaczenie, miało stać się rzeczywistością.

Do pokoju wchodzi mama, mówi coś szybko, usiłuje mi coś tłumaczyć, ale ja i tak wszystko rozumiem.

Ubieram się pośpiesznie i przechodzę do przyległego pokoju. W jaśniejszym kręgu lampy stoi żandarm niemiecki i dwu partyjników w mundurach SA. Karabiny gotowe do strzału. Jeden z nich wyjmuje z torby jakiś papier i czyta go na głos. Nie wszystko rozumiem, bo mówię słabo po niemiecku, lecz jedno jest dla mnie jasne: mamy natychmiast opuścić mieszkanie.

Ojciec stoi obok i z kamiennym spokojem słucha rozporządzenia. Nie mówi ani słowa, na twarzy jego nie drgnął ani jeden mięsień. Patrząc na niego z podziwem i jestem dumny, że mam takiego ojca. Mimo woli przychodzi mi na myśl, że gdy już będę dorosłym mężczyzną, to chciałbym mieć tak zimną krew. Na razie jednak mam dopiero lat 13 i drzę z podniecenia.

Żandarm skończył i schował papier na powrót do torby. Niemcy są trochę zaskoczeni spokojem ojca. Na twarzach ich maluje się zakłopotanie. Spodziewali się pewnie wybuchu rozpacz, albo może, iż będziemy ich błagać o łaskę. O, jakże nas Polaków jeszcze mało znają te zwierzęta w ludzkiej skórze,

uznający tylko brutalną siłę, dla których godność osobista i wszelki ideał moralny są tylko gołosłownym frazesem.

Mama pakuje najpotrzebniejsze rzeczy do walizki. Próbuje jej w tym pomóc, ale nie wiele można zabrać, bo Niemcy naglą do wyjścia. W końcu jeden z nich zniecierpliwiony wyrywa jej z rąk walizkę i cisnąwszy w kąt, wypycha mamę brutalnie na korytarz. Zaciskam pięści i przygryzam wargi do krwi, żeby nie wybuchnąć.

Bierzemy uprzednio przygotowane bagaże i wychodzimy na ulicę. Jest jeszcze zupełnie ciemno. Idziemy w milczeniu, po bokach i z tyłu zbrojna eskorta. Mam chęć się obejrzeć i spojrzeć po raz ostatni w stronę naszego domku. Powstrzymuję się jednak. Nie czuję zresztą specjalnego żalu. Jestem chyba jeszcze za młody, by odczuć cały tragizm obecnej sytuacji. Spoglądam na rodziców i współczuję im w tej chwili. Oni przecież tak ciężko na to pracowali, by móc ten domek wybudować.

Żandarm, człowiek starszy, w którego sercu nie wygasła jeszcze ostatnia isierka człowieczeństwa, wstydząc się zapewne postępu towarzysza, proponuje nieśmiało mamie, że poniesie jej bagaż. Protestuję na to: nie, nie trzeba nam łaski, sami sobie damy radę. Odbieram sam z rąk mamy walizkę i niosę obie, choć mi już ręce omdlewają i muszę co pewien czas przystawać, aby trochę odpocząć. W ten sposób wlecemy się przez uśpione miasto w stronę hal targowych, gdzie ma być punkt zborny. W miarę zbliżania się do celu spotykamy coraz to częściej grupki ludzi, których prowadzą żandarmi, partyjnicy (SA) czy policja pomocnicza, złożona z Volksdeutschów (Hilfspolizei). Wszyscy zdążają w jednym kierunku: to rodziny wysiedlone podobnie jak my, przyszli towarzysze niedoli.

Widok ten działa na mnie uspokajająco; nie nas jednych to spotkało. Może to nawet i lepiej, że się tak stało, bo przynajmniej skończyła się raz ta niepewność.

W halach dużo zmierzwionej słomy, gwar głośnych rozmów i oślepiające światło lamp łukowych. Lokujemy się w jakimś

wolnym jeszcze kącie i siadamy na swoich bagażach. O spaniu nie może być nawet mowy. Spostrzegam paru znajomych i kolegów.

Niektórzy biorą rzecz całą na wesoło, śmieją się, żartują i grają na organkach. Podziwiam tych ludzi. Ja nie mógłbym się na to zdobyć. Na ogół jednak nastrój jest przygnębiający. Jest nas tu około półtora tysiąca.

Koło południa mama wyciąga zapasy żywności i zachęca nas do jedzenia. Nie mogę jednak jeść, po prostu wszystko staje mi w gardle. Jestem zupełnie wyczerpany, z trudnością tylko mogę skupić myśli.

Nad wieczorem pada rozkaz do wymarszu. Ustawiamy się w szeregi, otoczeni ze wszystkich stron przez żandarmów z bagnetami na karabinach, trzymanymi w pogotowiu. Ciągniemy przez miasto, krocząc bocznymi uliczkami, w stronę dworca kolejowego.

— Wstydzą się, kanalie, prowadzić nas przez główne ulice — syczy przez zęby jakiś mężczyzna idący obok mnie.

Mijamy ulicę, gdzie mieszkaliśmy dotychczas. Mama wybuchła spazmatycznym płaczem.

— Niech mama nie płacz, my i tak tu jeszcze wrócimy — próbuję ją uspokoić, choć sam nie bardzo wierzę w to, co mówię.

Na stacji towarowej, daleko za dworcem osobowym, pakuja nas do pociągu, składającego się na połę z towarowych, na połę z osobowych wagonów. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności udało się nam zająć miejsce w wagonie osobowym. Rozkładamy się jak kto może najwygodniej i czekamy, co będzie dalej. Jestem tak zmęczony, że już po chwili zapadam w sen, a raczej w jakieś gorączkowe odrętwienie, z którego budzi mnie dopiero silny wstrząs — to pociąg rusza.

Jest już zupełnie ciemno. Lokomotywa sapie astmatycznie i bucha kłębamiskier. W oddali mającą jeszcze kontury miasta. Rzucam w tamtą stronę ostatnie spojrzenie i odwracam się powoli.

Pociąg pędzi coraz szybciej.

Julia Nowakówna

ur. 29. 1. 1926 w Niecieczy, pow. Dąbrowa, woj. krakowskie.

Podczas okupacji przebywała w Niecieczy.

Obecnie: Kaziopole, pow. Oborniki.

Uczennica Państw. Lic. i Ginn. im. Przemysława w Rogoźnie Wlkp. Kl. III gimn.

...Przez cały rok pracowaliśmy na swym gospodarstwie pod ciągłą kontrolą niemiecką, grozą wysiedlenia i wywozu do Niemiec. Aż 15 września 1940 r. o godzinie 5 rano, gdy pogrążeni byliśmy w śnie najlepszym, ostre dobijanie się do drzwi zbudziło nas natychmiast. Była to żandarmeria niemiecka, która po odczytaniu aktu wysiedlenia rozkazała nam szybko się ubierać, a nie pozwalając nam nic zabierać oprócz kilku drobiazgów i żywności, odwiozła nas do punktu zbornego. Dalszy nasz transport odbywał się w przepełnionych wagonach, gdzie ludność, zwłaszcza dzieci, z powodu ciepłych dni jesiennych, cierpiała wielkie pragnienie. Lecz oto nasi mali rodacy choć w części pragną nam ulżyć i na każdym postoju transportu gromada chłopców i dziewczynek uwija się, nosząc na wycigi wodę w butelkach, którą zaspokajamy swoje pragnienie.

Około północy transport zatrzymuje się i wysiadamy w Łodzi. Po sformowaniu wszystkich w długi milczący pochód, otoczony konwojem, poprowadzono nas ulicami śpiącej Łodzi. W ciemnościach nocnych bruk na ulicach Łodzi wydawał się tak nierównym, pełnym mniejszych i większych dołów, że co chwilę jakieś dziecko, czy staruszek przewracał się, upadał, kalecząc się przy tym. Jakże ponętnie wyglądały równe chodniki, lecz biada temu, kto się tam iść odważył — kolba karabinu hitlerowca zbierała wówczas swe obfite żniwo.

Wspierając i pomagając sobie wzajemnie, doszliśmy do dużego budynku, jak się później okazało, pustego wnętrza fabryki. Tam niektórzy, pomęczeni, kładąc się na kamiennej posadzce zasnęli. Na drugi dzień rano, wywoływani grupami, zostaliśmy odprowadzeni dalej w centrum Łodzi do ogromnego budynku. Tam to po uprzednim rozdzieleniu mężczyzn i kobiet przez potężnego grubasa, który nie żałował sobie i okładał grubą lachą każdego, kto mu się niebacznym pod rękę nawinał, zostawaliśmy

grupami wpuszczani do specjalnych mieszkań, wraz ze swymi bagażami.

Zaraz przy wejściu oznajmiono wszystkim ostrym głosem, by oddać wszystką biżuterię, pieniądze i wszelkie papiery wartościowe. Następnie, niby stado zgłodniałych wilków, rzuciły się oprawczyźnie, nie zasługujące na miano kobiet i w dodatku władające mową polską, na całe mienie tych ludzi nic już nie posiadających oprócz tych kilku pakunków. Przy przeprowadzaniu rewizji nikły bardziej wartościowe rzeczy, a biada temu, u kogo znaleziono nie oddane pieniądze. Wówczas dyscyplina świszczała w powietrzu, spadając na głowę i plecy nieszczęśliwej ofiary, bez względu, czy to była staruszka, czy dziecko. Po wyjściu z owego „czyśćca“ młodzież zdolną do pracy oddzielano celem wywozu na roboty do Niemiec. Szlochy i płacz matek, żegnających swe dzieci, mieszał się z płaczem niemowląt, które również skazane były na znoszenie ciężkiej doli.

Po odwiezieniu nas do Konstantynowa za Łodzią zostaliśmy umieszczeni w dużym budynku fabrycznym. Grupami według wyznaczonych miejsc każdy zajmował część słomy barłożnej, a przemęczony rzucał się, by wypocząć, nie zważając na gniazda pcheł, które w wielkich podskokach rzucały się na swą ofiarę. Ciężkie życie obozowe pogarszał terror komendanta obozu, który za najmniejsze przewinienie, jak obserwowanie ulicy przez okno, bił bez miłosierdzia, nie szczędził również i dzieci. Co kilka dni po większych łapankach do Niemiec przywozili po kilkunastu schwytanych, niejednokrotnie zupełnie nie ubranych, boso, którzy drżeli z zimna w późne dni jesienne. Młodzież, nie mogąc znieść tego wszystkiego, myślała tylko o ucieczce. Niebawem dwóm młodym kawalerom udało się zbiec, nie zauważonym przez nikogo, ale niedługo schwytani przez żandarmerię dostawieni z powrotem zostali tak okropnie skatowani przez oprawców niemieckich, że w nabrzmiałych i zsiniaconych twarzach nie można było rozeznąć dawnych ich rysów. Jedynym człowiekiem, który podtrzymywał na duchu upadłą ludność, był stary, pocziwy kucharz, który już niejednen transport wysiedleńców powitał i pożegnał. Poznawszy go bliżej, dowiedziałam się o wielkiej szlachetności tego człowieka,

prawdziwego Polaka. Pracując w ciężkich warunkach, starał się wszelkimi możliwymi sposobami o uzyskanie potrzebnej ilości produktów, by chociaż tą zupą obozową nakarmić około 2000 ludzi. Patrząc na cierpienia ludu, układał wiersze i obdarowywał nimi swoich zaufanych przy każdym wyjeździe transportu. W dniu 11 listopada 1940 r. zebraliśmy się cichaczem, gdy cała sala ułożyła się do snu, w izdebce kucharza, by uczcić uroczystość naszego święta narodowego. Po wysłuchaniu gorących patriotycznych wierszy i mów wyciskających łzy z oczu i po złożeniu sobie życzeń lepszej przyszłości, by móc znowu obchodzić dzień niepodległości, rozeszliśmy się przez nikogo nie zauważeni.

Rozpacz nasza nie miała granic, gdy nazajutrz po przeprowadzeniu rewizji w pokoju kucharza wyniesiono cały plik papierów, a samego kucharza, zakutego w kajdany, uprowadzono i rozstrzelano.

Po dwumiesięcznym pobycie w obozie, późną nocą, kiedy straszny wichur wył i siekł ostrym deszczem, wypędzono wszystkich na podwórze obozowe, skąd grupami umieszczali w wagonach tramwajowych. Żałosny płacz zziębniętych dzieci długo rozlegał się w ciszy nocnej. Z Łodzi na dworzec kolejowy podążaliśmy pieszo, brodząc wśród ciemności w błocie i wodzie po kolana. Stojąc przez 8 godzin na dworcu towarowym otulamy i opiekujemy się młodszymi, którzy szczekają z zimna zębami. Wieczorem wyruszamy osobowymi, lecz nieopalanymi wagonami do Chełmu, gdzie zostaliśmy ulokowani w dużym bloku „Dyrekcji Kolejowej“, zamienionym na obóz. Przez dwa tygodnie używaliśmy wywczasów na barłóżnej słomie, obfitującej w większą ilość wszy, karmieni codziennie kaszą, tak że utarło się powiedzenie wypisane na ścianach obozu: „Dzisiaj kasza, jutro kasza, a pojutrze Polska nasza“. ...Obsługa dodawała takiego apetytu, że najbardziej głodny nie ruszał tych smacznych potraw.

Po dwutygodniowym pobycie poczęto mniejszymi grupami rozsyłać ludność na poszczególne powiaty. Grupa nasza, wysłana na Zamość, przybyła tam w mroźną noc grudniową. Szczekając z zimna, zostaliśmy przyjęci do kościoła na wypo-

czynek i ogrzanie się. Niejedni przemęczeni kładli się na ławkach, próbując zasnąć, co jednak przy zbyt wielkim zimnie było niemożliwością. Niedługo jednak Czerwony Krzyż rozpoczął swą działalność, zabierając starców i dzieci, by ich nakarmić i ogrzać. Przez dwa dni opiekował się Czerwony Krzyż jak czuła matka, robiąc wszystko, by choć w części ulżyć ciężkiej naszej doli...

W GENERALNEJ GUBERNI

V

1121-15

Zbigniew Marszał

ur. 26. 8. 1923 w Obornikach.

Podczas okupacji przebywał w Rzeszy i w Szydłowcu (woj. kieleckie).

Obecnie: Rogoźno Wlkp.

Uczeń Państw. Lic. i Gimn. im. Przemysława w Rogoźnie Wlkp. Kl. II gim.

...Niedługo po moim powrocie*) zachorowała ciężko mamusia. Po dwóch miesiącach cierpienie zabrała mi ją śmierć nieubłagana. Ten los straszny spadł na mnie nieoczekiwanie i nie mogłem się otrząsnąć z tego przykrego wrażenia. Dopiero kiedy wieko trumny zamknęło się, uprzytomniłem sobie całą grozę położenia, w jakim znalazłem się wraz z ojcem. Głęboko odczuliśmy tę stratę na wysiedleniu.

W krótkim czasie zostałem zawezwany w szeregi hufców pracy (Baudienst). I znowu dostałem się w ręce dręczycieli. Pracowaliśmy z łopatą przy budowie nasypów kolejowych. Ponad wszystko górowały cienkie niemieckie zupki, potem kawa z osadem i kawałek chleba. Jak żywność, tak i mieszkanie było pożałowania godne. Nic dziwnego że siły nasze wyczerpywały się, a tu trzeba było nosić ciężkie szyny. Rygor panował tam bardzo ostry.

Razu pewnego wróciliśmy z opóźnieniem z urlopu, za co nas srodze ukarano przez wsadzenie do „bunkra“ na dwa dni. Była to izdebka wielkości 4 m². 40 chłopców staliśmy jeden przy drugim po kostki w wodzie, a było to zimową porą. Usiąść, ani położyć się nie było można, jedynie spocząć na klęczkach. Chociaż trwało to tylko dwa dni, nam jednak wiekiem się wydawało. W tym czasie dostałem wiadomość o chorobie mego ojca. Był to nowy cios dla mnie.

*) z Rzeszy.

Wystarawszy się o urlop wyjechałem do domu. Okropne warunki mieszkaniowe przyczyniły się do tej choroby. Mieliśmy bowiem małą izdebkę, a całe umeblowanie składało się z dwóch krzesel i małego piecyka. Do tego doszedł brak opieki lekarskiej jak i kobiecej. Bardzo trudno było o lekarstwa i zastrzyki. Nic nie zdołało ojca utrzymać przy życiu. Odszedł ode mnie w chwili, kiedy był najwięcej potrzebny. Wierzyłem, że jakieś fatum zawładnęło naszą rodziną. Ten drugi cios uderzył we mnie jak piorun.

Zostałem sam. Teraz dopiero rozpoczęły się dla mnie ciężkie dni sieroctwa. Nie było komu się o mnie starać i dodawać otuchy do wytrwania. Wróciłem do pracy junackiej załamany i zrezygnowany, by swoją przepisową roczną służbę odbyć. Skończywszy takową, wróciłem do domu, gdzie pracowałem w owocarni sam na siebie.

W tym czasie rozpoczęły się niepowodzenia Niemców. Wobec czego poczęli się do nas srodzej odnosić i pewnego dnia młodzież, podejrzaną o niesprzyjanie im, zamknięto we więzieniu w Radomiu i mnie między innymi. Okropne chwile przeżyte w rękach Gestapo pozostaną na zawsze w pamięci. Badania i chłosta przy tym były okropne. Ale ani jeden nie pisknął słowem i wszystko trzymaliśmy w tajemnicy mimo ciężkich tortur. Trwało to tak dwa miesiące.

Tymczasem wojska radzieckie szły niosąc okrutnym Niemcom zagładę. Na nas wszystkich zapadł wyrok śmierci, życie zawdzięczamy tylko temu, że wojska radzieckie niespodzianie zajęły miasto i nas uwolniły. Dwie godziny później bylibyśmy już zamurowani, jak to z częścią więźniów już zrobiono.

Po oswobodzeniu odpocząłem i ruszyłem w strony rodzinne. Domu już nie miałem, udałem się do Rogoźna do stryjostwa, gdzie mnie ciocia z kuzynami radośnie powitała, i razem oczekiwaliśmy na przyjazd mego stryja, który 5 lat był na robotach w Niemczech. Ciężkie krzywdy i przejścia moralne z powodu straty śp. rodziców osłodził widok wolnej Ojczyzny.

Marian Dąbrowski

ur. 20. 1. 1929 w Rogoźnie Wlkp.

Podczas okupacji wysiedlony do Sokołowa Podlaskiego, później wywieziony do Rzeszy (Szprotawy, później Wschowy).

Obecnie: Rogoźno Wlkp., ul. Czarnkowska 36.

Uczeń Państw. Lic. i Gimn. im. Przemysława w Rogoźnie Wlkp. Kl. Ib

...Już przy końcu 1942 roku zapoznałem się z partyzantami, którzy się mną posługiwali jako gońcem, gdyż na tak młodego nigdy nie padnie podejrzenie, aby był w zмовie i porozumieniu z tak niebezpiecznym dla okupanta żywiołem. Otóż wówczas kwaterowała w Domu Żołnierza*) niemiecka żandarmeria polowa wraz z oficerami. Jednemu z oficerów ukradłem rewolwer. Rewolwer ten, ukrywając pod kożuchem, przeniosłem szczęśliwie przez wartownię i w mieście oddałem go w dobre ręce.

W dwie godziny potem przychodzi żandarmeria z Gestapem i robią rewizję w domu, która oczywiście była bezskuteczna. Po doskonałej rewizji każą mi się ubierać i iść z nimi. Ja zarzuciłem kożuch na siebie i poszedłem za nimi. Zaprowadzili mnie do więzienia i tam przystąpili do śledztwa, w toku którego zapoznałem się bliżej z pięściami oprawców i ich kolbami karabinowymi. Ja im na wszystkie pytania powiadałem swoje: „Nic nie wiem“. I tak przeszły trzy tygodnie. A więc co dzień na rano śledztwo i bicie, co zajęło dwie do dwóch i pół godzin czasu. W celi, w której ja siedziałem, było oprócz mnie kilku innych nieszczęśliwców, którzy mieli ręce połamane i paznokcie pozdzierane. Mówili, iż sam komendant raczył się nad nimi tak znęcać. Co trzeci dzień wypędzano nas na dziedziniec więzienny i poleciwszy rozebrać się, a było wtedy 3 stopnie poniżej zera, puszczali na nas zimny prysznic. Gdy kilku zachorowało, powiedzieli, wzruszając ramionami: „Niech zdychają. Inni będą mieli więcej żarcia i miejsca“. Przez te trzy tygodnie wielu z naszej celi wyprowadzono i już więcej nie powrócili. Było tylko słychać huk wystrzałów i po jakimś czasie powrócili gestapowcy, ale już bez więźniów.

*) W Sokołowie Podlaskim.

Po trzech tygodniach oddano mi moje rzeczy i powiedziano mi na odchodnym: „O tym, coś tu słyszał, coś widział i co z tobą robiono, nie wolno ci nikomu mówić, gdyż jak się o tym dowiemy, to będzie z tobą to samo, co z innymi.“

Po wyjściu za bramę ogarnęło mnie uczucie radości. Byłem na wolności. Mieszkanie nasze znajdowało się jakieś 300 metrów od więzienia. Na przebycie tego kawałka drogi potrzebowałem półtorej godziny, tak byłem osłabiony i zbity. Po powrocie z więzienia ciężko chorowałem przez przeciąg jednego miesiąca. Wkrótce po wyzdrowieniu dostałem kartę, abym się stawiał do Urzędu Pracy. Stamtąd wysłano mnie do punktu zbiorowego w Siedlcach, a z Siedlec wysłano nas transportem do Warszawy, do tzw. „obozu przejściowego“ przy ul. Skaryszewskiej, mieszczącego się w dawnym gimnazjum.

Po dziesięciu dniach wysłano nas do Niemiec. Ja dostałem się do Szprotawy (po niemiecku Sprottau) na Dolnym Śląsku, do ogrodnika. Szef mój był Niemcem i „hitlerowcem“ w całym tego słowa znaczeniu. Raz zaproponował mi, abym podpisał „Volksliste“. Ja mu w odpowiedzi na to powiedziałem, aby on przyjął polską narodowość. Czuł się obrażonym i powiedział mi, iż nigdy w życiu tego nie robi, gdyż jest Niemcem z krwi i kości. Odpowiedziałem mu na to, że dlatego iż jestem Polakiem, nie mogę być Niemcem. Dogryzło mu to do żywego i zameldował mnie w „Parteikreisleitung“; za obrazę państwa musiałem zapłacić 500 marek kary.

W miesiącu wrześniu musiałem kopać wraz z innymi okopy pod Głogowem, a w październiku wywieźli mnie do Wschowy, do cukrowni. Tam za bardzo marną zapłatą (dostawałem 12 marek miesięcznie) i za bardzo marnym pożywieniem musiałem pracować 12 godzin dziennie bez przerwy. Ja pracowałem przy wypalaniu wapna, wśród okropnego kurzu, bez żadnej maski i okularów, bo tych, jak nas majster objaśnił, cukrownia nie posiadała. I jeszcze tak półgębkiem dodał, iż te kilka sztuk, które są na składzie, są „nur für Deutsche“. A więc ty, Polaku, umieraj, bo nie należysz do „herrenvolku“. Kilku Francuzów straciło tam swój wzrok, a inni zapadli na gruźlicę, lecz ja to wszystko przetrzymałem.

W grudniu odesłano nas do naszych dawnych pracodawców, a raczej tyranów. Przepracowałem u ogrodnika aż do lutego 1945 r. Wtedy nastąpiło oswobodzenie przez Armię Czerwoną.

Dnia 9 lutego ogłoszono ewakuację miasta i wszyscy musieli uchodzić. Ja miałem jechać z rodziną mojego szefa końmi. Ale że walki się toczyły o 12 km od miasta, ukryłem się w piwnicy w nagromadzonych tam kartoflach. Szukano mnie i wołano, lecz ja się nie odzywałem. Wobec tego pojechali beze mnie. Wychodzić z ukrycia nie mogłem, gdyż „esesowcy“ zabiliby mnie. Po dwu dniach głodówki wyszedłem. Miasto było w rękach czerwonoarmistów.

Po kilku dniach udałem się w powrotną drogę. Przyjechali bowiem z Polski chłopci z podwodami, którzy mnie chętnie ze sobą zabrali. Tak dojechałem do Kochlau po tej stronie Odry. Ponieważ szły już stąd pociągi do Polski, podziękowałem uprzejmym chłopom i dalej jechałem pociągiem. Tak dojechałem aż do Krotoszyna. Z Krotoszyna do Poznania pociągi jeszcze nie szły, więc wstąpiłem w szeregi Milicji Obywatelskiej. Byłem tam około dwóch miesięcy. Po uruchomieniu pociągów zwolniłem się z Milicji i tak po latach tułaczki wróciłem z powrotem do mego miasta rodzinnego, gdzie zastałem rodziców, którzy już wrócili z wygnania. I teraz, opisując to wszystko, groza mnie jeszcze przejmuje na wspomnienie wyrządzonych nam przez Niemców krzywd w czasie pięcioletniej okupacji.

3

Janusz Kaźmierczak

ur. 2. 6. 1925 w Pobiedziskach, pow. Poznań.

Wysiedlony 10. 12. 1939 do Włoszczowej, pow. Jędrzejów.

Obecnie: Chodzież, Rynek 10.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. im. św. Barbary w Chodzieży. Kl. III gimn.

...Z czasów okupacji utkwił mi głęboko w pamięci pewien wypadek, jaki zdarzył się we Włoszczowie dnia 9. 8. 1943 r. Dzień ten znany jest tam odtąd pod nazwą „krwawej niedzieli“.

Jadłem właśnie kolację, kiedy usłyszałem pierwsze strzały, a wkrótce po nich ujrzałem ukradkiem z okna, do którego

w międzyczasie podbiegłem, jak szli oni prowadzeni przez żandarmów. Było ich trzech, a między nimi mój znajomy Friske. Szli skuci, niczym zbrodniarze. Jeden z nich, niejaki Kościelny, miał zranioną rękę, po której ściekała kroplami krew. Wtem padła komenda „Halt“ i smutna grupka stanęła. Wyteżyłem słuch. Po rozkazie zatrzymania się zdawało mi się, że eskortujący kazali prowadzonym uciekać szybko przed siebie. Radość błysnęła na twarzach nieszczęśliwych chłopców. Porwali się i biegiem minęli nasz dom. Nie zniknęli mi jeszcze z oczu, gdy wtem usłyszałem krótką serię puszczoną z r. k. m. Widzę przerywaną, ognistą linię strzałów; widzę, jak jeden z uciekających potyka się i pada, trzepocąc rękami, a za nim drugi. Trzeci jeszcze biegnie, lecz i on wali się na ziemię, jak podcięte drzewo, kawałek dalej. Tymczasem dwaj pierwsi podnoszą się, wstają, toż samo czyni trzeci. Nie dali jeszcze dwóch kroków, gdy nowa salwa powala ich znów na ziemię. Tym razem nie mają sił się podnieść. Tylko Friske wstaje wolno i kulejąc biegnie, brocząc obficie krwią, ale trwa to niedługo — osłabiony pada na kolana. Składa ręce i wznosząc je do góry woła: „Boże, Boże! O matko, droga moja matko!“

Bandyta niemiecki podbiega, kopie go, powala na ziemię i strzela... w brzuch raz... drugi. Inni żandarmi dobili dwóch pozostałych, jeżeli nie uderzeniami kolb, to dwukrotnymi strzałami w głowę. Kilka nerwowych ruchów ciał w agonii i już leżą na środku ulicy przed moimi oczyma trzy trupy.

Po godzinie zajechały wozy, wystraszeni ich właściciele załadowali ciała martwych bohaterów i odjechali.

Wypadek ten wywarł na mnie straszne wrażenie, wywołując u mnie na jakiś czas dziwną apatię.

Co było powodem tej „czystki“ dokonanej przez żandarmów wśród spokojnej ludności?

Otóż zabito w terenie jakiegoś SS-mana, wywołując tym u Niemców chęć okrutnej zemsty.

W dniu owym zabito nie tylko tych trzech, lecz około 32 ludzi. Zakopano ich w polu, ubijając starannie ziemię, by nie było śladu o nowym bestialstwie „gestapo“.

Stefan Holzhausen

ur. 4. 10. 1926 w Lubomlu (Wołyń).

W czasie okupacji mieszkał w Włoszczowie, pow. Jędrzejów.

Obecnie: Szamotuły, Rynek 41.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. im. ks. P. Skargi. Kl. III.

*)...Boczną uliczką szedł do miasta jakiś odświętnie ubrany chłop, pewnie z kościoła, gdyż nie widząc nikogo przyśpieszał co chwilę kroku. Wyszedłszy na główną ulicę, ujrzał grupę żandarmów. Krok jego, dotychczas spokojny, załamał się i widać było, że chętnie byłby dał drapaka w tył. Wiedział jednak, że równałoby się to śmierci. Okrzyk „Halt!” przykuł go do miejsca. Jeden z żandarmów zrewidował go, a następnie ryknął: „Nach Hause, prenko!”. Chłop zaczął się cofać tyłem, spoglądając jak urzeczony na żandarmów. Drugi okrzyk zmusił go do półobrotu. Jednakże i teraz jeszcze spoglądał na Niemców. Rozwścieczony żandarm zerwał karabin z ramienia i strzelił. Chłop zachwiał się, lecz biegł dalej. Był już blisko zakrętu, gdy drugi strzał położył go trupem. Równocześnie z pobliskiego domu wyprowadzili żandarmi kobietę i mężczyznę. Za nimi wybiegła matka i zaczęła krzyczeć: „Zabraliście moją córkę, to i mnie zabierzcie“... Krzyk ten przerywa strzał prosto w usta...

Helena Łyskówna

ur. 17. 1. 1924 w Rogoźnie Wlkp.

Podczas okupacji wysiedlona do G. G., przebywała w maj. Toczyski Czortki, gm. Jabłonna, pow. Sokółów Podlaski.

Obecnie: Rogoźno Wlkp.

Uczennica Państw. Lic. i Gimn. im. Przemysława w Rogoźnie Wlkp. Kl. I.

...W 1943 roku 25 września spotkał mnie straszny los. Zastali mnie Niemcy we wsi Jabłonie, do której wybrali się na brankę ludzi na pracę w głąb Niemiec. Ta chwila była dla mnie najgorszą w życiu. Nie zapomnę jej nigdy! Wpadli do wsi już przed zachodem słońca jak wściekle psy, momentalnie wieś

*) Opis wydarzenia, jakie miało miejsce w Włoszczowie w 1943, nawiązuje do opowiadania poprzedniego J. Kaźmierczaka.

obtoczyli i zaczęła się oblawa. Ja już nie wracałam do domu, lecz cały wieczór i noc pod płotem w malinach przesiedziałam. Jednak na chwilę zasnęłam mimo strachu i przemęczenia; przebudziłam się wczesnym rankiem, kiedy panowała cisza. Korzystając z tego, pobiegłam do domu, lecz nagle zauważyłam przez okno łapaczy maszerujących obtaczać wioskę. Pomyślałam tylko sobie: teraz zacznie się lepsza gra — i rzeczywiście tak było. Czym prędzej pobiegłam w ogród, w momencie, nie wiem jakim cudem, przeskoczyłam dość wysoki płot, by nie zdradzić się przed natarczywymi tyranami. O kilka metrów za płotem ogrodu stała warta, która strzegła uchodźców.

Siedząc cichuteńko, dobiegały mnie tylko krzyki i płacze lamentujących niewiast, płaczących dzieci i srogie, głośno ryczące krzyki zbirów niemieckich. Od czasu do czasu jęknie tylko guma, odbijając się o niewinne ciała ludzkie. Smutno mi było, lecz płakać nie mogłam, starałam się utrzymać spokój, by się nie zdradzić.

Nagle! minutę ciszy pogrzebowej przerywa szmer odbijających się gałązek o sprężyste ubranie i cholewy butów. Momentalnie uniosłam głowę i ujrzałam tylko nogi, lecz to mi wystarczyło. Stałam się nieruchoma, wprost zabrakło mi sił, tym więcej jeszcze, że przeczułam i słyszałam, jak zbliżał się ku mnie. W tej chwili oddałam się opiece Bożej. Nie wiem! Dosłownie nie wiem, jakim cudem mógł mnie nie ujrzeć, przecież z krzaków znad mej głowy zerwał malinę, rozejrzał się i wrócił za płot. W duchu pomyślałam: już się wysączy ostatnia kropla mego życia. Jednak dzięki Bogu ocalałam. Myślę, że zaskoczył go moment zaślepienia. Tak, ta chwila była dla mnie najgorszą do przeżycia...

6

*Seweryna Urbanowiczówna
ur. 17. 12. 1926 w Poznaniu.*

*W czasie okupacji przebywała do marca 1941 w Poznaniu, w marcu 1941
wysiedlona do Starachowic.*

Obecnie: Poznań, ul. Wielka 9.

Uczennica IV Państw. Gimn. i Lic. Żeńsk. im. Kl. Potockiej w Poznaniu. Kl. I.

...Po wysiedleniu z Poznania zamieszkaliśmy w Starachowicach, miasteczku położonym na Wyżynie Małopolskiej. Z po-

czątku było nam bardzo ciężko. Pracowaliśmy wspólnymi siłami, żeby nie dać się nędzę. Z próby wyszliśmy zwycięsko. Możemy dziękować Matce Najśw. za pomoc, jak również za opiekę i za to, że nas Niemcy nie rozłączyli. W roku 1943 ojczulek mój zachorował bardzo poważnie na serce. Wtedy zmuszona byłam poszukać pracy, aby dopomóc rodzinie, gdyż ojciec przestał pracować.

Dostałam więc posadę u „kreislandwirta“, to zn. w urzędzie wyżywienia. Nie mogę powiedzieć, aby praca ta była ciężka albo trudna. Jednak wypisywanie dziennie około stu sztuk „bezugscheinów“, i to na 100 g kaszy czy mąki lub na jedno jajko, nudziło mnie ogromnie. Jednym słowem, w biurze była „wojna papierkowa“. Jedyną względną przyjemność sprawiało mi stukanie na maszynie. Ilekroć bowiem przepisywałam niemiecki a niezrozumiały dla mnie tekst jakiegoś pisma, wyobrażałam sobie, że piszę wyrok na Niemców. Życie byłoby może znośniejsze, gdyby nie to, że nie było się pewnym dnia ani godziny. Z drugiej zaś strony klienci niemieccy uprzykrzali nam chwile naszego urzędowania.

W biurze prócz pięciu Niemców pracowali sami Polacy. Kierownikiem biura, czyli „kreislandwirtem“, był niejaki Kurt von Szczepański, były urzędnik jakiejś małej rzeźni prowincjonalnego miasteczka w Niemczech. Był to prawdziwy typ żandarma: otyły, gburowaty, z ordynarnym wyrazem twarzy i wyzywającym spojrzeniem swych wylupiastych oczu. Jego sposób odzywania się do Polaków był wprost trywialny i obfitował w słownik soczystych przezwisk i klątw niemieckich. Już sam sposób odnoszenia się do pracowników wskazywał na to, że jego „von“ było przyłatane, on zaś sam nie pochodził wcale z inteligentnej rodziny. Najwięcej zadowolony był wtedy, kiedy mógł dać upust swemu językowi i „nerwom“, gdy na skutek złych wiadomości politycznych wyładowywał swoją energię na jakimkolwiek pracowniku. Grzmiało wtedy w całym biurze, a nasz szef rozkoszował się swoim głosem i miną widzianą w lustrze, wiszącym obok jego biurka. Upokorzony zaś Polak dostawał pięścią w kark, a nieraz nawet laską czy kolbą karabinu po plecach i musiał ustąpić „panu szefowi“,

który z lubością nadymał się jak paw i głowę zwracał w stronę lustra... Nienawidziliśmy go, ale nie można było nic powiedzieć, tym więcej, że v. Szczepański niekiedy urządzał polowanie na ludzi jak na zające.

Miałam kiedyś podobne zdarzenie. Kiedy byłam pewnego dnia sama w naszym wydziale, zjawił się jakiś gestapowiec i zażądał wydania kart żywnościowych. Jak zwykle załatwiałam go ze spokojem. Na jego beczelne zaczepki nie odezwałam się ani słowem. W końcu chcąc mi dokuczyć orzekł, że wydałam mu za mało kart tłuszczowych, i posadził mnie o oszustwo. W podobny kreislandwirtowi sposób zaczął kląć, na co w odpowiedzi kazałam mu iść do szefa. Wtedy ogarnęła go wściekłość. Ubliżywszy mnie jako Polce, doskoczył do mnie i chciał wymierzyć mi policzek. Nie wiem, jak się to stało, ale cudem uniknęłam uderzenia potężnej łapy. Na widok „Colta“ i jego ręki na nim opanowałam się w jednej chwili. Przecież miałam chorego ojca, na którym mogliby wywierać represje! Tego dnia jeszcze przeczytałam urywek w gazecie: „Niemcy przynieśli Polsce kulturę...“ (!!!!)

Mijały dni i tygodnie w ciągłym nerwowym życiu. W międzyczasie napływały do nas różne wiadomości. Niemcy palili całe wioski za nieoddanie kontyngentu. Maleńkie dzieci wrzucano w ogień. Nie uwierzyłabym, gdybym później sama nie widziała zgliszczy takiej wioski. Nazwy jej nie pamiętam, wiem, że było to niedaleko majątku Krzyżanowice.

Pewnego dnia wydano rozporządzenie, aby z każdej rodziny jedna osoba dobrowolnie (przymusowo) zgłosiła się na okopy. Nikt z nas naturalnie się nie zgłosił, tym więcej że pół godziny potem inne plakaty były porozlepiane: „Hańba Polakowi, który służy Germanowi!“

Po kilku dniach wstając rano, zauważyłam dziwny ruch. Otóż co się okazało: Niemcy obstawili całe miasto i urządzili łapankę na „niewolników“. Na rogu każdej ulicy stały „cekamemy“, a żandarmeria i wojsko, jak robactwo, włączali do każdego domu, do każdej komórki, piwnicy czy zakątka, kradnąć przy tym co się dało. Znalazłszy jednego z ukrytych, zabierali go bez pardonu. Gdy ktoś próbował ucieczki, jednym strzałem

skracano mu życie. Nie zważano na chorych, starców; pracującym zaś darto dokumenty w ich oczach. Z chwilą kiedy żandarmi przestąpili próg naszego mieszkania, ojczulek dostał ataku serca. Nie wiem, jakim cudem oni „wynieśli się“, pozostawiając nas w spokoju.

W najbliższą niedzielę urządzono obławę na kościół. Nie było innej rady, trzeba było się ukryć. Postanowiliśmy razem z innymi schronić się w lesie. Kto bowiem sam nie uciekł z okopów, został wywieziony do Niemiec. Następnego dnia jednak wiedziona dziwnym przeczuciem powróciłam do domu. Całą noc spędziłam na czuwaniu. Rano przybyło do Starachowic około 3000 Kałmuków. Nikt z nas nie sądził, jakim morderczym narzędziem będą oni w ręku okupanta. Bogu dziękowałam później, że z siostrami wróciłam do domu, choć matka moja drżała na każdy dźwięk dzwonka. Wyznaczono kwatery. Sześć „przyjemnych typów“ weszło do salonu, (u sąsiada) i zaraz na wstępie dowiedli, że koń, również zmęczony, może odpocząć na dywanie. Dowiedzieliśmy się ciekawych rzeczy, jak to, że miska do mycia jest zbyt duża, bo wodą trzeba się myć jak ze strumyka, albo z wiadra wylewając ją na podłogę, miska natomiast może doskonale służyć jako hełm w czasie zabawy naszych gości. Kura zaś najlepiej smakuje, gdy świeżo zabita, obdarta z pierza, i zaraz na surowo jest zjedzona. Na drugi dzień mogliśmy lepiej zauważyć cywilizację wojska niemieckiego. Dzikie hordy wyruszyły na obławę lasu. Strzelanina ze strony atakujących trwała tylko cztery godziny. Była to straszna masakra. Mieszkańcy Starachowic nie spodziewali się niczego, byli bezbronni. Trzecia część z tych ludzi więcej nie wróciła, reszta zaś, nie zdołając zbiec, powiązana sznurami, została pognana do pociągu. Widok jednego z przyjaciół ojca z pętlą na szyi, przywiązanego do konia i uderzanego nahajką, jak żywy stoi mi przed oczyma.

Za dużo było cierpień, nie wytrzymali Polacy. Dnia pewnego zniknął w niewiadomy sposób „dla użyżnienia“ ziemi polskiej główny szef Gestapo. Serca na jakiś czas zamarły nam ze zgrozy. Wiedzieliśmy, że takie występy nie pozostaną bez echa.

I stało się. W sierpniu, jak zwykle przed łapanką, obstawiono miasto. Potem brano zakładników, tzn. takich, kto przypadł im do gustu. Dnia tego zabrano około 700 osób. Po skończonej „robocie“ wieczorem Niemcy pognali jeńców na plac fabryczny, gdzie stały samochody. Niemcy zachowywali się tak, jak masa dzikich Indian, znęcająca się nad ofiarą. Nie dano więźniom cały dzień nic jeść prócz zupy (wieczorem), którą z braku misek ludzie jedli ze spluwaczek. Potem na oczach wszystkich ludzi powiązanym mężczyznom kazano skakać na samochody, poczem pokładzono ich plackiem jednego na drugim. Tak załadowane samochody pojechały do Radomia. Kilka koleżanek pojechało w letnich sukienkach. Kilka osób w drodze zmarło, reszta zaś została wywieziona do Oświęcimia, skąd w krótkim czasie przyszło kilkanaście zawiadomień: (człowiek zdrowy i silny) „zmarł nagle“. Wujka mego, który był wtedy zabrany, już nie widziałam i nie zobaczę nigdy.

Bogu mamy do zawdzięczenia, że zdrowi, cało i wszyscy razem przetrwaliśmy. Tym zaś wszystkim bohaterom, którzy nie zawahali się złożyć życia na ołtarzu Ojczyzny, niech będzie wieczna cześć!

7

Irena Garwołińska

ur. 20. 10. 1925 w Życzynie, pow. Garwolin.

W czasie okupacji mieszkała w Rabce-Zdroju.

Obecnie: Słupca, Internat Gimn. i Lic.

Uczennica Państw. Gimn. i Lic. w Słupcy. Kl. III.

Wypadki opisywane miały miejsce w Zakopanem, w lecie 1941 r.

...W telegrafii było duszno, praca nie szła, byliśmy wszystkie zdenerwowane. Po mieście krążyły różne pogłoski o wywiezieniu więźniów do Oświęcimia czy Dachau. Nikt jednak w to nie wierzył i odpędzał tę myśl, jak natrętną muchę. Ja też nie wierzyłam. Ranek nastroił mnie tak pogodnie, że żadna ponura myśl nie mogła wtargnąć do mego serca. A jednak stało się coś, czego nie przypuszczali nawet najśmielsi.

Oto około południa przyszedł do nas naczelnik urzędu zakopiańskiego, „grube Niemczysko“; przy aparatach zostawił

tylko jedną siłę, a nas wszystkie zabrał ze sobą i poprowadził na rynek.

Po drodze cały czas tłumaczył nam, jakim okiem winnyśmy patrzeć na sceny, które za chwilę przesuną się przed nami. Kazał nam ten dzień dobrze sobie zapamiętać, gdyż jest to dla nas wskazówka, jak mamy postępować.

O, pamiętamy, na jego nieszczęście właśnie pamiętamy ten akt gwałtu dokonany nad niewinnymi.

Rynek otoczony był szpalerem wojska, poza którym tłoczył się tłum ludzi o pobladłych twarzach i rozszerzonych od grozy żrenicach. Zmieszałyśmy się z tłumem. Naczelnik krok w krok za nami chodził i bacznie obserwował każdy nasz ruch, gest, wyraz twarzy, a słowa pilnie łowił.

„Egzekucja“ — szeptano tu i tam.

W mieście nie było prawie takiej rodziny, z której by nie był ktoś aresztowany, toteż ludzie słabli z naprężenia i niepewności... Kogo dzisiaj?...

Wkrótce nadjechało parę samochodów i zagadka została wyjaśniona. Z jednego wysiedli gestapowcy, a najstarszy rangą wszedł na prowizoryczną trybunę i zaczął przemawiać. Twarz jego, która przybierała coraz to inny wyraz, mówiła nam wszystko — całą nienawiść wieków. Gdy przetłumaczono nam przez megafon wszystkie bluźnierstwa przeciwko nam, naszej ojczyźnie i tym „bandytom“, których nie tylko my, ale cały świat uważa za męczenników narodowych, trzeba było gryźć palce, by nie wybuchnąć słusznym gniewem wobec takiego ogromu obłudy, fałszu i bestialstwa.

Aby przekonać nas o bezskuteczności mrzonek o powstaniu Polski, odegrano ostatni akt sztuki „Kultura niemiecka“. Zrobiło się cicho jak w kościele, tylko tu i ówdzie przeciął powietrze spazmatyczny szloch kobiecy i znowu spokój.

Z aut zaczęto wyciągać jakieś łachmany ludzkie, które, o Boże! za pierwszym stąpnieniem na ziemi zaczęły rość, potęgnić i przybierać dumną postawę.

Z pożarem w oczach patrzyli na nas i mówili długo swym spojrzaniem o trudach, walkach partyzanckich w lesie, o gło-

dzie, zimnie, o katuszach w więzieniu i o tym, że wolność już blisko. W poszarpanych ubraniach rozpoznałam mundurki gimnazjalne i licealne.

Tłum się zakołysał. W wielu miejscach powstały tumulty i szarpanina z kordonem żołnierzy. Niedaleko nas jakaś kobieta krzyknęła boleśnie: „Jezus, moje dziecko!” i próbowała przeдрzeć się przez szpaler niemieckich karków. Wtem któryś odwrócił się i jednym pchnięciem kolby przewrócił biedaczkę na ziemię. Upadła zemdlona pod gęstymi razami brutalą. Zaczęto ustawiać karabiny. Chłopcy dumnie odrzucili czarne chustki, podawane przez łaskawych morderców. Każdą piersią targał szloch. Łzy nie mogły wydostać się z oczu, rozsadzały palącym bólem serce i dławiły w krtani. Wtem jeden ze skazanych wspiął się na palce, jak gdyby chciał być lepiej słyszany, i krzyknął: „Jeszcze Polska nie zginęła!...”

Rozległ się suchy trzask karabinowy i jedno ciało z jękiem upadło na ziemię. Potem było słychać jeszcze urywane okrzyki: „Królowo Korony Polskiej“, „Pod Twoją obronę...” i rozdzierające: „Matko, wybacź!”

Pięści miałam zaciśnięte, paznokcie głęboko werżnięte w ciało, sączyła się krew.

— Boże! — wyszeptałam — zabierz mnie stąd do siebie!...

Zrobiło mi się dziwnie słabo, a zarazem błogo, jak gdyby Bóg wysłuchał już mego szeptu i zsyłał na mnie pokój.

O cudna śmierci!...

Lecę gdzieś w przepaść... och...

.

To był koszmar, coś potwornego, wprawdzie widziałam i słyszałam tylko początek zbrodni, jednak obraz ten aż nadto dobrze utrwalił mi się w duszy.

W owej chwili pragnęłam śmierci może goręcej, niż rankiem życia, ale dziś chcę tylko żyć, muszę żyć, by pomścić ten dzień, ten straszny dzień.

Mieczysław Cielecki

ur. 12. 10. 1925 w Zduńskiej Woli.

Podczas okupacji w Kielcach (1940—42) i w Warszawie, ul. Koszykowa 40 (1942—45).

Obecnie: Kalisz, ul. Pułaskiego 15.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. w Kaliszu. Kl. I lic.

9 października 1944 r. godzina 13.

...wychodzę. Ostatnie spojrzenie na mieszkanie i tak dobrze znane przedmioty i schodzę powoli z trzeciego piętra na dół. Wszędzie panuje cisza... nie ma już nikogo. Dzisiaj o 12 w południe minął ostateczny termin opuszczenia Warszawy.

Z małą walizką w rękę kieruję się Marszałkowską w stronę Dworca Głównego. Dziś punktualnie o 13,30 mam ostatnie „rendes-vous” w Warszawie; o tej godzinie spotykam się na rogu Marszałkowskiej i Alei z dwoma kolegami, i w trójkę opuszczamy miasto. Idę środkiem jezdni, gdzie dawniej panował gorączkowy ruch; barykady są już częściowo porozbierane.

Ogarnia mnie dziwne uczucie: z jednej strony jestem prawie że zadowolony, że wreszcie wydostanę się z tego piekła, ale jednocześnie czuję się jak małe, bezbronne dziecko, przemocą odrywane od ciała zabitej matki.

Czuję się strasznie nieswojo — dlaczegoż jest tak cicho? Dlaczego nie słyszeć już wycia nurkujących stukasów, huku rozrywających się min i pocisków artyleryjskich? Gdzie podziały się „tygrysy”, „pantery” i ciężka broń niemieckiej piechoty? Ta cisza działa przygniatająco, nadając zniszczonemu miastu nadzmysłowy, niesamowity widok.

Na ulicach pusto; na widok patrolu żandarmerii niemieckiej wzdrygam się cały — znowuż niewola; niedługo trwała nasza wolność! Dochodzę do Wspólnej; na rogu grupa żandarmów: „Halt!”. Zatrzymuję się i podchodzę bliżej — obok, parę kroków dalej, stoi już grupka ludzi otoczona żandarmami. Dołączają mnie do nich. O dokumenty nie pytają, po co? młody mężczyzna — to dowód wystarczający. Przypominam sobie — o 13,30 umówiłem się na rogu Alei — nie zobaczę was już może nigdy — musicie radzić sobie sami!

Jest nas 16 mężczyzn i kilka kobiet; formują nas w czwórki i idziemy Wspólną w kierunku Placu Trzech Krzyży. Żandarmi są przeważnie pijani, nie udzielają żadnych informacji lub objaśnień; na zapytania odpowiadają kolbą, a do tego nie potrzeba już żadnych komentarzy! Jestem wyczerpany; jeszcze wczoraj potrafiłem myśleć, radzić, dawać projekty i pomysły, a dzisiaj nic, kompletne zero! Przemieniłem się w bezmyślny automat, poruszający automatycznie nogami i rękoma. Wystrzał — nad głową gwizdnęła kula karabinowa; „zwycięzca“ życzy sobie, bym przyspieszył kroku. Niech sobie strzela, mógłby strzelić prosto w głowę, przynajmniej nie zepsułby prochu!

Ulica się zmienia; zaczynamy chodzić z dołu do góry i z góry na dół. „Powstańcze Tatry“, jak to ktoś nazwał: tu, gdzie była kiedyś ulica, obecnie leżą góry gruzu, cegieł, ścian kamienic, belek drewnianych i żelaznych, wiązań betonowych, słowem wszystko!

Z tego, co tu leży, można by zrobić wielki magazyn materiałów budowlanych i... cmentarz! Zabitych starczyłoby do tego na pewno — pod każdym zawalonym domem w schronach leży ich dziesiątki, setki, tysiące — trupów lub pomordowanych. Byłem kiedyś na Mokotowie w takim schronie. Przed nalotem znajdowało się tam 120 żywych, a gdy stukasy już odleciały, z 4-piętrowej kamienicy została „góra“ — podobna do tych tutaj, a schron stał się wielkim wspólnym grobem dla tych samych przed nalotem żywych jeszcze ludzi; nie odkopano nikogo — nie było na to ani czasu, ani ludzi!

Schodzimy na dół prawie do samej jezdni. Przede mną ktoś się przewrócił; żandarm uderzył go kolbą i klnie. Z 5-piętrowego domu została jedna boczna ściana; reszta — pod naszymi nogami — to dzieło berty lub stukasów; dalej — to samo.

Nagle zatrzymuję się mimo woli: tam na trzecim piętrze widać wychylone przez okno do połowy ciało mężczyzny; rękę ma wyciągniętą ku niebu: grozi czy prosi — a może przeklina? Żandarmi pokazują go sobie palcami i śmieją się; jeden strzelił z karabinu, wyciągnięta ręka opadła — już nikt nie będzie przeklinać; idziemy dalej.

Dom za domem zniszczony. Dochodzimy do Placu Trzech Krzyży. Spoglądam na kościół św. Aleksandra: wejście, którym wchodziłem zwykle do wewnątrz, nie istnieje; jest jedno duże wejście — od bomby lotniczej; duże wejście... i dużo gruzu.

Prowadzą nas Alejami Ujazdowskimi — tylko że inaczej wyobrażałem sobie przed 2 miesiącami ten pochód przez Aleje Ujazdowskie, aleje defilad — inaczej, zupełnie inaczej.

Skręcamy obok parku — prowadzą nas na Wiejską do komendy żandarmerii. Wprowadzają nas na podwórko otoczone ze wszystkich stron ścianami niezburzonych kamienic — tu byli „szkopi“*) przez cały czas. Siadamy zmęczeni pod ścianą. Z budynku wychodzi kilku cywilów. Opowiadają, że są z Czeraniakowa, nic nie robią, są tylko pilnowani, żeby nie uciekli. Cywile sami przynoszą nam zupy i chleba; jem jedno i drugie, ale przede wszystkim chleb; dawno już nie jadłem tyle na raz, a już nigdy nie przypuszczałem, że chleb jest taki dobry. Upajam się samą nazwą chleb; do plecaka włożono mi cały bochenek, mój żołądek jest na pewno szczęśliwy; szkoda, że nie mam dwóch żołądków, byłbym wówczas podwójnie szczęśliwy.

Czekamy cierpliwie na przesłuchanie — ma przyjść komendant żandarmerii. Siadam na walizce i zaczynam myśleć nad sposobami ucieczki — nie, teraz nie da się nic zrobić, gdyż w tej dzielnicy nie ma już nikogo.

Przychodzi komendant — oberleutnant żandarmerii. Ledwo trzyma się na nogach. Najpierw przesłuchuje kobiety, potem podchodzi do nas, wyjmując rewolwer z pochwy i wymachując bronią, pyta się: „Kto z was należał do bandytów?“ — Odwracam głowę, boję się, że się nie opanuję. — Podchodzi do mnie, przystawia rewolwer do skroni i każe odwrócić się, mówiąc: „Verfluchte Banditen, ich werde euch alle erschliessen“. Na niektórych twarzach widać strach, inni nie rozumieją.

Do komendanta podchodzi z grupy mężczyzn 4 robotników; pracują w Pruszkowie w niemieckiej firmie; przyjechali do Warszawy służbowo. Wyciągnięto ich z samochodu i są tu-

*) Przezwiśko oznaczające Niemców.

taj — proszą o zwolnienie. Komendant sprawdzi, czy mówią prawdę, o ile tak, będą zwolnieni. Tymczasem każe im odejść na bok, a nas ustawia z odbezpieczonym pistoletem w czwórki. Otaczają nas żandarmi i wychodzimy. Dokąd? może... na rozstrzelanie? Nie wiemy! Spoglądam w ul. Wiejską; ciekawy jestem, czy tych, których tam pomordowali (ci sami żandarmi, którzy nas teraz prowadzą), również tak przesłuchiowano. Podobno im tego zaoszczędzono: rzucano granaty wprost do piwnic; rozmawiałem z osobą, która się stamtąd cudem wyratowała.

Prowadzą nas w stronę Powiśla — nie znam tej dzielnicy. Skręcamy w lewo. Wprowadzają nas do jakichś koszar i przekazują warcie wojskowej. Żandarmi odchodzą. Żołnierze prowadzą nas do sali z małymi okratowanymi oknami. Wdajemy się w rozmowę z wartownikiem. Jest wiedeńczykiem; mówi, że ma dość wojny, był pod Moskwą, ale takich walk jak tutaj nie widział. Ktoś z nas ma papierosy; za papierosy i polską srebrną 10-złotówkę dostajemy parę pomidorów i trochę zupy.

Okolo godz. 18 zjawia się oficer Wehrmachtu. Pod eskortą żołnierzy idziemy do komendy policji kryminalnej w Al. Ujazdowskie. Po drodze mijamy patrole ukraińskich oddziałów żandarmerii; obrzucają nas obelgami i groźbami.

W policji kryminalnej nie wiedzą, co z nami zrobić. Po trzech godzinach prowadzą nas w Al. Szucha. Czuję na plecach lekki dreszczyk.

Po drodze dołączają do naszej grupy czterech jeńców, żołnierzy armii im. Kościuszki; są kompletnie wykończeni — od 3 dni nie dostali nic do jedzenia — dzielimy się z nimi naszym chlebem. Opowiadają nam szczegóły z akcji o sforsowaniu Wisły, wylądowaniu na Czerniakowie i Powiślu oraz o zacieklej walce ze „szkopami”; prawie cała grupa została zniszczona — nie można było dostarczyć im w porę zza Wisły broni panc., a oprócz tego nie byli przyzwyczajeni do walk w mieście — większość poległa, ich wyciągnięto z kanałów.

Przed budynkiem Gestapo zostajemy rozdzieleni; nas prowadzą w głąb, do piwnicy, do 2 małych pokoików. Pilnują nas SS-mani.

Al. Szucha*) to wyrazy zbyt dobrze znane wszystkim warszawiakom, aby o nich coś wspominać. Czuję się nieswojo, jestem tu po raz pierwszy! Gestapowców nie widać, jest tylko SS i Ukraińcy. Rozglądamy się po naszym locum; na podłodze leżą sienniki, jeden silnie skrwawiony. W kącie pokoju pod siennikami znajdujemy hełm, bagnet i 2 granaty zaczepne. Kto wie, może to będzie ostatni sposób wydostania się stąd!

Wszędzie światło elektryczne, gdyż na Szucha „szkopi“ mają własną elektrownię, są więc niezależni od prądu miejskiego.

Siedzimy na siennikach i naradzamy się, co robić: czekać beczynn timer na to, co o nas zadecydują, oznacza po prostu śmierć.

Poznałem Tadeka. Jest w podobnych warunkach jak ja; za przyjaźniliśmy się od razu z sobą, w takich warunkach zbliżenie następuje o wiele szybciej niż normalnie. We dwójkę postanawiamy jutro popróbować szczęścia. Wtajemniczamy pozostałych w nasz plan (pozostali — to zbieranina ludzi ze wszystkich dzielnic i stanów — niektórzy przedstawiają nawet ciekawy materiał do obserwacji).

Na korytarzu prowadzącym do naszych pokoi słyszeć kroki. Do pokoju wchodzi cywil, wysoki mężczyzna, a za nim SS-man z pistoletem w ręku. SS-man wychodzi, przybysz pozostaje; jest mieszkańcem Czerniakowa, ukrył się w kanałach, ale został spostrzeżony przez Ukraińców i wyciągnięty. Jakimś cudem ocalał, normalnie bowiem wszystkich wyłapanych w kanałach zabijano na miejscu.

Tadek ma paczkę kawy, postanawiamy więc przyrządzić sobie kolację. Ktoś wyjmuje z walizki garnek, więc gotujemy w piecu kuchennym — słomą z sienników i krzeselkiem, które „szkopi“ niebacznie zostawili w naszym salonie. Przeżyliśmy naprawdę gorący moment: jeden granat schowaliśmy do popielnika w piecu — zapewne w chwili wejścia SS-mana został głębiej wsunięty i zupełnie o nim zapomniano; nagle przy gotowaniu kawy następuje wybuch: od gorąca eksplodował granat w popielniku. Nikt nie został ranny, dwóch ma tylko osma-

*) Siedziba Gestapo i słynne miejsce tortur.

lone rzęsy i włosy. Następuje chwila szalonego napięcia: przyjdą czy nie? Cisza. Nikt nie idzie. Powoli oddychamy z ulgą, spoglądamy na siebie i zgodnie stwierdzamy: „głupi ma szczęście”. Takiego wypadku na Szucha chyba jeszcze nie było.

W nocy dla uspokojenia nerwów wyciągnął ktoś wódkę — 2 litry, zaczynamy więc pić; humory się poprawiają. Stwierdzam, że Tadek ma łeb na karku. Przy pomocy wódki nawiązał znajomość z jakimś „szkopem”, szoferem, zebrał od niego nie tylko sporo informacji, ale także wycygał parę kilo chleba i trochę sztucznego miodu. Trzeba mieć głowę „nie na łupież”, aby na Szucha wykombinować takie specjały. W nocy śni mi się kuzynka; czy żyje? Szukałem jej w połowie sierpnia na Mokotowie, ale bezskutecznie; może jest w Pruszkowie?

10 października.

Jesteśmy w dobrych humorach. Idziemy do komendanta Al. Szucha, majora SS von... (nazwiska nie spamiętałem), prosimy go o zwolnienie i przepustkę na wyjście z miasta (od szofera bowiem dowiedzieliśmy się, że SS dostało rozkaz strzelania do każdego cywila napotkanego na mieście, o ile nie posiada ważnej przepustki). Major odpowiada wymijająco: mamy czekać, aż się nasza sprawa nie wyjaśni, potem on sam ułatwi nam opuszczenie miasta (!?).

Wracamy od majora i działając według wczorajszego planu formujemy się w dwójki i idziemy do głównego wyjścia. Przy wyjściu stoi żandarm: „Halt! Wohin?” Występujemy naprzód mówiąc, że wracamy od majora, który kazał nam opuścić miasto, kierując się wyznaczonymi punktami wyjściowymi, przepustka jest jeszcze dzisiaj niepotrzebna.

Nerwy są napięte do ostatecznych granic, ryzykujemy życiem. Żandarm wpatruje się w nas tępym wzrokiem — chwila ta zdaje się trwać wieki — nareszcie usuwa się na bok i milcząco wskazuje drogę. Boimy się jeszcze odetchnąć, ale nie, nikt nas nie woła. Idziemy przez Plac Unii Lubelskiej, Marszałkowską w kierunku Dworca Głównego.

Przy Litewskiej zatrzymują nas faszyci ukraińscy; powołujemy się na majora — przepuszczają nas. Na Placu Zbawiciela „klapa”: zatrzymuje nas patrol żandarmerii, tłumaczenia nie

pomagają. Wychodzimy z miasta — dobrze, nie zatrzymują nas, musimy jednak wpierw rozebrać barykadę. Za dwie godziny barykada rozebrana i idziemy dalej, ale już ostrożnie, aby nie wpaść po raz drugi. Dwa razy udaje się, ale przy rogu Żulińskiego zatrzymują nas Kałmucy*); mamy oczyścić jezdnię, tak aby mógł nią przejechać samochód ciężarowy; na jezdni leżą górne piętra zniszczonego domu. Narzędzi do pomocy nie ma, do uprzątnięcia służyć ręce. Z boku stoi Kałmuk z m. p.**)

Okolo godziny 17 zjawia się na rowerze oficer inspekcyjny; mówimy mu, że chcemy opuścić miasto. „Kommt gar nicht in Frage“, zostaniemy tu tak długo, jak się jemu będzie podobało, a nie nam. Po skończeniu porządkowania ulicy pójdziemy do koszar, a jutro — tak jak dziś — do sprzątnięcia gruzu i usuwania barykad.

Sytuacja jasna: czekamy na odpowiedni moment. O, teraz! Kałmuk poszedł na wachę przy Marszałkowskiej, a my — w nogi Poznańską do Alei obok Dworca. Tym razem już chyba rzeczywiście opuścimy miasto.

Jest godzina 8 wieczorem; idziemy szlakiem znanym wszystkim warszawiakom. Przy Żelaznej oglądam się po raz ostatni na miasto; przy Marszałkowskiej pali się kilkanaście domów, na Powiślu widać łuny — to pożary dzisiejsze. Niemcy podpalają resztę ocalałych w czasie powstania domów.

Z Okęcia zaczyna strzelać artyleria świetlnymi pociskami. Strzelają na miasto, by zniszczyć je do reszty.

Od Towarowej rozpoczyna się okropny, niesamowity widok. Środkiem jezdni wleczę się kilkadziesiąt postaci — to ewakuujący się przytułek dla starców. Po obu stronach jezdni siedzą staruszki i płaczą lub modlą się głośno. Nikt im nie pomaga, a nie mają już siły iść dalej — są głodne.

Po ulicy krążą bezustannie patrole SS, przyglądają się starcom i śmieją się. Skręcamy w lewo i idziemy torem kolejki E. K. D. Obok SS-Schule siedzi na krześle jakaś około 90-letnia

*) Jeńcy sowieccy pochodzenia wschodniego, używani przez Niemców do służby pomocniczej a nawet frontowej.

**) Z maszynowym pistoletem.

staruszka i prosi nas o pomoc, jest sparaliżowana, nie może sama iść dalej. Bierzymy ją w czwórkę i niesiemy. Jest mi ciężko, oddaję więc swoją walizkę towarzyszowi z Al. Szucha z prośbą, aby ją poniósł, później zmienimy się przy niesieniu staruszki. Zgodził się, gdyż nie ma żadnego bagażu. Idziemy dalej, jest już zupełnie ciemno, a do Dworca Zachodniego jeszcze kawałek drogi. Przy kościele na Placu Narutowicza zatrzymujemy się i odpoczywamy.

Słychać samochód, staje obok nas. Wysiada z niego podoficer SS — jest noc, nie wolno chodzić, mamy przenocować w kościele, rano na Dworzec Zachodni, a stamtąd koleją do Pruszkowa. Nie oponujemy!

Wnosimy staruszkę do kościoła i rozglądamy się: pali się parę świec. W środku stoi katafalk, wokół niego na dywanach kościelnych śpiące postacie ludzkie, przeważnie starcy.

Układamy staruszkę do snu i myślimy o jutrze. Rozglądam się za swoją walizką: nie ma ani walizki, ani „uczynnego” pana. Zostałem tylko w tym, co mam na sobie, i tak powrócę do Kielc. Najbardziej szkoda mi książek i ...placuszków z mąki, które sobie sam upiekłem na drogę, jeszcze na Koszykowej.

Staruszki nie mogą usnąć, boją się, że przyjdą Niemcy i nas wszystkich wymordują; zapewne słyszały już o Zieleńcu, brrr!

Z Okęcia odzywa się ponownie artyleria — strzelają na miasto. Dwa razy słychać „krowy”. Staram się usnąć. Jutro czeka nas ostateczna przeprawa. Na katafalku dopala się ostatnia świeca...

9

Jan Gąsiorowski

ur. 17. 6. 1923 w Żninie.

W czasie okupacji przebywał na terenie Gen. Gub. w miasteczku Dubienka.

Obecnie: Bożejewice, pow. Żnin.

Uczeń Pryw. Gimn. Koed. im. Braci Śniadeckich w Żninie. Kl. II lic.

...Pełniłem obowiązki asystenta kontroli obór w gminie Dubienka po to tylko, by uchodzić za pracującego. Praca ta wymagała nadzwyczaj wiele jeżdżenia w tzw. „teren”. Pewnego

poranku jechałem więc do pracy spokojnie, zajęty swymi troskami i myślami. Mój nastrój jednak znajdował się w poważnej kolizji z sytuacją ogólną. Była ona istotnie niewesoła. Silne bowiem grupy dywersantów sowieckich dostawały się ze wschodu na naszą stronę, a rozwścieczony tym okupant nie mógł ich opanować. Niemiecka policja i Gestapo były bezradne, a między nami istniało powszechne przekonanie, że taki stan rzeczy pozostanie aż do przejścia frontu, czyli klęski Niemiec. Okazało się jednak, że zbyt mało braliśmy pod uwagę, że byliśmy w mocy brutalów krzyżackich, których celem zawsze była nasza zguba.

Jadąc więc rowerem ani przeczuwałem, że przeznaczeniem moim było właśnie w tej chwili poznać na własnej skórze ową historyczną prawdę o naszych zaborcach. Oto pod małym laskiem, przez który miałem przejeżdżać, zatrzymali mnie straszonymi krzykami żołdacy niemieccy przeróżnych formacji. Z przyzwoitej odległości i pod gotowymi do strzału karabinami wypytывali mnie o powód i kierunek jazdy. Sądziłem, że zła-godnieją, gdy kazali mi zbliżyć się z legitymacją, lecz i tu okazali zupełną wrogość i podejrzliwość. O grzeczności zaś nie było mowy, bo zupełnie bez powodu jeden z opryszków poczęstował mnie dwoma silnymi razami lufą pod żebra.

W rezultacie mimo wykazania się wszystkimi niezbędnymi legitymacjami, mimo mych przekładań poprowadzili mnie wraz z dwoma młodymi ludźmi wśród popychania, bicia i krzyków do pobliskiej wsi. Przechodziliśmy obok opustoszałych domów z powybijanymi oknami, w których czasem ukazała się tylko trzęsąca się twarz staruszka lub główka zapłakanego dziecka. Groza niezwykła wisiała nade wsią, a powiększała ją rozlegająca się wkoło palba karabinowa. Jasne zaś słońce i pogodny dzień majowy jakby chciały osłodzić nam biednym te chwile tak ciężkie i wlać nam nadzieję w serca.

W pewnej chwili zatrzymano nas obok drzewa, gdzie w kałuży krwi leżały zwłoki mężczyzny, prawdopodobnie mieszkańca tej wsi. Nasi oprawcy dobitnie zaznaczyli, że i nas ten los spotka, jeśli próbować będziemy ucieczki. Uczułem dziwny skurcz serca, a myśli rozproszyły się jak stado spłoszonych owiec, po-

wodując stan prawdziwej depresji duchowej. Toż to pierwszy trup w moim życiu, widziany w takiej sytuacji, gdy w każdej chwili mógł mnie podobny los spotkać. Szczęście, że pierwsze oszołomienie szybko minęło, a duszę owionął desperacki chłód, jaki chyba czują męczennicy przed śmiercią. Toteż jak desperat spojrzałem oprawcom odważnie w oczy i zdałem się na łaskę losu.

Widok we wsi był nowym ciosem. Oto ze wszystkich stron całe gromady wieśniaków, zabranych wprost od pługów, od koni czy bydła, pędzili siepacze Himmlera przed szkołę, gdzie i my zdążaliśmy. Doprawdy był to widok pełen grozy. Strzały uci- chły, a w ich miejsce słychać było głośnie: „los, los, preennkooo!” naszych oprawców, czasem zaś przejmujący krzyk kobiety, stojącej w gromadce z węzełkami przeznaczonymi dla swych bliskich. Stały one jednak zapłakane na uboczu, bo za każdym zbliżeniem się ich podnosiły się w ich stronę lufy karabinów. Teraz ugruntowałem się w przekonaniu, że przed oczyma moimi odgrywa się tragedia Polaków, którą Niemcy nazwali „pacyfikacją”.

Na dość dużym placu musieliśmy się wszyscy położyć w wyrównanych szeregach na piersiach, a wkoło nas zobaczy- liśmy wycelowane w nas karabiny maszynowe. Wszyscy prze- konani byliśmy, że tu kres naszego żywota. Odważniejsi tylko podnosili wzrok, badając sytuację, reszta zaś wzdychała od czasu do czasu, chowając wybladłe twarze. Okazało się, że to tylko jeden ze środków terroru oraz zabezpieczenie się przed ucieczką „bandytów”, jak nas nazywali.

Leżałem z brzegu i odznaczałem się ubraniem od reszty towarzyszków niedoli. Nic dziwnego, że jakiemuś gestapow- skiemu pachołkowi zacząłem się nie podobać (okazało się, że był to ten sam, który zabrał mój rower). Podszedł on do mnie i w dzikim jakimś szale zaczął się ze mnie naigrywać, nie szczę- dząc przezwisk psa, bandyty itp. W końcu zdjął moją białą czapkę i nałożył sobie na głowę, udając cywila. Ponieważ na jego drwiące pytania nie odpowiadałem, nadepnął mi silnie głowę. Z determinacji przestałem myśleć; działałem podświa-

domie. Zebrałem wszystkie siły i uniosłem głowę a noga jego obsunęła się na bok.

Wściekły żołdak obsypał mnie gradem wyzwisk i paru kopnięciami, na koniec musiałem pod jego wymierzonym rewolwerem wykonać kilkanaście „padnij — powstań”. W tym momencie byłem już w pełnym przeświadczeniu, że były to moje przedśmiertne ćwiczenia, bo słyszałem, że Gestapo praktykuje je często. Szczęściem sygnał wymarszu przerwał jego bestialskie znęcanie się i pozostawił mnie przy życiu.

W chwili kiedy krępowano mi ręce z jakimś towarzyszem niedoli, straciłem zupełnie nadzieję ratunku drogą normalną. Zacząłem jednak liczyć na coś niezwykłego i ta podświadoma nadzieja prowadziła mnie przez okropności, w które obfitowała każda chwila naszego etapu. Wystarczy wspomnieć czy to bicie kolbami przy przesadnym dołączaniu szeregów, czy masowe egzekucje w naszych oczach. Delikwentami byli najczęściej Żydzi, ale i kilkudziesięciu spośród nas, rzekomo winnych, przypłaciło życiem.

Nie zapomnę również strasznego poranku, kiedy to germańscy rabusie zrobili po prostu napad na spokojną wieś Tuchań — oczywiście w celu „pacyfikacji”. Przed wschodem słońca słyszeliśmy tylko z daleka strzały, wybuchy granatów, jęki i krzyki, a w końcu wieś stanęła w płomieniach. Okazało się, że Niemcy uśmiercili tam 60 mieszkańców, w tym wiele kobiet i dzieci.

W takich okolicznościach posuwał się nasz skazańczy kondukt wśród pragnienia i upału na miejsce przeznaczenia. Po dwóch dniach bowiem stanęliśmy u wrót obozu w Trawnikach, który był przedpiekłem sławnego Majdanka. Władcy naszego życia z minami rzeźników i bogów zarazem szeregowali nas w grupy po stu i zamykali na placu, ogrodzonym drutami. Los chciał, że byłem sto pierwszym z kolei, i jakiś dygnitarz gestapowski robił mnie odpowiedzialnym za porządek w swej setce, grożąc oczywiście rewolwerem.

Z oburzenia długo nie mogłem słowa z siebie wydobyć, ale bezwiednie przytakiwałem, spodziewając się po tej nominacji możliwości ucieczki. Tymczasem sytuacja ze złej zamieniła

się w gorszą. Scianami naszego więzienia stały się druty kolczaste, zza których mierzyły nas skośne wejrzenia sowieckich niewolników w niemieckiej służbie, dachem firmament niebieski, we dnie pochmurny, a w nocy wyiskrzony przymrozkiem prawie, posłaniem zaś czarny, kamienisty żużel.

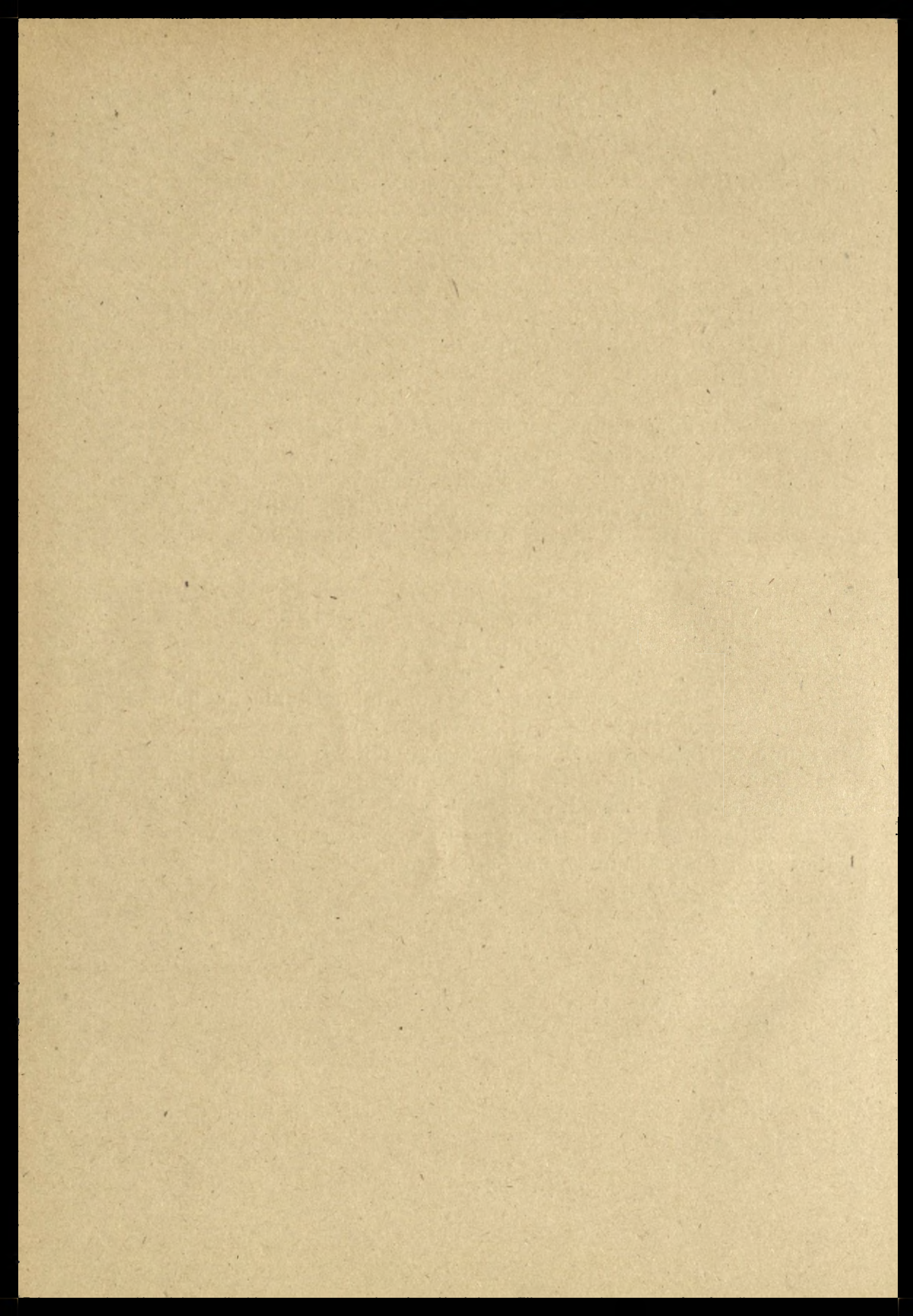
Odżywialiśmy się (o ile można to tak nazwać) dokładnie: 100 gramami chleba, zupełnie siniego od pleśni, oraz kubkiem wody, noszonej wprost z rzeki Wieprza. Skutki takiego pożywienia czuli już wszyscy trzeciego dnia, gdyż puste żołądki przyprowadzały o mdłości. Pewnego razu, gdy odbierałem z kuchni chleb, kucharz (Czech, nawiasem mówiąc) zaproponował mi miskę apetycznie woniejącej grochóweczki. Zjadłem dosłownie parę łyżek i nie mogłem więcej przełknąć. Inna rzecz, że przeniósłem resztę w chlebie dla kolegów, ale po tym wypadku poznałem, co znaczy głód.

Bodaj że gorsze od głodu było zimno nocne i nieruchome spędzanie nocy pokotem całe 12 godzin. Rano wstawaliśmy jak z krzyża zdjęci, a w dodatku słabi z głodu. Zabawialiśmy się wtedy gimnastyką poranną, która zastępowała nam śniadanie. Z początku nieszczęście wspólne było silnym węzłem, łączącym nas wszystkich na dołę i niedolę. Jeden drugiego wspomagał jak mógł, pocieszał i ratował. Po paru jednak dniach nastawienie zupełnie się zmieniło, prawdopodobnie pod wpływem głodu. Szlachetniejsze uczucia ustąpiły na rzecz instynktu samozachowawczego, który nakazał za kawałek chleba bójki staczać, a co gorsze, zniżyć się do donosicielstwa czy kradzieży. Organizmy słabsze zapadały na zdrowiu, a wielu dostawało pomieszania zmysłów lub szoków nerwowych. Takich musieliśmy skrzętnie ukrywać, bo Niemcy po swojemu skracali im męki. Prześladowcy i tu nie zaprzestali terroru. Co rano bowiem przychodziło dwóch opryszków Hitlera, by kilku z naszego 16 tysięcznego obozu w naszych oczach za drutami rozstrzelać.

Jednym słowem, pobyt pod koniec stawał się nieznośnym. Wszyscy, jak byli, czuli się niewinnymi i spodziewali się rychłego zwolnienia. Nasi oprawcy jednak skazali nas na gorszy jeszcze los — Majdanek. Wyjazd urządzili zaś w specjalnie perfidny

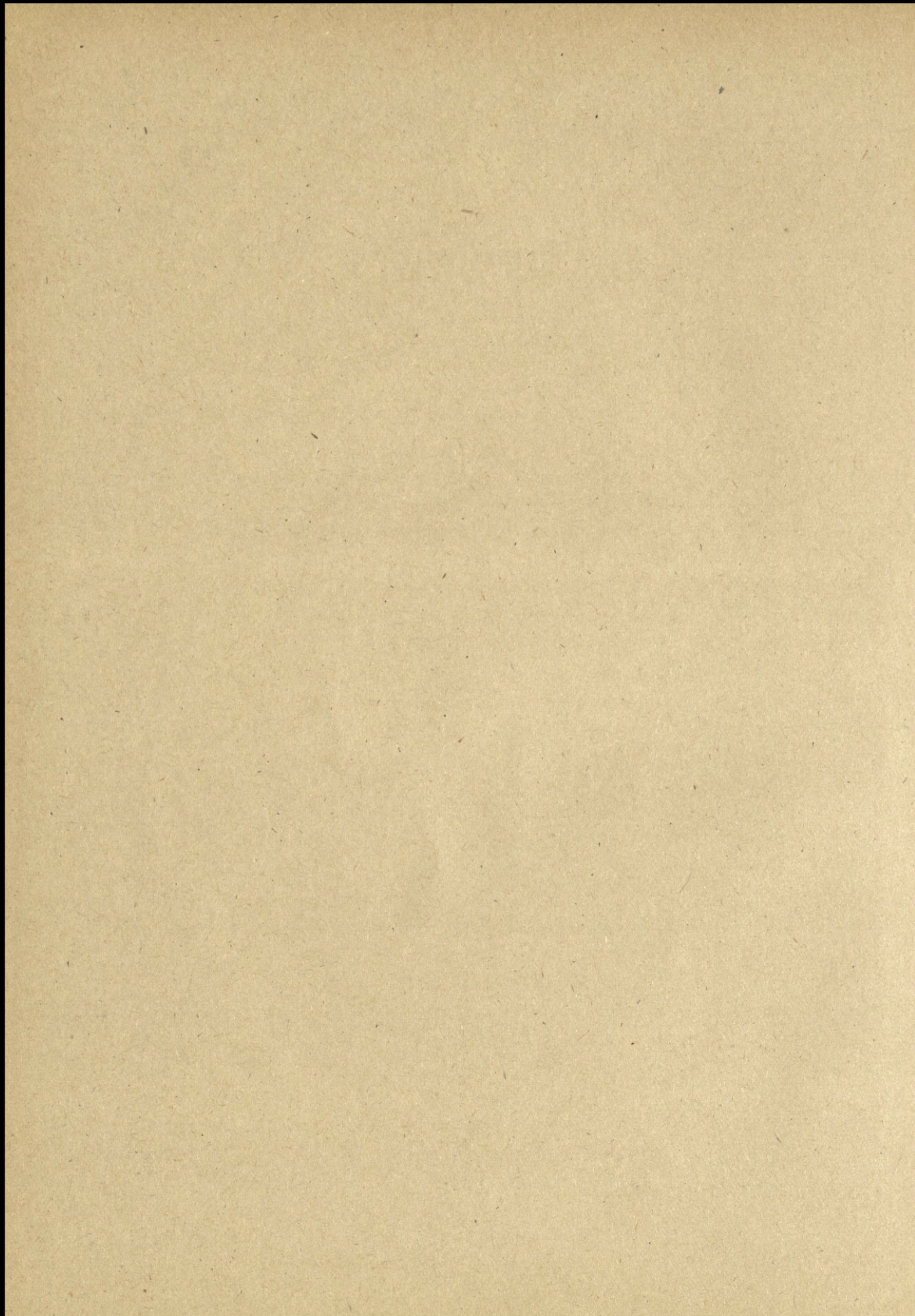
sposób. Skupili nas oto w odgradzonej połowie obozu, pozostawiając w płocie z drutu kolczastego b. wąskie przejście. Musieliśmy leżeć po prostu jeden na drugim i patrzeć, jak dziesięciu z Gestapo utworzyło szpaler trzymając długie rzemienne baty. Każdy wywołany musiał przebiec przez ten szpaler i odebrać mnóstwo razów wymierzonych w twarz specjalnie. Większa część naszych biedaków po pierwszych ciosach traciła orientację i pędziła na oślep, by wpaść na druty, zawisnąć na nich, powybijać oczy, a w końcu, dać oprawcom możliwość znęcania się nad sobą. Proceder ten trwał całą noc do białego dnia, a urozmaicany zaś był linczowaniem upatrzonych ofiar i strzelaniem ich. Do śmierci nie zapomnę, jak jeden z katów przeszedł przed moimi oczyma z grubym brzoźowym kijem, zbryzgany krwią świeżo ubitej ofiary. W głowie mi się nie mogło pomieścić, żeby to było w ogóle możliwe. A jednak — niestety.

Nie zdołałem z wrażenia ochłonąć, gdy padło moje nazwisko. W jednej chwili znużenie pierzchło, gdy wołałem: „jestem!“ Później wypatrywałem tylko owego otworu wąskiego, bo już spodziewałem się uderzenia nahajką. Lecz oto ktoś zawołał, że jestem setnikiem, i kazano mi odstać na bok. Przeżyłem tu wprawdzie chwile strasznej niepewności, gdyż nikt nie wiedział, kto był w gorszej sytuacji. Okazało się jednak, że należałem do dziesiątej części obozu, przeznaczonej do zwolnienia. Z uczuciem niewypowiedzianej ulgi brałem do rąk przepustkę, lecz łzy mi się zakręciły w oczach na wspomnienie kolegów powieszonych na 2 miesiące takiej gehenny...



W KRAJU WARTY

VI



Genowefa Krzoska

ur. 8. 1. 1932 w Poznaniu.

*Okres okupacji przeżyła w Poznaniu, mieszkając, jak i obecnie,
przy ul. Wołkowyskiej 30 m. 3.*

Uczennica XIX Szkoły Powszechnej w Poznaniu. Kl. V.

Najwięcej mnie to bolało, gdy widziałam ciężką pracę moich rodziców. Siostrę od dwunastu lat wzięli do pracy we fabryce. Przy maszynie ciężko pracowała, wyczerpując swoje siły. Przecież nie dla niej była ta ciężka praca! Gdy wieczorem wróciła do domu, też ją czekała robota. Koło siebie musiała też coś zrobić, obcierać się i wiele innych prac wykonać. Każdy czuł się zmęczony i zmarnowany. Miałam jeszcze mniejszą siostrzyczkę, z nią też była robota. W ogrodzie trzeba było też porobić, a na wszystko nie było czasu.

Mama też zmęczona była pracą. Gdy dostała 65 sztuk spodni do uszycia na tydzień, to miała dosyć. Kto może wytrzymać 10 godzin przy maszynie? Wciąż jedno i to samo szycie! A potem odnoszenie do tego miasta! Czy w zimie, czy w lecie — zawsze było ciężko. Takie ciężary nieść tak daleko — to przecież zmarnowanie! A jak sobie mama oczy psuła! Często czuła żganie w oczach z przemęczenia. Nieraz do późnej nocy siedziała i szyła, by wykończyć, bo przecież na czas nigdy nie mogła zdążyć uszyć. Nie mogłam patrzeć na tę pracę, na to męczenie się mamy. Staralam się jej pomóc, jak mogłam. Różne drobnostki robiłam, którymi mama sobie mudziła. Czasami mama nie mogła odwieźć na czas, bo nie zdążyła uszyć, to grozili, że karę dostanie. Ale mamie nic zrobić nie mogli, jak było to nad jej siły! Nie mogła uszyć, nie zmusili jej przemocą.

I w końcu mnie na jesieni ze szkoły wzięli do gospodarza. Musiałem robić od 7 do 7 z godziną obiadu, na który musiałam chodzić do domu. A miałam przeszło pół godziny drogi. Z po-

czątku nie była taka ciężka robota. Ziemniaki wybieraliśmy za maszyną. A jednak dłużyło mi się, zmęczona byłam i głodna, bo na polu miałam doskonały apetyt, a w domu nie było tyle jedzenia, żeby się można porządnie najeść. Wracalam do domu zmęczona i zmarnowana. W domu też jeszcze więcej było pracy. Na polu więcej niszczyłam rzeczy, niż w domu. Wieczorem nie mogłam dużo zrobić, bo było późno i byłam senna. Roboty było dużo, a czasu mało. I znów rychło rano się spieszyć, żeby zdążyć do pracy na czas! Cały dzień pracy, i to w strasznym zimnie lub w gorące dnie, raz tak, raz inaczej. Wieczorem późno wracałam do domu. Dzień za dniem mijał...

Gdy trzeba było kapustę i ćwikłę wybierać, było jeszcze gorzej. Ręce mdlały od haczki, plecy bolały. Cały dzień być schyloną i robić, to nic przyjemnego! Wyczekiwałam najwięcej wieczora, gdy czas było do domu. Chociaż trochę przez noc odpocząć — i znów jutro to samo.

Pracowałam przeszło miesiąc, a wydawało mi się to wiekami nieskończonymi. A jednak się to skończyło! Teraz choć mogłam trochę więcej mamie pomóc w domu. Tych pięć lat niewoli niemieckiej dało mi się we znaki!...

2

Juliusz Janiszewski

ur. 29. 3. 1932 w Poznaniu.

W czasie okupacji mieszkał w Poznaniu, ul. Woźna 16, m. 11.

Obecnie: Poznań, ul. Dąbrowskiego 64.

Uczeń XVII Szkoły Powszechnej w Poznaniu.

...Okolo połowy miesiąca września pojawiły się na murach Poznania (wówczas już „Posen“ nazywanego) plakaty, wzywające polskie dzieci do swych szkół. Toteż i ja poszedłem do szkoły, lecz zdziwiło mnie bardzo, że w żadnej klasie nie było ani krzyża, ani najmniejszego obrazka, ani nawet najmniejszego rysunku. Zdziwiło mnie też bardzo, że pan kierownik szkoły wszedł do klasy w towarzystwie policjanta niemieckiego, który naszej pani zabronił mówić głośno po polsku. A więc 3 lekcje niemieckie, 1 lekcja polska tylko! Pisać mogliśmy tylko staroniemiecką pisownią i jeszcze w języku nie-

mieckim. Lecz i tą szkołą nie nacieszyliśmy się długo. 15 listopada 1939 roku odbyła się na cały ten długi czas okupacji ostatnia lekcja w szkole 5. na ulicy Wszystkich Świętych 1. Następnego dnia dowiedziałem się, że naszą panią nauczycielkę, p. Wachowską, przesiedlono do Gubernatorstwa.

Potem nastąpiła długa rozłąka z książką i zeszytem. W tym czasie doznałem od Niemców wiele przykrości. Tak na przykład bicie od H. J., gdziekolwiek się sam za miastem ukazałem, i rozmaite inne przykrości. A jednak w tym długim czasie, jak zresztą przez całą wojnę, nie zapomniałem myśleć i czuć po polsku mimo wielu cierni, których Niemcy nam na naszej drodze życia nie oszczędzali. Dwa największe ciernie były: 1. aresztowanie mojego ojca z miejsca pracy, dnia 24. VI. 1940, za „zdradę stanu“, który do dziś nie wrócił. Drugi cierni to nieudane nasze wysiedlenie dnia 21 lutego 1941 roku o godzinie 2 w nocy. Nie zdołano nas wysiedlić z powodu tego, że mamusia moja dostała w tej samej nocy trzy ataki serca.

Dnia 12 września 1942 roku o godz. 12,30 w południe rozpoczęła się moja pierwsza lekcja niemiecka w szkole na Ratajach, dokąd miałem $2\frac{1}{4}$ km drogi. Lekcje odbywały się tam tylko 2, $1\frac{1}{2}$, 1, $\frac{3}{4}$ godziny, a czasem, jak nauczycielka nie przyszła, to nie było lekcji wcale. Po dwóch tygodniach chodzenia do szkoły zaczęto nas wysyłać, jak zawsze zresztą przez całe trzy lata, na wybieranie kartofli, kapusty i buraków za darmo do ogrodników. Gdy to się skończyło, chodziliśmy dalej do szkoły. Nasze wakacje były to 2, 3, najwyżej 4 tygodnie, w czasie których trzeba było iść do pracy rozmaitej, np. oczyszczania drzewek w parkach, pielienia itp. Do tego jeszcze mama moja chodziła 3 razy w tygodniu na posługę na 4 godziny, nie mogąc podolać swojej pracy w domu.

Nauka w tej szkole składała się głównie z... pisania. W klasach 4, 5 i 6, które w tych trzech latach ukończyłem, pisanie było „najważniejszą“ lekcją. Potem następowało czytanie i rachunki (tabliczka mnożenia). Za coś „bardzo ważnego, czego my się już nie potrzebujemy uczyć“, uważane było... dodawanie i odejmowanie ułamków i trochę geografii Niemiec i Europy. Pisać i czytać mogliśmy tylko po niemiecku, mówić na ca-

łym terenie szkoły też tylko po niemiecku. Pamiętam, że za polską rozmowę „kierownik“ szkoły SS-owiec wybił na podwórzu szkolnym jednego chłopca tak, że krew mu nosem się rzuciła. Pomimo tego wszystkiego panował w tej szkole polski duch. Mimo batów, mimo swastyki i obrazów Hitlera w każdej klasie, miała szkoła coś polskiego w sobie. Mimo kija nauczycielki mówiło się w klasie po polsku. Nauczycielki fachowej tam prawie nie było, wszystkie przeważnie żony esesowców.

W 1944 roku zostaliśmy wysłani na wybieranie kartofli i cukrówki w powiat obornicki. Ze szkoły szliśmy na osławiony arbeitsamt i tam urzędnik zapisywał każdego z osobna, tak spoglądając przy tym, że aż mróz po kościach szedł. Byliśmy na tym wybieraniu przeszło 2 miesiące, bo od początku września do 15 listopada. Przy końcu już padał śnieg, a my bez dostatecznej odzieży, trzęsąc się, musieli iść na pole i od godz. 6-tej do 18-tej wieczora ciężko pracować i nosić. Ledwo przyjechaliśmy z tej pracy do domu, musieliśmy iść do robót ziemnych na Dębiec. Na szczęście byliśmy tam tylko 2 dni. Po tych pracach rozchorowałem się ciężko i leżałem aż do Gwiazdki. Nagle potem, jak grom z jasnego nieba, ewakuowanie Niemców, działania wojenne, pożar naszego domu na ulicy Woźnej 16, wszystko minęło jak sen... I jesteśmy znowu wolni i znowu mogę do polskiej szkoły chodzić.

3

Edmund Stefaniak

ur. 28. 1931 w Węglewie, pow. Chodzież.

Obecnie: Poznań, Grobla 9. m. 25.

Uczeń X Szkoły Powsz. w Poznaniu, szkoła dla dorosłych.

...Gdy w 1942r. szedłem do sklepu*) po mleko, byłem naocznym świadkiem, jak oberleutnant Scholz doleciał do mężczyzn, stojących na ulicy, zaczął ich po twarzy bić. Nie mają stać, tylko się rozejść. Na to odpowiada jeden z Polaków, że ich na to miejsce władze niemieckie zamówiły do pracy, a ów Nie-

*) Poznańskie określenie na sklep spożywczy.

miec zaczął ich obrzucać różnymi przezwiskami i wszystkich rozpędził, że on nie chce widzieć Polaków w grupach.

Podczas okupacji było nam źle. Nie wolno było na ulicy rozmawiać po polsku. Ustały zabawy na ulicy, bo Niemcy odbierali nam rowery, piłki itd. Nawet na lodzie nie mieliśmy spokoju. Patrząc nawet nie było wolno na zabawy Niemców, bo od razu rzucali się na nas i bili nas.

Ja musiałem iść do pracy. Musiałem pracować 10 godzin dziennie. Musiałem chodzić pieszo z Ławicy aż na Groblę do gazowni. Hitler-Jugend bili mnie, gdy szedłem do pracy. Gdy chory byłem i nie mogłem iść do pracy, to werkschutz przyjechał po mnie do domu i zabierał mnie z sobą. Później w gazowni do osobnego pokoju zamykał i trzcinał bił. Ciężko było mi za Niemców. Pracować musiałem i często głodny i zziębnięty. Krzywd doznanych nigdy Niemcom nie przebaczę.

4

Bożena Jahns

ur. 14. 11. 1931 w Kiekrzu, pow. Poznań.

W czasie okupacji mieszkała i obecnie mieszka w Poznaniu, ul. Wroniecka 17 a.

Uczennica Publ. Szkoły Powsz. nr 40 w Poznaniu. Kl. V.

W drugim roku wojny musiała mamusia chodzić do pracy. Musiała ciężko pracować w jednej z fabryk na św. Marcinie. Od rana 7 do godz. 4 po południu. Tatuś chodził też do pracy od 8 rana do godz. 5 wieczora. W drugim roku wojny zaczęłam chodzić do szkoły na Rataje, 3 km. W domu sprzątałam, gotowałam obiad, chodziłam po zakupy. Jak mamusia przyszła od pracy, to zrobiła kolację, tatuś przyszedł do domu od pracy, najedliśmy się kartofli i zupy, potem pomyślałam naczynia i zrobiłam łóżka, pomyśleliśmy się, moje siostry poszły spać, a ja pisałam lekcje, mamusia jeszcze szyła, sporządzała bieliznę i sukienki do godz. 12 w nocy, czasem i do 1.

Rano musiałam wstać o godz. 6, to mamusia już szła do pracy, a tatuś dopiero wstawał, bo miał do pracy bardzo blisko, więc się nie potrzebował spieszyć. Przeszedł znowu dzień, mamusia przyszła do domu i tatuś zmęczony; nie chciało im się

nie robić, ale pełno pracy, więc musieli znowu robić do późnej nocy.

Piąty rok wojny musiałam iść do pracy, więc nie mogłam już tyle w domu pomóc, musiała moja siostra więcej robić w domu. Dostałam pracę w fabryce olejków i różnych esencji. Tyle że miałam do pracy blisko, zaraz w tej samej kamienicy z drugiego wejścia z ulicy Mokrej. Chodziłam na godz. 7,30 rano do godz. 5 wieczora. Zaraz rano zrobiłam w trzech piecach ogień, przyniosłam węgla ze sklepu, posprzątałam w biurze. Narąbałam drzewa na drugi dzień, potem robiłam przy nalewaniu olejków i przy esencji. Szłam do składu załatwiać rzeczy biurowe. Myłam butelki do esencji, nalepiałam etykiety na flaszki, i przyszedł dzień, o godz. 5 musiałam iść do biura, podpisać się, że byłam cały dzień u pracy, potem szef kazał iść do domu, i jak my wychodzili, to szef kontrolował, czy się czego nie wynosi. Dostałam płacone 10 fenigów na godzinę, a na tydzień 3 marki. Musiałam wszystko robić, bo byłam najmłodsza.

Najstraszniejsza ta chwila była w 3 roku wojny, 25 maja, przyszli do nas gestapowcy o godz. 2 w nocy i został tatuś aresztowany. Mamusia pytała się, czy może dać mydło, ręcznik i bieliznę, a oni mówili: „Do czego? Przecież on jutro przyjdzie!“ Tatuś, jak odchodził, to się żegnał z nami, a my płakali i chcieli my wyjść na korytarz za tatusiem, to ten gestapowiec zamknął nam drzwi przed nosem i powiedział, że mamy siedzieć cicho, bo tatuś jutro przyjdzie.

Od tego dnia nastąpiły dla nas straszne chwile. Nie mieliśmy pieniędzy i nie było co jeść. Odżywialiśmy się samymi kartoflami i zupą, to co my dostali na kwitki, to posłaliśmy tatusiowi na fory 7*). Oczekiwaliśmy tatusia i upłynęły dni, tygodnie i miesiące. Po trzech miesiącach wrócił tatuś chory i słaby. Od dnia tego była wielka radość nie do opisania. Po wyleczeniu zaczął tatuś pracować. Od tych dni był tatuś smutny i zamyślony, nie chciał nigdzie wychodzić. My tatusia wciąż

*) Fort VII w Poznaniu służył za więzienie i obóz koncentracyjny.

wyciągali z domu na przechadzkę, by się tatuś z nami rozwe-
selił i żeby przyszedł do zdrowia, jakie przedtem miał.

5

Janina Tokłowiczówna

ur. 6. 5. 1931 w Poznaniu.

Okupację przeżyła w Poznaniu, na Śródce 3 m. 5. Obecnie tamże.

Uczennica 19 Szkoły Powszechnej w Poznaniu. Kl. V.

...Najbardziej pozostał mi w pamięci dzień 20 października 1939 r. Będąc mimo woli na stacji kolejowej, zauważyłem nadjeżdżający pociąg jeńców. Wtem pomiędzy tyłu żołnierzami dojrzałam mojego ojca. Ogarnęła mnie ogromna radość! Nie zwracając wcale uwagi na niemieckich żołnierzy, starałam się całymi siłami dotrzeć do mego ojca. Gdy byłam przy ojcu, dotknęło mnie boleśnie, bo ujrzałam ojca rannego i bardzo zmarnowanego. W ostatnim momencie zauważył mnie żołnierz niemiecki, więc brutalnie mnie od ojca mego oderwał. Po dwóch dniach przyszedł ojciec jako jeńiec zwolniony do domu. Z powodu zadanych ran leżał długo chory, a 23 marca 1943 r. zmarł.

6

Ineza Sobecka

ur. 28. 6. 1930 w Rogoźnie, pow. Żnin.

W r. 1937 rodzice Inezy przenieśli się do Zamościa. W czasie wojny rodzice zginęli najprawdopodobniej z rąk Gestapo. Pozostało dwoje sierot.

Obecnie mieszka Ineza u babki, Jadwigi Katafiasz, Gniezno, 3 Maja 15.

Uczennica Publ. Szkoły Powsz. nr 6 w Gnieźnie. Kl. VI.

...Był piękny dzień czerwcowy w roku 1940. Wczesnym raniem usłyszeliśmy gwałtowne walenie do drzwi. Wpadło kilku gestapowców. W oczach ich malowała się wściekłość i okrutność. Rozbiegli się po naszych pokojach, wszystko przewrócili i rozkazali moim rodzicom i wujkowi ubierać się — i zabrali ich do przygotowanych samochodów. Z naszej kamienicy dużo wzięli wtenczas mężczyzn i kobiet. Za co — nikt nie wie. Ślad po moich rodzicach zaginął, gdyż Niemcy wywieźli ich w nie-

znane. Straszne życie nastało dla mnie i dla mego brata, gdyż zostaliśmy sami bez opieki i opuszczeni. — Jakże bolało i boli serce na wspomnienie tych ciężkich chwil, jakie przeżyłam, nie umiem tego przelać na papier. Zbyt to bolesne i przykre.

Po upływie kilku miesięcy przyjechała po nas ciocia z Gniezna, gdzie znaleźliśmy opiekę i serce. Bóg nie opuścił nas. Jest nam tu u babci i cioci dobrze.

Czekamy jednak z utęsknieniem jakiegokolwiek wiadomości o moich kochanych rodzicach i wujku, o co gorąco prosimy Pana Boga.

7

Krystyna Warczyńska

ur. 4. 1. 1931 w Poznaniu.

W czasie okupacji: Poznań, ul. Dominikańska 7. Obecnie: Poznań, ul. Raczyńskich 2.

Uczennica Publ. Szkoły Powsz. nr 40 w Poznaniu. Kl. V.

Pracowałam we fabryce kremu „Nivea“. Wstawalam o godzinie 6, we fabryce miałam być o godz. 7. Robiłam przy czyszczeniu szkieł do kremu. Musieliśmy się bardzo spieszyć, by nadążyć na maszynę, by odstawiła tyle, ile nam kazano. Co tydzień zimą jechaliśmy do Antoninka do huty szkła, by przywieźć nowe zapasy pudełek i butelek.

Pewnego dnia pojechał z nami majster, by nas pilnować. Po skończeniu roboty poleciliśmy zwiedzić hutę, gdyż majstra nie było, był w jadalni i grzał się. Chcieliśmy się też iść ugrzać i uciekliśmy. Gdy naraz do sali wlatuje dziewczynka i mówi, że już na nas czekają od pół godziny, i że majster jest bardzo zły. Więc pobiegliśmy prędko i zastaliśmy go przy drzwiach samochodu. Najpierw nas zapisał, potem każda dostała w twarz od niego.

Gdy przyjechaliśmy do fabryki, zaraz musiałyśmy składać przywiezione towary. Za chwilę przyszło zawezwanie do biura, każda inaczej mówiła, dlatego że pojedynczo wchodziliśmy do biura, później każda patrzyła na szafę, w której leżała trzcinka, wtem otwiera się szafa i nielitościwe ręce majstra wzięły ją i znów nią dostaliśmy. Wtem wypadło z okrutnych, brzydkim uśmiechem wykrzywionych ust dyrektorki słowo:

„Eine Woche Strafarbeit!“ Wyrok ten otrzymałyśmy ze łzami w oczach, gdyż nie płakałyśmy dlatego, że dłużej zostaniemy, ale dla tego popędzania. Mieliśmy pracować do godz. 6, a pracowaliśmy do 8. Za nadgodziny nie płacono. Na tydzień płacono 7 marek.

Mamusia pracowała w pralni, prasowała kołnierzyki i inne rzeczy. Wieczorem były tylko narzekania, ale każdy uciekał spać, by się rano nie spóźnić. Ja jadłam obiady we fabryce, obiady mieliśmy dobre. Gdy jeszcze chodziłam do szkoły, była u nas rewizja. Chodzili od sklepu do sklepu i przewracali wszystko. Jak przyszli do naszego sklepu i pukali w ścianę, odbiło się głucho, wybili ścianę, ujrzeli za pomocą latarek mnóstwo materiałów. Zaraz przyjechał wóz i zaczęli wynosić ubrania, płaszcze, lisy, futra, watelinę, podszewki i guziki do płaszczy. Tak wynieśli dwa wozy, w których się meble wozi, „wozy Hartwiga“. Zaraz aresztowali dziadzię. Ale były tam stemple sprzed wojny, imię i nazwisko właściciela, który pochował sobie, gdy Niemcy odbierali składy. Potem go wywieźli.

Nigdy nie zapomnę 6 sierpnia, gdy mamusia wyjeżdżała na „Einsatz“. W sobotę dostała mamusia wiadomość z arbeits-amtu, że musi jutro wyjeżdżać. Okropnie żeśmy się zmartwili, wszyscy płakali. Mamusia miała być chrzestną matką i musiała wyjechać. Gdy rano mamusia musiała iść na dworzec, poszliśmy z nią. A gdy już kolej ruszyła i wszyscy się rozeszli, patrzyłam na niknącą mi z oczu kolej, unoszącą gdzieś w dal moją ukochaną mamusię.

8

Ryszarda Krysiakówna

ur. 8. I. 1932.

W czasie okupacji mieszkała w Poznaniu, ul. Górczyńska 7a m. 1. Obecnie tamże.

Uczennica Publ. Szkoły Powsz. nr 10 w Poznaniu. Kl. VI.

Czas okupacji niemieckiej był dla mnie jak i naszej całej rodziny wieńcem żałoby. Już 6 października 1939 r. rozstrzelano mojego wujka. Był on naczelnikiem „Fundacji Kórnickiej“. Razem z nim zginęło 14 obywateli z Kórnik, i to na rynku. Zginęli oni z okrzykiem na ustach: „Niech żyje Polska, niech

się pomszczą nasze dzieci!“ Rodzina nasza była tym do głębi wzruszona, marzyliśmy tylko o końcu tej okropnej wojny i o zemście, a tu niestety wojna jak się ciągała, tak się ciągała, biorąc coraz więcej ofiar.

Zaczęło się okropne wywożenie. Byliśmy stale podenerwowani, a gdy wieczór nadchodził, to ja zawsze drżałam. Mieliśmy swoje tobołki uszykowane i byłoby dla nas może lepiej, gdybyśmy byli wywiezieni, bo miałabym może dzisiaj mojego tatusia. Było to 20 kwietnia 1940 roku, pamiętny i okropny dla nas rychły niedzielny ranek; godzina 4,30 — do naszego mieszkania weszło dwóch brzuszatych gestapowców, przyszli po mojego tatusia, kazali mu się ubrać i iść z nimi, — ach! pożegnanie niezapomniane. Płacz nasz, to jest troje dzieci, z których, ja najstarsza, obecnie 13 lat, i mojej mamusi, nie wzruszał tych zbirów. Tatuś mój wyszedł, z płaczem, lecz pewny i z dumą Polaka. Wyszliśmy na próg, a w samochodzie, który stał na ulicy, było już dwóch Polaków, a tatuś był trzeci. Dzień spędziliśmy z mamusią jedynie na modlitwie z prośbą o powrót tatusia.

Nie skończyło się na tym, bo w następną noc przyszło 5 takich zbirów po mojego dziadzię, to jest ojca mojej mamusi. W tę noc zabrano jeszcze wiele innych Polaków, a między nimi i naszego proboszcza górczyńskiego. Dni i tygodnie po zabraniu tatusia i dziadzi były okropne.

Po dwóch miesiącach dostaliśmy list od obydwu, że się znajdują w obozie koncentracyjnym w Dachau. Żadne starania nie pomogły, Bóg ich dopiero wybawił, bo 24 listopada 1940 r. umarł tam, rzekomo, dziadek, a 28 listopada mój tatuś. I tak zginęli nasi opiekunowie. Urny ich pochowaliśmy uroczyście w Górczynie. I tak została moja mamusia sama z nami.

Życie nasze nie było łatwe, mamusia pracowała w drukarni, i to tylko nocą. Ja jako najstarsza musiałam gospodarstwo w dużej mierze sama prowadzić. Gdy rozpoczął się „Einsatz“*), bałam się bardzo, czy i mnie nie zawezwią. Teraz już lekko oddycham, bo minęły nareszcie czasy okupacji germańskiej.

*) Określano tym mianem przymusową pracę przy budowie okopów w ostatnich miesiącach przed końcem okupacji.

Niezwyciężona Armia Czerwona wraz z nieśmiertelną Armią Polską przyniosła nam upragnioną wolność. Raduję się wolnością i cieszę się, gdy widzę moje koleżanki, które czekają na powrót swego tatusia, ale równocześnie tak bardzo smutno mi. Ciągle mi w duszy coś mówi: czemu mój tatuś już nie wróci?

9

Zygmunt Krajewski
ur. 17. 4. 1933 w Poznaniu.

Obecnie tamże.

Przed i w czasie wojny zamieszkały w Poznaniu, ul. Mostowa 24, m. 14.

Uczeń XXXVII Państw. Szkoły Powsz. Kl. VI.

Za czasów okupacji niemieckiej zostałem dnia 20 maja 1943 r. przemocą z domu rodzicielskiego zabrany i wywieziony do obozu w Kaliszu, gdzie po czteromiesięcznym przeszkoleniu w duchu hitlerowskim odstawiono mnie i wielu innych chłopców do Austrii, miejscowości Gmunden nad Dunajem. Początkowo było dość znośnie, jedzenie możliwe, aż wreszcie, gdy nam zabroniono mowy polskiej między sobą, zaczęła się gehenna.

Na salach, gdzie nas było po czterdziestu chłopców w wieku od sześciu do trzynastu lat, był program następujący: rano pobudka o godzinie 6, poczem gimnastyka, po gimnastyce mycie, ubieranie, porządkowanie łóżek i o godzinie pół do ósmej śniadanie, poczem zbiórka i rozpoczęła się praca w ogrodzie, jak: kopanie, noszenie wody itp.

Było to ciężkie zadanie, niejeden się pozrywał i chorował, a za małe uchybienie lub nieposłuszeństwo, czy też polską mowę bito nas lub nie dawano jeść, lub trzeba było godzinę dłużej pracować. Ja, że nie wypierałem się polskości i na złość rozmawiałem po polsku, przywiązywano mnie do pala i biło, a że byłem twardy i nieugięty, wytrzymałem.

Gdy przyszła zima, było trudniej wytrzymać, gdyż chodziliśmy lekko ubrani po hitlerowsku. Zjeżdżały się Niemki i wybierały sobie chłopców, którzy im się spodobali.

Wmawiano mu, że rodzice jego nie żyją, i dlatego dostaną innych. Imiona i nazwiska chłopców zmieniano na niemieckie. Za mojej bytności, pamiętam, było kilka takich wypadków.

Gdy mnie Niemki zaczęły okłamywać, częstując cukierkami, zrozumiałem wszystko i dlatego odpowiadałem po polsku, co naturalnie pociągnęło straszną karę, którą wolałem ponieść aniżeli hańbę i pójść w hitlerowski dom. Wszelkie ich próby nie odnosiły pożądanego skutku. W końcu udało się mi stamtąd zbiec i przy pomocy dobrych ludzi wrócić do domu. Lecz tak się przeziębilem, że do dziś dnia cierpię na pęcherz. Ale duszy polskiej nie zaprzedałem.

10

Celina Marciniakówna

ur. 11. 11. 1931 w Rąbiniu, pow. Kościan.

Podczas okupacji mieszkała w Rąbiniu i obecnie tam mieszka.

Uczennica Publ. Szkoły Powszechnej w Rąbiniu. Kl. IV.

Ja, Celina Marciniakówna, urodzona 11. 11. 1931. roku w Rąbiniu, podaję moje wszystkie smutne wspomnienia z czasów okupacji.

Gdy wkroczył Niemiec na nasze polskie ziemie, miałam wówczas lat 8. Były to moje lata dziecinne, które przeważnie bywają u dzieci wesołe, swobodne, beztroskie. Lecz ja nie zaznałam tych pięknych lat dziecinnej wesołości, gdyż zabrał mi ją w całości Niemiec a pozostawił szereg smutnych, tragicznych wspomnień, płaczu i bólu. Było to na początku września. Z dala słychać było huk armat, dookoła panował ogień, ludność przestraszona płacze, pyta się jeden drugiego, co robić? co się z nami stanie? Jedyna odpowiedź brzmiała: uciekać. Lecz dokąd? Za Wartę.

Wtenczas nastąpiło masowe uciekanie, uciekaliśmy, nie wiedząc gdzie, z tą myślą jedynie, by uciec jak najdalej przed wrogiem. Ludność z naszej okolicy zdążyła uciec tylko za Wartę, do miejscowości Luciny. Tam porozkładaliśmy się obozem na polach, lasach, ogrodach itd. Ponieważ dochodziły nas pogłoski, że ucieczka dalsza jest bezcelowa, iż wróg wkracza całą siłą i każdej chwili może przejść za Wartę, wtenczas beznadziejna ludność oddała się pod opiekę Boga. Na tej ucieczce pozostaliśmy cały tydzień, wśród zimna, niewygody, deszczu i burzy.

Po tygodniu doszła nas smutna wiadomość, iż naszą wioskę zajął nieprzyjaciół i my mamy wracać z powrotem do domu. Nastąpił więc smutny i pełen strachu powrót, bo każdy przeczuwał, co z nami będzie. Powrotna droga była o wiele gorsza, ponieważ wszystkie mosty były potrzaskane. Wtenczas przeprawialiśmy się przez Wartę łódkami, konie, bydło i wozy przewozili na promach. Po drodze natrafialiśmy wszędzie na wojsko niemieckie, zaczepiali nas, badali papiery i kazali wracać do swoich mieszkań.

Przyjechaliśmy do naszej wioski, która nam się teraz przedstawiała więzieniem. Nigdzie nam nie było wolno wyjść, wszystkie drogi obstawione patrolą, cała wioska obstawiona maszynówkami tak, że dla nas drogi wyjścia nie było i jedyną nadzieję mieliśmy w Bogu. Wkrótce potem każdy Polak musiał się zameldować i pracować. Praca dla nas była ciężka, a żywności bardzo mało. Dali nam kartki żywnościowe, które nie wystarczyły do utrzymania życia. Aby nie umrzeć z głodu, Polacy zabijali potajemnie świnie, czym narażali swoje życie. Ofiarą padli moi Rodzice. Jest to najgorsze, najsmutniejsze moje wspomnienie, którego nigdy nie zapomnę. Ten wróg, zbrodniarz zabrał do więzienia mojego Ojca i Matkę, a wraz z nimi całą uciechę, całe szczęście moje. Pamiętam to dokładnie.

Dnia 23 czerwca 1941 roku po południu Rodzice moi byli przy pracy, starszy brat Maryś niósł im podwieczorek, młodszy brat Janek bawił się z dziećmi, a ja byłam zajęta pracą domową. Wtem wchodzi policja. Było ich pięciu, zapytują się, gdzie są Rodzice, a ja bardzo przestraszona, daję im odpowiedź, że są przy pracy. Na ich surowy rozkaz pobiegłam po nich, a oni w tym czasie przeprowadzali w naszym domu rewizję. Gdy wróciliśmy do domu, wszystko było poprzewracane, bielizna i rzeczy leżały na ziemi. Przy tej rewizji znaleźli mięso wieprzowe, kazali natychmiast Rodzicom ubrać się i zabrali ich na policję. Tam spisali protokół, poczem Rodzice wrócili do domu wieczorem o godzinie 9. My, spłakane dzieci, bardzo żęśmy się powrotem Rodziców ucieszyły i myślałyśmy, że na tym będzie koniec i że nam Ich nie zabiorą.

Lecz niedługo trwała ta uciecha. Nadszedł dzień dla nas bardzo smutny, pełen rozpaczy, płaczu i bólu. 17 listopada o godzinie 10 przed południem przychodzi znów policja, aby nam zabrać Rodziców. W płaczu i rozpaczy, żegnając Rodziców, nie przedstawialiśmy sobie tego, że ich już nigdy nie zobaczymy i że zostaniemy sierotami. Po odejściu Rodziców zaopiekowała się nami sąsiadka, zawiadomiła zaraz Ciocię, która wzięła nas w opiekę aż do dzisiejszego dnia.

W krótkim czasie pisała do nas Mama list, iż znajdują się w więzieniu w Poznaniu na ulicy Młyńskiej. Z Poznania wywieziono mamę do obozu Fordon, a tatę do Wroniek. Parę razy dostaliśmy bardzo smutną wiadomość, iż Tato nie żyje, zmarł. Po pewnym czasie wywieziono tatę do Mauthausen i w tym więzieniu Tato pozostał w wielkich męczarniach do końca swego życia, a Mamę wywieźli do Oświęcimia. W lutym 1943 roku dostaliśmy bardzo smutną wiadomość, iż Tato nie żyje, zmarł dnia 20 grudnia 1942 roku. Ta wiadomość była dla nas ciężkim ciosem, my dzieci wtenczas zrozumialiśmy, że jesteśmy sierotami. Nieograniczona rozpacz ogarnęła nas na wspomnienie o tym, że wśród męczarni musiał zakończyć swe życie.

Pozostała nam tylko Mama, lecz smutne przeczucie ogarniało nas ciągle, że każdej chwili dostaniemy tę samą wiadomość. To przeczucie nas nie zawiodło, gdyż we wrześniu 1943 roku przyszła smutna wiadomość o śmierci Mamy dnia 6 marca 1943 r. I znów rozpacz, płacz i ból zajęły miejsce w naszym domu, zdawało się nam, że nie zdołamy tego przeżyć, lecz Pan Bóg nad sierotami czuwa, dał nam tyle siły, że to nieszczęście przeżyliśmy...

11

Halina Kowalska

ur. 8. 2. 1926 w Konarzewie, pow. Poznań.

W czasie okupacji przebywała w Dopiewcu, pow. Poznań, gdzie ojciec

Haliny był administratorem, później włodarzem.

Obecnie Brudzewo, pow. Śrem.

Uczennica IV Państw. Gimn. i Lic. Żeńsk. im. Kl. Potockiej. Kl. I b.

...Już w pierwszym roku na majątek, w którym Ojciec był administratorem, przybył pewien Niemiec, nazwiskiem Kauffman,

człowiek, który przez całe 20 lat siedział w Polsce. Umiejąc dobrze po polsku, w napadzie złości tylko tego języka używał. Z początku był dobrym, czynił tak, by nam dogodzić. Ciągłe Ojcu opowiadał, że on będzie dbał o rodzinę, by się nie rozpadła. Były to bowiem już dni zabierania młodzieży na pracę do Niemiec. Najstarszego brata przeznaczył na pomocnika Ojcu, drugiego, choć był jeszcze dość młodym zrobił włodarzem. Jedną z sióstr przyjął do biura w głównym majątku, a reszcie rodzeństwa i mnie kazał siedzieć w domu. Chwalił się nami na całą okolicę, chociaż myśmy go całą duszą nienawidzili.

Aż jednego pięknego dnia „wyszło szydło z worka“. Zaczął Ojca namawiać na podpisanie listy „Volksdeutsch“. Chciał więc ten łotr, byśmy wyrzekli się polskości. Nie, to było niemożliwością. My, którzy przez tyle lat żyliśmy w niej i dla niej, mieliśmy się wyrzec Jej i wiary. Po takiej stanowczej odpowiedzi zaczął nas ten straszny tyran prześladować i wszystkich ludzi z tego majątku. Jedną jedyną jego karą to było bicie. Za każde małe przewinienie, za każde wyprostowanie się przy pracy i niewyraźną odpowiedź bił robotników, a Ojcu nakładał karę pieniężną. Zdarzało się bardzo często, że Ojciec nie otrzymywał wcale pensji.

Był to naprawdę człowiek straszny, dużego wzrostu, otyły, w gniewie ryczał jak bydlę rozjuszony, wykrzykując ciągle „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Jeden raz byłem świadkiem takiej furii. Przyjechał do dziewczyn, które przebierały ziemniaki, i do dziś nie wiem, o co poszło, w każdym bądź razie zaczął ryczeć jak lew i bić dziewczęta, które naturalnie rozbiegły się po całym podwórzu. Ale za nie wszystkie odebrał włodarz podwórzowy, chłop jeszcze raz od niego wyższy, na pewno by jednym zamachem go zgniótł. Musiał jednak stać spokojnie, a Niemiec prał go po twarzy niemilosierdzie swą dużą łapą, drugą trzymając go pod gardłem. Krew spływała mu po twarzy, lecz to było jeszcze za mało, (Niemiec) użył jeszcze jednej metody, deptania po palcach. Po wyładowaniu swej złości wszedł na powózkę i odjechał, a włodarz był chory i zagłuchł.

Tego rodzaju pobicia zdarzały się codzienie, jak nie na jednym, to na drugim lub trzecim majątku. Jednym z największych wydarzeń było jeszcze pobicie starca, liczącego około 60 lat. I znowuż pytanie: za cóż? Nie wiadomo. Może dlatego, że nie uklonił się córce i nie powiedział „Wielmożna panienko“. Zawołał więc go do biura i w oczach pracujących tam zaczął go bić, kopać, a w końcu wziął swój gruby wiśniowy kij i bił tak długo, aż go nie złamał. Siostra, nad której głową świstał kij, musiała siedzieć skulona i patrzeć, jak raz po raz na biurko jej spadała kropla polskiej krwi, niesłusznie wylanej. Skończyło się na tym, że chłop ten nie mógł już pracować. Został więc całkowicie zwolniony.

Z dnia na dzień Kauffman stawał się gorszym. Sprowadził sobie młodego „dyrektora“ z Niemiec, który używał takich samych metod jak on, z tą różnicą, że taką ofiarę zamykał w drwalni przed biurem, kazał jej się rozebrać do pól i młócił wprost niemiłosiernie tak długo, aż się nie zmęczył. Wtenczas to słyszeć było wokoło jęki i odgłosy uderzeń. Potrafił także wpaść do domu takiej kobiety, która nie stawiała się do pracy, i rozbić kijem szafę i wszystkie garnki.

Widzimy więc z tego, że „pan Kauffman“ nie był sam takim zwyrodnialcem, lecz byli nimi wszyscy starzy i młodzi Niemcy. Gdy jeszcze raz wspomniał Ojcu o tym haniebnym podpisie i znowuż otrzymał kategoryczną odpowiedź, zaczął działać jeszcze inaczej. Zapędził nas wszystkich do ciężkiej pracy na majątku. Z siostrą z biura postąpił w podobny sposób. Ojca, brata straszył zawsze „Gestapem“, posądzając ich o sabotaże. Oj, jakie to straszne były dni, gdy wracając z pola po całodzienną pracę (od 6 rana do 8 wieczór) dowiadywałam się zawsze o jakimś nowym dokuczeniu. Ojciec już był tak wyczerpany nerwowo, że kilka razy prosił o zwolnienie, lecz zawsze otrzymał odpowiedź: „Tu zdechniesz“.

Tak, lecz polskie przysłowie mówi: „Nie życz drugiemu, co tobie niemiłe“. Bóg chyba wysłuchał naszej prośby. Pewnej listopadowej nocy auto, wiozące Niemca i „pewną damę“, uległo rozbiciu na torze kolejowym Poznań — Zbąszyń. Szofer — Polak wyszedł kompletnie cały, a z nich kupa gnatów i mię-

siwa. Przyznam się, że takiej radości, jak tej nocy, w naszym domu nie było przez całą wojnę. Jeszcze jednak przez długi czas nie mogłam sobie uświadomić, że ten łotr nie żyje.

Jedno zło minęło, a wszyscy pytali się, co dalej będzie? Kto przyjdzie? Czy będzie lepszy, czy też gorszy? Przyjechał. Był młody, ale tak samo nerwowy jak tamten. Operował więcej karami pieniężnymi. No, ale co do niedziel, to nie wiem, czy przez całe lato była chociaż jedna wolna. Nie był wcale gospodarzem i sam często nie wiedział, czego chce. Dwa razy Ojca zwolnił i dwa razy przyjął go z powrotem.

Mnie zapędził do pracy na spichrz. Tak przeszliśmy z deszczu pod rynnę. Oj, była to bardzo ciężka praca znosić zboże przywożone z trzech majątków na swych barach, i to na pierwsze, drugie i trzecie piętro. Nie przyzwyczajona do noszenia cetnarów, czułam się okropnie. Nie było chyba dnia, w którym bym nie płakała. Od rana do nocy pracować, ani z nikim pogadać, ani nic przeczytać, ot, życie zwierzęcia, ale nie człowieka. A jeszcze gdy przyjeżdżał „szef“, trzeba było się kłaniać, bo inaczej urządzał Ojcu wielką awanturę. Ile mnie to kosztowało, to tylko jeden Bóg wie. Dokuczał w trochę inny sposób, jak pierwszy, ale to równie bolało. I te całe 5 lat były jednym wielkim cierpieniem, połączonym jednak zawsze z nadzieją.

Przyszła ta chwila, kiedy nasz „szef“ z płaczem wyjeżdżał, a za nim goniły tysiące życzeń: „Obyś nie dojechał, żebyś cierpiał tak, jak my“ itd. Tak, myśmy cierpieli ufając Bogu i wierzyli, że On nam pomoże w powstaniu z gruzów i popiołów. Lecz oni nie znali Boga, zapomnieli o Jego mocy, tak i On teraz zapomni o nich na zawsze.

12

Józefa Szulcówna

ur. 23. 10. 1921 w Poznaniu.

W czasie okupacji przebywała w Tomickach, pow. Poznań, „Heinrichshagen“.

Obecnie: Poznań, Podkomorska 27.

Uczennica IV Państw. Gimn. i Lic. Żeńsk. im. Kl. Potockiej w Poznaniu. Kl. II lic.

...Los mój był taki, jak wielu innych. Wygnana z własnego domu, musiałam szukać, gdzie chciałam, choćby znośnych warunków, by żyć, by nie poddać się brutalnej przemocy.

Po wielu bezowocnych zabiegach znalazłam wraz z rodziną „swój kąt“ i zaczęłam pracować — tu początek mych najbardziej przykrych wspomnień. Dostałam brązową książeczkę z napisem „robotnica rolna“ i od tej chwili stanowiłam drobne, znikome kółeczko w ogromnej maszynie. Zatraciłam gdzieś siebie, zostało tylko nazwisko, zawód, numer książeczki i praca. Dni snuły się szare, jednostajne, beznadziejne... Do pracy chodziłam pieszo 2 km, na godzinę 5,30, bez względu na pogodę; jak ochłap rzucano godzinę południa — wolnego, i znów do ósmej — formalnie, a właściwie tak długo, dopóki słońce nie zaszło. Nie było wytchnienia, gdyż Niemiec — polakożerca, nienawidzący wprost fanatycznie Polaków, zarządzał majątkiem.

Tak zwany „apel“, czyli zbiórka przed pracą i rozdzielanie jej przez urzędnika gospodarczego, odbywał się punktualnie o 5,30, biada, gdy ktoś się spóźnił lub zachował się tak, np. gdy miał minę, która nie podobała się okrutnemu władcy, wówczas spadały na plecy biedaka, na twarz, na całe ciało razy szpicruty skórzanej, której używał podczas konnej jazdy, lub laski okutej przy zakończeniu żelazem. Nie oszczędziły nikogo ani siwe włosy, ani wiek, nie wzruszyła prośba błagalna, ciężka choroba lub dostojność macierzyństwa. Bił, walił po prostu, zostawiając na czas długi sińce ciemnofioletowe lub nawet raniąc boleśnie.

Drżałam na widok tego tyrana. Uderzył mnie, tak jak innych, mocno, boleśnie. Szalał tyran, wysyłał ludzi do więzienia za najmniejsze uchybienia w służbie, a jego powozik, zaprzężony w czarnego konia, był postrachem ludzi pracujących w polu.

W największym skwarze lub słońcu, podczas szalejącej burzy potrafił bacznie dozorować ludzi na polu i popędzać przekleństwami lub ciężkimi razami swej dłoni czy nogi. Choć woda spływała po robotnikach strumieniami, nie puścił do domu, a nawet groził i wściekał się, gdy trzeba było podczas pracy załatwić swe osobiste czynności.

Pasją jego była praca w niedziele i święta. Pracowaliśmy w święta Wielkiejnocy, w niedzielę, a gdy było jego kaprysem,

by dana praca została w jednym dniu skończona, potrafił przetrzymać na polu do nocy. Przy świetle księżyca i cykaniach świerszczy uprawialiśmy rolę, znosząc ciężkie kamienie i kupy perzu. Dziękował nam batem.

Z satysfakcją patrzył na delikatne ciała kobiece, uginające się pod brzemieniem półtoracetnarowego worka zboża, śrutu czy mąki, na znoszenie buraków cukrowych w ciężkich drewnianych skrzyniach i dźwiganie „szepla“ ziemniaków podczas pracy na akord. Lepiły się worki na plecach od błota, ściekała woda po plecach, drżało ciało przejęte zimnym ubraniem i wiatrem. Zapadały młode organizmy na zdrowiu, przeważnie na płuca. Z przestachu przed katem i z wyczerpania mdlały dziewczęta, a jedna z nich spadła przy ustawianiu stogu, łamiąc sobie żebra i nabywając niewyleczalnej choroby płucnej, połączonej ze stałą gorączką.

I tak snuły się dni pełne ciężkiej pracy na roli — przy przerywce brukwi i cukrówki na kolanach blisko 4 tygodnie, przy monotonnej i męczącej dziabce..., przy wyczerpującej pracy na akord podczas żniw, wybierki perek, młócce, ustawianiu i zwózce stogów. Choć ktoś był chory, to groził obozem i bił. Nie pozwalał posyłać po doktora, mówiąc, że im szybciej zdechnie, tym lepiej dla niego.

Beznadziejnie smutna była ta wegetacja codzienna. Dopelniały ją kontrola policji i ta stała, ciągła niepewność zachowania resztek wolności osobistej i obawa jej utracenia.

Odżywały dantejskie sceny, gdy w cichą noc przylatywali jak zgraja szatanów i zaczynali swe szaleństwa. Przebiły ścianę brutalne głosy, uderzenia ofiar wywożonych, rozdzierający płacz dzieci i matek. Zamierało we mnie serce na widok trupich czaszek, wyzierających posępnie z wysokiego otoku gestapowskiej czapki. Wyczerpywało mnie do ostatnich sił brutalne przeglądanie papierów, krzyżowy ogień podstępnych pytań, przeglądanie lichych tobołków — jedynej naszej pozostałości z czasów minionej przeszłości, i te spojrzenia pełne nienawiści — wstrętne!

Przychodzili do nas wieczorami gospodarze niemieccy, członkowie partii, by „zobaczyć, jak się powodzi i co się porabia“?

Rozłazili się po izbie jak karaluchy, zaglądając w każdy kąt, pytając o najmniejszą drobnostkę, o książkę czytaną, o listy, o przeszłość. W zimowe śnieżyste noce lub wieczory przesuwali się jak cienie złowrogie pod oknami i podsłuchiwali, czy mówi się to, czego oni nie chcieli usłyszeć.

Z owymi wieczorami zimowymi wiąże się jedno, specjalnie pamiętne dla mnie zdarzenie. Kiedyś, gdy wracałam z polskimi książkami do domu, oczywiście godzina policyjna dawno minęła, wpadłam w ręce policji. Po przeglądnięciu papierów i ostrym szturchańcu zauważyli me książki, wydarli je brutalnym gestem, gestem triumfu, zapisali nazwisko i kazali przyjść na drugi dzień na komendę. Poszłam — siedziało ich dwóch, pajcz gumowy leżał na stole, a obok niego me książki. Pamiętam, że po całej masie przekleństw i obelg rzucono mi je pod nogi, a na mnie spadły razy gumowej pałki. Wypchnięto mnie za drzwi, poczęstowawszy uprzednio uderzeniem w twarz, ale — o radości — z moimi książkami. Warte były policzka, bo do ostatniej chwili krzepiły mnie i broniły od myśli rozpacznych...

13

Wanda Kotlarkówna

ur. 7. 3. 1926 w Poznaniu.

W czasie okupacji: Ostrów Wlkp. (1939—1941), Berlin — Fabryka amunicji (18. 11. 41 — sierp. 43), Bydgoszcz (1943—45).

Obecnie: Kępno, ul. Kościuszki 4.

Uczennica Państw. Gimn. i Lic. w Kępnie. Kl. II d gimn.

Kartki z mojego pamiętnika.

Kwiecień 1940 roku.

...Już wiosna w całej pełni, zakwitły sady, zazieleniły się łąki i cały świat wabi mnie swym urokiem. Jakże chętnie siadłabym na rower i z wiatrem w zawody popędziła gdzieś daleko — jak najdalej stąd — gdzieś tam, gdzie czułabym się całkiem swobodna i gdzie, o Boże, mogłabym chociaż przez godzinę lub dwie na dzień uczyć się lub poczytać książkę. To tak niewiele przecież, a teraz nawet tego jestem pozbawiona. Czyż ta wojna nigdy się nie skończy?!

Pracuję w piekarni — od siódmej rano do siódmej wieczorem, z godziną przerwy w południe, lecz ponieważ do domu mam dość daleko, gdyż około 3 km, więc rzadko z niej korzystam. Co prawda szef, gdy jest w dobrym humorze, przyjeżdża po nas autem z miasta, bo skład, w którym pracuję, to filia — i jest położony na samym krańcu przedmieścia, lecz ja w miarę możliwości staram się unikać przyjmowania jakichkolwiek uprzejmości ze strony Niemca, tym bardziej, że mam wobec niego nie bardzo czyste sumienie, zawsze bowiem byłam przeciwniczką systemu kartkowego i nadal usilnie go zwalczam. Oczywiście, że zdaję sobie doskonale sprawę z tego, co mnie czeka, gdy to wyjdzie na jaw (a jeżeli wojna długo jeszcze potrwa, to nakryją mnie z pewnością), ale nie przejmuję się. Wiem, że nie byłam ani pierwszą, ani ostatnią, która by powiększyła szeregi „druciarzy“, jak się popularnie nazywa tych, co przebywają za drutami, czyli w obozach.

Ale to nie jest ważne na razie. Więcej zmartwienia przysparza mi fakt, że wojna strasznie się jakoś przeciąga, a o końcu jakoś coraz mniej słychać. Przy tym jeszcze ta bierna rola, jaką nam narzucono — ta ustawiczna wegetacja i oczekiwanie cudu i bawienie się w prorocтва — wszystko razem już mi gardłem wychodzi i odbiera po prostu chęć do życia.

Założyliśmy tajne harcerstwo, kółko Czerwonego Krzyża, redagujemy i wydajemy małą gazetkę młodzieżową, lecz cóż to wszystko znaczy wobec tego, co można by jeszcze zrobić i co powinno być zrobione. Poza tym słuchamy potajemnie radia z Londynu i w ogóle komunikatów z zagranicy, lecz właściwie czegoś konkretnego trudno się dowiedzieć.

Najwięcej absorbuje mnie i pochłania czasu praca w harcerstwie, które mimo trudności piętrzących się na każdym kroku rozwija się dość pomyślnie. Nieraz tylko myślę sobie, co ze mną będzie, gdy wojna długo jeszcze potrwa, gdy nie będę miała tak jak dotychczas absolutnie możliwości dalszego kształcenia się, to na co przydam się w odrodzonej Polsce? Co dzień prawie odchodzą transporty Polaków na roboty do Niemiec — biedni oni, dla nich los okazał się jeszcze sroższym, bo pozbawił ich

nawet domu i widoku najbliższych, o ile więc ja jestem w stosunku do nich uprzywilejowana.

Wprawdzie pracy mam także ogromnie dużo, lecz mogę być inną przy tym trochę użyteczną, co daje wiele zadowolenia i wynagradza przykrości z nią związane. Gdyby wojna jeszcze w tym roku się skończyła, to nie miałabym czego żałować, gdyż stracony okres nauki z pewnością bym nadrobiła wkrótce, a przez ten czas jednak zdążyłam już nabyć nieco „doświadczenia życiowego“, co także jest czegoś warte. Dla Hamleta „być albo nie być“ nie miało chyba większego znaczenia, jak dla mnie, co będzie dalej?...

Lipiec 1941 roku.

Życie nieraz płała ludziom niespodzianki i to takie, o których nie śniło się nawet filozofom, czyż bowiem przypuszczałam kiedykolwiek, że los każe mi zostać... kelnerką? Byłoby to prawie śmieszne, gdyby... nie było prawdziwe. Białe fartuszek, koronka na włosach, uprzejmy uśmiech na twarzy — to kelnerka. Stałam się nią całkiem po prostu: mego poprzedniego szefa zabrano do wojska, a żona jego, która w zastępstwie prowadziła skład, przeprowadziła „czystkę“ wśród personelu polskiego, w następstwie czego dostałam się w zasięg władzy Arbeitsamtu, gdzie uważano mnie za „godną“ tak zaszczytnego stanowiska. Mamusia na wiadomość o tym dostała spazmów i Bóg wie czego tam jeszcze, ale tym razem ani to nie pomogło i musiałam iść do pracy.

Restauracja, w której pracowałam, miała w całym mieście sławę dosyć nadszarpniętą, więc też warunki przeszły moje najśmielsze oczekiwania. Po miesiącu jednak właścicielka na moje prośby zwolniła mnie i w liście do dyrektora Arbeitsamtu napisała, że zwalnia mnie tylko dlatego: „weil sie zu gut erzogen ist für meinen Betrieb...“, na skutek czego zostałam sekretarką inżyniera w biurze budowlanym, z czego byłam nieco więcej zadowolona. Dni wloką się niemiłosiernie. Czyż już całe życie takie będzie? Smutne i beznadziejne są horoskopy na najbliższą przyszłość. Stale się słyszy, że sytuacja nadal bez zmian, chociaż są ludzie, którzy znaleźli przepowiednię (chyba już setną z kolei), z której wynika jasno jak na dłoni, że wojna

w tym roku musi się skończyć. Nie wiadomo w końcu, czy kpić z ludzkiej naiwności, czy też wierzyć razem z nimi. Ostatecznie jest mi już wszystko jedno. Wiem i stale pocieszam się tym, że przecież tyle krwi bohaterskiej przelanej, tyle łez i modłów błagalnych musi wydać owoc czy prędzej, czy później — tylko z drugiej strony obawiam się, że „nim słońce wszędzie, rosa oczy wyje“... bo nie wiadomo jeszcze, kto z nas doczeka tej chwili.

Tymczasem Niemcy panoszą się wszędzie na dobre. Wywłaszczają, wywożą do łagrów i do pracy — w ogóle stosują wobec Polaków takie metody, o jakich nikt z nas nie miał pojęcia dotychczas. Wielu Polaków (właściwie tych powinno się przez małe „p“ pisać) nie wytrzymało próby i dziś są Niemcami równie lub nawet więcej gorliwymi niż ci „prawdziwi“. Bardzo dobrze, że się tak stało, bo chociaż z jednej strony źle to o nas świadczy, że w naszym narodzie aż tylu znalazło się odstępców, to jednak nowa Polska zyska tylko na tym, że pozbyła się tak mało wartościowego elementu, który dla chleba czy też innych czysto materialnych powodów sprzedaje i frymarczy swą godnością narodową.

*A my zostaniemy! My w nieszczęściu razem
Albo wytępić wrogów tym żelazem,
Lub za najświętszą wielkich bogów wolą
W grobie się wolni schronim przed niewolą.*

Niedawno temu zostali aresztowani podczas masowej obławy dwaj harcerze, podejrzani o słuchanie radia z zagranicy. Dzielnie się spisali, gdyż na śledztwie nikogo nie zdradzili — obaj wywiezieni zostali do obozu. Musimy wobec tego zrezygnować z najświeższych zawsze komunikatów i zaprzestać słuchania audycji, bo to nie ma sensu dla białych bądź co bądź wiadomości narażać siebie i innych. Trzeba jedynie uzbroić się w cierpliwość i czekać i wytrwać do końca...

14

Grażyna Harmacińska

ur. 11. 6. 1926 w Słupcy.

W czasie okupacji mieszkała w Słupcy, ul. Bóżniczna 11. Obecnie: tamże.

Uczennica Państw. Gimn. i Lic. w Słupcy. Kl. II gim.

...Pracę rozpoczęłam u pewnego „Malermeistra“. Miałam wtedy lat 15. Ciężko strasznie mi było, bo musiałam wykony-

wać pracę, jaką z niemalym trudem wykonywać by musiała dorosła i mocna kobieta. Nikt mi z domowników nie pomógł. Sama musiałam utrzymać w należytym porządku cały piętrowy dom. Co tydzień szorować, myć i pastować podłogi, myć wszystkie okna, sama prać musiałam, obiady gotować, cerować. No, w ogóle wszystkie prace sama wykonywać. Cały dzień bez chwili wytchnienia, od świtu do wieczora, od jednej pracy do drugiej. Co wieczór przychodziłam do domu śmiertelnie znużona i z płaczem kładłam się spać, wiedząc, że jutro czeka mnie taki sam ciężki dzień. Po niejakiś czasie dostałam inną pracę. Myślałam, że tam mieć będę lepiej. Od poprzednich Niemców, od tego malarza zostałam zwolniona jakoś, ale z dużym nakładem starań i zabiegów ojca, który nie mógł patrzeć na to, jak się męczę. Tymczasem u drugiej Niemki miałam o wiele gorzej. Szłam do pracy skoro świt, wracałam do domu późnym wieczorem. Było wtedy lato. Czasem całe dni nie widziałam się i nie rozmawiałam z domowymi, bo gdy szłam do pracy, spali, kiedy wracałam, spali. Na służbie cały dzień słyszałam tylko wyzwiska, obelgi, klątwy i hałas nad głową. W „Biurze Pracy“ zameldowana byłam jako niańka, tymczasem musiałam znów cały dom prowadzić, doglądać dobytku w podwórzu i męczyć się z rozpieszczonymi i do ostatnich granic rozwydrzonymi dziećmi. Ze mną pracowała też jedna polska dziewczyna. Ale dla niej wyznaczono robotę w polu, więc pomoc nie mogła mi wcale. Była córką bogatego gospodarza. Rodziców miała starych i chorych. Braci jej wywieziono do Niemiec. Został w domu 10-letni chłopiec. Niemcy na to nie zwracali uwagi. Całe gospodarstwo musiało zmarnieć, bo nie miał kto w roli pracować. Dziewczyna ta niejedno przeżyła na służbie. Ile łez wylała, ile bicia odebrała! Pewnego dnia uciekła od pracy, nikogo do tego nie wtajemniczając prócz mnie. Trudno powiedzieć, ile mnie Niemka namęczyła, gdyż chciała dowiedzieć się, dokąd ona uciekła. Na wszystkie pytania odpowiadałam: nic nie wiem. Ale tak się starała i tyle poruszyła możliwych sprężyn, że wreszcie policja chwyciła ją. W „Arbeitsamcie“ zbili ją tak, że zemdląła. Wybili jej zęby, posiniačili i pokrwawili twarz. Z powrotem musiała przyjść do tej

samej Niemki, która triumfowała, że zmusiła leniwą Polkę do pracy.

Dokuczała jej podwójnie, na każdym kroku. Co miała pod ręką, złapała i niewinną dziewczynę za byle głupstwo biła. Krokiem nie wolno było jej wychodzić poza obręb domostwa. Trudno opisać, co ona tam przeżyła. Co się z nią stało, nie wiem, bo wzięli mnie do innej pracy. Przydzielono mnie do wojskowej szwalni i tu pozostałam do czasu wkroczenia Rosjan. Obarczali nas pracą nieraz nie do zniesienia. Przez jeden tydzień szyłyśmy w dzień, przez drugi w nocy. Każdy musiał wyznaczoną pracę bezwzględnie wykonać w oznaczonych paru minutach. Szefowa stała z zegarkiem w ręku i uważała, ile sekund szyje się daną rzecz. Potem wiedziała, ile możemy przez cały dzień uszyć. Maszyny nie ustawały ani na chwilę. Oczy nas bolały od lamp elektrycznych, które paliły się nawet w dzień, głowa bolała od huku i zmęczenia. Rozmów nie wolno było prowadzić, bo one zmniejszały wydajność pracy. Jeśli szef chwycił którąś na rozmowie albo siedzeniu bezczynnym, wyznaczał jakąś karę. Dziewczynka musiała szorować podłogi, najgorsze roboty wykonywać w kuchni albo też ponad godziny pracować.

Chorować było rzeczą niemożliwą. Jeśli któraś zachorowała, szedł szef do mieszkania i po prostu ściągał z łóżka z powrotem do pracy. I taka chora musiała „stracone i zmarnowane godziny” nadrabiać, choć nieraz z bólu i słabości mdlała. Szef stał nad nią, ironicznie uśmiechał się, że ma nad nami władzę i może zmusić do pracy nawet chorą. Mówił, że on nigdy w życiu nie chorował i nie uznaje ludzi, którzy chorują, po prostu nie może zrozumieć, co to w ogóle jest choroba.

Często musiałyśmy przychodzić w niedzielę i do południa pracować. Za byle głupstwo karał nas i wymyślał najróżniejsze sposoby, żeby nas udręczyć. I nikt nie mógł słowa powiedzieć, sprzeciwić się, oburzyć lub poskarżyć. Trzeba było nieważnie tłumić w sobie i być uległą i pokorną.

Pomiędzy nami pracował młody chłopak niemiecki, który należał do organizacji H. J.*) Podłym był bardzo! Nieraz cier-

*) Hitlerjugend — partyjna organizacja młodzieży niemieckiej.

piałyśmy przez niego. Musiałyśmy z każdym słowem i czynem strzec się i liczyć, bo zaraz donosił szefowi. Tak miał wpojona do Polaków nienawiść jak rzadko który Niemiec.

W miasteczku naszym ukrywali się chłopcy, którzy uciekli z fabryki z Poznania. Za ciężko im było co dzień rano dojeżdżać do pracy, a wieczorem późno wracać. W lagrze znów musieli przymierać głodem. Woleli zatem ukrywać się i być narażonymi na ciągłe poszukiwania. W ich to łaski wkradł się ów Niemczak. Umiał to tak zręcznie, że nikt z nich nie przypuszczał, iż komukolwiek może zaszkodzić. Wywiedział się od nich wszystkiego, co potrzebował, dlaczego nie pracują, co myślą, ilu i kto z nich nie pracuje itd. Potem po kolei, zawsze w nocy, przychodził z żandarmami do ich mieszkań, każdego z chłopców wysyłał do więzienia. Miał jeszcze tyle bezczelności, że przychodził do celi w miejskim areszcie i żartował. Po należytej porcji batów i przesłuchaniu wywozili ich gdzieś do więzienia, ale gdzie — nie można było się dowiedzieć. Kilku z nich wróciło do domu po wkroczeniu Rosjan, dwóch zaś bez śladu zginęło. Co się z nimi stało, nie wiadomo. Na pewno zostali straceni jak wiele tysięcy niewinnych ludzi...

15

Aleksandra Lebedziówna

ur. 11. 1. 1924 w Gnieźnie.

W czasie okupacji przebywała w Gnieźnie. ul. Poznańska 22.

Obecnie: Gniezno, Rynek 7.

Uczennica Miejsk. Żeńsk. Lic. i Gimn. im. bł. Jolanty w Gnieźnie, kl. I lic.

...Kilka miesięcy po zajęciu Gniezna wyszło zarządzenie rejestrowania się w Urzędzie Pośrednictwa Pracy. Byłam wówczas po ciężkiej chorobie, postarano mi się więc o zajęcie u krawczyni. Uchroniło mnie ono przed wyjazdem na prace do Niemiec. Byłam u niej kilka miesięcy. W książeczce pracy, w rubryce zawodu figurowało odtąd: szwaczka. Było to właśnie powodem powołania mnie do nowootwartej fabryki umundurowania. Miałam wówczas 17 lat. Zaczął się dla mnie okres bardzo ciężkiej, wyczerpującej nerwowo pracy, do której nie

byłam fachowo przygotowana. Praca trwała od godziny 6 do 17 z półgodzinną przerwą obiadową, w ciągu której niemożliwością było zdążyć na obiad do domu.

Praca w fabryce była prowadzona tzw. systemem amerykańskim, czyli taśmowym. Między dwoma rzędami maszyn elektrycznych biegła pędzona również prądem na niskim, wąskim stole rozpięta na walcach taśma. Na niej to leżały części należące do płaszcza, munduru czy spodni. Praca była podzielona pomiędzy 30 osób siedzących przy maszynach po obu stronach taśmy. Każda z nas wykonywała drobną część całości, podawała następnej i w ten sposób na końcu taśmy wychodził gotowy już płaszcz czy mundur. Pracę wykonuje się stale tę samą, toteż dochodzi się do wprawy wprost niesłychanej. Szybkość posuwania się taśmy regulować można dowolnie. Wymagano od nas oczywiście maksimum wysiłku. W ciągu całego dnia nie było czasu nawet na podniesienie głowy, bo następowało opóźnienie i następna maszyna upominała się o zaległą pracę.

Dla pracodawcy system taki jest naturalnie wysoce korzystny, ale od pracownika wymaga napięcia nerwowego, wyczerpuje zdrowotnie, wyjaławia duchowo. Praca ta nie daje nic pracownikowi. Czyni go jak gdyby częścią maszyny. Nas nie tylko praca wyczerpywała. Kierownictwo fabryki starało się hamować wszelkie spostrzegane odruchy swobody. Dołączały się udręczenia w związku z okropnymi warunkami mieszkaniowymi. Mieszkaliśmy na przedmieściu w jednym pokoju bez kuchni (4 osoby). Dręczył mnie przez cały okres wojny głód nauki. Z chwilą, gdy zaczęłam pracować w fabryce, zdawało się niemożliwością kontynuować naukę. Po roku jednak, gdy oswoiłam się z tym trybem pracy i zrozumiałam, że grozi mi zupełne wyjałowienie umysłu, postawiłam sobie za cel nie dać się.

Po powrocie od pracy uczyłam się, czytałam, robiłam notatki. Notatki te w ciągu pracy miałam stale przy sobie i w chwili, gdy zdołałam wykonać moją pracę w krótszym czasie, wyjmowałam je i powtarzałam. Śniadanie jadłam również w czasie pracy, by móc wykorzystać przerwę 15-minutową. To, co przeczytałam w ciągu przerwy, było materiałem do rozmyślań

w ciągu pracy. Niedzielę całą poświęcałam na naukę. Często wyczerpanie brało górę i nie można go było wolą przewyciężyć. Ile wyrzutów robiłam sobie z tego powodu.

Później nauka przerwała się zupełnie. Wysłano mnie na pół roku do prac fortyfikacyjnych. Zmieniony tryb życia był ciężki, należało się do niego od nowa przyzwyczaić. Po całodiennej pracy przy okopach znajdowałam czas jedynie na uczenie dwojga dzieci gospodarzy, u których mieszkalam. Z niecierpliwością i utęsknieniem śledziłam wypadki, jedynie w końcu wojny widząc koniec tej nowej udręki. Ileż to wieczorów spędziłyśmy na rojeniu o tej Polsce, która ma zmartwychpowstać. Ileż razy w miejscach odosobnionych śpiewałyśmy pieśni polskie ze łzami wzruszenia w oczach, pytając się nawzajem, kiedy będziemy je śpiewać otwarcie? Dużo mówiłyśmy o pracy, która nas czeka, pracy wytężonej, ale radosnej, pracy nad odbudową naszej Ojczyzny. Czy marzenia te zdołamy w czyn wprowadzić, czy nie budowałyśmy zamków na lodzie, przyszłość pokaże.

16

Irena Żelazkówna

ur. 3. 5. 1926 w Pałędziu, pow. Poznań.

W czasie okupacji mieszkała w Poznaniu. Górna Wilda 107. Obecnie: tamże. Uczennica IV Państw. Gimn. i Lic. Żeńsk. im. Kl. Potockiej w Poznaniu, kurs I.

W fabryce amunicji*).

Podczas wojny, kiedy Niemcy zmuszali wszystkich do pracy, mnie jako czternastoletnią dziewczynkę przeznaczono również do fabryki amunicji. Z nakazu władzy w oznaczonym dniu stawić musiałam się we fabryce, gdzie przez tamtejszego wachmeistra prowadzona byłam do jednego z oddziałów pracy. Idąc z bojaźnią a zarazem i z ciekawością snułam przypuszczenia o przyszłej mej funkcji.

*) Fabryka Cegielskiego (D. W. M. = Deutsche Waffen- und Munitionsfabrik), Poznań, Górna Wilda 88.

Aż oto wchodzę z moim przewodnikiem do jakiejś sali, wypełnionej gwarem i hukiem turkocących maszyn, a wśród gęsto wznoszącego się kurzu jak przez mgłę widać było masę robotników i robotnic pełniących codzienne obowiązki. Jak na pierwszy raz mile byłam przyjęta przez mego przyszłego majstra. Na zapytanie, czy już gdzieś pracowałam, na co odpowiedzią było słowo przeczące, poczęstował mnie drwiącym uśmiechem dodając, że teraz się pracy nauczę. Nie zraziłam się tym bynajmniej i mimo mego młodego wieku przygotowana byłam na coś gorszego, niż spodziewać się mogłam. I cóż było zrobić?

Zostałam dziewczynką do posyłek. W warsztacie, w którym pracowałam, pełniło swą służbę do 300 ludzi. Wśród takiej liczby pracowników dość było powodu i okazji na znęcanie się nad nimi. A przecież tych oprawców różnego rodzaju nie było brak. Przewodniczył jeden z Niemców, który ze zwykłego ślusarza objął funkcję inżyniera. Ten to wszedłszy co dzień rano na warsztat witał swych pracowników różnie. Jednych kopnięciem za niepowiedzenie z szacunkiem dzień dobry, drugich za niedokładnie odrobioną pracę czy co innego obijał porządnie, nie szczędząc przy tym wyzwisk i obelg odnoszących się do Polaków. Pominąwszy inne rzeczy, dzień został przepełniony znojną pracą Polaków wysługujących się Niemcom. Przez długi czas wykonywałam swoją pracę, gdzie nieraz spotykałam się z przykrościami. Lecz to jeszcze można było znieść.

Przyszedł jednak dzień, w którym i mnie spotkała niespodzianka, a mianowicie zaangażowano mnie do maszyny. Naturalnie nie takiej do szycia, gdzie może z chęcią bym zasiadła, lecz maszyny ciężkiej i trudnej, co zwała się „tokarka“. I do takiej ciężkiej pracy zmuszano nas, kobiety. Ja ledwo wzrostem mogłam dosięgnąć maszyny, a cóż dopiero wykonywać na niej pracę. Nie mogąc dać sobie rady rękoma, by przykręcić dokładnie sztukę w maszynie, użyłam do pomocy młotka. Młotek nie był tak lekkim jak zwyczajne młotki, a uderzenie było dość silne, tak że zepsułam część maszyny, za co przy szturchań-

cach połączonych z wyzwiskami przydzielona zostałam do innej pracy na tzw. imadło.

W przeciwieństwie do maszyny była to rzecz mała, przymocowana do odpowiednich stołów, gdzie przystosowanymi pilnikami piłowało się daną rzecz. Lecz i to nie było tak łatwym. Ucierpiały na tym szczególnie ręce od piłowania, a także nogi zmęczone całodziennym staniem.

Nie trwało to jednak długo, gdyż zawezwano mnie na powrót do pracy na maszynie. I odtąd zaczęła się praca dzień i noc na zmiany. W spodniach i bluzach fabrycznych, z rękawami po łokcie zawiniętymi, pełniło się służbę stojąc całych osiem godzin przy maszynie. A gdy potrzeba było na dłuższy czas odejść od maszyny, no to solidnie odbiło się na skórze. Co gorsze, w miejsce fachowców Polaków, którzy nam ostrzyli i nastawiali noże do maszyn, dostaliśmy dwóch Niemców, którzy nie tyle robili, co nas w pracy gonili. Lecz muszę również zaznaczyć, że ni jeden, ni drugi nie miał pojęcia o pracy fachowego tokarza. Maszyny źle nastawione nie odstawiały dobrych sztuk, co naturalnie odbiło się zwykle na nas. W niedzielą niedzielę musiałyśmy pracować i oczywiście bez opłaty. Po pewnym czasie przysłano na warsztat pracę masową tzw. sztalfutry. Pracę tak precyzyjną, którą winien wykonać tokarz, dano nam, dziewczynom, do pracy. Z zegarkiem w ręku obliczali czas, żeby przypadkiem nie dać minuty za dużo. Z 30 minut wyznaczonego czasu na sztukę zrobili nam minut 10. A tu sztuka zakładana była na pięciu maszynach i na każdej z nich obrabiana. Ważną rzeczą było to zrobić dokładnie, co kosztowało nieraz wiel trudu i umęczenia. Zachętą do pilnej i dokładnej pracy było odgrażanie się słynnymi sztraflagrami. Ale naszą odpowiedzią nie był lęk i strach, i nieraz szły szmelce umyślnie zrobione przez ręce nieustraszonych Polaków, co naturalnie nie uszło bez kary.

Z kolei dano nam pracę inną, lecz również ciężką i trudną, a na której szczególnie im zależało. Chcąc dziennie odstawić jak najwięcej sztuk pilnowali nas na każdym kroku. Pasy z maszyny poprzekładali na najszybsze biegi, nie bacząc na

rozpryskujące wokół gorące wiory ze sztuk, które parzyły i ka-
leczyły człowieka. Robiąc jedną z takich sztuk na maszynie,
byłam pod obserwacją naszego Niemca „vorarbeitra“. Po trzy-
krotnym przetoczeniu jej po wierzchu, upewniwszy się przed-
tem, by mocno została „przykrecona“, zaczęłam obrabiać ją
na gotowo. Skończywszy wyjęłam, by móc skontrolować na
odpowiednim zegarze, który wykazał, że sztuka rzuca o dzie-
siatkę za dużo. Nim zdążyłam dokładnie zorientować się, czemu
wypadła źle sztuka, na twarzy poczułam ciężką rękę Niemca,
który poczęstował mnie z dwóch stron policzkiem. Nie na tym
koniec, bo jako karę wyznaczył trzy niedziele z rzędu pracy.
Prawie na równi z kończącym się terminem kary ginąć zaczął
siny znak pod okiem, który został z ostatniej przygody.

Po każdym zebraniu organizowanym przez głównego dy-
rektora fabryki, „zacnego“ Schneidra, Niemcy dawali nam się
podwójnie we znaki. Ten ich pouczał dopiero, jak traktować
Polaków. Raziło ich wtedy wszystko, nawet małe niedociąg-
nięcia w pracy.

Pewnego dnia, pracując przy maszynie jak w każdy dzień,
byłam świadkiem sceny, która zdolna była zmrozić w żyłach
krew. Chłopiec wątły i słaby, stojący przed barczystym Niem-
cem, który nielitościwie okładał nie ręką, lecz grubym rze-
mieniem słaniającego się chłopca.

Lecz zwierzęca wprost natura oprawcy nie zadowolila się
tym, co wykonał. Uchwyciwszy chłopca za kołnierz z siłą od-
rzucił go od siebie, a ostre boki żelaznych maszyn do tego stop-
nia go poraziły, że po trzech dniach zmarł. I za cóż znęcał się
tak bezlitośnie Niemiec nad słabą istotą? Oto po skończonej
pracy, trzy minuty wcześniej, jak było dozwolone, umył ręce.
To był powód, żeby chłopca przypawić o śmierć. Nie pierwszy
i ostatni był to wypadek. Czas ubiegał. Dzień za dniem, mie-
siąc za miesiącem, rok za rokiem mijał, a w szarym życiu co-
dziennym w fabryce bez zmian.

Ten sam jednostajny stuk chodzących maszyn, ta sama jed-
nostajna mozolna i brudna praca i ci sami germańscy brutalni
najeźdźcy.

Maria Jankowska

ur. 22. 8. 1928 w Poznaniu.

Podczas okupacji mieszkała w Poznaniu, ul. Wroniecka 12. Obecnie: Internat

Sacré-Coeur w Polskiej Wsi pod Pobiedziskami.

*Uczennica Gimn. Ogólnokszt. Zgrom. Serca Jezusowego (typu przyspieszonego)
w Polskiej Wsi pod Pobiedziskami, kl. I. gimn.*

Podczas okupacji niemieckiej w 1941 roku wyszło rozporządzenie, że dziewczynki od lat 12 pod grozą śmierci muszą iść do pracy. Nie chcąc narażać naszej już i tak mocno uszczuplonej rodziny, poszłam się zapisać na „Arbeitsamt“. Tam, wśród tłumu współtowarzyszek, zostałam przydzieloną do jednej z sławnych fabryk amunicji i broni D.W.M. Pracowałyśmy od 6 rana do 6 wieczorem. Początkowo obchodzono się z nami łagodnie i dano nam stosunkowo lekką pracę. Nie trwało to jednak długo. Już po kilku miesiącach przydzielono mnie z paroma innymi dziewczynkami do olbrzymiej hali, pełnej ogromnych piętrowych maszyn, poruszanych prądem. Oliwa i różne obrzydliwe smary płynęły po ziemi, a w powietrzu czuć było zaduch, metalowy kurz i straszne wyziewy. Z jakim strachem nakładałam na maszynę różne części, które ona obcinała. Pamiętam pierwszy mój paniczny strach, gdy postawiono mnie przed jedną z wielkich maszyn i kazano mi ją samej obsługiwać.

Strach ten był bardzo uzasadniony, gdyż wiedziałam, że jeden ciciostrożny ruch ręką może mnie pozbawić palcy lub nawet całej ręki. A wypadki takie zdarzały się więcej niż często. Bywały też, choć znacznie rzadziej, wypadki śmiertelne, kiedy maszyna porwała na pas włosy. Jednak przyznać trzeba, że ostrzegano nas przed tym bardzo. Miałymy chustki, którymi obwiązywałyśmy sobie głowy, tak by nie było widać włosów. Lecz ile razy nawet i ta ostrożność zawodziła! Jeśli zdarzył się taki wypadek, majstrowie przynosili nam okrwawione włosy, często nawet z kawałkiem skóry, i wieszali na ścianie. Miało to służyć jako przypomnienie. Często też rzucano na nas ucięte palce, bawiąc się naszym przerażeniem.

Kilku majstrów uważało na naszą halę. Byli to przeważnie zagorzali hitlerowcy i rzadko spotkać można było wśród nich ludzką naturę. A byli i tacy, o których wspominając trzęsę się jeszcze teraz. Jeden z najokropniejszych to kaleka - garbaty. Miał on tak straszną fizjognomię, że gdy ktoś przy nim się uśmiechnął, myślał, że to z niego, i bił w niemożliwy sposób żelaznym prętem po głowie. Między innymi ja też kilka razy dostałam. Pracy wymagał dokładnej i w dużej ilości. Mścił się bardzo.

Jeśli ktoś opuścił jeden dzień, z miejsca zabierany był do „sztraflagru“ w Żabikowie. Toteż dziewczynki pracowały często z 39^o gorączką. Zwalniano tylko wtedy, jeśli niemiecki lekarz uznał to za stosowne. Pastwiono się nad nami coraz więcej.

Lecz z czasem umilkły uczucia buntu, które nas dawniej tak często opanowywały. Stawało nam się wszystko obojętne. Popadałyśmy w jakąś straszną, bierną apatię. Tak mijały dni, tygodnie, a nawet lata.

Mając lat 13 i pół, zaczęłam chorować na serce, a nawet zapadałam lekko na płuca. Choroby płuc zdarzały się często, spowodowane były strasznym powietrzem, w którym musiałyśmy pracować, ciężką pracą i brakiem dostatecznego jedzenia; dawano nam teraz w południe jakby zupe, było to jednak coś tak okropnego, że trudno było to przełknąć. Nikt tego nie jadł. Zwolniono mnie wtedy na dwa tygodnie, a później przez kilka miesięcy pracowałam tylko do 3 w południe. Lecz po upływie sześciu miesięcy zawyrokowano, że mogę pracować jak i inne.

I znów zaczęły się dla mnie dni męczarni. Wstawałam o 4³⁰ a wracałam do domu o 7, czasem nawet później. Toteż jak wróciłam do domu, nie miałam na nic siły, jak zjeść trochę kolacji i iść spać. Najokropniejszą była świadomość, że nie mogę się uczyć. A przecież tak mocno chciałam chodzić znów do szkoły. Tak trwało do soboty 20. I. 45 roku. W dwa tygodnie później wyswobodziły nas z tego piekła wojska radzieckie.

Stefan Noszczyński

W czasie okupacji przez pięć lat był zatrudniony w fabryce Cegielskiego w Poznaniu.

Obecnie: Poznań, Winogrody 143.

Uczeń Państw. Gimn. Spółdzielczego w Poznaniu, kl. III.

...W roku 1940 zostałem przychwycony na ulicy i jako piętnastoletni chłopak wysłany do fabryki Cegielskiego. Tam dostałem się jako robotnik do odlewni. Pracowałem po dwanaście godzin, nieraz i więcej. Za najmniejsze przewinienie bili gumowymi pałkami, co również i mnie nie ominęło. Nawet wszystkich niedziel nie mieliśmy wolnych, ponieważ drobnostka wystarczała w ciągu tygodnia, ażeby niedzielę zamienić na dzień roboczy.

Praca w odlewni była bardzo ciężka. Przy gorączce 80° musiałem nosić półtoracetnarowe formy i pozalewać je gotującą stalą. Gazy, które unosiły się podczas odlewu, działały fatalnie na płuca, tak że co parę tygodni wysyłano „do lecznicy w Kutnie” młodych ludzi chorych na otwartą gruźlicę, gdzie po paru dniach umierali. Jeszcze dzisiaj dziękuję Bogu, że miałem tak silny i odporny organizm.

Najboleśniejsze wspomnienie z tego czasu to śmierć śp. ojca. Pewnej nocy przyjechało po niego dwóch zbirów hitlerowskich, chcąc go zabrać do obozu koncentracyjnego. Ponieważ ojciec chorował na serce i miał już dużo trosk poza sobą, zmarł nagle na atak serca nie pożegnawszy się nawet z nami, a ja, jako najstarszy syn, musiałem utrzymywać całą rodzinę...

Zenon Schneider

ur. 5. 3. 1928 w Poznaniu.

Okupację przeżył w Poznaniu, ul. Winiarska 74, gdzie mieszka do dnia dzisiejszego.

Uczeń Publ. Szkoły Powsz. Nr 17 w Poznaniu. Kurs dla dorosłych.

Było to latem 1943 r. sobota, godzina 14, więc koniec pracy*). Na gwałt się przebieramy, już bez mycia, każdy chwyta teczkę

*) Pracował w fabryce Siemens-Schuckert, Instalacja Siły i Światła, ul. Fredry 12.

kę i biegnie, by jak najprędzej się znaleźć za bramą, odetchnąć trochę swobodniej po ostrym rygorze warsztatów. Lecz niestety co innego było nam dzisiaj przeznaczone. I o uszy nasze odbija się nienawistny głos gwizdka majstrowskiego, wzywający wszystkich uczni na zbiórkę. Wszystkim, a było nas przeszło trzydziestu, miny zrzedły, każdy gubi się w domysłach i mimochodem porządkuje szafkę i spogląda ku teczce i kieszeniom. Lecz już się rozlega niecierpliwy, ostry głos: „Schnell! Donnerwetter noch mal!“ Wybiegamy na dziedziniec i sprawnie się ustawiamy w dwuszeregu. Majster, suchy „Volksdeutscher“, przez nas „Czerwonką“ przewany, wygłasza nam krótką po niemiecku przemowę, iż za nasze wybryki, lenistwo i. jak dziś się miał możliwość przekonać, szydzenie z niego pójdziemy wszyscy na dzisiejsze popołudnie do karnej pracy.

Pryśły jak bańki mydlane wszystkie nasze plany na dzisiaj. Ostra komenda i czwórkami maszerujemy. Porozumiewamy się wzrokiem i gestami. Gdyż musimy iść w przykładowym milczeniu. „Czerwonka“ został jakie piętnaście metrów w tyle, rozlegają się przytłumione szmery i od razu rozlega się jako protest z naszych ust żołnierska piosenka: „Przy piechocie fajno jest!“ Wchodzimy na chodnik. Przed nami idzie Niemka z pieskiem. Walimy prosto na nią — ustępuje i schodzi na ulicę, lecz otworzyła jadaczkę, a my jeszcze głośniejsze śpiewamy. „Czerwonka“ robi się siny, przyspiesza kroku i wygraża nam.

Idziemy znów w milczeniu, niespodzianie moja czwórka rozpoczyna piosenkę, tę, za którą idziemy na karną pracę. Raptem cała wiara pochwyciła słowa piosenki „Panie Czerwonka, ja dziś humor mam...!“ Niemiec spojrzał oczami bazyliuszka, szczęki mu latają, nic dobrego nam to nie wróży. Lecz mimo to czujemy się zadowoleni po okazaniu tego buntu niewolników, bo niestety czym innym nie byliśmy. Wreszcie zachodzimy na miejsce pracy.

Komenda — i stoimy w karnym dwuszeregu. Padają nazwiska mojej czwórki, występujemy naprzód. Rozwścieczony Niemiec zwiija pięść i uderza nas w twarz tak, że się zatoczyliśmy, lecz wnet jesteśmy przyprowadzeni do równowagi, dostając taki sam policzek z drugiej strony. Koledze ukazują się krew, na-

stępnie wypływa ząb. W tej chwili „Czerwonka“ chwyta gumowy kabel i dopada do dwuszuregu. Nareszcie, gdy wszyscy mamy już po kilka sińców, zmęczył się, warknął „Zur Arbeit“ wraz z kilkunastu przekleństwami. Wzięliśmy się do pracy, przy której jeszcze się niejednemu oberwało.

Nareszcie o godzinie 19 gwizdek i pan majster daje sążnistą przemowę, z której wynikało, że dbając o nasze zdrowie i wychowanie fizyczne urządza godzinę gimnastyki. Rozpoczynamy marszem, który wnet przechodzi do biegu. Majster ustawia się w jednym narożniku z gumowym kablem i ten, kto zmylił krok, i każdy, który biegnie ostatni, dostaje nim. Wydajemy resztki sił. Serce chce wyskoczyć, coraz częściej się potykamy. „Czerwonka“ się szyderczo uśmiecha. Nareszcie zbawienny gwizdek. Zbiórka, krótka najeżona szyderstwami mowa — nareszcie „Jungs, Aufwiedersehen!“ Nie ma odpowiedzi, wolnym krokiem się rozchodzimy. Obmyślamy po drodze różne zemsty, niestety uciekł jak wielu innych.

20

Janusz Jaźwiecki

ur. 25. 3. 1927 w Kaliszu.

Obecnie mieszka w Kaliszu, ul. Babina 8.

Uczeń Gimn. i Lic. Handl. Zgromadzenia Kupców w Kaliszu, kl. II gimn.

..Pamiętam jak dziś, kiedy o godz. 23 usłyszałem huraganowe stukanie do drzwi. Przebudziłem się. Natychmiast pobiegłem otworzyć. Nie byłem świadom, komu otwieram. W drzwiach usłyszałem rozkazującym, ostrym tonem zapytanie po niemiecku: „Kto tu mieszka?“ Nie zdążyłem dać odpowiedzi. Wiele myśli chaotycznych przebiegło mi przez głowę. Po chwili opanowałem się. Odpowiadam. Dwóch żandarmów przekracza próg wraz z cywilem. Cywil ten to Polak, kolega, którego spotkał ten sam los, co mnie. Po przekroczeniu progu słyszę rozkaz po niemiecku: „Dowody i kartki żywnościowe na stół, a ty ubieraj się i idziesz z nami.“ Staję osłupiały. Zapytuję, dokąd. Odpowiedź brzmi: „Dowiesz się na miejscu“.

Ponieważ te rozmowy prowadzone były w tonie bardzo ostrym i głośnym, więc wszyscy w domu pobudzili się z uczuciem prze-

rażenia. Ja sam nie wiedziałem, co robię, ponieważ w umyśle moim stale nurtowała tylko jedna myśl — dokąd pójdę. Ale nie było chwili do stracenia; przystąpiłem więc mechanicznie do ubierania się. Matka moja „nie traciła głowy”: natychmiast spakowała mi w walizkę dwie zmiany bielizny i trochę żywności. To był mój cały ekwipunek na podróż w nieznane.

Wyruszyliśmy. W sieni usłyszałem jeszcze zapowiedź, jednocześnie z repetowaniem pistoletu: „Jeżeli spróbujesz uciekać, zastrzelę cię jak psa”. Idziemy, kierunek wciąż nam wskazują. I o dziwo! w kilkunastu minutach dobrnęliśmy do celu. Cel ten to podziemie rejonu policyjnego. Zamknięto nas razem do celi. Zawarłem tam dopiero przyjaźń z kolegą współtowarzyszem niedoli. W celi tej byliśmy gośćmi tylko 32 godziny. Żywiliśmy się zapasami z domu, których nam nie odebrano.

Drugiego dnia o godz. 8 rano nastąpiła ceremonialna kąpiel całej grupki, przeznaczonej na wywóz, a składającej się z 64 osób. W godzinę po kąpieli byliśmy już na stacji i odjeżdżaliśmy w kierunku Łodzi do pracy. Do Łodzi przewieźli nas do wyszkoleniowego instytutu, gdzie mieliśmy przebywać trzy miesiące, by po wyszkoleniu wyjechać do Rzeszy do pracy. W szkole wyszkoleniowej pracowaliśmy po osiem godzin w warsztatach mechanicznych; poza tym były jeszcze dodatkowe zajęcia, jak: struganie kartofli, szorowanie sal, noszenie węgla i wiele innych zajęć, które trwały codziennie przeszło 4 godziny. Panowała tam niesłychana karność. I tak np. było to w czasie wyznaczonej godziny na struganie kartofli, jeden z kolegów, który czuł się wówczas niezdrowo, zamiast strugać kartofle, poszedł położyć się na łóżko i tam zasnął. Przy kontroli porządkowy zauważył go na łóżku, obudził zaraz szpicrutą. Kolega zerwawszy się zdezorientowany począł uciekać z tej sali. Ucieczka mu się jednak nie powiodła, schwyciono go i zbito do nieprzytomności. Przez 24 godziny lekarz wątpił o powrocie jego do życia. Podobnych wypadków w czasie mojego przebywania było tam bardzo wiele. Do tego trzeba dodać jeszcze głód, który wycieńczał młode organizmy do reszty.

Po skończeniu kursu trzymiesięcznego przywieziono mnie do Poznania do fabryki Cegielskiego (D. W. M.), gdzie zaczęła się

prawdziwa „gehenna“. Prześladowania tam były okrutne i warunki odżywiania niemożliwe. Od samego przybycia, tj. przez okres 20 miesięcy, pracowałem w warsztatach mechanicznych po 12 godzin. Praca była fizycznie ciężka, wyczerpująca i bardzo odpowiedzialna. Nie mogło być mowy o zaśnięciu w czasie nocnej pracy, niedopuszczalne były omyłki, o opuszczeniu lub zwolnieniu z pracy decydował jedynie lekarz fabryczny. Pomiedzy polskimi pracownikami powstało takie przysłowie: „lekarz fabryczny zwolni wówczas, jeżeli mu się zaniesie głowę w teczkę“. I tak rzeczywiście było; ten otrzymał zwolnienie od lekarza, kto za dwa tygodnie miał się położyć do trumny.

Głównie nacisk kładzono na pracę w niedzielę, jakoby na złość ludziom, którzy ten jeden dzień w tygodniu uważali, jak ich praojcowie, za dzień przeznaczony na oddanie chwały Bogu.

Dużo jeszcze innych rzeczy wymyślano, ażeby tylko bezbronnym Polaków zgnębić, a za wszystkie przewinienia odsyłało ich do gestapo, gdzie wymyślano „nadludzkie kary“. I mnie zdarzyło się otrzymać jedną z tych kar za opuszczenie pracy w niedzielę. Karę tę będę pamiętał długo. Wezwano mnie na gestapo. Idę. Zapytują, co mam na umotywowanie mojej nieobecności. Staralem się przedstawić sprawę jak najprościej i stwierdzam, że „ostatnie ubranie, w którym chodziłem, rozeszło się zupełnie i musiałem jechać do domu przywieźć sobie nowe, ażebym mógł w dalszym ciągu pracować“. Otrzymałem odpowiedź: „Nie uważam tego za wytłumaczenie — to cała fabryka mogła by się rozjechać“. Zasypano mnie jeszcze gradem słów, których w roztargnieniu nie mogłem zrozumieć, i „pan gestapowiec“ pomocnikowi swojemu kazał przynieść szpicrutę i mnie na zadatek nią poświecić, powtórnie kazał mi się zgłosić w sobotę o godz. 8 rano.

Zauważyłem, że od tej chwili pozostawałem pod obserwacją. W wyznaczonym terminie zgłosiłem się tam. Kazano mi tam ćwiczyć około pół godziny żabkę, potem około trzech czwartych godziny stać w półprzysiadzie i około godziny twarzą przy samej ścianie.

Po tych ćwiczeniach karnych nastąpiła kilkuminutowa przerwa, ponieważ „panowie gestapowcy“ musieli zjeść obiad. Kiedy

„panowie gestapowcy“ byli już gotowi, spakowali całą gromadkę mnie podobnych w auto ciężarowe i z pompą przewieźli do obozu pracy w Żabikowie pod Poznaniem. Tam zajęli się nami „inni panowie“, którzy najpierw wypróbowali, jak my potrafimy biegać pomiędzy spadającymi batami. W czasie tych biegów jeden z kolegów przewrócił się z osłabienia. Przystąpili więc do niego natychmiast i kijami poczęli go cucić. Co się później z nim stało, nie wiem. Poobcinali nam włosy, wręczyli kilofy, szpadle, wskazali duże pieńki drzewa i kazali je wykopywać. Praca musiała wrzeć bez odpoczynków. Krzyża wyprostować nie było można, bo wówczas jak gromy spadały szpicruty na plecy. Praca ta trwała do późnego wieczora, następnego dnia od rana do wieczora. Noce obie wypoczywaliśmy. W przeciągu tych 48 godzin jeść nic nie dostaliśmy i potem nas wypuścili, kazać wracać do poprzedniej pracy. Z osłabienia nie mogliśmy powrócić do domu...

21

Maria Lewandowska

ur. 1. 1. 1930 w Żninie.

W czasie okupacji mieszkała w Poznaniu — Śródka, Zaulek Katarzyński 8.

Obecnie: Poznań, ul. Wrocławska 9.

Uczennica IV Państw. Gimn. i Lic. Żeńsk. im. Kl. Potockiej w Poznaniu. Kl. I c.

Obudziło mnie mocne pukanie w bramę*). Wystraszonymi oczyma rozejrzałam się dookoła. Bładowy księżyc oświeślał twarz spokojnie śpiącego mego brata. Wszyscy byli pogrążeni w głębokim śnie, nie przeczuwając nadchodzącego nieszczęścia. Wtem słychać tupot nóg tuż pod naszymi drzwiami. Dreszcz wstrząsnął mym ciałem... Słychać męskie głosy. Światło latarek wpada przez szczeliny w drzwiach.

Rozległ się niecierpliwy dzwonek. Zrywam się z łóżka budząc śpiących. Zbirom niemieckim za długo było czekać. Drzwi ustępują pod naporem, pęka łańcuch i gestapowcy wchodzą do pokoju z okropnym wrzaskiem. Każą ubierać się ojcu i bratu. Za

*) Wrzesień 1942 r.

co ich zabierają? Za to, że byli Polakami. Ukochani musieli odejść bez pożegnania, bo ojciec, gdy dochodził do matki, chcąc się pożegnać i dodać otuchy, SS-man odtrącił go przekleństwem na ustach. Wychodząc biedacy powiedzieli tylko: „Zostańcie z Bogiem“, za co zostali kopnięci przez oprawców. Choć już wyszli, staliśmy rozglądając się bezprzytomnie*). Ani jedna łza nie spłynęła nam z oczu. Zdenerwowanie było za mocne.

Mijały dni, tygodnie, a wiadomości nie nadchodziły. Wreszcie w pamiętny dzień 2 września nadeszła paczka wraz z ostatnim listem. Już nie zobaczyliśmy się z bratem. Ojciec wrócił po oswobodzeniu swego lagru.

22

Walburga Szulcówna

ur. 10. 7. 1924 w Drawsku, pow. Czarnków.

Wysiedlona w grudniu 1939 do GG. Przebywała kolejno w Sobolewie pod Garwolinem (1939—1941), w Hucie Dąbrowej, pow. Garwolin (1941—1943), w Warszawie (1943 — koniec września 1944) i w Rabce (od października 1944 do lutego 1945).

Obecnie: Chodzież, ul. Stalina 44.

Uczennica Państw. Gimn. i Lic. im. św. Barbary w Chodzieży, kl. III gimn.

...9 listopada 1939 roku w całym powiecie mogileńskim odbyły się masowe aresztowania mężczyzn, rzekomo dlatego, aby uniknąć demonstracji zapowiadających się na dzień 11 listopada. Wszystkich aresztowanych zawieziono do obozu do Strzelna; między nimi był również mój brat. W obozie oprawcy hitlerowscy znęcali się nad nim w bestialski sposób za to, że na początku wojny zorganizował milicję w Orchowie, a po wkroczeniu armii niemieckiej nie oddał broni, tylko ją zatopił.

Po stanowczej odpowiedzi, że nie robi się Volksdeutschem, rozpoczęły się naprawdę straszne tortury. Wprowadzono go kilka razy tak w dzień jak i w nocy do osobnej celi, gdzie zbirzy hitlerowscy bili go gumowymi pałkami do utraty przytomności. Towarzysze niedoli, widząc jego straszną mękę, oddawali mu swoje poduszki i koce, lecz niestety, nie mógł on ani sie-

*) Obydwaj uciekli. Ojciec ukrywał się w Poznaniu, brat był w Warszawie, brał udział w powstaniu, niedawno wrócił z niewoli.

dzieć, ani leżeć, ani nawet stać prosto. Nie mogąc znieść dłużej zadawanych mu tortur, prosił innych więźniów, aby go dobili.

Po tygodniu obóz rozpuszczono z wyjątkiem dwunastu (między nimi mój brat), którzy pozostali jako zakładnicy. Wszelkie starania rodziców celem zwolnienia brata nieodniosły żadnego skutku. Ojciec tylko zyskał pozwolenie na widzenie się z nim i zobaczył go zupełnie czarnego, z podbitymi oczyma i wybitymi zębami. Oto do jakiego stanu Niemcy doprowadzili więźnia. W nocy z 3 na 4 grudnia wszyscy zakładnicy zostali wywiezieni, i ślad o nich zaginął. Okoliczna ludność jednakże sądzi, że zostali oni zamordowani w lasach pod Strzelnem...

23

Urszula Kotowska

ur. 28. 9. 1928 r. w Ostrowie Wlkp.

W czasie okupacji w Ostrowie Wlkp., ul. Parkowa, później ul. Koszarowa 32.

Obecnie Ostrów Wlkp., ul. Parkowa 1.

Uczennica II Państw. Lic. i Gimn. im. E. Szczanieckiej w Ostrowie Wlkp. Kl. III gimn.

W czasie okupacji niemieckiej szkoły dla młodzieży polskiej były zamknięte. Lecz niektórzy Polacy myśleli nad tym i z ich pomocą powstały na terenach zabranych tajne komplety, które dawały młodzieży możliwość dalszego uczenia się.

Dzień 24 grudnia 1940 r. pozostanie na zawsze w mojej pamięci. Jest to bowiem dzień, w którym po raz pierwszy byłam na tajnej lekcji.*) Dziwna bardzo wydawała mi się ta nauka i gdy ktoś dzwonił, bałam się początkowo, czy też nie przyszli Niemcy. Później już te dzwonki nie robiły na mnie żadnego wrażenia. Obawiano się nie tylko najścia w domu podczas lekcji, lecz także na ulicy nie było bezpiecznie chodzić z książkami. Niemcy bowiem, wpadłszy raz na trop nauczania, nie szczędziliby dalszych wysiłków w tym kierunku. Dlatego też nosiliśmy książki i zeszyty w czym się dało: w dzbankach od mleka, w koszykach, a nawet w specjalnych woreczkach uwieszonych na szyi pod płaszczem.

*) Pierwsze te tajne lekcje odbywały się w mieszkaniu pp. Neutzigów, Ostrów Wlkp. ul. Gimnazjalna 16.

Nauka nie odbywała się stale w jednym mieszkaniu. Lekcje odbywały się bowiem za każdym razem u innej z uczennic. Często były nawet przerywane z powodu wzmożonego niebezpieczeństwa. Lecz pomimo to nie zrażaliśmy się trudnościami, lecz uczyliśmy się z ochotą. Najwięcej baliśmy się egzaminów. Wtedy drżałyśmy jak listki na wietrze z obawy, czy je tylko zdamy. Jednak nasze obawy były zbyteczne, gdyż jakoś szczęśliwie wszystko zawsze minęło. Trochę trudniej było z nauką, gdy zaczęłam pracować. Wtedy lekcje były często nawet w niedzielę, albowiem inne koleżanki też pracowały, a każda w innych godzinach...

24

Tadeusz Gutowski

ur. 15. 10. 1919 w Kazimierzu Biskupim, pow. Konin.

*W czasie okupacji mieszkał w Kazimierzu Biskupim
i wydarzenia opisywane tam miały miejsce.*

Obecnie: Słupca, ul. Poznańska 5.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. w Słupcy, kl. IV.

...Pracowałem w biurze, znajdującym się w budynku sąsiadującym z żandarmerią. Jedna ze ścian pokoju przylegała bezpośrednio do sali śledczej, tak że miałem często możliwość słyszenia niejednej rozmowy. Trudno było prawie o dzień, w którym by cisza zalegała w miejscu kaźni. Jęki, słowa bólu, uderzenia bata czy ręki, kopanie, krzyki oprawców, mieszając się wspólnie, unosiły się ze skargą ku niebu, mroząc krew w żyłach człowieka.

Zima. Wichura mroźna szaleje na dworze, kurzawa śnieżna zasypuje oczy. Trudno z domu choć psa wypędzić. Żandarm niemiecki jednak, odziany w kozuch, uprawia ze swym oddziałem składającym się z biednych więźniów polskich „ćwiczenia gimnastyczne“ na dziedzińcu. Trzech mężczyzn w sile wieku, jeden starszy człowiek i kobieta — wszyscy zziębnięci, posiniaczeni muszą maszerować stale w kółko. Lekcja ta trwa do trzech godzin. Na tych, którzy zostają w tyle, którzy maszerują zbyt niedołąźnie, spada bat.

Przeszło dwudziestoletni młodzieniec, ucieklszy z miejsca pracy ponad siły, ukrywał się w wiosce. Los jednak zrządził, że dostał się w ręce policji. Związane go z tryumfem przywożą na posterunek. Rozpoczyna się przekłete badanie. Po paru przesłuchach osoba przedstawia obraz pełen litości. Pokrwawionemu każą się myć pod studnią. W tej chwili ktoś odwołuje „oprawców“. Oskarżony, zebrawszy ostatnie swe siły, spróbował ucieczki. Wnet jednak pogoń zaczęła krzyżować plany. Ścigany wpada w podwórze, a nie widząc wyjścia, wskakuje do studni. Plusk wody i hałas kołowrotu wydaje nieszczęśnika. Na nic się nie przydały słowa groźby, by wyszedł. Do studni spuszcza się jeden z żandarmów i z wielkim trudem wydostaje z niej „przestępcę“. Wyobraźmy sobie, ileż potem wycierpiał ten biedny człowiek!...

...Zakryte samochody wraz z przyczepkami, naładowanymi tobołkami, przejeżdżały co parę godzin przez miasto, zmierzając w stronę lasu. Z początku nikt do tego nie przykładął wagi. Po pewnym czasie zaczęliśmy się niepokoić! Tłumoki, policja z karabinami w tyle, co to wszystko znaczy, po co jeżdżą do lasu? — nie po drzewo — to pewne. Wreszcie wyjaśniono zagadkę — samochodami wożono tysiące ludzi, których w lesie mordowano zacierając starannie wszelkie ślady. Akcja ta trwała parę tygodni. Po zaprzestaniu działań „schlachttruppe“ okoliczna ludność po kryjomu stwierdziła trzy ogromne mogiły dobrze zamaskowane. Po pewnym czasie zapadły się, a drzewa niektóre tam posadzone poschły...

25

Nina Drewnikówna

ur. 30. 7. 1928 w Poznaniu.

Okres okupacji przeżyła w Poznaniu, ul. Ratajczaka 10, m. 10, skąd aresztowano jej matkę

Obecnie: Poznań, ul. Solacka 7, m. 1.

Uczennica Publ. Szkoły Powsz. nr 17 w Poznaniu. Kurs dla dorosłych.

...Było to 15 stycznia 1943 roku. Data ta zaryła się głęboko w mej pamięci i pozostawiła niezatarty ślad. Nie zapomnę jej nigdy, jak również drogiej, ukochanej mamusi. Była godzina 11. Spaliśmy wszyscy, tylko mamusia szła coś jeszcze. Wtem —

pukanie. Usiadłam na łóżku. Siłą stłumiłam okrzyk grozy. W progu stało Gestapo. Mamusia przywitała ich z największym spokojem. Uśmiechnęła się nawet. Kazali zabrać trochę bielizny i żywności. Przyszła chwila pożegnania. Z uśmiechem na ustach całowała nas i czyniła nad każdym znak krzyża św., a ostatnimi Jej słowy było: „Nie płaczcie, dzieciaczki, mamusia wróci“.

I stało się. Zabrała ze sobą wszystko szczęście i słoneczną radość, jaka u nas panowała, a zostawiła smutek i rozpacz. Ta noc i wszystkie następne dni były jedną straszną męką. Chodziliśmy po mieszkaniu jak cienie i czekaliśmy. Może wróci? Lecz nadzieja nas zawiodła.

Po kilku tygodniach przyszedł pierwszy list. Była w nim radość, tęsknota i wszystko, co czuło biedne serce mamusi. Odtąd list przychodził co miesiąc. Była w Oświęcimiu. Listy mamusi były dla nas promykiem słonecznym, który rozświecał monotonię szarych dni. Brała żywy udział w naszych smutkach i radościach, troskach i kłopotach. Wlewała nam w serce otuchę i dodawała odwagi. Nie skarżyła się nigdy. A przecież miała stokroć gorzej! Była pozbawiona wszelkiej swobody i oddana na pastwę tęsknocie. Myśmy mieli jeszcze tatusia.

Dopiero wtenczas poznałam cały ogrom miłości i przywiązania, ten ogrom poświęcenia, jaki kryje w sobie serce matki. Wtenczas dopiero uczułam, jak gorąco Ją kocham. Byłam Jej tak bardzo wdzięczną za beztroski wiek dzieciństwa, za słoneczne wspomnienia, jakie pozostały, za wszystkie noce bezsennie spędzone u naszych łóżeczek i za bohaterstwo, z jakim nas żegnała. Staralam się, jak mogłam, to wszystko wyrazić w listach. Pragnęłam, aby uczuła, że całym sercem i duszą do Niej należymy i każda myśl nasza jest o Niej.

Mamusia każdy swój list kończyła błogosławieństwem i prośbą o modlitwę. I gdy w Poznaniu pękały granaty i słychać było huk spadających bomb, to nadzieja znów ożyła. Lecz niestety. Obóz z Oświęcimia wywieziono w głąb Niemiec. Dzisiaj, modląc się o powrót mamusi, dołączam ciche i proste „Bądź wola Twoja“. Gdzieś w górze istnieje jeszcze miłosierdzie, a ja wierzę

Mamusia wróciła! W taki szary smutny dzień, kiedy za oknami szalał wicher i bębnił deszczem o szyby. Nam wydał się on promienny, skąpany w słonecznym blasku. Wróciło utracone szczęście i beztroskie dni. 28 miesięcy nieobecności mamusi to jakby jakiś koszmarny sen. A jednak były rzeczywistością. Świadczy o tym tyle bolesnych wspomnień, które nie zatra się nigdy, i numer wytatuowany na lewej ręce. Miał on być piętnem hańby i poniżenia, a stał się symbolem zwycięstwa, heroizmu i wiary w Boga.

Kilka przykładów z życia obozowego, które przytaczam, to zaledwie jedna kropla z morza cierpień i mąk, jakie więźniowie przechodzili. Odżywianie było fatalne. Małeńki kawałek chleba i ćwierć litra zupy (bez soli) stanowiło całodzienne utrzymanie. Ludzie wycieńczeni pracą i panującymi warunkami umierali masowo. Szerzyły się najróżniejsze choroby i epidemie. W roku 1943 rozszalał się tyfus. Każda noc i dzień zabierały setki ofiar. Ciała umarłych wyrzucano przed barak w błoto i tam leżały do rana. Rano żywi i umarli stawali do apelu. Był to widok budzący powszechną grozę, oburzenie i nienawiść. Nienawiść do katów hitlerowskich, którzy zatarcili wszelkie poczucie człowieczeństwa i stali się podobni do dzikich bestii, żądnych krwi i mordy. Dla nich życie ludzkie nie stanowiło żadnej wartości. Człowiek w lagrze był po prostu niewolnikiem, pozbawionym wszelkich praw, a Niemiec panem jego życia i śmierci. Po apelu, który trwał godzinami bez względu na stan pogody, zmarłych autami ciężarowymi odwożono do krematorium do spalania.

Do rozwoju tych wszelkich chorób przyczynił się ogólny brak wody. Myto się w ziołach podawanych do picia lub w błotnych kałużach. W szpitalu tzw. rewirze istną plagą były szczury. Chorzy w nocy spać nie mogli, bo gady te były tak zuchwałe, że wchodziły na łóżka i zjadały tym biedakom ostatnie kęsy chleba, a raz zdarzyło się, że szczur ugryzł kobietę. Kiedyś blok jeden zbuntował się, domagając się większej ilości chleba. Przyszli SS-mani. Kazano na dwór wystawić stół. Każda z kobiet musiała się położyć i dostała 10 kijów. Po skończonej egzekucji stawiono pytanie, czy teraz mają dosyć?

Mamusię prześladowuje widmo obozu. Gdy klęczy w kościele, przypomina Jej się, jak za najdrobniejsze przewinienie cały blok musiał klęczeć na dworze. Nie zważając na chłód, deszcz, mróz kazano klęczeć godzinę, dwie z wzniesionymi w górę rękoma. Nie wolno było się poruszyć lub zmienić pozycji. Na łoku stał SS-man z kijem i za każdy ruch na plecy spadały razy. Słabsze mdlały z wysiłku, a inne modliły się o wytrwanie. Innym razem stojąc po kolana w wodzie kopały głębokie rowy.

Trzeba było nadludzkiego wysiłku, by nie poddać się rozpacz i nie zwątpić, nie zwątpić w miłosierdzie Boga, ale wierzyć gorąco, ufnie, szczerze. Bo tylko prawdziwa wiara przynosi ukojenie, a Bóg jeden zwycięża.

26

Tadeusz Zborowski

ur. 1. 1. 1925 w Czeknie, pow. Dubno.

W czasie okupacji przebywał w Tłukawach, poczta Ryczywół, pow. Oborniki.

Obecnie: Rogoźno Wlkp.

Uczeń Państw. Lic. i Gimn. Przemysława w Rogoźnie Wlkp., kl. III gim.

...Przeznaczono mnie do całkiem mi wtenczas nieznanej wioski Tłukawy (Schwanenfelde), odległej o przeszło dwadzieścia kilometrów od domu, gdzie przebywałem aż do końca wojny. Przyzwyczaiłem się pomału do ciężkiej roboty i spania w stajni, byłbym może doczekał spokojnie końca wojny, gdyby nie pewien wypadek.

Było to 15 sierpnia 1943 roku. Położyłem się zaraz z wieczora i pomimo tego, że byłem zmęczony, nie mogłem usnąć. Jakieś złe przeczucie nurtowało we mnie. Naraz wpada kolega krzycząc: „Wstawaj! Ogień!” Zerwałem się jak oparzony i w mgnieniu oka byłem na ulicy. Czerwona łuna pożaru rozciągała się na pół nieba w sąsiedniej wiosce. Jechać czy nie? To drugie zwyciężyło. Pomyślałem sobie, niech się Szwab spali, i poszedłem spać.

Na drugi dzień rycło rano wyszedłem spytać się o przyczynę pożaru. Zaraz na wstępie zostałem uwiadomiony, że ogień był tam, gdzie służył mój brat. Przyczyny nie ustalono, a on został zabrany przez policję na przesłuchanie. Zbladłem.

Wiedziałem, że kto w padnie w pazury tych opryszków, to nie wyjdzie z nich bez konsekwencji.

Pod wieczór pojechałem zobaczyć, czy już został zwolniony. Niestety, nie było go. Wróciłem z powrotem z różnymi domysłami. Pocieszałem się myślą, że przecież prędzej czy później, a jednak przyjdzie. Wypadki potoczyły się teraz z szaloną szybkością i przeszły najgorsze nieraz domysły.

Następnego dnia o godzinie 6 zjawił się u mnie brat we własnej osobie. Z pierwszego rzutu oka spostrzegłem, że coś jest nie w porządku. Bładość, zniszczone ubranie i pokrwawione ręce pozostają mi w wyobraźni do dziś. Oszołomiony, nie wiedziałem, co i o co się wpierw zapytać. Wtem padły z jego ust słowa: „Wyrwałem kraty, uciekłem, bito mnie tak, że przyjąłem całą winę na siebie, a teraz co robić? Dokąd uciekać?” Dałem mu kilka wskazówek i rozstaliśmy się.

Czekałem z rezygnacją dalszych następstw. Po godzinie zjawił się policjant, pytając o brata. Udałem zdziwionego, jakbym o niczym nie wiedział. Pomimo tego — przy pomocy miejscowych hitlerowców przeszukano całe zabudowania, a mnie odprowadzono na komendę policji. Pierwszym pytaniem, jakie tam usłyszałem, było: „Był twój brat u ciebie?” — „Nie.” -- „Wyciągnąć ręce!” — Suchy trzask kajdan i w chwilę później znalazłem się w celi więziennej. Tam miałem czas do rozmyślań.

Czemu nie uciekłem razem z bratem? A może to i lepiej? Choć ja pójdę do obozu karnego, to przynajmniej pozostałej rodzinie dadzą spokój. Te i tym podobne myśli przychodziły mi do głowy. Jak się okropnie myliłem! Pod wieczór była już w więzieniu matka (ojca wywieźli miesiąc przedtem na roboty w głąb Niemiec), a mnie zaprowadzono na śledztwo.

Stałem przed chudym i wysokim urzędnikiem policyjnym spuściwszy w dół oczy. „Jesteś przestępcą” (Räuber). „Nie możesz patrzeć na mnie?” Podniosłem wzrok i wejrzałem w jego kocie źrenice. Pomimo mego wysokiego wzrostu musiałem unieść głowę do góry, aby napotkać wzrok stojącej przede mną karykatury ludzkiej na kształt tyczki od chmielu. Była to dla mnie próba ogniowa. Na pytania odpowiadałem tylko: „nie”, lub: „nie wiem”. Widząc bezskuteczność swoich zabiegów,

wycedził przez zęby: „Zatwardziały psie polski, wiedz, że brata twego już mamy, a teraz wynoś się!”

Wiadomość ta ugodziła we mnie jak grom; zagryzłem usta i wyszedłem ze spuszczoną głową. Przesiedziałem całą noc tłukąc głową o mur i gryząc w bezsilnej rozpaczce ogniwa łańcucha. Następnego dnia wezwano mnie znowu. Tym razem nie było to śledztwo. Wchodząc ujrzałem naprzeciw siebie brata. Spojrzenia nasze spotkały się i przeszły na kajdany. Wtem padło pytanie skierowane do mnie: „Znasz go?” Zdu miałem się nad bezczelnością tych słów. Przez głowę przemknęło mi pytanie: czy oni, czy ja zwariowałem? Wtem drugie: — „Kto to jest?” Stałem jak błędny, nie wiedząc, o co się rozchodzi. Brat się szybciej zorientował i zapytał: „Znasz mnie?” Dopiero w tej chwili mi się wszystko rozjaśniło. Chcieli wiedzieć, czy go się w nieszczęściu wyprę. Odrzekłem:...

Po tych słowach kazano mi wyjść, wsiąść do autobusu, dokoła usadowiło się pełno zbirów z karabinami i ruszyliśmy. Byłem pewny, że jadę do obozu karnego. Żegnałem wzrokiem znajome miejscowości z pytaniem, czy je będę jeszcze oglądał?

Wtem we wiosce, w której był brat, stanęliśmy, wysiadłem i wprowadzono mnie do obszernej sali. Co to może być? Rzędy krzesel, czarny stół, a nad nim znienawidzona swastyka. Zbladłem. Była to sala sądu doraźnego. W niej miały za chwilę padnąć słowa: wolność, względnie śmierć. Wprowadzono brata i weszli sędziowie. Rozprawa nie trwała długo, wyszedłem z niej wolny, a szesnastoletni brat skazany na śmierć. W miesiąc później czerwone afisze i list pożegnalny potwierdziły wyrok sądowy...

27

Anna Kierska

ur. 23. 9. 1922 w Gdańsku.

W czasie okupacji mieszkała w Poznaniu, ul. Szewska 6/5. ;

Obecnie: Poznań, Al. Marcinkowskiego 11.

Uczennica IV Państw. Gimn. i Lic. Żeńsk. im. Kl. Potockiej w Poznaniu, kl. IV. Zdarzenia opisywane działy się w czasie od 8. 10.—16. 11. 45 r. w Pudłowie, pow. Sieradz.

Śnieg prósz, wracamy z pracy złe i zmęczone. Nie chce się ani śpiewać, ani gadać. Stajemy wreszcie przed szkołą i cze-

kamy na pocztę. Po chwili wychodzi grupowa i oświadcza, że poczty nie ma. Cały dzień niecierpliwie oczekujemy tej chwili i nic. No, niby poczta jest, pocieszają nas, ale nie została rozsegregowana. Przychodzi „Niemiec“, pospolicie zwany „Stópka“*). Trochę musztry „w lewo zwrot“, „w prawo zwrot“, „biegiem marsz“ i wreszcie utęsknione „spocznij“ i „rozejść się“.

Wchodzimy po karkołomnej z powyłamywanymi szczeblami drabinie na nasz strych. Zrzucały nasze chlebaki, bierzemy menażki i stajemy w ogonku za kolacją. Co trzeci dzień jest zupka na wieczór. Po półgodzinnym staniu zaczynają się niecierpliwić. Tu i ówdzie zaczynają się wyzywać, nawet bić, a kolacji jak nie ma, tak nie ma. Wreszcie zajeżdżają wozy. Ale tylko dwa kotły. Okazuje się, że mężczyźni po drodze zrobili napad i zarekwirowali. Zadowolamy się więc skibką chleba. Część ustawiła świeczki w słomie bez obawy, żeby się zapaliła, jest na to zbyt mokra. Jedne szyją, inne składają „wizyty“, jeszcze inne powędrowały do wsi. Tak schodzi wieczór. O 8,30 któraś intonuje „Pod Twoją Obronę“, i to jest nasza wieczorna modlitwa.

Moja najbliższa sąsiadka i przyjaciółka, pospolicie zwana „Kubuś“, poszła umyć menażki. Choć cały dzień stoimy we wodzie lub błocie po kostki, to jednak nie ma ani wody do picia, ani do mycia. Mycie meńażek odbywa się mniej więcej raz na tydzień. Ja rozbieram się z dwóch „skór“, a w pięciu śpię normalnie. I tak jest wszystko mokre, aż do tej „najdolniejszej“, i czekam, aż „Kuba“ wróci, bo pod mokrym kocem w pojedynkę za zimno. Powoli cichnie, gasną jedna po drugiej świece. Jest tak beznadziejnie, strasznie smutno. Stale nam przepowiadają, że jedziemy do Niemiec, że do domu nas na pewno nie puszczą.

Wtem „alarm“. Zrywamy się! Po ciemku, wszystko, jak kto stał, „wali“ na dół. Drabina nie wytrzymała pod naporem i zarwała się. Krzyk, płacz, jęk. Ja gwałtownie szukam spodni, których nie mogę znaleźć, wreszcie udaje mi się wciągnąć je. „Dyby“ w zęby, skacze na dół. Jest mi wszystko jedno. Po krót-

*) Nazwisko właściwe: Dummeyer.

kiej walce i wyłamaniu w pośpiechu drzwi wpadamy na dziedziniec. Ustawiam się przezornie w drugim rzędzie i porządkuję jako tako moją garderobę. „Stópka“ pieni się. Tej i owej z pierwszego szeregu oberwało się po twarzy. Wreszcie po długiej przemowie dowiadujemy się, że mamy teraz zaraz po ciemku szorować „wsiowe“ toalety. Biegiem! Biegamy tam i na powrót z piaskiem, wodą itd., która nie dosyć prędko się uwija, dostaje kijem po plecach. Jestem więcej jak wściekła, ale chce mi się mimo to śmiać widząc cudowne stroje.

Truppenführerzy dosłownie kulają się ze śmiechu. Cała szopka trwa jakieś dwie godziny, a potem wysłuchujemy znowu kazania, dla większości niezrozumiałego, i łaskawie pozwalają nam się rozejść.

Rekwirujemy jakiemuś gospodarzowi drabinę i przystawiamy do naszego stryszku. Jest co prawda trochę za duża i wystaje aż na dziedziniec z naszego przedsionka, ale zawsze drabina. Panuje ogólne wzburzenie, zapalają światła i robią wielki wiec. Ja ze złości „wsunęłam“ aż dwie skibki chleba przygotowane na jutrzejsze śniadanie i położyłam się spać. Powoli i reszta poszła za moim przykładem. Jeszcze kilka spóźnionych ze wsi wraca z powrotem i opowiada swoim najbliższym sąsiadkom swoje przeżycia wieczorne.

Staram się zasnąć, ale nie mogę. Mocno mi serce dokucza. „Kubuś“ śpi z głową na moim ramieniu. Nagle słyszę wyraźny szmer. Szarpnię „Kubę“ za ramię. Przerażona siada na legowisku. Co się stało? A, e, to nic! to znowu ten „Truppenführer“ znudzony i spity przyszedł się zabawić.

Szczęściem do naszego kąta nie trafił. Gdzieś ugrzązł na przeciwnym końcu strychu. Noc wlecze się bez końca.

Woda kapie miarowo z dachu to tu, to tam. Zresztą panuje cisza, czasem któraś jęknie czy krzyknie przez sen. Czasem z drugiego końca doleci jakiś bezwstydnym śmiech. Jakaś uparta mysz biega mi nad głową. Jakaż straszna, beznadziejna ta noc. Ale to chyba już czas wstawać na pewno.

Znowu budzę „Kubę“. „Kubuś, to na pewno już rano, tylko one zaspaly i spóznimy się!“ — „E... jeszcze czas“. Nagle pobudka „wstać“. Zrywamy się. Naturalnie zaspaliśmy. Nie zdążyłam

się jeszcze dobrze ubrać, gdy już wołają na zbiórkę. Chwytam chlebaki, menażki i pędzę na dół.

By dostać się na plac zbiórki, trzeba przebiec przez kładkę na rowie. Przy kładce tej stoi „Lagerführer“ i każdą spóźnioną ofiarę bije laską po plecach.

Rano wyczytali chorych. Zaraz na miejscu zbadali. I naturalnie, jeżeli nie miała rozrąbanej nogi, to „Stópka“ uznawał za zdrową. Po czym drużyna jedna za drugą opuszczała plac zbiórki.

Maszerować w tym błocie jest wyższą filozofią, ale i tego nas nauczyl, nawet ze śpiewem trzeba było, bo tego sobie życzył nasz „pan i władca“, „Stópka“.

28

Andrzej Kornaszewski

ur. 22. 7. 1927 r. w Ostrowie Wlkp.

W czasie okupacji przebywał w Ostrowie Wlkp., ul. Bratnia 21.

Obecnie: Ostrów, ul. Kościuszki 2 a.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. Męskiego w Ostrowie Wlkp., kl. II gimn.

Chcąc opisać dzieje naszego sztandaru muszę się cofnąć w opowiadaniu do roku 1933, kiedy to powstała w Ostrowie 5 drużyna harcerska im. Tomasza Zana. Z chwilą powstania 5 drużyny najważniejszą rzeczą był sztandar. Sztandar został wykonany na zlecenie druha-komendanta hufca, ks. Ziemińskiego, przez zakonnice opiekujące się sierocińcem w Ostrowie. Jest on wyszyty na ładnym, mocnym niebieskim materiale i tylko dzięki jego wytrzymałości sztandar dotrwał do dziś w dość dobrym stanie. Na jednej stronie jest wyszyty krzyż harcerski, a na drugiej mapa Polski z otwartą księgą i lilią. Sztandar został poświęcony, a chrzestnymi zostały pani Regina Dubiska i pani Władysława Hoffmanowa. Teraz już przybywające do drużyny świeże kadry harcerzy składały przyrzeczenie, kładąc na sztandar dwa palce: przyrzekały wierność Bogu, Polsce i prawu harcerskiemu. Odchodzący w życie harcerze ze smutkiem wspominali mile spędzone chwile zatrzymując na zawsze

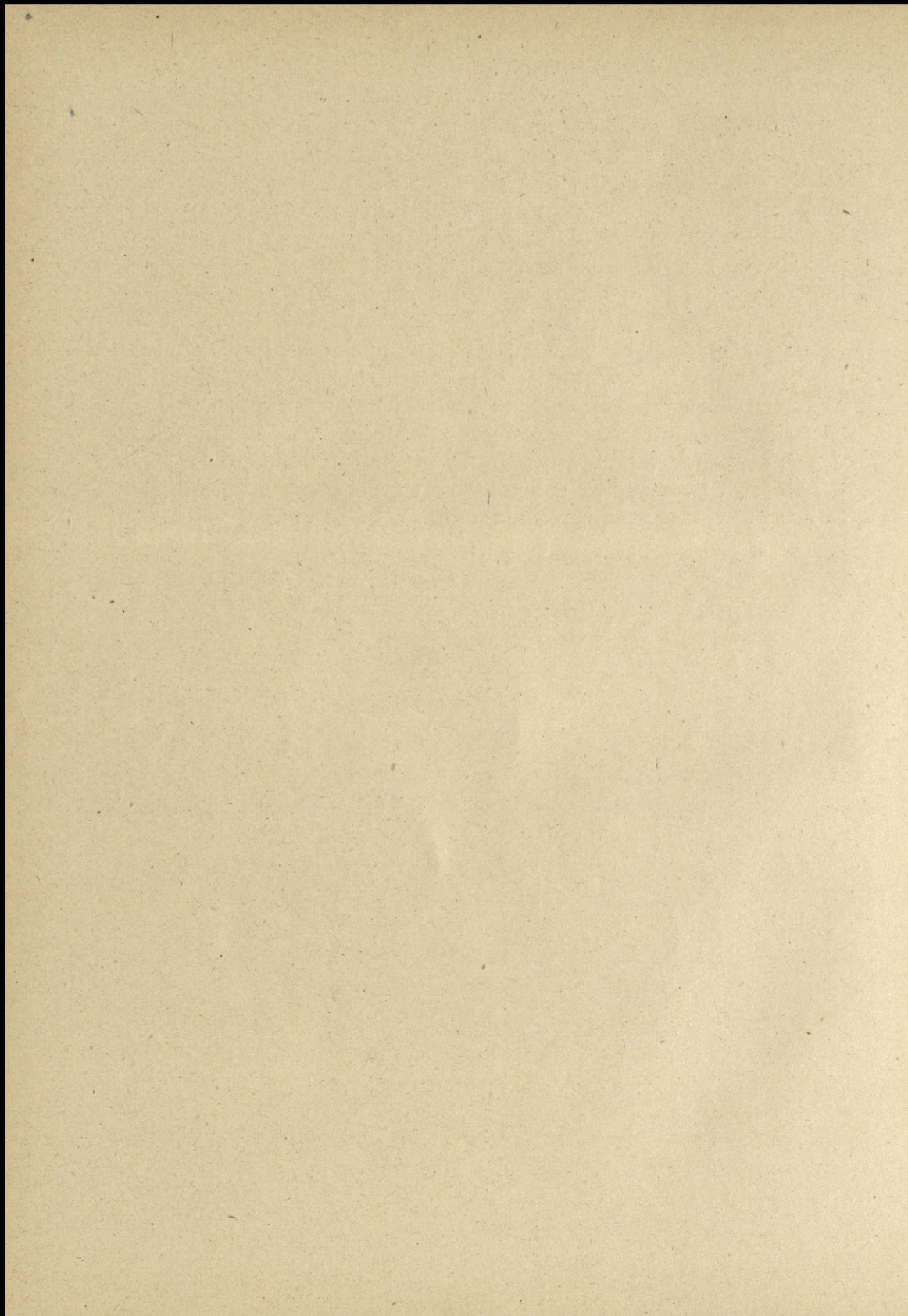
chwile przyrzeczenia w sercu. Tak nadszedł rok rozpętania się straszliwej wojny światowej, rok 1939.

Sztandar, jak zwykle, wisiał w harcówce w gmachu gimnazjalnym, gdy do opustoszałego Ostrowa wtargnęli Niemcy. Naturalnie, jak wpadli, zaraz zaczęli wszystko zwiedzać. Najpierw obejrzeliby urzędy miejskie, a później przyszła kolej na szkoły. W tym czasie zaczęła wracać do Ostrowa wyewakuowana ludność. Między wracającymi znalazł się jeden z harcerzy należących do 5 drużyny i pierwszą jego myślą było: „Co się stało ze sztandarem?” Dostaje się więc tylnym wejściem do gimnazjum, otwiera siłą drzwi harcówki, bierze znajdujące się tam sztandary stowarzyszeń szkolnych, a więc sztandar 5 drużyny im. T. Zana, 2 drużyny im. H. Dąbrowskiego, Sodalicji i Krucjaty gimnazjalnej. Ponieważ nie ma innej możliwości wydostania się ze sztandarami, przeto zdejmując je z drzewców, owija się nimi pod marynarką i wychodzi znów tylnym przejściem w chwili, gdy do frontowego wejścia dobijają się Niemcy. Obarczony tym drogim ładunkiem udaje się przez przyległy ogród do sierocińca, gdzie wspólnie z jedynym pozostałym mieszkańcem tego domu, starym stróżem, włożył sztandary do blaszanej puszkę i z nadejściem wieczora zakopał je w ogrodzie sierocińca. Tak przechowane sztandary doczekały się dnia upragnionej wolności.

Znów powstała 5 drużyna T. Zana i zainteresowała się tym, gdzie jest sztandar. Niestety, była to rzecz bardzo trudna, albowiem stary stróż zmarł podczas wojny, a biedny harcerz w Dachau, zamęczony przez niemieckich oprawców za to, że był Polakiem. Jednak po wielu trudach znaleziono rodzinę tego cichego bohatera, która wyjaśniła, że sztandar znajduje się w ogrodzie sierocińca, ale miejsca wskazać nie umiała. Wtedy z braku innego sposobu cała drużyna chwyciła za łopaty i przekopała kawałek za kawałkiem. Po dość długim kopaniu jeden z druhów wykopał puszkę, którą prawie całą zniszczyła rdza, a w której znajdowały się sztandary. Teraz przyniesiono sztandary do konwiktu, gdzie poczęto ostrożnie wyciągać je na światło dzienne.

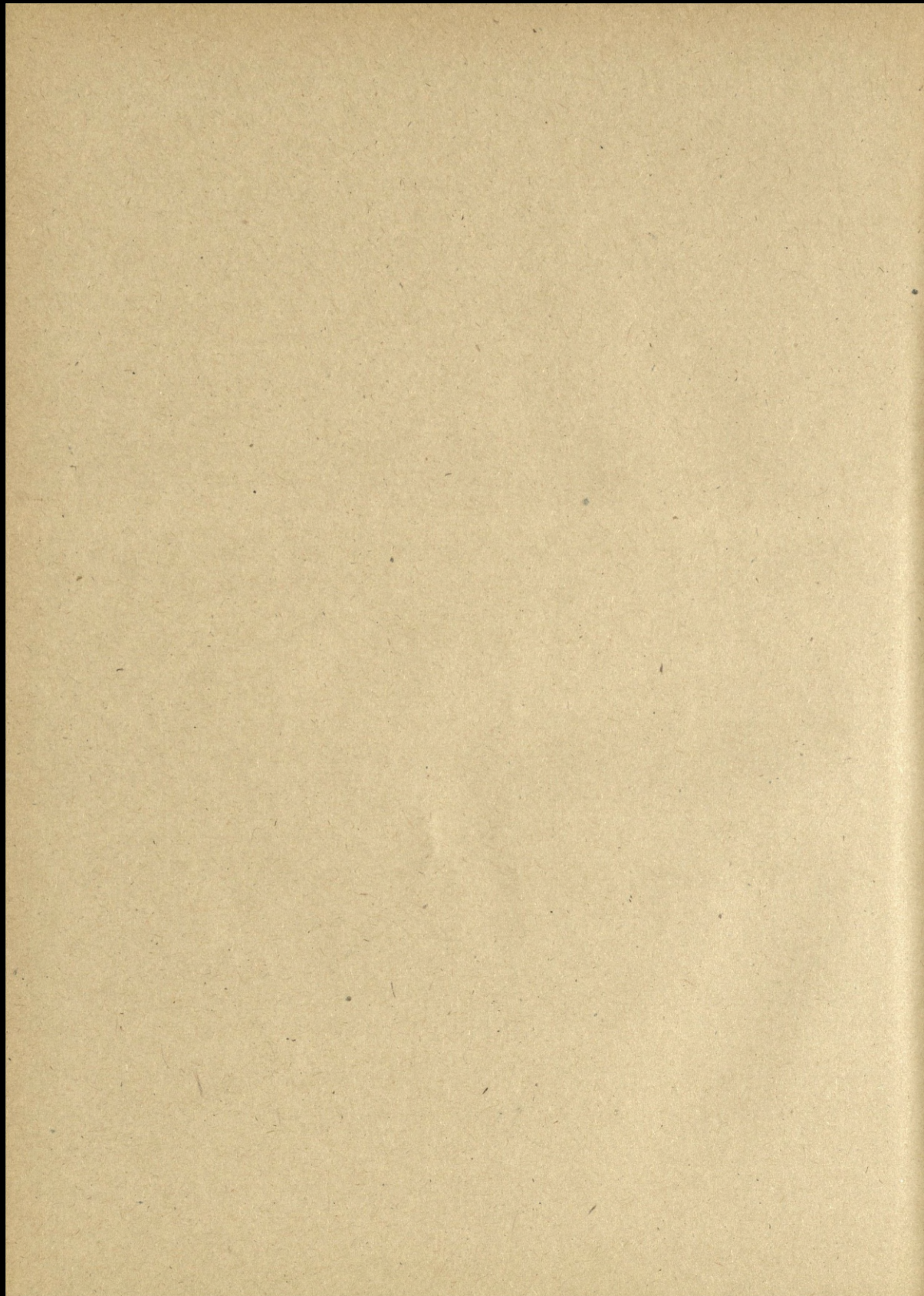
Najlepiej zachowały się sztandary 5 drużyny, Sodalicii i drugiej drużyny, a najgorzej Krucjaty gimnazjalnej. Po przesunięciu go zanoesiono sztandar do harc6wki 5 drużyny i zaczęto obrady nad odrestauowaniem go. Niestety, najpierw nie było komu tej odpowiedzialnej pracy powierzyć, później nie było pieniędzy. Tak upłynął miesiąc. Nareszcie znaleziono osobę, która za niewielkim wynagrodzeniem podjęła się wyreperować sztandar.

I zn6w upłynął miesiąc. W tym czasie znalazła się lilijka i dwie blaszki z nazwiskami chrzestnych, które któryś z dawniejszych harcerzy odnalazł na śmieciach wyrzuconych przez Niemców z gimnazjum przy przerabianiu go na szpital. Tak więc po sześciu latach strasznej okupacji sztandar jest zn6w w całości. Pierwszy raz załopotał nad 5 drużyną w obecności całego hufca ostrowskiego 3 maja 1945 roku...



NA OBCZYŻNIE

VII



Alfons Mikołajczak

ur. 6. 3. 1927 w Karniszewie, pow. Gniezno.

W czasie okupacji przebywał w Polnisches Lager (obóz pracy) w Köln-Mühlheim, Frankfurterstrasse P 501 (do 28. 4. 1944). W czasie nalotu ranny.

Obecnie: Karniszewo, pow. Gniezno.

Uczeń Państw. Lic. i Gimn. im. Bolesława Chrobrego w Gnieźnie, kl. II przyśp. gimn.

Nie budził nas słodki głos matki, lecz obcy, gardłowy głos wyrywał nas ze snu.

Była to zawsze 5 godzina; kto sypiał czujniej, słyszał, jak wartownik opierał o drewniany barak karabin, otwierał drzwi, zapalał światło i często z przekleństwem pod naszym adresem wołał, aby wstać.

Więziennym rygorem ślaliśmy sobie prycze. I jak kto miał, jadł skibkę chleba lub tylko pił kawę i pod „opieką“ dozorczy szliśmy do pracy. Nie lekka czekała nas praca. Niemcy zabierali lepsze miejsca, kontrolując maszyny, a Polak pod ścisłym dozorem kaleczył sobie dłonie usuwając gruz. Ciężka to była praca, zimą szarpał nas wichur, ciął mróz. Latem wśród kurzu i dymu z kominów fabrycznych paliło nas słońce... Nie tylko słońce! Paliła nas gorycz, że pot naszego czoła nie służy Ojczyźnie, że z pracy naszej korzysta wróg. Pracowaliśmy od 7 rana do 6 wieczorem. Żądano od nas tej pracy, której nie wykonywał żaden Niemiec. Kazano nam przelewać kwasy, nie zaopatrując nas w gumowe rękawice. Kwas siarkowy palił w ręce, niszczył odzież.

Lecz z czasem paniczny strach uczył i Niemców ludzkiego uczucia. Kiedy po groźnym, jak burza w lipcu, wieczornym nalocie tygodniami paliło się miasto, kiedy stanęły tramwaje, zabrakło światła i wody, wówczas dopiero Niemcy uznali i nas za ludzi. Niewiele nam pomogło, gdy teraz któryś z Niemców podał paczkę, gdy przedtem rzucił przekleństwo.

Esowcy — ci pozostali niezmienieni. Pozwalali sobie z naszego tak już głodowego przydziału żywności brać obiad lub dzienny przydział chleba dla poszkodowanych od bomb. Czy ci jednak to otrzymywali, tego my nie wiemy, możemy jednak przypuszczać, że naszym kosztem ubierali swe żony lub kochanki w buty lub futra.

Jak ciężkie duchowo nawet było to wygnanie, świadczy pieśń, pieśń smętna jak brzoza cmentarna.

*Stara wierzba u jeziora
Toczy swój żaloszny głos,
Smutny Polak co wieczora
Śle do matki z wichrem głos.*

*Tu nie widzę ojca, matki,
Ni uśmiechu siostry mej,
Każdy uśmiech tu mi rzadki,
Bo nie widzę ziemi swej.*

*Powiedz, wierzbo, mej rodzinie,
Jak nam tutaj ciężko żyć,
Jak nam tutaj czas upływa,
Jak ja długo mam tu być.*

*Ciężką pracę tutaj mamy,
A jeść mało dają nam,
My do pracy sił nie mamy,
A pracować każą nam.*

Sami nie zauważyliśmy, jak Kolonia nad Renem pod bombami aliantów przysiadła się w gruzach. Za to po boku miasta wyrosły cmentarze. Na jednym z nich przeznaczonym dla „obcokrajowców“ w potrójnych grobach spoczęli ci, co nie wrócili, a wzięto ich, jak i nas, przemocą do „ochotniczej“ pracy. Mówiono tu zwykle o nich: „Zabici przez bomby!“ Ja jednak powiem: „To są ofiary bezwzględności niemieckiej“. Tak! choremu koledze z baraki, Walerianowi Wachowskiemu, naczelnik lagru przysłał lekarza, dopiero gdy ten stracił przytomność.

Umęczona jego dusza uleciała pod stopy Najwyższego, a myśmy pożegnali najlepszego kolegę.

2*)

Wanda Kotlarkówna

ur. 7. 3. 1926 r. w Poznaniu.

W czasie okupacji: Ostrów Wlkp. (1939—1941), Berlin — Fabryka amunicji (18. 11. do sierpnia 1943), Bydgoszcz (1943—1945).

Obecnie: Kępno, ul. Kościuszki 4.

Uczennica Państw. Gimn. i Lic. w Kępnie, kl. II d gimn.

Gwiazdka to chyba najmilsze, najpiękniejsze święto w całym roku. Gdy byłam jeszcze małym dzieckiem, dzień Bożego Naro-

*) Dalszy ciąg pamiętnika, drukowanego na str. 118—121.

dzenia był także i najradośniejszym dniem dla mnie. Czemuż teraz, właśnie dzisiaj najboleśniej odczuwam mą samotność, tęsknotę za najbliższymi oraz dojmujący smutek, który próżno stłumić usiłuję?

Pierwszy raz obchodzę gwiazdkę*) daleko od swoich i zupełnie sama. Siedzę przy oknie w moim baraku i oczyma pełnymi łez spoglądam w bezkresną dal. Nade mną rozpościera się strop nieba milionami brylantowych gwiazd usiany, a wokół huczy ogromne miasto — Berlin — z powodu „Verdunklung“ całkowicie spowite w ciemnościach.

Myślę o moich najbliższych, o tym, że te same gwiazdy, co teraz nade mną świecą, ślą im również swe promienne pozdrowienie, i zdaje mi się wtedy, jakbym była razem z nimi przy jednym stole i jednym śnieżnym dzieliła się opłatkiem. Jestem zupełnie sama w pokoju dla chorych, chociaż z innych baraków dochodzi mnie śpiew, gwar i tańce, lecz ja ten jeden raz wolę zostać sam na sam ze swymi myślami w tę cichą, świętą noc... noc cudów i ukojenia.

Lecz kiedy wspomnę, że to już czwarty raz obchodzimy święta Bożego Narodzenia w niewoli, że i tym razem zawiodły nas nadzieje, to mimo woli wzrok biegnie ku niebu, a usta szepcą błagalnie: Czy jesteś tam, Boże, i czy słyszysz? Aż wierzyć się nie chce, że to już tyle lat upłynęło od początku wojny i że ona stale jeszcze trwa. Zdaje mi się także, że cztery lata temu więcej było widoków na bliski jej kres niż obecnie. Ale przecież: niezbadane są wyroki nieba, a nam zgodzić się na nie zawsze będzie trzeba.

Dopiero teraz odczuwa człowiek swą nicość wobec Wszechmocy Boga. Cóż bowiem znaczy życie ludzkie, istnienie jednostki czy nawet całych narodów wobec takiego kataklizmu dziejowego, jakim jest na przykład obecna wojna? A któż potrafi przewidzieć jej koniec i rezultat? Z pewnością nawet sami jej inicjatorzy tego powiedzieć by nie umieli. A tymczasem już cztery lata zbiera śmierć obfite swoje żniwo i wśród ludzi nie

*) w r. 1942

ma takiego geniusza, co by temu zaradzić i przeciwdziałać umiał.

Pracuję w fabryce amunicji — ogromnej jak oddzielne miasto i odległej od lagru, w którym mieszkam, o blisko 15 km — po dwanaście godzin dziennie. Świadomość skutków mojej pracy wpływa bardzo ujemnie na samopoczucie, tak dalece, że nieraz zdaje mi się, że bliska jestem całkowitego załamania duchowego. Oprócz tego rozmaite szykany ze strony lagerführera i innych Niemców urozmaicają mi życie tak, że wolałabym raczej obóz koncentracyjny, niż dłużej znosić to wszystko. Planuję sobie ucieczkę, lecz na razie już szósty tydzień, jak choruję. Może jednak uda mi się doprowadzić ten zamiar do skutku. Boże, dopomóż mi...

Jestem*) w Bydgoszczy. Podrobiłam sobie niemiecki dowód osobisty na nazwisko Ireny Schmidt i mam nadzieję, że Bóg pozwoli mi tu doczekać końca wojny. Obecnie jestem dość optymistycznie usposobiona. Udało mi się wydostać z Berlina, pomimo że już raz na wiosnę po nieudanej próbie ucieczki w kierunku Poznania przychwycono mnie we Frankfurcie; posiedziałam tydzień w Moabicie, miesiąc w Oranienburgu, skąd dostał mnie mój lagerführer po to, bym po raz wtóry, bogatsza już w doświadczenie, znowu opuściła Berlin — tym razem już na dobre...

3

Anna Jagiello

ur. 11. 7. 1926 w Kępnie.

W czasie okupacji: w Kępnie do 5. 5. 1942, kiedy wywieziona została do Wolfen, pow. Bitterfeld pod Lipskiem, gdzie pracowała w fabryce filmów od 8. 5. 1942 do 12. 4. 1945, tj. chwili wyzwolenia przez wojska amerykańskie.

Obecnie: Kępno, ul. Czerwonej Armii 5.

Uczennica Państw. Gimn. i Lic. w Kępnie. Kl. I c.

...Przydzielono mnie do prac w Niemczech i wywieziono do fabryki filmu. Miałam skończonych lat 15. Dziwne wrażenie wywarły na mnie: las bezustannie dymiących kominów fabrycznych, huk maszyn i dziesiątki tysięcy ludzi różnych

*) sierpień 1943

narodowości uwijających się na terenach fabrycznych. Jeszcze nie zdążyłam zebrać myśli i oswoić się z sytuacją, a już trzeba było chodzić do pracy. Pracowałam w ciemniach. Wchodząc do ciemni, myślałam, że wchodzę do jakiejś czarnej przepaści, z której nie ma już wyjścia. Najgorzej było zimą, gdy światła dziennego wcale zobaczyć nie było można.

Wskutek wpływu różnych chemikalii dostałam liczne rany na całym ciele. Pomimo tego musiałam pracować jak zwykle, bo choroby prawie wcale nie były uwzględniane. Siostra niemiecka, do której trzeba było chodzić na opatrunki, gwałtem zrywała bandażę i bezlitośnie smarowała rany ostrym płynem, nie szczędząc przy tym najordynarniejszych wyzwisk. Przygodkowo pracowała ze mną polska siostra, przy pomocy której wyleczyłam się z ran.

O 6 rano zaczynała się praca i trwała 12 godzin. Po skończeniu jej trzeba było załatwić różne sprawy, a było ich niemało. Zaganiano nas też do pracy na terenie baraków. Kopanie schronów, zajęcia ogrodowe i wszelkie inne należały do nas. Za drobne uchybienia były kary, jak wyłączenie światła, przeniesienie do karniaka, zatrzymywanie opału, poczty. Te ostatnie były zresztą na porządku dziennym. Przy takim zatrudnieniu przychodziła godzina 12 lub 2 w nocy.

Noce były okropne, prześladowały nas bowiem roje pluskiew oraz myszy i szczury. Często odbywało się gazowanie baraków, po którym na parę dni był spokój. Miało to jednak ujemny wpływ dla zdrowia, bo coraz więcej dziewcząt zapadało na chorobę płucną. Wpływał też na to brak dostatecznego pożywienia, ubioru i praca ponad siły. Urlopy dla Polek nie istniały. Tak mijały dni, miesiące, lata. Wskutek częstych alarmów zdenerwowani Niemcy coraz gorzej się z nami obchodzili. Całe noce siedziałyśmy w schronie, specjalnie dla nas wyznaczonym. W końcu nie tylko noce, ale i całe dni. Było to straszne, ale napawało nadzieją, że zbliża się kres naszej niedoli. Nieraz podziwialiśmy światła reflektorów, rakiet i pożogi powstałej naokoło fabryk.

Dnia 19 kwietnia 1945 roku skończyła się udręka. Do obozu przybyli Amerykanie, którzy nas oswobodzili. Zawitała utę-

skniona, upragniona wolność i oczekiwanie na powrót do uko-
chanej ojczyzny.

— — — — —
Światło zapalonej lampy przywróciło myśl do rzeczywistości.
Po różnych jeszcze przeżyciach znajduję się znów w domu ro-
dzinnym i wszystko wydaje się złym snem koszmarnym,
o którym pragnie się jak najprędzej zapomnieć. Niestety, osła-
biony wzrok i zmarnowane lata młodości wzbudzają przykre
wspomnienia.

4

Zofia Stachowiakówna
ur. 12. 2. 1922 w Poznaniu.

W czasie okupacji przebywała w Berlinie-Reinickendorf.

Obecnie: Poznań, Wierzbicice 26.

Uczennica IV Państw. Gimn. i Lic. żeńsk. im. Kl. Potockiej w Poznaniu, kl. II lic.

...Podróż minęła szybko. Zresztą uprzyjemnialiśmy ją sobie
śpiewem i w dobrym nastroju wysiedliśmy na dworcu*). Teraz
dopiero zaczęła się udręka! W długim szeregu trójkami pro-
wadzono nas na „Arbeitsamt“, istne miejsce katuszy. Poddano
tam nas, naszą odzież i bieliznę kąpeli, odwszawieniu, od-
pluskwieniu i tym podobnym historiom. Zamknięto nas na klucz
w olbrzymiej sali, w której stały tylko żelazne łóżka bez mate-
racy, i wypuszczano nas stamtąd jedynie trzy razy dziennie
w porze posiłku. Najgorsza była owa niepewność, co z nami
będzie? Wreszcie zrobiono szereg fotografii każdej osoby z nu-
merem na piersiach, po czym nareszcie wypuszczono nas na
świat, to znaczy przeznaczono nas do lagru mieszczącego się na
przedmieściu Berlina.

Otrzymałam łóżko z siennikiem i po odznaczeniu „numerem
lagrowym“ mogłam się ulokować w przeznaczonym pokoju.

Dwadzieścia mieszkańek zajmowało nasz mały pokój, więc
nocą duszno było niemożliwie. Na domiar złego „zamek nasz“
(bo tak nazywałyśmy naszą siedzibę od „Schloss Schönholz“)
posiadał jeszcze inne, znacznie liczniejsze łokatorki, i to wielce

*) W Berlinie.

dokuczliwe: pluskwy. Te niemiłosierne owady kradły nam cenne godziny snu, którego było tak mało!

Wstawaliśmy już przed czwartą rano, gdyż do pracy jechaliśmy kolejką miejską. Czynność budzenia odbywała się następująco: już pierwszego dnia, w którym miałyśmy udać się do pracy, zjawiał się rano w pokoju tak zwany „Werkschutz“ i olbrzymim kijem walił w drzwi blaszanej szafy. Skutek był natychmiastowy. Wszystkie przerażone powstały na równe nogi. I odtąd proces ten powtarzał się codziennie, dla mnie przez długie półtora roku — dla innych przez przeszło pięć lat.

Każdego ranka, czy deszcz, czy mgła, czy wichura — niezmiennie stawaliśmy w szeregu, by zanieść swą codzienną dacinę pracy. Codziennie olbrzymia fabryka amunicji otwierała przed nami swe bramy i dopiero wieczorem o szóstej wypuszczała nas na świeże powietrze... Początkowo huk setek maszyn w olbrzymiej hali czynił mnie niezdolną do myślenia. Przed umęczonym wzrokiem stale pojawiał się widok rozpędzonej maszyny, produkującej lśniące łuski karabinowe. Od ustawicznego biegania i doglądania maszyn nogi puchły, a nie wolno było usiąść na skrzyni, by choć na chwilę odpocząć...

Sny snuły się jednostajne, męczące i zupełnie podobne do rzeczywistości: praca w fabryce. Chwilami przytomniałam i zdawszy sobie sprawę, że to przecież noc, a snu mam tak mało, mówiłam do siebie: „Teraz przecież jest noc, to nie fabryka, nie potrzeba obsługiwać maszyn“.

Cierpienie prawdziwe rozpoczęło się dopiero po tych przyrzeczonych*) „ośmiu tygodniach“, kiedy straciłam nadzieję powrotu do domu... Okłamano nas, oszukano, i to w jakim celu?... Wtedy nastąpił długi szereg dni okropnych i niewypowiedzianych w swej męce... Tęsknota za domem, którą tak długo starałam się opanować, wybuchła z całą swą potęgą. Przyszedłszy do domu, kładłam się natychmiast do łóżka i nakrywwszy głowę kocem, dusiłam się od łkań. I nie ja jedna! Powoli wszystkie współtowarzyszki czyniły tak samo — i tęsknota owa zbliżyła nas do siebie. Trzeba było się przed kimś wyżalić, by sercu przynieść ulgę. Wiele też przyjaźni zakwitło na tym

*) przez Arbeitsamt w Poznaniu przed wyjazdem.

podłozu, a z nią o wiele łatwiej znosiło się każdy smutek! Powoli tęsknota nabrała cech bardziej przytłumionych — i już tylko w rzadszych chwilach dawała znać o sobie. Zresztą znalazłam nowe źródło pocieszenia na tym wygnaniu — poezję.

Zwolna umysł przywykał do huku i gwaru, panującego na hali. Godziny pracy dłużyły się niesłychanie i trzeba było je skrócić w jakikolwiek sposób. Śpiewało się wszystkie piosenki, deklamowało się w myśli wiersze — ale jeszcze stale czas włókł się nieskończenie. Te właśnie puste godziny — wypełniałam marzeniami, a czasem „twórczością poetycką”. Pamiętam tylko jeden wiersz, który powstał przy maszynie, w chwili największego smutku. Zdawało mi się, że ktoś stoi przy mnie i pociesza mnie tymi słowy:

*Ty płaczesz, dzieciно, ty płaczesz, dzieciно,
Że zgasła na niebie twoja gwiazda?
A z oczu twych smutne, ach, smutne łzy płyną,
A ciężka jak perła jest każda...
Ach! nie płacz, dzieciно, ach! nie płacz, ty miła,
Bo może gwiazdeczka twoja świeci,
Bo może ją tylko mgielka przysłoniła
I blask jej nie może dolecieć.
Ja zaraz zobaczę, ja zaraz zobaczę,
Co z nią się tak nagle stało.
Powstrzymaj, dzieciно, łzy swoje tulące
Choć na chwileczkę małą — — —
Dzieciно ty biedna, dzieciно kochana,
Twoja gwiazdka dziś się rozbiła,
W tysiące kawałków przez kogoś strzaskana
Swe blaski precudne straciła...
Lecz nie płacz, ja zaraz podążę w przestworze
Pozbierać twej gwiazdki okruchy
I może ją jeszcze w jedną całość złożę,
Tylko ty nie trać otuchy!*

Jakoż nie straciłam otuchy. Pocieszały mnie listy z domu i od koleżanek oraz paczki, które dopełniały moje skromne pożywienie. Powoli rygor w lagrze zwolniał i wkrótce mogłam już wychodzić na miasto w niedzielne wolne popołudnia. Zwiedziłam je dość pobieżnie ze względu na wielkość Berlina, zresztą później niebezpiecznie było zapuszczać się w głąb miasta, gdyż groziły alarmy. Nieraz noc całą trzeba było przesiedzieć

w sklepie na kartoflach, czy na brukwi, bo innych pomieszczeń dla Polaków nie było. Pomimo lęku cieszyliśmy się, że nasi dręczyciele denerwują się w sklepie i przyjdą tak jak my zmęczeni i niewyspani do pracy. Ale też nieraz, gdy bomby padały tuż, tuż w pobliżu — z żalem myślałam o tym, że przyjdzie mi umrzeć może daleko od swoich...

Nieszczęście jednak w tej formie omijało nasz lager. Za to inne, znacznie straszniejsze, z wolna wkradło się w jego progi. Była nim — gruźlica. Zaczęła grasować wśród najmłodszych i najsłabszych; niektóre ofiary umarły tam wśród obcych, inne znów, które zdołały się podleczyć, powróciły do swoich, do domu. Smutek łączył się wtedy z radością. Były takie dziewczęta, które zapominały o swej chorobie na myśl o powrocie do domu. Przyjeżdżały tu — i umierały...

Pewnego dnia i na mnie przyszła kolej stanąć wśród zdobyczy nieszczęścia. Gwałtowny krwotok płucny powalił mnie od razu. Zawieziono mnie natychmiast do szpitala i tu spędziłam całe dwa miesiące, oddana na pastwę najczarniejszych myśli. Nie przypuszczałam wtedy, że wyzdrowieję i z pełnym zapalem będę mogła oddać się pracy i miłym zajęciom. Nie, wtedy — gdy śmierć zaglądała mi w oczy — serce moje było pełne rozpacz, skargi i buntu przeciw losowi. Ta myśl, że umrę samotnie i pochowają mnie z daleka od swoich, doprowadzała mnie do obłądu. Ale czas goi rany. Choroba przesiliła się — i wkrótce stała się moim dobrodziejstwem. Oto po półtorarocznym wygnaniu mogłam wrócić do domu...

5

Marian Wikiera

ur. 6. 8. 1923 w Ubieszynie, pow. Przeworsk.

W czasie okupacji przebywał w Ostrowie Wlkp. (do 23. 9. 43), a od 24. 9. 43 do 22. 11. 44 kolejno w Essen, Gelsenkirchen, Duisburg, Hamburg, Moers.

Obecnie: Ostrów Wlkp., ul. Gorzycka 1.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. Męsk. w Ostrowie Wlkp., kl. III b gimn.

...W jednym z transportów w 1943 r. wywieziono i mnie wraz ze 120 ludźmi z Ostrowa i Kalisza. Zawieziono nas do Berlina, a w kilka dni później do Essen, do Westfalii. Życie płynęło

nam bardzo wesoło. Z nalotów lotniczych nic nie robiliśmy sobie, chociaż podczas jednego z nich spalono nasze baraki. Po kilku miesiącach wysłano nas w pobliże granicy holenderskiej w celu odbudowania znajdującej się tam fabryki benzyny. Warunki życiowe były tam dużo lepsze niż w Essen, a co najważniejsze, mieliśmy więcej swobody. Nawet niedziele były wolne od pracy. Po paru tygodniach jednak zaszła mała zmiana. Musieliśmy pracować co drugą niedzielę.

Lecz nasze polskie przysłowie mówi, i to bardzo słusznie, że niedzielą nikt się nie dorobi. Tak było i dnia 27 sierpnia 1944 r. (niedziela). Rano poszliśmy, jak zwykle, do pracy. Około godz. 13,30 ogłoszono alarm. Schronu nie mieliśmy. Rozbiegliśmy się więc na wszystkie strony. Nikt z nas jednak nie myślał o bombardowaniu. Po kilku minutach detonacje pocisków artylerii przeciwlotniczej oznajmiły nam, że samoloty bombowe skierowały się na naszą fabrykę. To było okropne. Tymczasem z góry zaczęto rzucać fosfor, który zapalił kilka magazynów. Zaraz po nim spadły pierwsze bomby ciężkiego kalibru, a wkrótce po nich otwarło się jakoby piekło na ziemi. W powietrzu słychać było przerażający, złowrogi świst spadających bomb, potem huk ogłuszający, gwizd odłamków i zdawało się nam leżącym na ziemi, że znajdujemy się na falach morskich podczas burzy. To ziemia tak falowała. Żegnałem się w duchu ze światem i z rodziną, polecając się tylko Bogu. Kilka bomb spadło tak blisko ode mnie, że chyba tylko cudem wyszedłem cało z tej opresji.

Tymczasem nad fabryką unosiły się chmury kurzu i dymu. Kilkanaście zbiorników benzyny i smoły zostało zniszczonych i spalonych. Prawie cała fabryka objęta była pożarem. Widok naprawdę straszny. A jeszcze gorsze widowisko można oglądać po skończonym nalocie. Wszędzie gruzy, dymiące zgłiszczta, trupy ludzi i zwierząt, ranni... Jedni w okropny sposób poszarpani, że nie można w nich poznać ludzi, przedstawiają jedną skrwawioną, bezkształtną, czasem jeszcze drgającą masę. Dru-dzy, pokaleczeni odłamkami, z urwanymi nogami czy rękami, jęczą z bólu i proszą Boga o rychłą śmierć, a ta jest nieraz jeszcze daleko od nich. A jeszcze inni, choć cali i zdrowi, bie-

gają z obłąkaniem w oczach bez celu, utrudniając w ten sposób bardzo często akcję ratunkową.

To był jeden nalot. Podobnych do niego przeżyliśmy jeszcze kilkanaście; okazały się one jeszcze okropniejsze. Nie zapomnę też dni 14 i 15 października 1944, a od tego czasu było tak co drugi dzień. Dziś, po blisko 10 miesiącach, wspomnienie tych dni grozi mrozi krew w żyłach.

6

Henryk Jakubowski

ur. 8. 3. 1925 w Ostrowie Wlkp.

*W czasie okupacji przebywał w Ostrowie Wlkp., a od r. 1941 w Oranienburg
(Heinkel—Lager).*

Obecnie: Ostrów Wlkp., ul. Brykczyńskiego 1.

Uczeń Państw. Lic. i Gimn. Męsk. w Ostrowie Wlkp., kl. III b gimn.

Pociąg pospieszny mknie z szybkością błyskawicy na trasie Warszawa — Berlin. Na wygodnych ławkach pulmanowskiego wagonu siedzę wraz z kolegami, obserwując piękno krajobrazu, przesuwającego się przed naszymi oczyma. Nastrój panuje wesoły i podniecony, aczkolwiek nie było żadnego powodu do uciechy. Oto jedziemy w nieznaną krainę, gdzie żyje inny lud jak u nas. Zdawaliśmy sobie sprawę, że mieszkańcy tamtejsi nie przyjmą nas życzliwie, jednak tym odznacza się już młodość, że nigdy się nie smuci. Długi, przeraźliwy świst lokomotywy, zmieszany z łoskotem kół wagonów, oznajmił nam, że zbliżamy się do Berlina. Każdy z nas, przejęty ciekawością, spoglądał na stolicę Niemiec. Pociąg, minawszy kilka mniejszych dworców, zatrzymał się na najgłówniejszym. Na ogromnych tablicach widniały napisy: „Berlin - Friedrichstrasse“. Strudzona daleką drogą lokomotywa jeszcze raz przeraźliwie gwizdnęła, jakby wołając do wszystkich Niemców: „Die Polacken hab ich gebracht!“ Istotnie czuliśmy się na tej obczyźnie nieswojo, opuszczeni. Wszędzie słyhać tylko tę przekłętą niemczyznę. Niedawna wesołość i uśmiech na twarzach naszych zniknęły bez śladu. Wśród ogromnego ruchu i zgiełku przeszliśmy do ulicznej kolei tzw. „S-Bahn“, która przewiozła

nas 30 km na północ, tj. do Oranienburga. Przypuszczam, że nazwa ta nie jest obca żadnemu Polakowi. Tam ginęły setki naszych braci wśród nieludzkich mąk i cierpień. Szczęściem od Boga, nie tam była nam droga. Mieliśmy pracować w fabryce samolotów.

Po miesięcznym odpoczynku nadszedł upragniony dzień, w którym poszliśmy do fabryki. Ogromne czarne maszyny, jakoby trumny dla żywych, stały na lotnisku. Każda drobnostka bardzo nas interesowała, toteż byliśmy ucieszeni, że będziemy pracowali przy tych ptakach stalowych, które w naszych oczach wzbijać się będą w przestworza i szybować nad nami. Praca, z początku interesująca, powoli stawała się nudna i jednostajna. Monotonne to życie nasze urozmaicił nam dzień 12 kwietnia 1945 roku.

Rano, jak zwykle, poszliśmy do pracy. Był to piękny, słoneczny dzień wiosenny. Słońce uśmiechało się do nas i jakby chciało nam powiedzieć, że i nasza niedola wkrótce się skończy. W rzeczy samej czuliśmy się wszyscy rześko na duszy. Wraz z ciepłem słonecznym wracała nam chęć do dalszego życia. Około godziny 13 w południe na hali zawyła przeciągle i przeraźliwie syrena na alarm. Ucieszeni, wszyscy opuściliśmy miejsca pracy i z pośpiechem wybiegliśmy z fabryki. Po małej chwili zauważyliśmy małe srebrne punkciki na niebie. Były to samoloty amerykańskie. Jak pięknie i dumnie rozpościerały one swe skrzydła nad nędzną skorupą ziemską! Wyobrażaliśmy sobie wszyscy, jaka potężna siła sunie tam w obłokach. Ogarniał nas strach przed grozą bombardowania, lecz zarazem duma rozpierała nam serca, że ta ogromna flota powietrzna, panująca nad terytorium naszego odwiecznego wroga, to właśnie nasi sprzymierzeńcy, to nasi oswobodziciele, a może nawet rodacy. Toteż upajał nas po prostu ten wspaniały widok srebrnych maszyn, które swym równym, miarowym warkotem przygłuszały naszą rozmowę. Ciężko pracowały stalowe płuca maszyn, a śmigła z trudnością pręły powietrze, ogromny bowiem wlokły za sobą ciężar.

Nagle na niebie ukazała się biała wstęga, dążąc od samolotów ku ziemi. Zrozumieliśmy od razu grozę położenia. Oto te

piękne srebrzyste orły zrzuciły na padół ludzki śmiertelny ładunek. Najpierw słaby, potem coraz głośniejszy warkot prul powietrze. Jak szalony, każdy szukał dla siebie schronienia, wiedząc, że go nie znajdzie. Tymczasem warkot wzrastał się coraz bardziej. Ziemia drżała jakby z przestachu. Wreszcie przeogromny huk, potężniejszy od grzmotu, rozdarł powietrze, a zarazem ziemia zakołysała się wraz z nami. Nadprzyrodzony huk ten, podwajany echem, niknął gdzieś w oddali. Echo to jednak było już z drugim złowrogim warkotem zmieszane.

...Detonacja trwała bez przerwy. Śmiertelne ładunki, zsyłane na ziemię „morderczą ręką piratów“, obracały wszystko wniwecz. Ogromne sztaby żelaza latały w powietrzu jak zapalki. Na ziemi wszystko się po prostu kotłowało.

Nareszcie piekielna ta muzyka ucichła. Wstaliśmy wszyscy z ziemi, dziękując Bogu, że raczył wysłuchać nasze modły. Jak okiem sięgnąć, wszędzie naokoło widać było jedną łunę pożaru, a nad nią unosiła się spokojnie, leniwie, gęsta czarna powłoka dymu.

Z dala słychać było ciche, przeciągłe, płaczliwe wycie syreny...

7

Henryk Konopacki

ur. 25. I. 1925 we Wronkach.

W czasie okupacji przebywał we Wronkach do 1. 12. 1942 r., później w Dniepropietrowsku i Kremeńczugu (do 21. 9. 1943 r.), w końcu w Berlinie (do 1. 12. 1945 r.), Obecnie: Wronki, ul. Jadwigi 11.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. im. Ks. P. Skargi w Szamotułach, kl. IV.

...Kiedy Anglicy w roku 1943 zaczęli systematycznie bombardować Berlin, stolicę jadu hitlerowskiego, zostałem wywieziony tam, by próbować reperować to, co Anglicy niszczyli...

Sylwester w roku 1943. Berlin do pewnego stopnia rozbawiony, tłumy ludzi na ulicach, okrzyki „zawianych“ gości, myśli wszystkich Niemców skierowane w jednym kierunku: „może nareszcie ten rok przyniesie nam to upragnione zwycięstwo“, a uczucia wszystkich obcokrajowców mówią im, że rok 1944 powinien przynieść ulgę w ich cierpieniach i całkowitą zagładę hitleryzmu.

Nagle jak huragan zrywa się dziki krzyk syren, wypełnia całe miasto, obwieszczaając, że Anglicy przyjeżdżają złożyć noworoczne życzenia.

W kilka minut później znalazłem się przed wejściem do schronu. Rozbawiony Berlin zamienił się momentalnie w miasto śmierci. Ulice opustoszały, jedynie przed schronami krzyki i jęki pchających się ludzi. Dostałem się do wnętrza z pierwszymi i niedługo czekałem na pierwsze odgłosy padających bomb.

Bliżej, coraz bliżej słyhać detonacje i odgłosy przewracających się budynków. Cisza. Znowu to samo. Cisza. Bomby padają jak groch, zda się to nigdy nie skończyć.

W pewnej chwili podchodzi do mnie niemiecki żandarm i pyta: „Obcokrajowiec?“ „Tak!“ „Polacke?“ „Tak!“ „Jakim prawem, człowieku, pochodzący z bydłęcego narodu, znalazłeś się tutaj między niemieckimi obywatelami?“

Milczę. Nie mam słowa na swą obronę, bo wiem przecież dobrze, że jako Polak jestem uważany przez Niemców za zwierzę i z góry przeznaczony na zniszczenie. W tej chwili świst padającej bomby odwrócił uwagę żandarma i zwałem w drugi koniec schronu.

Dwie godziny spędziliśmy tam, kiedy syreny doniosły o końcu nalotu. Wychodziłem pierwszy i oto jaki widok przedstawił się moim oczom. Na schodach wiodących do schronu ujrzałem ludzi — ludzi potratowanych na miazgę, ludzi przed chwilą jeszcze rozkoszujących się życiem.

Niemcy, którzy słynęli z wrodzonego porządku i organizacji, zatratowali się wzajemnie, chcąc ratować życie. Był to naprawdę okropny widok. Wszystkie części ciała leżały osobno, wszystko rozdeptane, rozrzucone.

Pozostałem jednak zupełnie obojętnym na ten widok, na to dzieło śmierci. Uświadomiłem sobie krzywdy, doznane od Niemców, wszelkie przezwiska i przekleństwa na nas rzucane i doszedłem do wniosku, że rok 1944 musi być rokiem zemsty, musi być zadośćuczynieniem za winy popełnione na wszystkich narodach Europy...

Maciej Hoffmann

ur. 28. 5. 1925 w Ostrzeszowie.

W czasie okupacji przebywał w Kępnie (do maja 1940 r.), w Strzyżowie n. Wisłokiem (od 1940 do 1944 r.), w Krakowie w obozie karnym na Prądniku Czarnym (od lipca do grudnia 1944 r.). Ucieka stąd, a schwycony przez Niemców wywieziony zostaje w grudniu 1944 r. do Berlina-Lichterfelde Süd, gdzie do maja 1945 r. pracuje w tzw. „Stoppkolonie“.

Obecnie: Międzychód, ul. 17 Stycznia 17.

Uczeń Miejsk. Lic. i Gimn. w Międzychodzie, kl. IV gimn.

...Obóz pracy Berlin-Lichterfelde! O was w tej chwili myślę, mili towarzysze niedoli, wasze twarze, te wymęczone, zbiedzone a jednak napiętnowane ogromem siły woli i bohaterstwa, stają mi przed oczyma, gdy kreślę te słowa starając się odtworzyć was takimi, jakimi byliście w tych pamiętnych, przełomowych chwilach kwietnia 1945 roku. Jesteście wszyscy tak silnie związani z moimi wspomnieniami, że trudno byłoby mi o was nie pisać.

Dużo z nas nie wróciło. Leżą cisi, majestatyczni w swym spokoju, gdzieś pod gruzami stolicy zła i buty germańskiej. Bohaterzy! Rzuceni przez los, który jest sternikiem życia ludzkiego, w to miasto płomieni i gruzów, w to piekło na ziemi, z myślą o kraju rodzinnym opuszczali nasze szeregi. Cześć Im i chwała!

Więcej trudno powiedzieć, bo w życiu naszym nieraz bywa, że słowa, puste dźwięki, chociażbyśmy starali się im nadać ton uczucia, nie potrafią wyrazić boleści serca.

— — — — —

Nauczyłem się podczas mojego pobytu na robotach przymusowych w Berlinie niczemu się nie dziwić. Gdyby Amerykanie spuścili wówczas na stolicę Rzeszy bombę atomową, potrafiłbym nie okazać większego zdziwienia. Ale gdy któregoś ranka urzędnik biura obozowego oświadczył mi, że na zarządzenie lagerführera mam odtąd chodzić na tak zwany „Katastrophen-einsatz“, byłem bardzo niemile zdziwiony. Dotychczas pracując w drużynie, która naprawiała zniszczone tory kolejowe, byłem zwolniony od przymusu pracy przy usuwaniu gruzów w mieście. Widocznie zaszła tutaj jakaś pomyłka, ale trudno było wówczas z niemieckimi kierownikami rozmawiać, trudno było oponować.

Był to okres, w którym na skutek potężnej powietrznej ofensywy alianckiej na Berlin i wobec zbliżania się sojusznicznych wojsk ze wschodu i z zachodu, hitlerowscy władcy miasta poczęli tracić głowy. Zaczęła zawodzić osławiona niemiecka organizacja, wydawanie sprzecznych zarządzeń nie należało do rzadkości.

Najlepiej w podobnych wypadkach było machnąć z rezygnacją ręką. Ostatecznie wszystko jedno, jakoś się przetrzyma. Przetrzymać to było dla nas nakazem chwili. Słowo to znajdowało się na wargach wszystkich. Kazało ono nam zapomnieć o głodzie, wszach i wycieńczeniu. Świadomość, że bliska jest chwila wolności, wlewała w nasze serca otuchę, była ponad wszelkimi cierpieniami, tak fizycznymi jak i psychicznymi.

Przetrzymać! Za wszelką cenę przetrzymać!

Oddział, w którym pracowałem, wysłano do Poczdamu. Ostatni nalot nocnych bombowców angielskich przemienił tę część „Wielkiego Berlina“ w jeden olbrzymi kopiec gruzów. Z miasta, ongiś pięknego, będącego dumą Niemców, z miasta, w którym spoczywał snem wiecznym Fryderyk Wielki, uosobienie niemieckiego imperializmu i militaryzmu, nie zostało dosłownie nic, co by jego dawną świetność mogło przypominać. Szaleliśmy z uciechy patrząc na to dzieło zniszczenia, starannie maskując nasze uczucia przed okiem eskortującego nas policjanta. Porozumiewaliśmy się oczyma, rozjaśnionymi radością i dumą. Prężyliśmy z uczuciem nagłej siły nasze lekko przygarbione postacie. Łomotały serca zgodnym rytmem.

„Pierwszorzędna robota! Co nasi, to nasi!!“

„Nasi“ — to alianccy piloci. Kochaliśmy ich za to dzieło zniszczenia, kochaliśmy ich nawet będąc świadomi tego, że przy pierwszym lepszym nalocie możemy być przez ich bomby rozszarpani, obrócenii w jednej sekundzie w czerwoną kałużę krwi. Brzmi to jak paradoks, ale silniejsza była nasza nienawiść do wroga, niż obawa o własne życie, silniejsza nienawiść do Berlina, który uosabiał jak gdyby niemiecką pychę swoimi wspaniałymi budowlami i który był siedliskiem ludzi stojących na czele znienawidzonego przez nas narodu, narodu, który nie miał ambicji zrzucić z siebie jarzma hitleryzmu, narodu tole-

rancyjnie ustosunkowanego do wyczynów SS-manów. A „nasi” niszczyli Berlin konsekwentnie, planowo!

Policjant, który nas prowadził przez zawalone gruzami ulice Poczdamu, dostrzegł widocznie nasze nagłe ożywienie, łypnął ku nam parę razy złym okiem i warknął jak wściekły pies: „Still!”

Spoglądałem na tego Niemca z pozornym spokojem, a w duszy mojej niczym huragan szalała nienawiść. W pewnym momencie poczułem na swoim ramieniu lekki dotyk czyjejś dłoni. Kolega mój, Zygmunt, szeptał mi do ucha: „Nie patrz tak na niego, człowieku! Trzeba i to znieść. Później damy my im „still!” Zygmunt śmiał się, ale nie był to śmiech zwykły. W tym śmiechu można było wyczuć jakąś groźbę ukrytą. Ucisnąłem serdecznie jego delikatną, wąską dłoń człowieka nie przyzwyczajonego do pracy fizycznej. Tak doskonale się rozumieliśmy!

W ciężkich walkach życiowych kuje się przyjaźń i uczucie braterstwa między ludźmi. Taka przyjaźń jest trwała i prawdziwa. Byliśmy wszyscy, zrzeszeni pod jednym sztandarem wspólnej niedoli i upokorzenia, jak gdyby jedną wielką rodziną. Dawało to nam w ciężkich chwilach poczucie pewnej mocy.

Nielekką była praca, którą wykonywaliśmy. Oddział nasz przeznaczono do przenoszenia, porządkowania i segregowania sztab żelaznych, które ongiś stanowiły część składową rusztowania dworca poczdamskiego. Władzę nad nami sprawował pewien wyższej rangi kolejarz niemiecki. Poczuliśmy od razu ogromną antypatię do niego, która wzrastając w miarę nie-ludzkiego traktowania robotników przez tego pana w pewnej chwili osiągnęła swój punkt szczytowy. Zaszedł bowiem wypadek, który ciekawe rzuca światło na psychikę ówczesnego hitlerowca, na jego pełne sadyzmu podejście do nie-niemieckich pracowników.

Ponieważ sztaby żelazne były szalenie ciężkie, nosiliśmy je po dziesięciu, mimo to staniając się z wycieńczenia, gdyż jedliśmy dwanaście godzin temu. Słońce prażyło niemiłosiernie, chociaż to dopiero była połowa kwietnia, z gruzow unosił się odór rozkładających się ciał ludzi tam przysypanych, których trupów nie zdołano jeszcze usunąć. Ma się rozumieć, że praca w po-

dobnych warunkach była prawdziwą męką. Mimo to nasz majster postanowił zredukować liczbę osób noszących żelazne sztaby do sześciu na jedną. Staraliśmy się protestować. Nie pomogło. Niemiec stał się jeszcze bardziej brutalnym, bezwzględnym. Nie szczędził uderzeń elegancką laseczką, którą trzymał w dłoni. Z cynicznym uśmiechem obserwował najmłodszego z nas, szesnastoletniego chłopca, który zataczał się pod ciężarem żelaza, wpijającego się w jego wątłe ramiona. A gdy chłopiec w pewnym momencie dysząc ciężko upadł na ziemię, olbrzymi Niemiec z zimnym, strasznym uśmiechem, uśmiechem wprost zwierzęcym, systematycznie, z niemiecką dokładnością kopnął polskiego chłopca, krzycząc ochryplym głosem: „Ty przekłety, leniwy polski psie!“

Nie mogłem znieść tego widoku. Czułem, że zaczynam się rumienić ze wstydu, strasznego wstydu, graniczącego wprost z fizycznym bólem na widok takiego poniżenia ludzkiej godności. Rozpalone czoło przytknąłem do chłodnego żelaza, a z zaściśniętych ust wyrwał się mimo woli pół-szloch, pół-krzyk: „Ach, ty łajdaku, ty łotrze!“

Byłem głodny. Głodnymi byli moi towarzysze. Straszne było to uczucie głodu, wszystkie inne uczucia schodziły na drugi plan i człowiek czuł tylko dziwną gorycz w ustach, silne bóle żołądka towarzyszyły wielkiemu osłabieniu.

Już od tygodnia chodziliśmy do pracy na czczo z braku chleba, a obiad jadaliśmy dopiero po przyjściu wieczorem do obozu. Nic więc dziwnego, że podczas półgodzinnej przerwy w południe leżeliśmy prawie bez czucia na jakichś kamieniach, wygrzewając się w słońcu. Rozmawialiśmy. Zygmunt zwykł był w takich chwilach mawiać:

„Wiesz, przydałby się stanowczo obiad. Jestem głodny jak...“ — szukał odpowiedniego wyrażenia, które by zobrazowało jego głód. Wówczas śmiałem się, pocieszając go zapewnieniem, że sam nie jestem syty. Były to takie przebłyśki wisielczego wprost humoru, który ratował nas od psychicznego załamania się.

Obok siedział ten sam chłopiec, niedawno tak brutalnie potraktowany przez nieludzkiego kierownika robót. Przysłuchiwał się uważnie naszej rozmowie i w pewnej chwili rzekł:

„Wy narzekacie, że jedliście wczoraj wieczorem ostatni raz. Wyobraźcie sobie, że ja jadłem dwa dni temu! Zgubiłem kartkę na obiady i lagerführer nie chce mi wydać duplikatu: „Zgubiłeś kartkę, umieraj z głodu.“ Przeklęta formalistyka niemiecka!”

Z troską spoglądaliśmy na twarz naszego młodego przyjaciela. W tej chwili była to twarz starca. Nie posiadała w sobie czaru młodości. Była to brzydka, wychudła twarz człowieka doświadczonego w ciężkiej pracy fizycznej, pracy ponad siły i jeszcze bardziej wyniszczających przeżyć moralnych.

Obiecaliśmy z Zygmuntem pomóc mu przebrnąć przez najgorszy okres aż do chwili wydania nowych kartek.

W pewnej chwili od strony, gdzie znajdowali się nasi współtowarzysze, usłyszeliśmy podniecony gwar głosów. Poderwaliśmy się na równe nogi i wkrótce znaleźmy przyczynę niezwyklego podniecenia wśród naszych kolegów. Okazało się, że Janek, zwany także z powodu swych czarnych jak heban włosów „Czarnym“, znalazł autentyczną kartkę na chleb. Wziąłem ją do ręki. Była to mała, zielona karteczka. „Brotmarke“ — przeczytałem głośno — „na dwa kilogramy chleba!”

Dwa kilogramy chleba! Spoglądaliśmy teraz na „Czarnego“ z podziwem, jak na szczęśliwego posiadacza ogromnego majątku. Pojęcie majątku okazuje się być bardzo względnym. To, co dla niejednego wydaje się być li tylko śmieszną drobnostką, dla niektórych okazuje się ogromnym skarbem. Dla „Czarnego“ tym skarbem była właśnie ta kartka na chleb, toteż trudno doprawdy sobie wyobrazić tego człowieka pozbywającego się jej dobrowolnie na korzyść innego. A jednak tak było. „Czarny“ ofiarował tę kartkę biedniejszemu, więcej od nas głodnemu, słabszemu chłopcu. Uczynił to tak po prostu, po męsku:

„Kup sobie chleb“ — rzekł serdecznie wręczając mu kartkę. — „Niech ci smakuje! Pamiętaj, abyś się dzielnie trzymał! Przetrzymać musisz! Pamiętaj, że tam w Polsce twoja matka wy-

plakuje oczy oczekując twojego powrotu. A ja? Ja i tak wytrzymam, och, wytrzymam“ — starał się uśmiechnąć, ale grymas bólu wykrzywił jego twarz, bo głodny był szalenie.

W pięknych słowach głoszone zasady altruizmu nic nie znaczą, jeżeli nie są poparte czynami. Jeszcze dziś zdaje mi się, że widzę rozpromienione radością i wdzięcznością oczy chłopca utkwione w „Czarnym“ i słyszę ten radosny, dziecięcy śmiech przeplatany okrzykami:

„Dwa kilogramy chleba! Boże, dwa kilogramy chleba!“

Rykneły syreny.....

Alarm!

Gdzieś w dali brzmiał zdenerwowany głos spikera radiowego.

„Nieprzyjacielskie samoloty terrorystyczne przekroczyły obszar Hanoweru i znajdują się obecnie w locie na stolicę Rzeszy... Uwaga... Powtarzam... Nieprzyjacielskie samoloty...“

Ach, to były niezapomniane chwile. W niebo, upstrzone gwiazdami, uderzyły światła z setek reflektorów. Z dala dochodził jednostajny szum motorów, który zwolna rósł, wzmagał się, grzmiał w przestworzach, jak gdyby czarowną, potężną muzyką.

Jadą! jadą!

Sypał się niczym lzy perliste na ziemię fosfor. Rozległy się pierwsze ogłuszające detonacje. Wielka Brytania witała Berlin!

„Nasi, nasi!“...

Nie schodziliśmy do schronów nie tylko dlatego, że dla nas jako obcokrajowców nie było miejsca. My chcieliśmy widzieć. Widzieć, jak ginęło w płomieniach miasto Berlin.

Wyciągały się w górę na powitanie stalowych ptaków, niosących nam wolność poprzez ruiny, pożogi i zgliszcza, setki rąk Polaków, Włochów, Francuzów. Wszystkie spojrzenia zdawały się być jednym wielkim oskarżeniem rzuconym na to miasto, wszystkie usta zdawały się wymawiać jedno grzmiące potężniej od huku eksplodujących bomb słowo:

„Giń!“

Ireneusz Kamiński

ur. 1. 3. 1925 w Gnieźnie.

Podczas okupacji do 9. 7. 1942 r. w Gnieźnie, potem do końca kwietnia 1945 r. w Treuenbrietzen (Brandenburg), Werk Selterhof.

Obecnie: Gniezno, ul. Żwirki i Wigury 23.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. w Gnieźnie, kl. II przyśp. gimn.

Był początek lipca 1942 roku, gdy podczas jednej z licznych łapanek, których widownią były tak często ulice miast wielkopolskich, zostałem zatrzymany przez policję niemiecką i po skomunikowaniu się z Urzędem Pracy, w dwa dni później wysłany z całym transportem (około 80 osób) z Gniezna w głąb Niemiec. Jechałem, nie zdążywszy się nawet pożegnać z rodziną, w nieznaną dal, nie wiedząc, co mi przyniesie jutro i czy jeszcze kiedyś zobaczę mury rodzinnego miasta albo twarze najbliższych.

Po dwudniowej podróży w bydlęcych wagonach wyładowano nas w Poczdamie, skąd pieszo udaliśmy się na Urząd Pracy w Poczdamie - Babelsbergu. Podzielono nas tam na dwie grupy: jedna, większa, została odesłana do podberlińskiej fabryki amunicji Treuenbrietzen Werk Selterhof, a mniejszą, do której i ja należałem, przydzielono do fabryki Kruppa w Berlinie — Neu Kölln.

Rozpoczęła się praca. Praca?! Czy można pracą nazwać szereg zajęć, spełnianych codziennie przy akompaniamencie wyzwisk, popartych często i biciem? Nie, to nie była praca, tylko wyrafinowane znęcanie się nad tymi, których zły los zagnał w obce strony, nad ludźmi niewyspanymi z powodu stałych nalotów, ślaniającymi się z głodu i wyczerpania.

W pierwszych dniach myślałem, że nie zdołam siebie opanować, i tylko rozsądek powstrzymał mnie od rzucenia się na majstra, na tą przeklętą kreaturę, która przy każdej okazji powtarzała: „Du verfluchter polnischer Hund!“ oraz setki innych epitetów, wyszydzała wszystko co polskie i drwiła z „polskiego Boga“.

Wytrzymałem. Wytrzymałem, tak jak tysiące mych rodaków, denerwującą 12-godzinną pracę i znęcanie się Niemców, i te

straszne bezsenne noce, spędzane w bunkrach, sklepach lub wprost w ogrodach przy huku pękających bomb, lecz zdawało mi się, że gorszego miejsca jak nasz obóz chyba nie ma. Tymczasem myliłem się i doświadczyłem to na własnej skórze.

Po upływie kilku miesięcy zarząd fabryki postanowił najwięcej oporny element, który przy lada okazji demonstrował swą niechęć względem Niemców, tj. Polaków, usunąć do drugiego „werku“. Wyjeżdżaliśmy z radością, ciesząc się, iż wreszcie zmieni się choć otoczenie, i nie przeczuwaliśmy, że los szykuje nam straszną niespodziankę.

Wysiedliśmy na małym podmiejskim dworcu i po kilkunastominutowym marszu wśród gęstego lasu ukazał się naszym oczom ten obóz, w którym mieliśmy jeszcze przeszło dwa lata spędzić. Długie rzędy baraków ogrodzone drutem, patrole gestapa z gotowymi do strzału karabinami i z psami policyjnymi u nóg, szare bloki budynków fabrycznych, a wkoło las, las — i nic więcej.

Rozpoczęła się znów ta sama gehenna co w Neu-Köllnie, tylko... tam w lagrze nie pilnowało nas gestapo, a tu było na każdym kroku: w obozie i w fabryce, we dnie i w nocy. Do obawy przed bombami przyłączył się strach przed tymi sadystami.

Po powrocie z fabryki, gdzie przeważnie wszyscy pracują na akord po 12 godzin dziennie, dostajemy wydział żywności na cały dzień, tj. półtora litra zupy i 300 g chleba, a trzy razy w tygodniu trochę marmolady.

Każdy ledwo stoi na nogach i radby się położyć na prycze, lecz gestapo czuwa. Stale mają w pogotowiu „nadprogramową“ pracę; przeprowadzają kontrolę izb, rewizje i apele. Wreszcie zapada zmrok, kładziemy się spać, lecz usnąć długo nie można. Wszyscy myślą o swych najdroższych, pozostałych tam, hen, na ukochanej polskiej ziemi, i o tym, co im jutrzejszy dzień przyniesie, czy jeszcze długo tutaj wytrzymają?

Na każdy szelest kroków pod barakami, śmiertelny strach ściska serce, może... może to po mnie idą? Może majster albo kontroler zameldował, że za mało zrobiłem towaru, że za dużo jest niedobrych pocisków, że ociągam się w pracy lub zepsułem

maszynę? Każdy z tych czynów nazywa się u nich „Sabotage“ i oznacza karę śmierci lub stokroć gorsze więzienie. Nikt nie powie na usprawiedliwienie oskarżonego, że nie mógł wydołać nałożonej normie, bo był za słaby i niedożywiony, że pociski są niedobre, gdyż zepsuła się maszyna, albo że maszyna może się też sama zepsuć. Wreszcie zmęczenie zamyka dręczonemu tymi myślami powieki i zasypia, by rano o 5 rozpocząć dzień od nowa, ten dzień podobny do tylu innych jak dwie krople wody.

Tak nadszedł październik 1944 roku. Już w końcu września racje chleba zmniejszono na 250 g i zupy na 1 litr dziennie (zupę mieliśmy stale z kapusty albo z rzepy pastewnej). I wreszcie stało się to, czego najwięcej się obawialiśmy. Drugiego października stwierdzono dwa wypadki tyfusu, piątego dalsze trzy, a dziesiątego było już kilkunastu chorych.

Pracę w fabryce przerwaliśmy, wszystkie drogi wiodące do obozu zamknęły posterunki Gestapa, a na pięć masztów wciągnięto żółte flagi, z daleka widoczne. Z obozu nie było wolno nikomu wychodzić ani wchodzić do niego, a do każdego zbliżającego się za blisko drutów strzelano. Pięć tysięcy ludzi, w tym trzy tysiące kobiet i kilkadziesiąt dzieci, zostało skazanych na śmierć. Tak, na śmierć, nie byliśmy przecież szczeni, a pomoc lekarska ograniczała się do dania choremu tabletki aspiryny i zmierzenia gorączki. Gdy chory zmarł, wkładano jego zwłoki w trumnę, wywożono za obóz, gdzie był nasz cmentarz, wyrzucano z trumny do grobu i trumna wracała po drugiego nieboszczyka. Cóż, „ausländrów“ można pogrzebać bez trumien — twierdził szef fabryki.

Przeciętnie umierało codziennie pięć osób. Chorych było tyle, że w trzech specjalnych barakach nie mogli się pomieścić, więc w ciepłe jeszcze łóżko po zmarłym wkładano natychmiast drugiego chorego, wszystko jedno, czy miał też tyfus, czy grypę lub anginę. Leczenie przecież to samo, aspiryna... Diety chorym oczywiście nie dawano, dostawali tę samą kapustę, co i my „zdrowi“. A my tymczasem czekaliśmy ze spokojem na swoją kolej, pogodziwszy się z losem.

Gestapo teraz do wnętrza obozu nie wchodziło, byliśmy więc spokojni. Pod środkowym masztem z żółtą chorągwią, niby symbolem śmierci, postawiliśmy krzyż i codziennie rano i wieczorem wszyscy, którzy mogli jeszcze chodzić, zbierali się tam i modlili bez względu na narodowość, na różnorodność języków, każdy po swojemu. Tych modlitw nigdy nie zapomnę, gdy razem z tymi ludźmi, spędzonymi tu z różnych krańców Europy, wznosiłem twarz ku niebu, ku Temu, który jedynie mógł nam pomóc i który dopomógł, jak w to wszyscy wierzyliśmy.

Zachorowałem i ja. Jakim cudem mój wyczerpany organizm przezwyciężył tę chorobę, nie wiem, dość, że po miesiącu mogłem już wstać z łóżka. W czasie mej choroby, jak się później dowiedziałem, przysłał szwedzki Czerwony Krzyż szczepionki przeciwtyfusowe i po zaszczepieniu ich wszystkim liczbą chorych zmalała, a w połowie grudnia mieliśmy ostatni śmiertelny wypadek. Podczas trwania epidemii zmarło około 150 osób, w tym kilka z Gniezna.

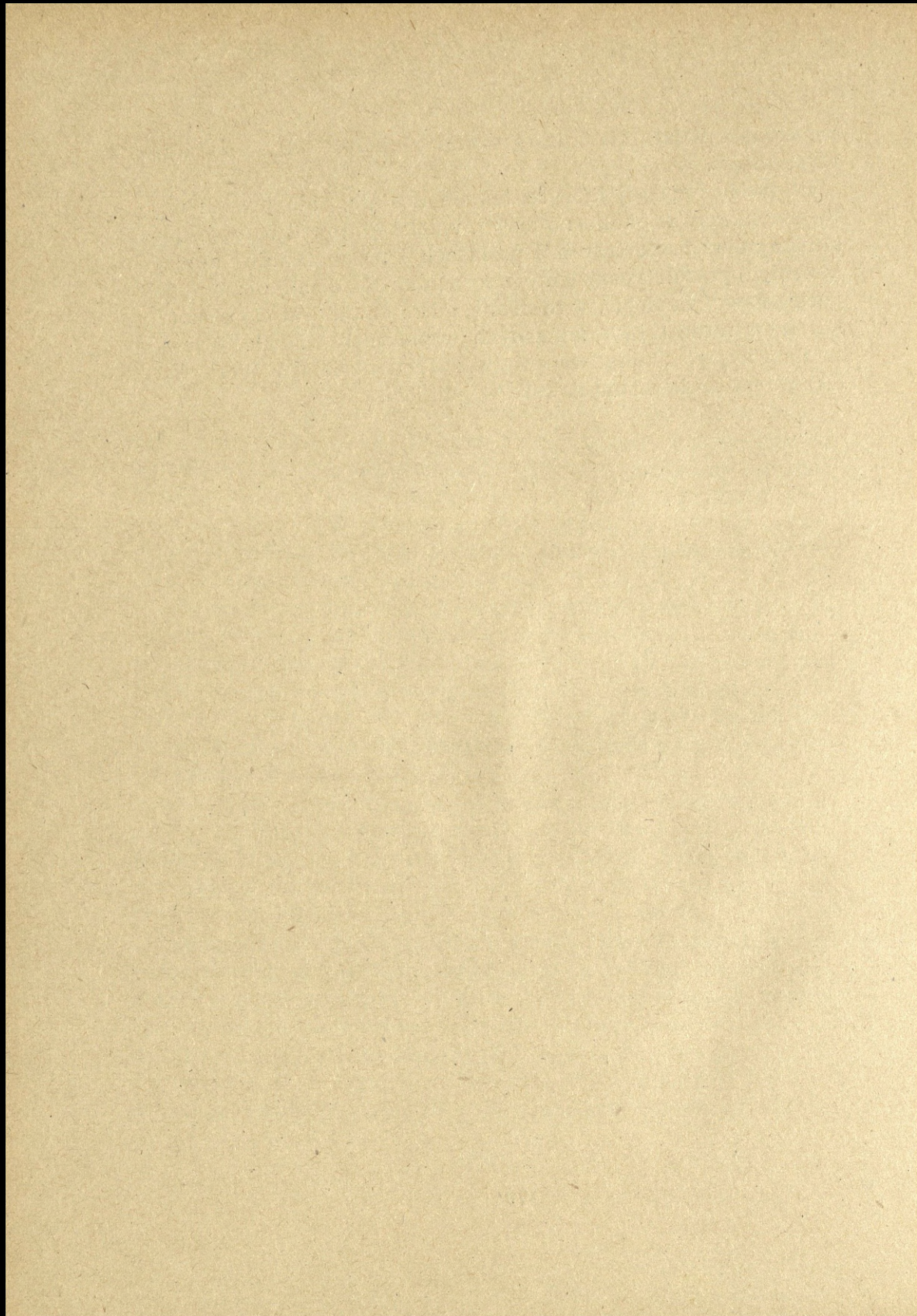
Rozpoczęliśmy pracować dalej, rozpoczęło i swą robotę Gestapo. Pierwszą ich czynnością było zrzucenie tego znienawidzonego przez nich krzyża, na który musieli mimo woli parzeć, pilnując obozu, a potem aresztowali kilku, których uważali za prowodyrów w „przeciwniemieckich zebraniach“, jak nazywali nasze wspólne modlitwy. Powieszono ich na oczach wszystkich w kilka dni później.

W styczniu, gdy rozpoczęli Rosjanie ofensywę, wszystkie szosy zapełniły się uciekającymi „Volksdeutschami“. Widząc te nie kończące się szeregi i kolumny naszych dręczycieli z Poznńskiego, odzyskaliśmy pewność siebie, wiedzieliśmy już, że chwila wyzwolenia niedaleko. Aby tylko nie stanęli!

Tymczasem Rosjanie doszli do Odry i Nisy i stanęli, a my, rozczarowani, zwróciliśmy teraz oczy na zachód. Amerykanie doszli w szybkim tempie do Łaby i wtedy też Rosjanie rozpoczęli decydującą ofensywę na Berlin. Na wąskim pasie między dwoma frontami rozpętało się piekło. Kto tego nie przeżywał, nie widział tych tysięcy amerykańskich samolotów, bombardujących wszystko po drodze, nie może powiedzieć, że wie, co

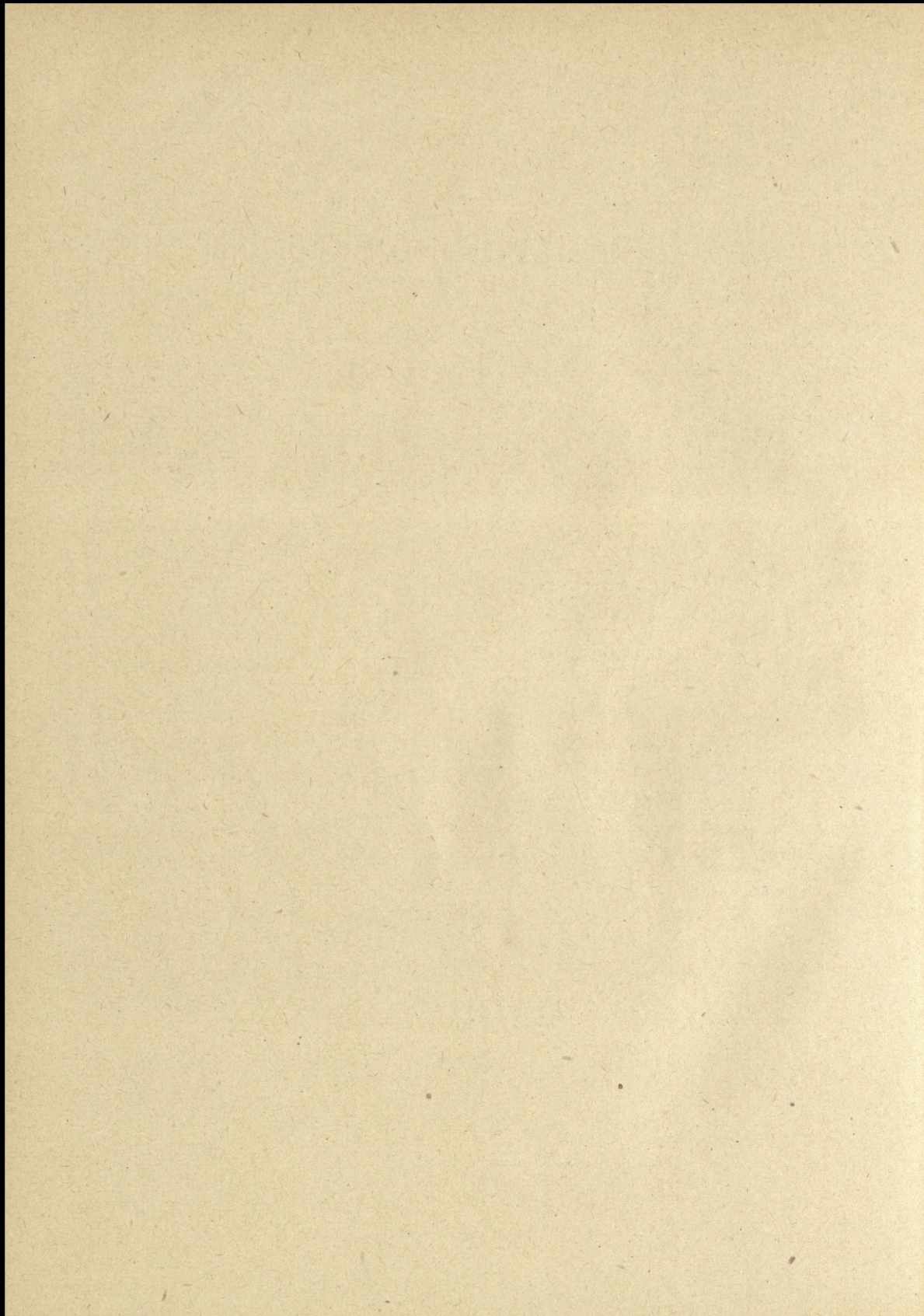
to wojna. Wszystkie miasta wokół płonęły, tak samo duża część lasów.

Oczywiście naszej fabryce też się dostało, ale przewidując to, uciekliśmy w okoliczne lasy i, uciekając przed ogniem, błąkaliśmy się przez trzy dni po lasach i po spotkaniu amerykańskich patroli ruszyliśmy na zachód. Szedłem, nie oglądając się nawet za siebie, w tę stronę, gdzie znajdował się obóz (?), z którym mnie tyle koszmarnych wspomnień wiązało, jednakże nazwa jego „Metallwarenfabrik Treuenbrietzen Werk Selterhof“ zostanie mi na zawsze w pamięci.



W WIĘZIENIACH I OBOZACH

VIII



Zdzisław Nadolski

ur. 23. 5. 1931 w Poznaniu.

Mieszka obecnie w Poznaniu, ul. Gruszkowa 12, m. 2.

Uczeń Państw. Gimn. im. Marcinkowskiego. Kl. I gimn.

...Będąc w cyrku „Althof“, udałem się po przedstawieniu do zoologu tegoż cyrku. Po wyjściu z zoologu zauważyłem na ulicy, że przekroczyłem godzinę policyjną. Bojąc się mojego tatusia i policji, ukryłem się w aucie ciężarowym. Ponieważ byłem obserwowanym przez policję, zabrał mnie policjant na komisariat. Po spisaniu protokołu wywieziono mnie do obozu karnego w mieście Łodzi. Załadowano mnie wraz z innymi do wagonu „Więźniarki“ i wyjechałem rano z Poznania. Stąd jechałem do Torunia. W Toruniu stanął pociąg na moście prowadzącym przez Wisłę. Właśnie był w Toruniu alarm lotniczy. Przejeżdżało sto czternaście samolotów amerykańskich. Zostawiono nas na pastwę losu. Pociąg odjechał za wyjątkiem naszego wagonu, w którym sami Polacy zostali. Po alarmie wyjechaliśmy z Torunia. W nocy zajechaliśmy do Łodzi. Na dworcu czekało na nas dwudziestu policjantów z karabinami i psami. Kazali nam chwycić się pod ręce i z Kaliskiego dworca zaszliśmy na przystanek tramwajowy. Tam stał już tramwaj więzienny. Załadowano nas do tramwaju i zawieziono do „Kripo“*). Tam zabrano nasze bagaże i zapisali nas. Bez jedzenia zaprowadziła nas policja do bardzo cuchnącej celi, gdzie było czternastu mężczyzn, i to: że nie stawili się na „Einsatz“. Przespaliśmy tu jedną noc. O wpół do piątej była pobudka a o piątej śniadanie. Po śniadaniu musieliśmy pójść do odwszawienia. Trwała ta ceremonia pięć godzin. O 12. dostaliśmy obiad, i to zupe, ale bez łyżek kazano nam jeść. Po obiedzie o 2.

*) Kriminalpolizei.

przyszedł dozorca i wywołał trzech chłopców i mnie. Zaprowadzili nas do biura i oddali nasze rzeczy z powrotem. Przyszedł później jakiś cywil — tajny policjant, „Volksdeutscher“. Nazywał się Stankiewicz. On to nas zabrał do tego lagru. W lagrze dostałem rzeczy lagrowe.

Przy apelu wieczornym podczas ćwiczeń zbito mnie za to, że nie znałem ich musztry. Po trzech dniach zabrano mnie do kuchni. W kuchni pracowałem dwa miesiące. Musiałem od rana do wieczora pompować wodę do kotłów 365-litrowych. Ponieważ byłem za słaby, zwolnili mnie z tej funkcji i poszedłem do strugarni. Od 7. rana do 8. wieczora skrobałem ziemniaki. Jeżeli kto wyniósł na izbę ziemniaka, to dostał dwadzieścia batów, a jak zjadł parę marchewek, to dostał trzydzieści batów i trzy dni ciemnego aresztu. Pracowałem w strugarni trzy miesiące.

W lagrze był zwyczaj, że w izbach trzeba było nocny dyżur pełnić. Taki dyżur przypadł na mnie. Ale ja w tym dniu byłem chory i miałem wysoką gorączkę. Prosiłem zatem mego izbowego, żeby mnie zastąpił inny. Gdy się z tą prośbą zwróciłem, odmówił mi jej. Ponieważ mdlałem już z gorączki i z wycieńczenia, byłem zmuszony prosić go powtórnie. Lecz izbowy rozwścieczony, że go przebudzam, począł mnie bić i prośby moje były bezskuteczne. Musiałem swój dyżur wykonać.

Jednego dnia zrobiono ogólną zbiórkę na dziedzińcu. Mówiono nam, że będziemy fotografowani i każda rodzina otrzyma od lagerführera jedną fotkę. Kazano nam wyjść lepiej ubranym w pierwsze rzędy. Rozpoczęło się fotografowanie, i to maszerowaliśmy wkoło lagru. Jak zaszliśmy z powrotem na to samo miejsce, zauważyłem, że przebrali się paru wachmanów za lekarzy. Jeden z nich badał nam oczy. Inny znowu zęby itd. Żadnych zdjęć nam ani rodzicom nie dali. Okazało się później, że to robiło się dla propagandy, aby światu okazać, że tak dobrze tam mamy. W gruncie rzeczy o nas lekarze wcale nie dbali.

Pewnego wieczora o godz. 7. byliśmy wszyscy rozebrani, bo się myliłmy. Zauważono, że wielka jasność była nad całą Łodzią. Chłopcy mówili, że się pali. Okazało się jednak, że to nie pożar,

tylko rakiety na niebie, które Rosjanie z samolotów rzucali. Były to rakiety na spadochronach. Gdy już się ściemniło, kazano nam pójść do okopów. Niektórzy chłopcy byli tylko w kałesonach i koszuli, bez obuwia. Musieliśmy stać na tym lodzie półtorej godziny w tych okopach. Po odwołaniu alarmu kazano wracać na swoje izby. Ta noc była spokojna. Był to dzień 16 stycznia 1945 roku.

Na drugi dzień w obiad o godz. 1. był znowu alarm. Bardzo nisko opuściły się samoloty rosyjskie. Widziałem, że były to bombowce i pościgowce, które krążyły nad Łodzią na wysokości tysiąca metrów. Naturalnie, że też niemieckie działa przeciwlotnicze strzelały jak zwariowane, ale to wszystko było na próżno. Po odwołaniu alarmu poszliśmy do pracy. W nocy z 17 na 18 stycznia 1945 było już słychać pociski armatnie i strzały ciężkich karabinów maszynowych. Zwykle mieliśmy pobudkę o 6. rano, w ten dzień była wyjątkowo o 7³⁰. O godz. 9. było śniadanie. Powiedziano nam, że już nie ma chleba, że musimy ziemniaki skrobać na śniadanie, kolację i obiad. O godz. 10. wydawano nam nasze rzeczy. Wyszła w lagrze pogłoska, że o godz. 2. mieliśmy zostać rozstrzelani, a później spaleni, tak jak się to stało w Radogoszczu, gdzie cztery tysiące Polaków żywcem spalono.

Muszę też nadmienić, że byłem na pogrzebie spalonych Polaków w Radogoszczu, gdzie osiemset ciał chowano. Ale... nie zdążyli tego zrobić z nami, bo musieli uciekać. To, co najlepsze było, to zabrali w auta i wozy konne. Sami zaś wsiedli do limuzyny i wyjechali. Nas zostawili bez posterunku, mogliśmy więc pójść na wolność.

Jak to zauważyłem, to najpierwszy uciekłem z tego obozu. Po wydostaniu się z tego obozu, będąc na ul. Zgierskiej zaczęła mnie kobieta i zabrała do siebie.

Na drugi dzień o godz. 14³⁰ pierwszy patrol bez żadnych walk wjechał do Łodzi. Był to polski patrol. Żołnierze wołali: „Niech żyje Polska! Jeszcze Polska nie zginęła!“ itd. Gdy po tej patrolce wkroczyły pierwsze wojska sowieckie, był wielki entuzjazm wśród ludzi. Ludzie wprost płakali z radości. Zaraz też ludzie

wywiesili chorągwie biało-czerwone i czerwone po pięć i pół letnim zaborze niemieckim.

Po trzech tygodniach mego pobytu u tej pani wyruszyłem w kierunku Kutno — Poznań. Na siódmy dzień wyruszyłem z Kostrzyna do Poznania. Szedłem przez Antoninek, Swarzędz, Warszawskie Osiedle, Śródkę i byłem w Poznaniu. Gdy zobaczyłem Poznań, byłem pewien, że z mojego domu nic nie zostało. Okazało się jednak, że dom pozostał cały! Będąc na Górnej Wildzie, już nie mogłem iść z wycieńczenia. Gdy przyszedłem do domu, to z radości aż płakałem.

2

Eugenia Kamińska

ur. 20. 9. 1926 w Gnieźnie.

Mieszka obecnie: w Gnieźnie, ul. Żwirki i Wigury 23, m. 4.

Uczennica kursu nadzwycz. III Szkoły Powsz. im. św. Jana w Gnieźnie. Kl. VII.

W roku 1939 wybuchła wojna z naszym największym, odwiecznym wrogiem tj. Niemcem, który zajął tereny Polski i zaczął szerzyć swoje nikczemne i barbarzyńskie metody, jak: mordowanie ludzi, wyrzucanie Polaków z własnych mieszkań, wywożenie ich do Guberni względnie do Reichu oraz zamykanie niewinnych Polaków w różnych więzieniach i kaźniach.

Pierwsze 3 lata miałam możliwość zachować się w domu, za co Panu Bogu dziękowałam, lecz przyszedł dzień w którym musiałam opuścić Gniezno. W tutejszym „Arbeitsamcie“ pracował Polak nazwiskiem Tysiąc, który sabotował prace w tymże Urzędzie. Wystawiał on mianowicie tzw. „Beschäftigungskarten“ dla Polaków, nie wpisując ich do urzędowej kartoteki. Wskutek tego znajdowała się w Gnieźnie pewna ilość osób, która nie pracując miała karty zatrudnienia. Przez kilka lat wszystko się udawało, aż pewnego dnia zaprzestano wydawać karty żywnościowe wszystkim, którzy nie przedkładali nowego zaświadczenia pracodawcy. Tym sposobem wyłapywano wszystkich Polaków dotąd nie pracujących. Przeprowadzone dochodzenia co do wystawianych fikcyjnych kart zatrudnienia dały wynik negatywny, ale Polaków zatrudnionych w „Arbeitsamcie“ zwolniono, a miejsca ich zajęły Niemki. W „Reichu“ wi-

docznie brak było robotników, bo od lipca 1942 odchodziły co tygodnia transporty z robotnikami „dobrowolnie zgłaszającymi się“, jak prasa podawała, do Niemiec. Z jednym takim transportem musiałam i ja opuścić Gniezno. Zajechaliliśmy do Poznania. Ze stacji zaprowadzono nas na Górczyn do tzw. przejściowego „lagru.“ Tamże odbyło się badanie lekarskie i masowe kąpanie, następnie zaś ulokowano nas w barakach mieszkalnych. Jedzenie było bardzo ograniczone. Dostaliśmy bowiem trochę zupy z kapusty lub brukwi. Wieczorem zaś 250 gr chleba na cały następny dzień.

W ciągu tygodnia wysłano z tego lagru kilka transportów do „Reichu“. Ponieważ do ostatniego transportu było kilkanaście nadliczbowych dziewcząt, a m. in. ja, pozostałyśmy w „lagrze“. Po tygodniowym pobycie w obozie zaprowadzono nas do hali, gdzie zebrały się Niemki, mające zapotrzebowanie na służbę domową, i zaczął się handel, jak na targowicy zwierzęcej. Ja otrzymałam przydział pracy u Niemki Stappenbeck, zamieszkałej przy ul. Małeckiego nr 12. Była to kobieta bez serca. Jako zaciekły wróg Polaków starała się nie tylko mi, ale wszystkim Polakom na każdym kroku dokuczyć. Życie u niej było dla mnie prawdziwą gehenną. Mimo że Niemka otrzymała na moją osobę także pełne karty żywnościowe, nie widziałam w czasie rocznego u niej pobytu ani kawałka mięsa, masła lub wędliny. Niemka prowadziła dwie kuchnie, jedną dla siebie i syna, a drugą dla mnie. Otrzymywałam suchy chleb lub posmarowany marmeladą. Obiad składał się formalnie z pomyi, tzn. z resztek obiadowych rozcieńczonych wodą. Jesienią zaś gotowała dla mnie zupę z zielonych pomidorów. Często mnie bito. Syn Niemki, 15-letni chłopak, należący do II. J., przy łada sposobności bił i kopał mnie jak psa. Był on nie tylko zbirzem hitlerowskim, ale ponadto złodziejem. Podrabiał czeki bankowe, na które z konta matki inkasował pieniądze, dokonywał kradzieży w domu i ogrodzie, a winę spędzał na mnie. W lutym 1943 kupiła Niemka kilka metrów drzewa opałowego. Były to okrągłaki o przekroju 15 do 30 cm. Zamykano mnie wówczas przez przeciąg kilkunastu dni codziennie rano w piwnicy, gdzie musiałam sama piłą pałkową drzewo rżnąć. Ręce mi omdle-

wały, ale pracować musiałam — bo baty. Za karę nieraz nie otrzymałam wikt, gdyż według orzeczenia Niemki nie „zapracowała ta polska świnia“ na jedzenie. Niemka bardzo często mawiała: „Wir sind jetzt die Herren der Welt! und alle Völker — vor allem die Pollaken — unsere Knechte. Wir beherrschen die Erde, wir besiedeln, und wir rotten aus“^{*)}).

Jak Niemka się ze mną obchodziła, rodzice nie wiedzieli, gdyż każdy do domu wysyłany list musiał przechodzić przez jej ręce. Mam wrażenie, że nie wszystkie listy do domu dotarły.

W tej tak ciężkiej niewoli wytrzymałam rok cały, aż w końcu nie mogąc dłużej wytrwać, postanowiłam uciec od niej.

Nie szukając pomocy u władz, wiedząc, iż sprawiedliwości nie znajdę, udałam się pieszo z Poznania do Gniezna. Podróż moja trwała dwa dni. Przybycie moje do domu zdziwiło bardzo rodziców i zaintrygowało. Pozostałam na razie w domu, lecz po 3 dniach przyszedł po mnie urzędnik „Gestapo“. Odbyły się różne przesłuchy, spisywania protokołów, następnie odesłano mnie do Poznania do „Domu Żołnierza“. Dom Żołnierza był to piękny gmach przy ul. Ratajczaka, który krył w swych podziemiach zgrozę ziejące cele. W celi była zwyczajna prycza drewniana i maleńkie zakratowane okienko, poza tym nic więcej. Na korytarzu słychać było przekleństwa niemieckie, łajanie i bicie bezbronnych Polaków za prawdę. Jak wiadomo, prawda w oczy kole. Dla Polaków nie było za okupanta żadnego prawa. Za słowa prawdy były katusze i śmierć męczeńska. Ponure lochy Domu Żołnierza mogłyby nam powiedzieć, ile tam Polaków zginęło za Ojczyznę, lecz niestety nie dowiemy się tego, gdyż z pięknego gmachu pozostała tylko kupa gruzów. Rodzicom nie było wolno stanąć w obronie własnych dzieci. Tak np. ojciec mój stawiał wniosek do „Arbeitsamtu“ o inne miejsce dla mnie i za to wsadzono go do więzienia w Gnieźnie, z motywem „deutschfeindlich gesinnt“. Ojciec stawiał się również za mnie u owej Niemki, lecz otrzymał odpowiedź od jej męża... Na skutek interwencji „Gestapo“ zmuszono moją chorą matkę do

^{*)} „Jesteśmy teraz panami świata! i wszystkie ludy — przede wszystkim Polacy — naszymi parobkami. Panujemy nad ziemią, zasiedlamy i rugujemy.“

ciężkiej pracy u ogrodnika, a dwunastoletniego brata wysłano na wieś do gospodarza.

Z „Domu Żołnierza“ wysłano mnie do obozu w Żabikowie pod Poznaniem. Przez 9 tygodni pobytu tamże napatrzyłam się na wiele bestialstw ze strony okupantów. Obóz żabikowski był to obszerny dziedziniec, otoczony podwójnym drutem kolczastym. Z czterech stron dziedzińca znajdowały się wieże obserwacyjne i był on otoczony reflektorami, które świeciły całą noc bez przerwy. Na dziedzińcu było wiele baraków drewnianych, otoczonych także drutem kolczastym. Urządzenia baraków składało się z nędznych sienników, stołu i połamanych krzeseł. Okna zaopatrzono w ciężkie okiennice. Na wstępie, tuż po przyjeździe do obozu, odbywało się masowe kąpanie pod prysznicami, a następnie dostało się ubranie więzienne (spodnie i jaka płócienna). Trzeba było pracować w upał i zimno, kopać w polu, choć czasem ziemia była zmarznięta, i rąbać ją kilofami, strugać kartofle w stodole, do której ze wszystkich stron wiał wicher mroźny, nosić piasek i to zupełnie bezcelowo, z miejsca na miejsce. Jedzenie było pod wszelką krytyką. Rano czarna kawa, w południe litr zupy z brukwi lub kapusty, wieczorem 200 gr chleba suchego. Jednakże cięższym do zniesienia od pracy i głodu było znęcanie się barbarzyńców niemieckich nad ludźmi. Za najmniejsze przewinienia, jak np. zabranie z głodu marchwi, za rozmowę z przyjaciółką, za śpiew pieśni polskiej, za modlitwę (podpatrywano przez szpary w okiennicach) spotykały biednych więźniów ciężkie kary, znoszone przez nich mężnie, często z uśmiechem na ustach. Kary były następujące: wtrącano do lochu, gdzie przebywać trzeba było bez jedzenia i picia nieraz kilka dni. Mocniejsze przetrwały, lecz słabsze ginęły śmiercią głodową. Czasem przez całą noc trzeba było stać na deszczu lub mrozie, a rano zaraz do pracy. Pewnego razu przywieźli jakiegoś księdza, któremu kazano nosić piasek, a ponieważ ksiądz ten nie był przyzwyczajony do tak ciężkiej pracy, zemdłał z wysiłku. Oblano go wodą, zbito kijami i postawiono w druty kolczaste. Była to rolka drutu, którą nakładano na człowieka tak, że nie mógł się ruszyć. Ksiądz ów miał pozostać w tym 7 dni i 7 nocy bez jedzenia i picia. Czy to wytrzymał,

tego nikt się nie dowiedział, gdyż po trzech dniach już go nie widzieliśmy. Zdarzył się wypadek, że zastrzelono nie wiadomo z jakiego powodu chłopca, może 18-letniego, włożono go nagiego do koryta i postawiono w drzwiach. Wszyscy idąc do pracy musieli przez niego przechodzić. Powiedziano nam, że tak powinni zginąć każdy z nas. Bicie i katowanie było na porządku dziennym. Mnożyły się wypadki śmierci.

W obozie przebywałam od dnia 30 grudnia 1943 do 3 kwietnia 1944. Przy zwolnieniu zagrożono mi, że jak komu powiem, co w obozie widziałam, to przyjdę tam z powrotem, ale już więcej żywa nie wyjdę.

Dostałam inną pracę. Długie miesiące trwała jeszcze niewola niemiecka, aż wreszcie nadeszły radosne dni i wojska radzieckie oswobodziły Polskę. Polacy radowali się, widząc przestrach zbirów niemieckich.

Zdobywanie Poznania trwało bardzo długo i miasto mocno ucierpiało, lecz w końcu zostało oczyszczone od najeźdźców niemieckich. Wróciłam do domu w łachmanach i prawie boso, gdyż wszystkie rzeczy mi się spaliły, lecz z radością w sercu i nadzieją lepszego jutra w wolnej Polsce.

3

Barbara Werwicka

ur. 20. 8. 1927 w Poznaniu.

W czasie okupacji przebywała w Poznaniu,

Dębiec, Osiedle Cegielskiego 33. Obecnie: Poznań, ul. Mostowa 14a.

Uczennica IV Państw. Gimn. i Lic. Żeńsk. im. Kl. Potockiej w Poznaniu. Kurs Ia.

...Jednego popołudnia siedzieliśmy jak zwykle wkoło małego aparaciku wsłuchując się w słowa prezesa Związku Polaków w Ameryce, gdy przed dom zajechał ciężarowy samochód, z którego wysiadło kilku gestapowców. Ktoś z domowników dał nam znać o tym, lecz niestety było już za mało czasu, by wszystko usunąć. Pięciu nas zdołało uciec tylnymi schodami do ogrodu. Trzech pozostało jednak chcąc zniszczyć ślady. Aparat został schowany w stosie brudnej bielizny, wszystko inne w kieszeniach trzech pozostałych młodzieńców. Jednak donos był

tak ściśle, że gestapowcy nie dowierzając nikomu zrobili gruntowną rewizję i wszystko, nie wyłączając aparatu, znaleźli. Naturalnie ci trzej przy tym obecni zostali natychmiast aresztowani i przewiezieni do Domu Żołnierza. Nie szczędzono im przy tym grózb i poszturchiwań. Jeden z nich pod wpływem tego załamał się i wydał resztę.

Po mnie przyjechali dnia następnego, tj. w środę dn. 28 lipca 1944 r. o godzinie 10 przed poł. Gdy przed domem, gdzie pracowałam, stanął szaro-bury samochód, wiedziałam, że to po mnie idą. Nie omyliłam się! Kazali mi się ubrać, a na pytanie, czy mam jeszcze coś ze sobą zabrać, odpowiedzieli mi: „Jak uważasz“.

Gdy przybyliśmy do Domu Żołnierza z kilkoma jeszcze innymi aresztowanymi, kazali nam w pędzie wbiec na drugie piętro, gdzie wepchnięto nas brutalnie do dużego pokoju, w którym siedział jakiś „czarny esesman“. Sam jego widok budził grozę i odrazę. Było w nim coś zwierzęcego, jego fizjognomia zdradzała, że jest to człowiek bez sumienia i skrupułów. Nas było 8 osób, w tym trzy kobiety.

Na przesłuchy wprowadzali każdego z osobna do sąsiedniego pokoju. Ja byłam drugą z rzędu. Pokój, do którego mnie wprowadzili, był zaopatrzony w zakratowane okna, przez które widać było jakiś mur, drzwi obite metalowymi skoblami, a na ścianach — o ironio — obrazki z wymalowanymi widokami lasów, pól i kwiatów, ponad wszystkim zaś wisiał majestatycznie portret „führera“.

Przesłuchy odbywały się w ten sposób, że oskarżony został grzecznie poproszony o zajęcie miejsca w wygodnym fotelu, a potem po stwierdzeniu tożsamości następowały pytania! W moim wypadku gestapowiec przesłuchujący mnie posunął się do takiego cynizmu, że najpierw przedstawił mi się jako sturmbannführer Leibnitz. Od grzecznych początkowo pytań w tym sensie, jak: czy należałaś do konspiracji? czy pracowałaś przeciwko Niemcom? czy wiesz, jaka kara cię za to czeka? ilu było członków? czy znasz ich? czy będziesz dobrowolnie zeznawać prawdę? — na co odpowiadałam nieodmiennie „nie“ lub „nie wiem nic“ — przeszedł do groźby, a nawet w końcu tak mię silnie spoliczkował, że musiałam trzymać się krzeselka, by nie

upaść. Bólu fizycznego nie czułam, bo nerwy były nadto naprężone, ale z całą świadomością poczułam zniewagę i z trudem opanowałam się, by nie rzec jakiegoś głupstwa. Jedno wiedziałam na pewno, że nie wydam nic, choćby mnie zameczyć chcieli. Przypomniał mi się brat mój, który został zesłany do obozu koncentracyjnego za to, że nie chciał nic wydać, i to dodało mi siły i odwagi.

Po dwugodzinnym przesłuchiowaniu zupełnie nerwowo wyczerpaną wyprowadzili mnie drugimi drzwiami na korytarz i na dół trzy piętra do piwnicy. W piwnicy tej było zupełnie ciemno i nie mogłam się w ogóle zorientować, czy jeszcze ktoś oprócz mnie tam jest, powiedziałam więc głośno: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, odpowiedziały mi trzy głosy, w czym jeden kobiecy, a więc nie byłam sama. Chcąc się przekonać, w jakim stanie jest nasza cela, zaczęłam się wolno posuwać wzdłuż ściany, ale po kilku krokach zaprzestałam tego sposobu. Ściany były zupełnie mokre, zaduch panował okropny, a zimno było jak w lodowni. Nie było tam żadnej ławy ani stołka, więc trzeba było stać nie opierając się. Rozmowa z współtowarzyszami niedoli nie kleiła się, każdy zajęty był własnymi myślami.

Wtedy dopiero zaczęłam zastanawiać się nad moim położeniem, a było ono niezbyt zachwycające. Przecież moje zeznania były jednym kłamstwem. Co będzie, jeśli ci drudzy wszystko wydadzą? Takie i tym podobne myśli opadły mnie i przygotowywałam się na najgorsze. Czas włókł się niemożliwie wolno, i gdy mnie po pewnym czasie, który mi się wydał wiecznością, znowu na przesłuchy wezwali, myślałam, że jest rano, a była to dopiero godz. 9 wieczorem. Ale wołałam już przesłuchy, niż to straszne wyczekiwanie w tym przerażającym „grobowcu“.

Zaprowadzili mnie do jakiegoś innego pokoju. Tam byli już zgromadzeni ci, którzy ze mną przyjechali. Ten sam Leibnitz zadał mi pytanie, czy znam te osoby tu obecne. Zaprzeczyłam kategorycznie. Pokiwał głową i kazał mnie znowu wyprowadzić.

O rozpacz! wróciłam do tej samej celi, w której byłam poprzednio. Tam musiałam wytrzymać do godz. 7 rana. Tej strasznej nocy w życiu moim nie zapomnę. O godz. 7³⁰ było

śniadanie, pierwsza strawa od rana dnia poprzedniego, na które składało się coś w rodzaju zupy i kawałka suchego chleba. Więźniowie jedli śniadanie wszyscy razem, ale nie wolno było rozmawiać pomiędzy sobą. Po śniadaniu zawołali mnie do kancelarii, gdzie ze zdziwieniem spostrzegłam mego „starego“*).

Jak się dowiedziałam, on perswadował im, że to, o co mnie posądzają, jest niemożliwe, bo ja nigdy nigdzie nie wychodziłam, i on ręczy za mnie. Zaskoczyło mnie to niezmiernie i gdy mi powiedzieli, że będę zwolniona, nie chciałam wcale wierzyć. Tymczasem naprawdę o godz. 6. po poł. kazali mi iść do domu. Gdy wyszłam na ulicę i wchłonęłam w siebie świeże powietrze, zatoczyłam się jak pijana. Pierwszą moją czynnością było pójść do kościoła i podziękować Panu Bogu za taką łaskę...

4

Bożena Łukomska

ur. 10. 9. 1924 w Mogilnie.

W czasie okupacji mieszkała w Poznaniu, ul. Maleckiego 3. Aresztowana 18. 2. 1944, przewieziona do Żabikowa 19. 2. 44, zwolniona 27. 5. 44.

Obecnie: Poznań, ul. Kossaka 18.

Uczennica IV Państw. Gimn. i Lic. Żeńsk. im. Kl. Potockiej, kurs kl. IV.

„Kennen Sie das graue Haus?“**) — pyta gestapowiec wysiadając z samochodu. „Tak“ — odpowiedziałam, ale mimo woli podniosłam oczy w górę, objęłam wzrokiem ten dom, tak dobrze znany jeszcze z czasów przedwojennych, a teraz jakiś dziwnie obcy, inny, czekający na kogoś, pomimo że na świecie jest ciemno, pusto i tylko śnieg prószy wolno, obojętnie, nie zwracając uwagi na to, co dzieje się na świecie. Pada śnieg. Czy pada jednak tak samo, jak padał przed godziną, kiedy wracałam szczęśliwa do domu, kiedy byłam jeszcze wolną, kiedy byłam sobą?

Od chwili, w której powiedziano mi, że jestem aresztowana, a dla bliższego i wyraźniejszego okazania swej władzy gesta-

*) tzn. pracodawcę autorki.

**) „Czy zna pani ten szary dom?“ Chodzi tu o przedwojenny Dom Żołnierza, który był podczas okupacji siedzibą Gestapo.

powieć uderzył mnie swoim grubym palcem w czoło mówiąc: „Du, dummes Mädel, du hast wohl gedacht, Polen kommt noch wieder?!“ — od tej chwili stałam się inną, dziwnie otępiałą, powolną, po prostu przestałam być człowiekiem, a stałam się tylko jedną z tych „Stück“, które liczy się trzy razy dziennie, które można bić, popychać.

Na ulicy ciemno, śnieg prosi! Wchodzimy do Domu Żołnierza, który na pozór wydaje się być uśpionym i czymś miłym, ale to tylko pozór! Zaledwie przestąpiliśmy próg, oszołomił mnie nadmiar światła i ruch, jaki tam panował, a przecież to była godz. 8 wieczorem! Tu pracowano „dla Ojczyzny“. Zaprowadzono mnie na pierwsze piętro. Szliśmy korytarzem długim, pełnym drzwi, wiodących nie wiadomo dokąd, zza których dochodziły odgłosy uderzeń i jęków. Jedne drzwi były uchylone — zajrzałam. Mężczyzna młody, może trzydziestoletni, zakrwawiony, stał na środku pokoju otoczony wieńcem gestapowców, trzymających w ręku pręty, i zdejmował marynarkę. Nogi zatrzęśły się pod mną, bo uświadomiłam sobie, że przecież oni mogą robić ze wszystkimi, co im się podoba, a ja, mimo że jestem silną, biłą być nie chciałam! Lecz zaraz pomyślałam o Krysi, Danusce, że przecież na pewno nie bałyby się bicia, pomimo że są słabsze, i wstyd mnie ogarnął, że ja, harcerka, mogłam choć na chwilę bać się. Krzyki i ciężkie, pewne kroki gestapowców rozlegały się po całym gmachu, i zastanawiałam się, co też Pan Bóg prędzej usłyszy: czy nieśmiałe jęki i prośby, czy też butne odgłosy kroków? I czy te kroki nie przytłumią swoją wyrazistością prośb zanoszonych do Boga? A może Pan Bóg słyszy tylko nieśmiałe szepty?

Spisano już personalia i zaprowadzono nas do celi w piwnicy. Zgrzyt jednych drzwi żelaznych, okutych, potem krat dziwnymi zdały się nieprzyjaciółmi, nie czułam nienawiści do tego który nas prowadzi do celi, ale dziwny żal do tych drzwi, do krat, że mogą tak bezlitośnie stać i nie puszczać z powrotem! Wepchnięto nas do celi. Dziewięć osób a cela maleńka, jednak jakoś stać można było. Perspektywa długiej nocy dziwnie nastrojała każdą pogrążoną w swoich myślach, pieśczącą swoich bliskich.

Ja nie mogłam stać spokojnie. Za dużo wrażeń! Chciałam mówić, mówić! Nie zastanawiałam się zupełnie, czy ktokolwiek mnie słucha, raczej mówiłam do siebie, i dobrze mi było. Rozmawiałam z Mamusią, całując Ją i gładząc Jej srebrne włosy, czułam Jej łzy na swoich policzkach i nie wiedząc czemu, też płakać zaczęłam. Wiedziałam, że w domu na pewno nikt jeszcze spać nie poszedł, więc w tym płaczu chciałam się z nimi połączyć, chciałam czuć bliskość ich wszystkich. Nie wiedziałam, czy kiedy zobaczę Mamusię, Tatusia i siostry, a tak chciałam być w tej chwili w domu i płakać razem z nimi! Na dworze śnieg pewnie jeszcze padał.

Rano. Na korytarzu ruch. Coś się teraz stanie, ale co? Czego oni mogą chcieć? Jak to będzie? Czy przyjdą, zabiorą i zaprowadzą może na „maryskę“? Nie, nie chcę! Boże, ja naprawdę nie chcę! Słysząc zgrzyt klucza, dźwięk rozsuwanych krat i kogoś nam prowadzą do celi. Obfity wczoraj zebrali plon! Ktoś zakaszał! Boże, to przecież kaszel Sabki! Drzwi się otwierają i wchodzi nie kto inny, ale moja siostra! Co za radość! Całowałyśmy się w nieskończoność, aż wachman spojrzał zdziwiony. Wywołano po kolei wszystkie na korytarz. Stanęłyśmy twarzą do ściany pełnej lakonicznych napisów, nazwisk.

Wsiadłyśmy do kibitki i ruszono. Szczęśliwie zdobyłam miejsce przy wentylatorze, tak że mogłam patrzeć na ulicę, nie będąc jednak widziana z zewnątrz. Która była godzina, nie wiem. Ulice pełne były ludzi popychających się wzajem, spieszących gdzieś, a nie spostrzegających, że tuż, tuż, tak blisko nich jedzie kibitka napchana ludźmi, którzy nie są już takimi, jakimi byli wczoraj, może dziś jeszcze. Nie, to nie ludzie, to „häftlingi“! Jadą, mijają przechodniów, mijają swoje własne domy; chcieliby krzyczeć, wołać, aby choć na chwilę zobaczyć kogoś bliskiego i móc wreszcie zrozumieć, że to nie sen, że tak jest rzeczywiście!

Wjechaliśmy do fortu VII; trzask okutej bramy — i kibitka stanęła. Padł rozkaz: wysiąść! Przeliczono wszystkich, po raz nie wiem już który. Część — tak zwani „Sonntagsjäger“ zostali, to byli szczęśliwcy, oni w poniedziałek wracali do domów! Resztę zaś wpakowano do auta z powrotem i pojechaliśmy

dalej. „Nach Poggenburg“ — rzucił gestapowiec. „Poggenburg“ — mówił motor, „Poggenburg“ — powtarzały ściany, „Poggenburg“ — wciskało się w uszy, przenikało gdzieś do wnętrza!

5

Franciszek Leciejewski

ur. 30. 4. 1924 w Mroczy, pow. Wyrzysk.

W czasie okupacji przebywał w Poznaniu, ul. Za Bramką 12b, pracując w D. W. M. w oddziale malarskim.

Obecnie: Poznań, Za Bramką 12b.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. im. Bergera w Poznaniu. Kl. IV gimn.

Szesnastego czerwca*) o godzinie 8 rano byłem na dachu tzw. P. Z. Halle w D. W. M. i dawałem ostatnie polecenia pracownikom, którzy przyszli na godzinę 7. Kończyłem już, gdy nagle usłyszałem głos swego vorarbeitra: „Leczeński! Sofort zum Renker“. Renker był moim szefem. Nie podejrzewając niczego poszedłem do biura. Gdy wszedłem, szef powiedział: „Das ist der“. Na te słowa dwaj mundurowi SS-mani podeszli do mnie z wymownym ruchem rąk uzbrojonych w rewolwery. Ze słowami „Vorwärts, du Schweinhund“ wypchnęli mnie z biura. Skóra mi ścierpła ze strachu. W myśli pytałem sam siebie: Za co? Co oni chcą ode mnie? W końcu przywieźli mnie na wachę. Po wpisaniu w księgę przestępstw mego nazwiska odprowadzono mnie do auta, w którym nałożono mi na ręce i nogi stalowe bransolety. Moi „troskliwi opiekunowie“ zawieźli mnie w podwórze byłego Domu Żołnierza, gdzie była słynna SS-Dienststelle. Z podwórza wprowadzili mnie do piwnicy i zamknęli w jakiejś małej, słabo oświetlonej celi. Długo zaden się nie zjawiał. Wreszcie o godzinie 3,16 po południu, którą zdążyłem odczytać na zegarku gestapowca, zaprowadzono mnie na pokój 139. Gdy wchodziłem, któryś poczęstował mnie uderzeniem w głowę. Za chwilę wszedł do pokoju jakiś „opasły“ urzędnik. Chwilę wertował akta i nagle zapytał: „Wo warst du am 6 Juni 8 Uhr Abends?“ „Zu Hause“. „Wer war bei dir?“ „Zwei Kollegen“. Teraz dopiero zrozumiałem, po co oni mnie wzywali. W dalszym ciągu indagował: Cośmy robili, co oni

*) 1944 r.

mówili itp. Na wszystkie jego pytania odpowiadałem negatywnie. W końcu dał znak i moi stróże sprawili mi bastonadę, po której indagacja zaczęła się od nowa, ale już z akompaniamentem „bykowców“.

W pewnej chwili wszedł jakiś wyższy oficer. Urzędnika i siepaczy wyrzucił za drzwi i począł bardzo serdecznie ze mną rozmawiać. Wypytywał mnie o warunki pracy, a w końcu zręcznym manewrem zahaczył o materię śledztwa. Na moje szczęście trzymałem się tego samego, co poprzednio. Zawsze grzeczny i ułożny, nadusił na guzik dzwonka i moi oprawcy weszli. Teraz zaprowadzili mnie do tak zwanej czerwonej celi, w której dostałem bicia. Po uderzeniu w głowę straciłem przytomność. Gdy się ocknąłem, byłem cały mokry. Teraz mnie popędzono do celi 29, w której natychmiast zasnąłem. Nagle któryś z gestapowców zerwał mnie z pryczy i zawłókł na górę. Tu rozpoczęła się stara indagacja. Śmiertelnie znużony, skatowany i zaspany, trzymałem się mimo bicia całą siłą woli swych poprzednich odpowiedzi. To był ostatni protokół.

I znowu odwiedziłem piwnicę, w której otrzymałem w 4 ratach 60 batów. Stamtąd wyprowadzono mnie znowu na górę, gdzie mi odczytano mój wyrok mniej więcej tej treści:

„Świadek Leciejewski był obecny na zebraniu grupy nauczycielek nieświadomie. Ponieważ działały one na szkodę państwa w oparciu o G. G., a wyżej wymienionego koledzy byli ich kurierami, przeto stał się winnym. Biorąc pod uwagę okoliczności łagodzące, skazujemy go na chłostę.“

Całkowicie złamany szedłem po „wymiar sprawiedliwości“. Znowu zaczęła się egzekucja. Na drugi dzień rano miałem stanąć przed lekarzem. Gdy mnie do niego zaprowadzono, krzątał się ze swoim asystentem. Było nas więcej u niego. „Hemde runter!“ wrzasnął asystent. Koszule były do ran przyklejone, ale by nie dostać tam jeszcze bicia, jeden drugiemu pomagał zdzierać. Po oglądnięciu naszych skór podzielono nas na dwie grupy. Jak się później dowiedziałem, jedna grupa została zawieziona na Fort VII. O godzinie 4,50 stawiono naszą grupę przed jakimś wyższym oficerem, który nam odczytał rozkaz zwolnienia, po czym w miejsce przysięgi musieliśmy złożyć

swe podpisy, że o tym, co tu się działo, nikomu nie powiemy. Nikt nie wierzył swemu szczęściu. Nazajutrz skoro świt wypuszczono nas, rozkazując iść do pracy.

6

Józef Klak

ur. 12. 8. 1928 w Poznaniu.

*W czasie okupacji mieszkał w Poznaniu, Kilińskiego 7, pracując w firmach niemieckich.
Obecnie Poznań, ul. Kilińskiego 7.*

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. im. Bergera w Poznaniu. Kl. I gimn.

Pracując w czasie okupacji w firmie fotograficznej „Foto-Stewner“ miałem często sposobność zwiedzenia różnych gmachów i urzędów niemieckich.

Często byłem posyłany do jednego z najsławniejszych urzędów: do Gestapo w Domu Żołnierza. To z aparatem fotograficznym, to znów z filmami itp. Przedmioty te oddawałem za zwyczaj u majora Schrödera. Niemiec ten był dla mnie uprzedzająco grzeczny i nieraz częstował mnie cukierkami lub papierosami.

Pewnego dnia*) krótko przed zakończeniem pracy wysłał mnie szef z filmami „Röntgena“ do Gestapo. „Brandeilig“ zawołał za mną, jak to było u niego w zwyczaju. Przyszedłszy do Domu Żołnierza, jak zwykle oddałem w portierni mój wykaz osobisty „Fingerabdruck“ i otrzymałem karteczkę z zaznaczoną godziną, o której przyszedłem; major zaś, gdy wychodzę z jego pokoju, powinien wpisać, o której godzinie od niego wyszedłem, aby mieli dowód, że nie widziałem za wiele. Dziś jednak majora w jego pokoju nie zastałem. Jakiś otyły Niemiec objaśnił mnie, że major Schröder znajduje się w pokoju 14. Ruszyłem tedy na poszukiwanie. Tym sposobem zawędrowałem do sklepów. Jednakże tutaj wcale nie było numerów na drzwiach. Chcąc się zapytać o pokój 14, zapukałem do jednego z nich. Nikt się nie odezwał, więc wszedłem sam. Pokój był zupełnie pusty i mroczny, w jednym kącie stało coś w rodzaju pryczy, nad sufitem zaś małe zakratowane okienko. Nie za-

*) Latem roku 1944 (dokładnej daty nie pamięta).

stawszy nikogo, zacząłem szukać w innych pokojach; wszędzie to samo umeblowanie, lecz nigdzie żywej istoty.

Już chciałem zawrócić do portierni, gdy usłyszałem jakieś gburowate głosy i nagle roztworzyły się któreś drzwi i wyszło kilku gestapowców, a za nimi jakaś młoda kobieta z kajdankami na rękach. Z tyłu szedł jakiś Niemiec trzymający w ręku rzemień, którym raz po raz popędzał kobietę, która szła posłusznie za nimi. Na twarzy jej widać było straszną mękę, lecz nie wydała z siebie żadnego jęku. Przeszli koło miejsca, w którym stałem, nie zauważywszy mnie. Pchnięty ciekawością ruszyłem za nimi. Znikli wreszcie za jakimiś drzwiami, które przypadkowo zostały uchylone. Zajrzałem więc do środka: pokój wyglądał jak gabinet lekarski. Pod ścianą na niskim taburecie siedziała kobieta. Kilku gestapowców stara się ją zmusić różnymi sztuczkami do wyznania czegoś; ona jednak zbywa ich milczeniem.

Wreszcie jeden z oprawców, rozwścieczony, porwał gruby rzemień i począł okładać ją po plecach. Za każdym uderzeniem wołał: „Sagst du, oder nein? Du polnisches Schwein!“ Kobieta dwa razy krzyknęła, lecz nie wypowiedziała ani słówka. Jeden z gestapowców zawołał po niemiecku: „Zobaczmy, czy nie powiesz!“ i skierował się ku drzwiom. Odskokczyłem przerażony i rozglądając się po korytarzach zapytałem go grzecznie o pokój 14. Spojrzał na mnie groźnie, ale wskazał mi pokój, gdzie oddałem filmy, i z ciężkim sercem opuściłem gmach.

7

Łucja Tomaszewska

Ur. 16. 11. 1928 w Ostrowie Wlkp. W czasie okupacji mieszkała i obecnie mieszka w Ostrowie Wlkp. przy ul. Starokaliskiej 41.

Uczennica II Państw. Lic. i Gimn. im. Em. Szczanieckiej w Ostrowie Wlkp..

Kl. I gimn.

...W nocy z środy na czwartek,*) o godz. 12 o północy Gestapo otoczyło nasz dom, jak później wywnioskowaliśmy. Spaliśmy

*) tzn. z 5 na 6 czerwca 1944 r.

twardym snem, więc też, co się wkoło nas działo, nie słyszeliśmy. Dopiero hałas spadającego zamku na ziemię z drzwi obudził nas. Bowiem Niemcy zabezpieczali się w różne przyrządy, aby plan ich, dobrze obmyślany, był zarówno dobrze wykonany. Ojciec nasz z pierwszą chwilą zorientował się, w jakim położeniu się znajduje, bo te rzeczy przeżywał nie po raz pierwszy. Przy swoim łóżku posiadał co noc odbiornik radiowy, którym to pokrzepialiśmy się w chwilach zwątpienia o naszą upragnioną wolność. Schwycił więc i rzucił w szafę, sam zaś wybiegł im naprzeciw.

Ojca kroki były już zbyt ciche, gdyż policjant był pierwszy z karabinem w dłoniach gotowym do strzału w razie oporu. Zaraz zabrzmiały słowa w języku niemieckim, wypowiedziane przez policjanta: „Hände hoch!“ Z tą chwilą skuto memu ojcu ręce w kajdany, niby wielkiemu zbrodniarzowi. Za policjantem do mieszkania naszego weszło trzech cywilów. Było to Gestapo z miasta Łodzi. Pomiędzy nimi był jeden ostrowiak, dawniejszy Polak, a wtenczas działacz w niemieckim Gestapo. Oni to przystąpili do rewizji. W jednym z dwóch sąsiednich pokoi, leżących w oddzielnej części domu, spał brat, którego tak samo zabrać postanowiono. Tam rewizji nie przeprowadzano, tylko stłuczono obraz Kazimierza Pułaskiego i parę innych pamiątkowych obrazów, które ojciec nasz otrzymał za pilność w pracy.

Jeden uczestnik z Gestapo zwrócił uwagę na mapę wiszącą na ścianie i tam właśnie zauważył wiszącą antenę od naszego aparatu radiowego, której ojciec już schować nie zdążył. Widocznie znał się ów gestapowiec, od czego drut jest, więc doszedłszy do ojca, pyta się po trzykroć: „Wo ist der Apparat?“ Ojciec mój dał odpowiedź zaprzeczającą. Za to otrzymał w twarz od Niemca. Na bladej twarzy ojca ukazały się zmarszczki bolesne. Widząc, że ojciec nasz nie daje mu żadnej odpowiedzi na zapytanie, wziął z szafy laskę mahoniową ze srebrną rączką i wyprowadził go z pokoju. Ja znając ich postępowanie wiedziałam, co się dzieje z naszym biednym ojcem. Brat stał opodal naszych łóżek nieruchomo, nic nie mogąc zrozumieć.

Po krótkiej chwili przyprowadził ojca naszego z powrotem, a barbarzyńca powrócił ze złamaną łaską, którą połamał na moim ojcu. Musiał odczuć bardzo boleśnie swoje cierpienia, gdyż twarz miał bledszą niż przedtem, a głowę z zamkniętymi na pół oczyma miał zwieszoną na piersiach. Gestapowiec jednak odpowiedzi na dane pytanie nie zyskał, pytając się wciąż: „Wo ist der Apparat?“ Ojciec nasz przecierpiał te ostatnie chwile bardzo boleśnie, więc tą razą z drżeniem w głosie i w cichym, smutnym tonie wypowiedział z ust swoich: „Im Schrank“. Niemiec, zachwycony tą odpowiedzią, najpierw rozłupał drzwi szafy, a potem z pełną radością dzikiego zwierza wyniósł swą zdobycz. Ojciec nasz, który już z ledwością stał od ciosów poprzednich, tak teraz musiał pokazać tajemnicę własnej konstrukcji. W tym zdenerwowaniu nie był w stanie nic im pokazać, względnie powiedzieć. Gestapo jednak samo widziało, że się i tak nic nie dowiedzą, zaczęli działać sami.

Ojcu i bratu kazano się ubrać. Nie trwało długo. Wnet byli gotowi. Posłuszni ich rozkazom, szli przed nimi. Brat niósł nasz aparat radiowy, a ojciec szedł obok ze skutymi rękoma. Musiało się obyć bez pożegnania, chociaż nawet nie prosiłszy o to, by znów ich nie narazić na jakiegokolwiek tortury. Ojciec nasz tylko odwrócił swą bladą, pomarszczoną twarz ku nam z wyrazem głębokich cierpień, brat zaś, będąc już w drzwiach, rzucił ostatnie słowa pożegnania tonem spokojnym „Do widzenia“ i tylko echo po nich zostało. Scena ta zostanie nam zawsze w pamięci, a nienawiść do wroga stała się coraz to większa...

Te wszystkie rzeczy, dziejące się w naszym domu, opisuję z własnego zaobserwowania, a resztę z opowiadania mojego ojca, który to wszystko przeżywał, a po szczęśliwym powrocie opowiadał niby dzieje historii polskiej.

Przed naszym domem stała taksówka, która odwiozła ich na policję. W drodze jeden z gestapowców przyrzekł ojcu naszemu wolność, lecz tylko pod tym warunkiem, że będzie pełnił czynność przy Gestapo. Na co ojciec nasz zaprzeczył stanowczo i wołał raczej zginąć niż popełnić tak wielki błąd.

W ostrowskim komisariacie trwały przesłuchy krótko, ale przy nowych torturach ojciec zemdlał. Zaraz po tych przesłu-

chach odwieziono ich w aucie zwanym przez Polaków „trumną“. Auto to było rzeczywiście podobne do trumny, bo wewnątrz jego było bez jednej szparki, a oddychanie było trudne. Nikt też wtedy nie mógł wiedzieć, dokąd go wiozą, gdzie jego cel. Zawieziono do Łodzi. Do więzienia politycznego. Tam otrzymali przeznaczoną celę. W tej celi, gdzie przebywał nasz ojciec, było 30 osób.

Po 24 godzinach otrzymali pierwszy posiłek składający się z czarnej kawy i kawałka chleba, który wystarczyć musiał na cały dzień. Obiady składały się z przegotowanej wody, zasypanej ospą albo plewami, a czasem co dziesiąta łyżka malenki kawałek ziemniaka. Także można było raz na miesiąc znaleźć w zupie kawałek mięsa z konia, który nazywali „hacelen“. Wszelkie rozkazy wykonywano biegiem i szybko. Taki, który wykonywał to nieodpowiednio, bywał w jakikolwiek sposób ukarany przez dozorców, którzy słynęli z okrutnego postępowania z więźniami polskimi. Noce spędzono na cemencie, trzewiki kładziono pod głowę, spodnie jako siennik, a marynarka zastępowała koc. Z braku miejsca więźniowie spali do północy na jednym boku, a od północy na drugim. Codziennie odbywały się przesłuchy, przy których tortury były straszne. Niewinni stawali się ofiarami.

Związywano więźniowi ręce drutem koleczastym, który pod ciosami wbijał się w ciało kalecząc je. Sam musiał poddawać się biciu i katowaniu. Ciosy zadawane przez tych okrutników były tak silne, że więzień polski mdlał. Wtedy to przynoszono mu wodę doprowadzając go do przytomności i bito nadal, nie zważając na jęki okropne czy ból zadany człowiekowi. Patrzyli z szyderczym uśmiechem na ustach swych na konanie więźnia. Jest wielu takich, którzy z zaciśniętymi pięściami i zębami przetrzymali i nie ugięli się przed nikczemnym wrogiem. Ci, którzy przetrzymali tę przykrą chwilę, z przesłuchów wracali zwykle nie o swojej mocy. Na dziedzińcu więzienia stała szubienica, skąd nocami dochodziły płacze i jęki. Każdy więzień czekał na podobny koniec swój z wielkim napięciem.

Niejedni nawet do zarzutów się przyznawali, by nie cierpieć więcej tych męczarni z rąk katów i ich oprawców, i mogli

wyjechać do obozów koncentracyjnych. Tam się-w czasie ostatnim poprawiło. Gdzie zamiast tych dużych tortur były tylko małe oraz ciężka praca. Praca ta, choć ciężka, jednak pozwalala im zapomnieć o nieznanym jutrze, a ta uroczą naturą ukajała i ból w sercach.

Dużo więźniów wyczerpanych duchowo i fizycznie umierało wśród chorób i od doznanych uszkodzeń cielesnych. Pomimo tylu niewygód jednak duch polski u każdego Polaka był zawsze nieugięty. Więzień więźnia pocieszał w chwili zwątpienia.

Ojciec nasz, zarówno brat, był także przesłuchiwany, ale wyszedł zwycięsko. Nie uląkł się gróźb ni okrutnych ciosów. Nie udowodniono mu, że był organizatorem siły zbrojnej, zarówno nie udowodniono mu, że słuchał stacji zagranicznych, ale pomimo wszystko wprowadził ich w błąd i uwierzyli mu.

Postanowiono ich zwolnić. Brata zwolniono o dwa dni prędzej od ojca. Przedtem musieli przysięgać, że nie będą rozgłaszać swych przeżyć, bo w innym razie czeka ich śmierć.

Po trzech miesiącach ujrzeni znów złotą wolność, chociaż u okupanta. Ojciec mój o własnej mocy ujść nie mógł. Twarz blada, wychudła zupełnie, ciało obolałe od ciosów i okaleczeń, kroki wolne i trudne, odmawiały posłuszeństwa.

Najpierw kroki swe skierowali do domu, lecz niestety stał on się siedzibą niemieckich osiedleńców...

Tajne nauczanie

Z chwilą nadejścia okupanta niemieckiego staliśmy się, my Polacy, jego niewolnikami. „Niewolnictwo“ — słowo to wychodziło z każdych ust polskich, a echo jego odbijało się o szarą, nieznaną dal. I ja nie wiedziałam, co znaczy słowo to, gdyż lata me młode nie mogły mi dać w tym wypadku odpowiedniego wytłumaczenia, bo mało był rozwinięty umysł mój, a echo to po raz pierwszy odbijało się o uszy me. Jednak wyobrażenia moje nie były mylne, gdyż niewolnictwo, które nam zgotował wróg, miało swój nieznaný cel w sobie. Właśnie celem wroga to zwalczanie narodu polskiego i jego polskości.

Zaraz też zmieniły się warunki życiowe dla nas Polaków. Najwięcej to niewolnictwo odczuła młodzież polska, która całym sercem przyłgnęła do swej Ojczyzny i pracowała dotąd z całym zapalem, bo przecież młodzież polska to przyszłość Polski i jej narodu. Dlatego najwięcej bólu zadał nam wróg, wzbrańając uczyć się, by dojść do upragnionego celu w przyszłości. Były jednostki naszych profesorów, nauczycieli i nauczycielek, którzy pomimo zakazu wroga poświęcili się pracy w starym zawodzie, ale tą razą w „tajnym nauczaniu“. Dopiero po dwóch latach naszego niewolnictwa znalazłam okazję uczenia się. Całe dwa lata czekałam na tę upragnioną chwilę, aż wreszcie znalazłam ją.

Była nas jedna grupa, do której należały cztery dziewczynki: Jadzia, Ula, Basia i ja. Lekcje raz na tydzień dawała nam pewna nieznajoma osoba, o której nie wiedziałyśmy nic ze względu na nasze warunki w czasie okupacji. Lekcje odbywały się u jednej z nas czterech dziewczynek, w każdy tydzień w innym miejscu, by zmylić czujność wroga. Tym więcej, że nasza zacna opiekunka nie pracowała i my także nie, czego żądał okupant. Cichaczem skradałyśmy się w oznaczony dzień i godzinę przez ulice i jakby cienie znikaliśmy u celu.

Tam dopiero ciężkie westchnienie wydobyło się z ust naszych, jakby po jakiej wielkiej przeszkodzie w życiu. Teraz spod fartuszka, sukienki czy płaszcza wyciągałyśmy nasze drogie, cenne zeszyty, które były w tej chwili naszym największym skarbem. Po przyjściu pani i po odmówionej modlitwie wzięłyśmy się z pełnym zapalem do lekcji. Ach, jak prędko przechodziły nam te chwile i wnet nadchodziła oznaczona godzina, kiedy opuszczałyśmy to miejsce pobytu naszego, po którym pozostały nam zawsze liczne, szczęśliwe wspomnienia. Było to jedne jedyne miejsce, gdzie nie krępowałyśmy się niczym, gdzie mogłyśmy swobodnie rozmawiać o wszystkim, a przede wszystkim o złotej wolności, na którą czekaliśmy z radosnym biciem serc naszych. Powoli zmęśniało nasze serce polskie, opuścił nas lęk i trwoga, a w myślach snułyśmy plany wspanialszej i jaśniejszej przyszłości.

Tak przeszła nam biała, mroźna zima i piękne, słoneczne, upalne lato, przeszedł rok naszej tajnej pracy. Wszystkie razem znalazłyśmy się znów w klasie szóstej, która była nieco trudniejsza. Od początku zaczęły się niepowodzenia. Przeprowadzano rewizje. W takich warunkach książki były schowane, miałyśmy wakacje, a nasza opiekunka była zmuszona ukrywać się. My także przeżyłyśmy mały wypadek pewnego lipcowego poranka. Biegłam do Jadzi, gdzie miały się odbyć lekcje. Lekcja była o siatce geograficznej. W chwili najciekawszej wbiegła do nas przerażona mamusia Jadzi, która zawiadomiła nas, że Niemiec spisuje mieszkania i właśnie tu idzie. My osłupiałyśmy z przerażenia. Nie byłyśmy do niczego zdolne. Przed oczyma stawały mi różne obrazy, jak obozy, więzienia i inne. Nasza opiekunka była zdecydowana na wszystko, ale mając iskierkę nadziei, działała na swoją rękę. Zebrała całą zawartość książek i wrzuciła pod pierzynę opodal stojącego łóżka. Szło to wszystko automatycznie i błyskawicznym tempem.

Ula wybiegła z pokoju, za nią Basia i ja. Już w progu mieszkania spotkałyśmy się z Niemcem, który do biegnącej Uli zawołał: „Warum sind hier so viel Kinder?“ Następnie, zatrzymując Basię, krzyknął: „Kinder zurück!“ Słowa jego przebrzmiały bez echa, a my zbiegłyśmy ze schodów i udałyśmy się do naszego domu, który stał niedaleko stąd. Jednak wypadek ten nie przyniósł gorszych następstw i nie wpadłyśmy w sidła niemieckie.

Ostrożność wymagała na każdym kroku, by się na więzienie czy obóz nie narażić. Czym bliżej byłyśmy wolności, tym większa musiała być ostrożność. Nie dokończyłyśmy klasy szóstej, gdyż warunki były coraz to nieznosniejsze i zaszło dużo zmian. Jadzia opuściła nasze miasto, a niedługo potem zmarła, zostawiając po sobie mnóstwo wspomnień z naszego wspólnego życia. Basia i Ula były zmuszone pracować, a ja jako ostatnia zostałam wysiedlona do Sudetów.

Tam przebywałam do końca naszej niewoli u okupanta, wspominając nasze drogie chwile przebyte w gronie mych serdecznych przyjaciółek oraz książek i zeszytów. Dziś mogę się znów uczyć, ale w wolnej i niepodległej Polsce.

Zdzisław Chudziński

ur. 11. 12. 1922 w Poznaniu.

W czasie okupacji mieszkał w Poznaniu, ul. Grunwaldzka 43, pracując fizycznie jako robotnik ziemny. Następnie przebywał w Niemczech na przymusowych robotach kolejowych, po czym został aresztowany. Ostatni czas spędził znów w Poznaniu.

Obecnie: Poznań, ul. Grunwaldzka 43.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. im. Bergera w Poznaniu. Kl. I lic.

...Z tej całej masy przeżyć pozostały mi w pamięci najróżniejsze wspomnienia. Sądzę, że najbardziej interesujące przypadną na okres pobytu w różnych więzieniach, gdyż tu, wobec ludzi przeznaczonych na pewną zagładę, najeżdźca najmniej się maskował, tu najlepiej i najjaskrawiej można było poznać dusze i instynkty niemieckie, stające przed nami bez żadnych osłonek, w całej swej wyrazistości. Z tego zaś okresu najbardziej i najdobitniej wyrył mi się w pamięci czas spędzony w Forcie VII w Poznaniu, gdzie przebywałem przeszło trzy miesiące. Przez ten stosunkowo krótki okres czasu widziałem, słyszałem i przeżyłem tyle, że aby wszystko opisać, trzeba by książki całej. Patrzyłem na męki i tortury polskich księży, polskiego chłopca, robotnika i inteligenta, bo tu, w tym sławnym na całą Wielkopolskę obozie koncentracyjnym, w tym właśnie forcie VII spotkali się i cierpieli wszyscy. Tu męczono dzieci, starców i kobiety, tu pastwiono się nad mężczyznami, bez względu na wyznanie czy stanowisko społeczne. Wystarczało, że wszyscy ci nieszczęśliwcy byli Polakami. I w tym wypadku, z całej masy wspomnień wybieram jedno, które mi najbardziej, sam nie wiem dlaczego, utkwilo w pamięci. Była to ostatnia noc mego pobytu w forcie VII, noc z niedzieli na poniedziałek, z 13 na 14 października 1940 roku. Choć właściwie przeżyłem wiele więcej takich nocy, z których niejedna przewyższała wspomnienia swą grozą i tragizmem, okrucieństwami i znęcaniem się dzikiej zgrai hitlerowców nad bezbronnyimi Polakami, to jednak ta ostatnia noc najbardziej wyrwała mi się w pamięci. Może dlatego tylko, że była już ostatnia.

Od kilku dni wiedzieliśmy wszyscy, że w naszej sprawie posunęło się dość naprzód. Było nas aresztowanych około 300

osób, rozmieszczonych po różnych celach fortu celem udaremnienia porozumienia się. Otóż spędzono nas wszystkich razem i zamknięto tylko w dwóch celach, po 150 osób w każdej. Spodziewaliśmy się każdego dnia, że wywiozą nas gdzieś z transportem, gdyż życie, a raczej dalsza vegetacja przy takiej ilości ludzi była niemożliwa. Nie można było nawet marzyć o spaniu lub poruszaniu się. Siedzieliśmy stłoczeni w niemożliwy sposób, bez sił, pozbawieni niemal możliwości oddychania, gdyż cela pozbawiona była wszelkich okien, wszelkiej wentylacji. Choć przyzwyczajeni byliśmy do jak najgorszych warunków, bo przecież życie w celi fortu na garstce słomy i betonie, wśród miliardów wszelkiego robactwa, które nas żywcem pożerało, w ciągłych ciemnościach, bez odrobiny świeżego powietrza, było dla zwykłego śmiertelnika nie do pomyślenia, to jednak warunki tych kilku ostatnich dni przechodziły wszelkie możliwości. Tym bardziej, że przestano nam wydawać nasze i tak już bardzo szczupłe porcje żywności (dostawaliśmy dziennie 200 g chleba i $\frac{1}{4}$ l rzadkiej kaszy na obiad z wyjątkiem piątku, gdzie jako prawdziwym katolikom kazano nam pościć zupełnie). Wszystko więc wskazywało na to, że Fort VII powoli się zapełnił i że nas gdzieś wywiozą, aby zrobić miejsce dla dalszych ofiar. O tym byliśmy wszyscy przekonani, żaden z nas jednak nie wiedział, jaki będzie jego dalszy los. Siedzieliśmy więc smutni i zrezygnowani, odmawiając po cichu wspólnie: „Kto się w opiekę“, „Pod Twoją obronę“ i litanię do Najśw. Marii Panny.

Wreszcie nadeszła ostatnia noc. Oprawcy otwarli naszą celę i wśród bicia i przekleństw ustawili nas twarzami do ścian, wzdłuż długich, podziemnych korytarzy fortu, oświetlonych tylko lampkami. Nasi „opiekunowie“ nie żalowali sobie w tym dniu alkoholu, widocznie dobrze im zapłacono za głowy 300 Polaków skazanych na zagładę. Biegali, w koszulach tylko i spodniach, lecz z karabinami, wśród nas, rozdzielając obficie uderzenia kolbą lub pięścią oraz kopniaki ciężko okutymi butami. Wreszcie rozpoczęto wydawanie zabranych każdemu z nas przy aresztowaniu drobnostek i papierów osobistych. Każdy z nas podchodził do ustawionego stołu, przy którym

urzędowali dwaj znani oprawcy hitlerowscy Rost i Lange. Po załatwieniu formalności każdy wracał na swe dawne miejsce i stawał twarzą do ściany, aby być nadal przedmiotem dzikiej zabawy i szykan reszty pijanej zgrai.

Wreszcie przysła kolej na mnie. Oddano mi moje papiery osobiste, książeczkę do nabożeństwa i pustą portmonetkę. „Na przechowanie“ odebrano mi poza tym wieczne pióro, ołówek i około 50 marek gotówki. Choć wiedziałem, że rzeczy te są już stracone, to pokusiło mnie coś, że nieśmiało zrobiłem uwagę, iż brakuje jeszcze pióro i ołówek. Obaj „dygnitarze“ SS-brygady spojrzeli na mnie złym okiem i dla formy rozpoczęli krótkie poszukiwania, po których oświadczyli mi zgodnie, że nie mogłem wspomnianych rzeczy w ogóle oddać, gdyż ich nie ma. Zamiast zadowolić się tą odpowiedzią i dalej nie pytać, jak to zrobili moi towarzysze, odezwałem się, iż miałem jeszcze pieniądze. To przebrało miarękę, a skutki gniewu pijanych hitlerowców odczułem na własnej skórze, i to nawet bardzo boleśnie. Następnie kazano podpisać formularz, który głosił, iż opuszczam Fort VII w Poznaniu i nie wolno mi nigdy i nikomu opowiadać o tym, co widziałem, słyszałem i przeżyłem w tym obozie. W razie przekroczenia zakazu grożono powtórным zamknięciem w Forcie VII, tym razem na zawsze.

Gdyśmy wszyscy zostali już załatwieni, rozpoczęły się dopiero właściwe orgie pijanych do nieprzytomności bandytów. Najpierw rozpoczęli strzelać z karabinów do lamp oświetlających korytarze. Po chwili w całym podziemiu panowały ciemności, a strzelanina mimo tego nie ustała. Każdy z nas był przygotowany na śmierć i modląc się po cichu, oczekiwał, aż trafi go jedna z kul i przetnie młode, a tak już smutne i sponiewierane życie. Nerwy odmawiały mi posłuszeństwa, gdyż nie mogłem ruszyć się z miejsca, aby nie narazić się na pewną śmierć. Stałem więc, przyciskając twarz do zimnej i mokrej ściany, czując naprężenie i drżenie każdego mięśnia, każdego nerwu. Wreszcie po kilku minutach, które dla każdego z nas wiekiem się zdawały, skończyła się ta makabryczna zabawa, ale nie skończyła się jeszcze ta okropna noc.

Wypędzono nas na powierzchnię ziemi, na teren fortec w celu tzw. „musztry“ lub „ćwiczeń gimnastycznych“. Na terenie fos i pagórków, oświetlonym reflektorami, znęcano się i męczono nas do rana. Choć nieraz już przedtem przechodziłiśmy te same szczykany, raz nawet w koszulach tylko mimo zimnej nocy, choć nieraz słabsi mdleli, a reszta po powrocie do celi dyszała ciężko, jak zgonione zwierzęta, to jednak ta noc przeszła wszystkie dotychczasowe orgie i wyczyny naszych „opiekunów“. Co tydzień w piątek odbywał się tak bardzo popularny w forcie VII „bal murzynów“, gdy dostojnicy hitlerowscy, otrzymawszy żołd, upijali się i tracąc przybraną maskę cywilizacji, ukazywali swe prawdziwe oblicze. Poprzezbierani w najpoczwarniejsze stroje, wybijając takt na pustych puszkach od konserw, tworząc prawdziwą „kocią muzykę“, złożoną z pudełek od pasty, patelni, pokrywek, chodzili od celi do celi i wymyślali coraz to potworniejsze zabawy i szczykany, jak wzajemne bicie się więźniów po twarzy, chóralne śpiewy księży, parodiowanie nabożeństw i kazanie, oraz wiele innych.

Jak już zaznaczyłem, ostatnia noc przeszła wszystko to, co było dotychczas, i wreszcie rano, gdyśmy wszyscy pomęczeni byli dostatecznie, gdy każdemu zdawało się już, że jeszcze jedno „padnij“, jeszcze jeden skok lub bieg, a już się nie podniesie z ziemi, pozwolono nam wreszcie wrócić do celi. Wreszcie o godzinie 9 rano przyjechały auta, które miały nas odwieźć do nowego miejsca przeznaczenia. Choć żaden z nas nie wiedział, co go czeka, choć $\frac{2}{3}$ z naszej liczby miało znaleźć śmierć, czy to pod gilotyną, czy w murach więziennych lub obozach koncentracyjnych, choć czekały nas zawrotne kary, głód, zimno i dalsze prześladowanie, to jednak każdy westchnął głęboko, mijając ponurą bramę fortu VII, i łudził się nadzieją, że przecież nigdzie już gorzej nie będzie. Niestety, nie wiedzieliśmy, że jeszcze tego samego dnia mieliśmy znaleźć się w „żywym grobowcu“, jak popularnie nazywano więzienie we Wronkach. Tu oprócz głodu, zimna, bicia i innych szczykan doszła męka moralna, pozostawania przez pół roku sam, w maleńkiej klateczce, ze swymi myślami, nie mając możliwości przemówienia słowa do nikogo. Alę to już inne wspomnienia.

Franciszek Banasiewicz

ur. 30. 3. 1924 w Sulmierzycach.

Podczas okupacji przebywał w Sulmierzycach (1939—41), a potem w latach 1941—1944 kolejno w Poznaniu, Frankfurcie n. Menem, Bremenie, Wiedniu, Metzu. Od 1944 r. do końca okupacji przebywał w więzieniach w Krotoszynie, Wrocławiu i Żabikowie.

Obecnie: Sulmierzyce, ul. Klonowicza 54.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. Koeduk. w Krotoszynie, kl. IV gimn.

...Jest niedziela, dnia 1 października 1944 r. Dzień piękny, słoneczny, niby jak każdy inny, a jednak... nie zapomnę go nigdy. Siedzę po obiedzie w gronie rodziny, opowiadam im swoje ostatnie różne przeżycia, a wtem wchodzi „Amtskommissar“ (SS), każe mi się ubrać i iść z nim. „Rozkaz“ taki musiałem wypełnić. Trudno opisać ową scenę, rozpacz matki i rodzeństwa, gdzie nawet pożegnać mi się nie było wolno. Odprowadzony zostałem na posterunek policji. Za co? Co przewiniłem? Próżne moje pytania, jako odpowiedź otrzymuję tylko kilka uderzeń w twarz, poczem założono mi kajdanki na ręce i zamknięto w celi.

Przez małe zakratowane okienko wpadają ostatnie promienie zachodzącego słońca. Klękam na gołej posadzce cementowej ze skutymi w kajdany rękoma i zaczynam gorąco modlić się do Boga. Jak długo klęczałem, tego nie wiem, bo skulony i zapłakany tak zasnąłem. Nagle przebudził mnie brzęk kluczy i trzask otwieranych zamków. To jeden z oprawców wchodzi do celi i z ironicznym uśmiechem pyta mnie się, czy nie chciałbym się czasem trochę posilić, bo przyniósł mi wyśmienite jedzenie. Z pogardą na to popatrzyłem i nie odebrałem (a był to garnuszek wody i kawałek suchego chleba). Nazajutrz rano zostałem zawołany przed komendanta policji. Pyta mi się, czy wiem, za co zostałem aresztowany. Za odpowiedź „nie wiem“ otrzymałem tylko dwa uderzenia w twarz. „To ja ci powiem“ — odzywa się komendant policji — „chciałeś i życzyłeś nam tak ty, jak i wszyscy Polacy, abyśmy my, Niemcy, wojnę przegrali i zginęli od was. O! wy psy podłe i polskie świnie, wy gnić będziecie, a my nad wami mścić się będziemy. To dopiero początek — mówi dalej (a wściekły, że aż mu

piana z „pyska“ leci) — wkrótce otrzymasz więcej kolegów, będzie wam razem weselej.“

Tłumaczenia żadnego nie było. Za próbę odezwania się okładano pałką gumową. Na trzeci dzień, tj. we wtorek, odstawiono mnie do więzienia w Krotoszynie. Tam przeważnie robiłem koszyki z pręcia albo kręciłem sznurki. Po 14 dniach więźniarką odtransportowano mnie do Wrocławia, gdzie przebywałem 6 dni na Prezydium Policji, poczem zawieziono mnie do Poznania. Było to 23 października 1944 r. godz. 12 w nocy, kiedy wjechaliśmy na dworzec główny. Pod eskortą policji odprowadzono nas do „Domu Żołnierza“ (przy ul. Fr. Ratajczaka). Szturchańcami i kolbami karabinów wepchnięto nas do cel, gdzie na gołym cemencie przeleżeliśmy do rana. Celka była bardzo mała, a wpakowano do niej 36 współtowarzyszy niedoli. Można sobie wyobrazić taki pobyt, gdzie na dobitek nie było żadnego okienka. Nazajutrz wieczorem odstawiono mnie wraz z innymi jeszcze więźniami (a było nas razem 23) więźniarką do obozu karnego pod Poznaniem „Żabikowo“.

Było już ciemno, kiedy zbliżyliśmy się do obozu. Otworzyły się wówczas bramy, a więźniarka z nami zatrzymała się na jednym z placów obozu. Cisza taka, jakby nikogo w całym obozie nie było i nic się tu nie działo, zalegała cały obóz. Przy wychodzeniu towarzyszyły nam wyśmiewiska przyglądających się gestapowców, wśród których znajdował się „lagerführer“ Walter — (największy oprawca i morderca tysięcy ludzi), a oprócz tego światła silnych reflektorów, od których można było oślepnąć. Ustawiono nas dwójkami twarzami do ściany. Za małe odwrócenie się okładano nas kijami. Po godzinnym staniu pod gołym niebem (a padał wtenczas deszcz) wprowadzono nas do jednego z baraków do zdania personalii. Tam otrzymał każdy tzw. „wpisowe“. Zależało od tego, na ile nas gestapowiec „na oko“ oszacował. Ja otrzymałem tylko 15 po nerkach. Następną ubikacja — to zdawanie rzeczy, poczem prowadzą nas do „odwyszawiania“.

„Ceremonie“ takie odbywały się z pewnymi „honorami“. Pierwsza czynność to strzyżenie włosów nieraz w ten sposób,

że formalnie całymi kępami wyrywano włosy z głowy. Następnie stawiano wszystkich pod gorący prysznic, poczym kolejno ustawiano każdego w róg i oblewano z węża strumieniem zimnej wody przez kilka minut. Po tej czynności musieliśmy „zażyć” kąpieli lizolowo - siarkowej, po której ciało formalnie było spalone. Po takich ceremoniach wepchnięto nas nagich do następnej ubikacji, gdzie trzęsąc się z zimna, musieliśmy na gołym cemencie przestać przez 2½ godziny. Po wyprowadzeniu stamtąd otrzymaliśmy więzienne ubrania, miski, łyżki itp. i w otoczeniu gestapowców wśród szturchańców wepchnięto nas drągami do jednej z cel. Tam jednak czekała nas nowa niespodzianka, a mianowicie wchodząc po ciemku (a trzeba było wlatywać biegiem), tuż w wejściu były poustawiane umyślnie do góry nogami taborety, przez które każdy musiał przelatywać. Mogła być godzina 1 w nocy.

Od tej pory nie byliśmy ludźmi, każdy otrzymał karteczkę z numerem, byliśmy więc numerami. Ja miałem 38764.

Nazajutrz już o godz. 5 rano pobudka, gdzie po wspólnym biegu tylko w spodniach, przez ustępy i umywalnie, musieliśmy stanąć na placu z garnuszkiem po kawę lub też gorzką herbatę z kory dębowej, której otrzymywaliśmy tylko ½ litra. Chleb raz dziennie (wieczorem), i to jeden mały bochenek na 4, względnie 5 osób. Na obiad ¾ l zupy (gęstej jak woda) ugotowanej zaś z tego, co w rowach rosło; nieraz rzepe, brukiew, kapustę rozgotowano w wodzie, a rzadko marchew. W niedzielę „lepszy” obiad... „gulasz”. Nie był to taki, jaki w domu bywa: rozgotowano chleb we wodzie, który ludzie przynosili do więźniów (a którym nie gardzono), i takiego „gulaszu” dostaliśmy ¼ l, do tego zaś 3 kartofle, które w większej części były zepsute.

Pracowaliśmy od wschodu słońca aż do zmroku. Prace były różne. Najbardziej pospolitą robotą było rozłukiwanie dużych kamieni, przy których bez przerwy, bez chwili wytchnienia musieliśmy kuć młotami, gdyż inaczej nas biło. Innym razem znowu przez cały dzień nosiliśmy cegły, wagi jedna około siedem funtów, biegiem od jednego do drugiego końca obozu. Kto się skrzywił pod ciężarem lub też zwolnił przepisowe tempo, tego

z miejsca okładano kijami aż do utraty przytomności. Potem kubel zimnej wody na otrzeźwienie i znowu bicie albo dalsze noszenie cegieł. Pod jakimkolwiek pozorem dostawało się po głowie, po plecach sztchetami lub kijami. Puszczano na nas oprócz tego jeszcze psy, osobno w tym kierunku wytresowane.

Za najmniejsze zaś przekroczenia, jak ociąganie się we wstaniu, myciu czy pracy, wsadzano do tzw. „karców“ (w rodzaju małych wieżyczek). Tam w piątkę, w pozycji skulonej trzeba było — nie mając miejsca na żadne poruszenie — przesiedzieć trzy dni i trzy noce tylko o kawie. Siedziałem w nim od 1 do 3 listopada. Drugi innego rodzaju „karzec“ był tuż przy wejściu. Tam sadzano od razu większą ilość więźniów. Wszystkich skuwano ze sobą łańcuchami w pozycji leżącej. Powstanie jednego automatycznie pociągało za sobą wstanie wszystkich innych. Okien wcale nie było, tak że światło dzienne w ogóle tam nie dochodziło. Ponadto na wysokość głowy przeciągnięta była siatka z włączonym prądem wysokiego napięcia. Innym rodzajem kary względnie załamania było osadzenie w tzw. „koszu“ z drutu kolczastego, w którym nie można było się ani oprzeć, ani usiąść. Kosz ten stał pod gołym niebem. I w nim stałem 3 dni i 3 noce za to, że przy przewodźce jednego z gestapowców utrzaskłem nogę u krzesła.

Po tygodniu pierwszy raz zawiezowano mnie do Domu Żołnierza na przesłuchy. Wmuszano mi należenie do „AK“ i działanie przeciwko Niemcom. Nie pomagały żadne katorgi i męki mi zadawane, wszystko znosiłem w milczeniu dla Boga i dla Ojczyzny. Takich przesłuchów miałem pięć. Prawie co 10 dni. Na ostatnich nie mogąc ze mnie nic „wydobyć“, zaprowadzono mnie do tzw. „Maryśki“. (Była to cela w piwnicy, gdzie stał stół 60 cm wysokości i 70 cm szerokości). Musiałem się położyć na tym stole w ten sposób, że ręce i nogi przywiązano mi do nóg stołu, głowę jeszcze osobno przywiązano. Potem rozpoczęło się katowanie. Po kilku uderzeniach straciłem przytomność. Wtedy zlano mnie wiadrem zimnej wody i znowu rozpoczęto katować. Pod głowę podsunęto mi arkusz z zeznaniem już gotowym. Miałem go tylko podpisać. Katowanie rozpoczęło jeszcze raz od początku. Odmawiałem stanowczo.

Gdy to nie pomagało, odstawiono mnie znowu z powrotem do Żabikowa.

Tam znowu odbywało się to, co powyżej pisałem. Jeżeli zaś ktoś próbował ucieczki i w czasie niej został zastrzelony, to ciało jego umieszczano w korycie, wszyscy zaś więźniowie musieli przechodzić koło koryta, czytając napis: „Każdego to czeka, kto stąd ucieka“.

Życie ludzkie nie miało tutaj żadnego znaczenia. Codziennie wynoszono z celi 15—20 trupów. Sam pełniłem służbę przez 2 tygodnie w tzw. „Totkommando“. Funkcją moją było codziennie wynoszenie trupów.

Muszę zaznaczyć, że popularną zabawą na terenie obozu była tzw. „żabka“. Polegała na tym, że wypędzano nas na plac „ćwiczeń“ nieraz w nocy, gdzie przez kilka godzin musieliśmy biegiem padnij - powstań, skakać, czołgać się na brzuchu itp., przy czym okładano nas kijami. W takich warunkach prze-siedziałem w danym obozie w celi „G2“ aż do 20 grudnia 1944 r. Wieczorem wywołano mnie przy apelu, a nazajutrz, tj. dnia 21 grudnia 1944 r., do dziś nie wiem, jakim cudem zostałem zwolniony. Przed zwolnieniem jednak musiałem kilka razy się podpisać, aby nikomu nic nie mówić, co widziałem w la-grze. Już prawie bez sił doszedłem wieczorem do Poznania. Pierwsze moje kroki skierowałem do kościoła św. Łazarza, aby Bogu podziękować za wybawienie...

10

Seweryn Stachowiak

ur. 25. 11. 1925 w Poznaniu.

W czasie okupacji mieszkał w Poznaniu, ul. Sosnowa 5, skąd został aresztowany przez Niemców.

Obecnie: Poznań, ul. Sosnowa 5.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. im. Bergera w Poznaniu. Kl. III gimn.

Zaaresztowany zostałem przez Gestapo dnia 18 grudnia 1944 r. w godzinach przedpołudniowych. Zawieziono mnie wraz z pp. Pawlickim i Untermannem do Domu Żołnierza. Tutaj po załatwieniu formalności, tzn. po spisaniu personalii, po wy-

słuchaniu przez nas steku obelg i wyzwisk, jak i po zapoznaniu się z pięściami i butami gestapowców zamknięto nas w podziemiach. Stojąc 2 godziny w hallu, obrócony twarzą do ściany, oglądałem liczne ślady krwi na niej. Była to polska krew z rozbitych przez gestapowców twarzy. To był dopiero początek.

Po zapadnięciu zmroku zawieziono mnie z nowym, dość licznym transportem do obozu żabikowskiego. Po sprawdzaniu obecności wprowadzono nas do budynku będącego biurem, garderobą, łazienką, odwyszawialnią. Ja uważam, że odpowiedniejszą nazwą byłaby: „Każnia na wzór nowoczesny“. Tutaj też formalności podobnie jak w „centrali“. Około godz. 6 wszedłem do łazienki. Zrozumiałe, że już zupełnie nagi, gdyż rzeczy trzeba było oddać do odwyszawienia. Tymczasem stanęliśmy na betonowej posadzce w umywalni. Mróz tego dnia był dość silny. Jedyne okno było całe porysowane różnymi wzorami i grubo pokryte szronem. Po godzinie przyszedł fryzjer i zaczął nam swoją tępą maszynką włosy dosłownie wrywać. Po dalszej półtorej godzinie byliśmy wszyscy bez zbytecznego zarostu. Co chwilę przychodzili gestapowcy zaglądać, czy już jesteśmy dosyć sini. Wreszcie uznano, że jesteśmy gotowi do kąpieli. Po zimnym, potem ciepłym prysznicu, a w końcu kąpieli lizolowej wpędzono nas do lodowato zimnej ubikacji. Tutaj obsychaliśmy dalsze półtorej godziny na cementowej posadzce. Było około pół do jedenastej, gdyśmy dostali naszą odwyszawioną garderobę. Polityczni, pomiędzy którymi byłem też ja, dostali własne rzeczy, gdy zaś kryminalni dostali więzienne ubiory. W końcu uszeregowano nas przed budynkiem i rozdzielono do poszczególnych baraków.

Mnie zaprowadzono do celi L. Przystąpiwszy próg, rozglądałem się wokoło. Dwie trzecie baraków zajmowały piętrowe prycze, z których tu i ówdzie podnosiła się jakaś hlada, wychudzona postać, obrzucająca nowicjuszy ciekawym spojrzeniem. Resztę baraku zajmował warsztat, jak się nazajutrz dowiedziałem, imitujący tkacki. Wyrabiali tutaj więźniowie z odpadków gumy 25-metrowe pasy. Dalszemu oglądaniu nowego miejsca pobytu zapobiegł klucznik, który wyłączył światło. Ktoś mnie

zaprowadził w ciemności do jednej wolnej pryczy. Mimo zmęczenia nie mogłem zasnąć. Twarde deski uciskały ciało, pod głowę nie było nic do podłożenia. Mimo tego, że leżałem w ubraniu i w płaszczu, przykryty cienkim kocem, trząsałem się z zimna. Wreszcie zabłysło światło. Pobudka. W trzech minutach muszą wszyscy stać w szeregu przed pryczami. Zgrzyt odsuwanej żelaznej sztaby. Drzwi otwarte. Wybiega teraz pierwsza pięćdziesiątka do mycia. Poprzednio powiedzieli nam koledzy o zakazie nakładania rano jakich koszul czy swetrów. Najwyżej można było wziąć marynarkę na nagą skórę. Po 15-minutowym marszu wokoło naszego dziedzińca dano znak, że umywalnie wolne. Wybiegliśmy za ogrodzenie (obóz politycznych był dodatkowo otoczony wysokim płotem), kierując się do umywalni odległej może o 150 m od celi L. Tutaj nastąpiło zameldowanie się u dyżurującego gestapowca i jedno-minutowe mycie. Zdążyło się ledwo zmoczyć ciało i już trzeba było wybiegać, nie chcąc się narazić na chłostę. Bito tutaj często i chętnie. Obciéraliśmy się dopiero przeważnie na dworze.

Po powrocie do baraku prędkie nałożenie garderoby. Potem rozpoczynało się śniadanie, na które składało się pół litra rzadkiej cieczy, zwanej kawą. Następnie przychodził gestapowiec i wywoływał kilku mężczyzn. Ci nieszczęśliwi jechali na tak zwane „przesłuchy“. Co one znaczyły, dowiedziałem się wkrótce.

Po śniadaniu jedna część przechodziła do warsztatu mieszczącego się w naszym baraku, druga szła do celi I. Mnie przydzielono do grupy pierwszej. Nagle spostrzegłem, że mnie się ktoś przygląda. Spojrzałem uważnie. Ach, to przecież kol. Szipura Czesław. Przywitaliśmy się. Boże, jak on strasznie wyglądał. Na twarzy okropnie wychudzonej i bladej rysował się ból. W jego czarnych oczach było widać zgrozę, nieledwie obłęd. Dowiedziawszy się później o jego przeżyciach, nie dziwiłem się wyglądowi tego jednego z wielu tysięcy męczenników. Zasypał mnie pytaniami. Odpowiadałem, na co mogłem. Spostrzegłem, że mówi on troszkę bez związku i niezrozumiale, do czego doprowadziła metoda wychowawcza hitlerowców. A był on dopiero tutaj od trzech tygodni. Po pracy opowiedziała mi część

swoich przeżyć. Został wzięty też od pracy pod zarzutem należenia do tajnej organizacji. Trzymali go w Domu Żołnierza 5 dni. Torturowano go straszliwie, gdyż nie przyznawał się do niczego. Znaną była tutaj przez więźniów tak zwana „Maryśka“. Był to rodzaj ławki, na którą kładziono delikwenta. Ręce i nogi przywiązywano do nóg ławki, na głowę zakładano maskę. Biło trzech opryszków na zmianę długimi bykowcami. Największą wprawę i siłę miał tutaj poznański Niemiec Gerhard, zwany „Kowalem“. Biada temu, który dostał Kowala za tłumacza. Słowa oskarżonego były zawsze przekręcane na jego niekorzyść. Potwornym narzędziem tortur były obrączki z kółkami wewnątrz. Zakładano je ofierze na ręce, poczym zawieszano nieszczęśliwego łańcuchami przymocowanymi do tej obrączki przy suficie. Tak wiszącego bito często jeszcze po brzuchu. Gdy skatowany człowiek stracił przytomność, zlewano go dopóty wodą, dopóki jej nie odzyskał. Wtedy zaczynało od nowa. Wielu tutaj w ten sposób zginęło. Nie było też dziwną rzeczą, że się mój kolega, choć zupełnie niewinny, w bólu do winy przyznał.

Praca, którą musieliśmy wykonywać, nie była tyle ciężką, ile nużącą i niezdrową. Trzeba było pracować w kurzu i pyle od rana do późnego wieczora, dostając przy tym dziennie niecały litr rzadkiej zupy oraz kawałek chleba. Toteż szczęśliwym był ten, który czasem gdzieś trochę strużyn zdobył. Gotał z tego zaraz zupę. Głód był jedną z najokropniejszych rzeczy w obozie. On był zawsze znami, on budził nas często ze snu. Pamiętam tę ostatnią wigilię Bożego Narodzenia, gdy po miseczce zupy i kawałku chleba nie miałem nic jeść do pierwszego święta południa. A myśl uparcie krążyła przy rodzinie, przy domu, gdzie zawsze zasiadałem przy suto zastawionym stole. Nie zapomnę nigdy tej „Świętej Nocy“. Po krótkiej, lecz wzruszającej mowie łamał się z nami i składał każdemu życzenia nasz „sztubowiec“, sędzia Oluszyński. W niejednym oku zabłysła łza. Niejedne szczęki zacisnęły się silnie. Potem życzyli sobie wszyscy wzajemnie tego jednego, tej najdroższej na ziemi rzeczy: wolności. Padali sobie w ramiona i całowali się. Wzruszenie ogarnęło wszystkich. Następnie już przy świetle

świeczki wygłosił przemowę ks. Jordan, poczym zaintonował „Bóg się rodzi“. Podchwycona przez 170 głosów pieśń mimo zachowania ostrożności została usłyszana przez hitlerowskiego wartownika. Głośnie uderzenie w okiennicę zmusiło wszystkich do pospiesznego udania się na swe miejsca. Długo nie mogłem tej nocy zasnąć.

W święta pracowaliśmy normalnie. Po pracy gaszono zaraz światło. Oprócz głodu dawały nam się we znaki wszy. Było ich wszędzie pełno. Nie było takiego, który by się mógł pochwalić, że ich nie ma. Nie dawały one mi we dnie ni w nocy spokoju. Mimo codziennego wybijania było ich zawsze dosyć. Zresztą różnych przyjemnostek było w obozie mnóstwo. Nierzadko bezpośrednio po myciu, jeszcze z mokrą skórą i gołą głową, przy kilkunastostopniowym mrozie, biegaliśmy z godzińką wokoło naszego dziedzińca. Więcej raczej leżeliśmy, niż biegaliśmy. Gęsto bowiem padała komenda „hinlegen“ z ust rozkoszującego się naszą bezsilnością kata pod nazwiskiem Beutler. Byłem wiele razy świadkiem pobicia do nieprzytomności zupełnie niewinnych ludzi przez tego opryszka.

Do denerwujących chwil należał także każdy poranek. Bledli ci, których nazwiska padały z ust gestapowca. Nikt nie wiedział, czy tutaj w ogóle jeszcze wróci, a gdy wróci, to w jakim stanie. Do tych ostatnich wywołanych, którzy już nas nie zobaczyli, należeli: dr Kasztelan, sędzia Muszyński, Lewandowski, Chołdys, Palinkiewicz, Runowski, Gerard, Wenz, Tazanowski, Napierała i Madajewski. Pamiętam tę chwilę, kiedy opuszczali naszą celę. Wzruszeni żegnali się z pospiechem z swymi przyjaciółmi i kolegami. Przeczuwali, że już tutaj nie powrócą.

Ja byłem przesłuchiwany dnia 21 grudnia. Zarzucano mnie także przynależność do tajnej organizacji oraz ukrywanie podejrzanych osób. Na wstępie zauważyłem, że Gestapo, mimo niektórych danych, niezbyt wiele wie. Chwyciłem się więc, jak się później okazało, dobrej metody, zaprzeczając wszystkiemu mimo użytych przez zbirów różnych środków. Był wieczór, gdy się znalazłem w podziemiach, żegnany przez cynicznego opryszka życzeniem miłego spędzenia świąt w obozie.

Do jednej z największych podłości popełnianych przez zwyrodniałych gestapowców było okradanie paczek żywnościowych. Paczki te zaczęto odbierać od listopada 1944 r. Bezsilna, głucha wściekłość ogarniała tych do ostateczności wygłodzonych ludzi, gdy po otwarciu wielkiej paczki ze spisem wszystkich zawartych w paczce specjalów zobaczyli na dnie kawałek suchego chleba i czasem kilka kartofli lub trochę grochu. Resztą żywili się przekłęci gestapowcy wraz ze swymi rodzinami. Chleb, którego nie zużyli, dostawały świnie.

W wolnych chwilach siadałem przy „weteranach obozowych”. Z ust tych męczenników padały akty oskarżenia na zbirów hitlerowskich. Snuły się opowiadania mrozące krew w żyłach. Ile tutaj krwi polskiej wylano, ile dzieci uczyniono sierotami, a żony wdowami. Bóg jeden tylko wie, jakie męki przeszli ci, których już wpośród nas nie ma. On wie, ile milionów istnień ludzkich stało się ofiarą niemieckiej „żądzy zniszczenia”. Nie zawahali się podli mordercy, w chwili gdy zmuszeni byli uciekać tchórzliwie, zamienić dziesiątki chorych w popiół. Nie doczekał się ostatecznego pogromu hitlerowców: ks. Jordan, adw. Kaczmarek, Kobiela, Dąbrowski, Szauffer i wielu innych znajomych uprowadzonych z obozu żabikowskiego. Ja należałem do tych szczęśliwców, którym udało się kilka dni przed ucieczką Niemców z obozu wydostać. Ze znajomych niestety nikt oprócz p. Sayny nie wrócił. Da Bóg, że wszyscy z nich nie zginęli. Świeć, Panie, duszom tych bohaterów, których już na tym świecie nie ma.

11

Stanisław Sternal

ur. 7. 7. 1928 w Poznaniu.

Czas okupacji przebył w Poznaniu, ul. Mostowa 26. W r. 1944 na okopach w Skrzetuszu w pow. czarnkowskim, a następnie w obozie pracy pod Płockiem.

Obecnie: Poznań, ul. Mostowa 26.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. im. Bergera w Poznaniu. Kl. II gimn.

...Dnia 11. X. 1944 r. uciekłem z ciężkiego obozu pracy*, kierując się do Torunia. Po wielu niebezpieczeństwach i trudach,

*) położonego pod Płockiem.

pieszo czy też wozem, a nawet koleją, tego samego dnia przybyłem do celu podróży. Następnego dnia wieczorem chyłkiem przemknąłem się na dworzec główny i na wykupiony przez ciotkę bilet dostałem się do pociągu. Cieszyłem się, że jeszcze tego samego dnia będę w Poznaniu. Lecz nieoczekiwanie z tych moich rozmyślań, wyrwał mnie okrzyk: „Bitte, Reisegenehmigung“. Struchlałem, bowiem jako uciekinier takowego nie posiadałem. I smutna rzeczywistość: zostałem aresztowany. Pamiętny to dzień 13. X. 1944 r.

Wysadzili mnie w Gnieźnie, gdzie w celach „Polizeipraesidium“ spędziłem pierwszą noc jako więzień. I tu w tym starym polskim grodzie po raz pierwszy zostałem okuty w kajdany. Rano dnia 14. X. pod eskortą uzbrojonego „Schupo“, udałem się do „Kriminalpolizei“ na przesłuchy. Po kilkugodzinnym badaniu i wypytywaniu przydzielono mi miejsce w celi. Nie byłem tam sam, miałem możliwość porozmawiania z innymi współtowarzyszami niedoli. Kilku z nich, tak jak ja, zostało złapanych w kolei za nieposiadanie prawa jazdy, inni za „ciężkie zbrodnie polityczne“. Jedna osoba wbiła mi się szczególnie w pamięć. Była to osoba księdza Jordana. Sprawa jego była bardzo ciężka. Dzień w dzień prowadzono go na przesłuchy, zmuszając go biciem do wyznań. Wesole rozmowy prowadziłem z młodym Rosjaninem, który uciekł z Berlina i dopiero w okolicy Gniezna został schwytany. Całe długie dnie, które wydawały się tygodniami, rozmyślałem nad tym, co mnie czeka. Martwiłem się, że w domu nie mają o mnie wiadomości, a najgorzej dobijało mnie oczekiwanie na obfity posiłek. Kiedy usłyszałem na korytarzu kroki naszego cerbera z twarzą bożka zbrodni i pijaństwa, wówczas momentalnie podrywałem się sądząc, iż niesie on posiłek. Tak to o głodzie i niepewności co do swego losu spędziłem 6 dni.

Dnia 18. X. 1944. dowiedziałem się, że nastąpi przesiedlenie. Około godz. 16, okuty jak zbrodniarz, pilnowany, wkroczyłem na peron dworca gnieźnieńskiego. Wepchnięty kopniakami do ciasnego przedziału więziennego wagonu upadłem na ławkę moralnie zdruzgotany. Wraz ze mną był mój kolega ucieczki i jeden warszawiak. Uczestniczył on w powstaniu i po kapitu-

lacji został zabrany do lagru, skąd później uciekł, lecz został niedaleko Gniezna przyłapany. Pod wieczór około godz. 19 przybyliśmy do Poznania. I wtedy to od razu pojąłem, dokąd zostanie zawieziony. Ale do Żabikowa była jeszcze daleka droga. Wyrzuceni z pociągu, staliśmy w jednym jakby stadzie, bici i potrącani przez legion policjantów, czekając na przybycie samochodu. W ciasny ten pojazd napchali nas tyle, że dosłownie nie można było ruszyć ani ręką, ani nogą. Przywieźli nas do „Polizeipraesidium“ przy 27 Grudnia. Popędzeni biciem, szturchaniem i krzykami, w bardzo prędkim czasie zostaliśmy poodzielani i ustawieni na dalszy transport.

W niedługim też czasie znaleźliśmy się w osławionym na cały kraj Domu Żołnierza. Zamiast kolacji dostaliśmy porcję kopniaków i uderzeń w twarz, poczym po długich spisywaniach udaliśmy się na spoczynek. Cella, do której się dostałem, była ciemnicą i tak małą, że tylko dwóch mogłoby spać, a tymczasem, dbając o nasze ciepło, dorzucili nam gestapowcy jeszcze 14. Powietrze, przesycone zaduchem, zięjącym z żelaznego stojącego w kącie kubła, stało się nie do zniesienia. Noc tę będę pamiętał do końca życia. Tak wśród przerywanej ciągle nocy przetrwałem do rana. Około godz. 10 wyszedłem do pracy na świeże powietrze. Jakaż to była rozkosz odetchnąć czystym, nieprzesyconym żadnymi zapachami powietrzem. Była piękna pogoda, lecz dla mnie, kiedy uprzytomniłem sobie, że tylko 10 minut drogi dzieli mnie od dawno nie widzianych rodziców, trudne stało się podziwianie natury. Nie czas też był na puste rozmyślanie. Przy pieleniu chwastów upłynął mi czas aż do obiadu. Pierwszy o dwu dni posiłek. Z jaką łapczywością rzuciłem się na to jedzenie, może wiedzieć tylko ten, który wie, co to głód. I znów oczekiwanie w dusznej i ciemnej celi.

Po południu tegoż dnia dostałem się do „obozu wychowawczego w Żabikowie“. Zamknęły się za mną bramy, lecz na jak długo nie wiedziałem. Tyle tylko mogłem przypuszczać, że być może już wcale z tego obozu nie wyjdę. Było to dnia 19 października 1944 r. Na pierwszy rzut oka zauważyłem wynędzniałe postacie snujących się więźniów i butnych, i opasłych SS-manów. Budynki sklecone z desek, opasane kolczastym drutem, straszne

czyniły na mnie wrażenie. Niekiedy krzyk bitej ofiary dawał mi przedsmak tego, co miało nadejść. Chciałem zapoznać się z metodami wychowawczymi „herrenvolku“. Po spisaniu nas i odebraniu rzeczy udaliśmy się do kąpieli. Złani zimną, a następnie ciepłą wodą, wpędzeni nago do zimnej, przewiewnej o cementowej posadzce celi, przetrwaliśmy tam szczękając zębami kilka godzin. Aż nareszcie rzucono nam stare kombinezony i z gołymi głowami wypędzono nas na dwór, a stamtąd po krótkim przeglądzie do cel na nocleg. Mnie przypadła w udziale cela oznaczona literą „FH.“ Wśród przekleństw pobudzonych więźniów ułożyłem się wraz z innym towarzyszem na wąskim drewnianym z powyłamywanymi deskami łóżku.

Rano około godz. 6 pobudka, apel i mycie. Pólnagi, biegiem udałem się do umywalni. Umywszy się, spostrzegłem brak koszuli i swetra, który miałem obok siebie. Na próżno szukałem. Na skutek namowy towarzyszków niedoli chodziłem do wszystkich baraków, nie wiedząc o zakazie dowolnego biegania w obozie. Następstwem tego było lanie. Po kilku uderzeniach grubą pałąk straciłem czucie. Świat zawirował mi przed oczyma, nie wiedziałem, gdzie jestem. Ból i sińce miałem jeszcze przez kilka dalszych dni. Po apelu nastąpiło szorowanie cel, które każdego dnia na skutek panującej w obozie choroby musiały być doprowadzone do porządku. A gdy tylko znalazły się małe braki, wówczas wszyscy biegiem z przysiadami przez kilka godzin musieliśmy pędzić po dziedzińcu. Po krótkim, „sutym“ obiedzie zapędzono nas do wynoszenia wiadrami ludzkich wydzielin. Praca ta była ohydna. Wieczorem, posiliwszy się kromką suchego chleba, natychmiast udałem się na spoczynek. Lecz nie tak łatwo było usnąć. Ból odniesiony wskutek odbicia kości nie pozwalało, na choćby najmniejsze poruszenie się. Zimno nie pozwalało również zasnąć. Wrażenia pierwszego dnia pobytu w „obozie wychowawczym“ utkwily mi na zawsze w pamięci. I tak dzień za dniem schodził na ciężkiej fizycznej pracy oraz na moralnym gnębieniu nas przez Niemców. Jedynie wieczorem po skończonej pracy mieliśmy możliwość odetchnięcia, lecz i to nie zawsze. Często bowiem wypędzano nas na dziedziniec, gdzie wykonywaliśmy różne skoki i padania w błoto.

Najwięcej lubianą przez naszych ciemężycieli zabawą była tzw. „żabka“. Polegała ona na tym, że więźniowie w przysiadzie... skakali po całym dziedzińcu, nieraz nawet do utraty przytomności. Najgorzej obchodzili się nasi „opiekunowie“ z jeńcami rosyjskimi. Za najmniejszym powodem bili ich aż do nieprzytomności, cucąc potem każdego wylaniem wiadra zimnej wody na głowę, zaczynali bicie od nowa. Najczęściej bito nas przy pracy. Z ciężkim ładunkiem piasku na plecach musieliśmy przez cały czas biegiem i sprawnie się poruszać, a gdy kto już nie mógł biegać, wtedy dopadał do niego jeden z „kapusiów“ (więźniowie Niemcy) z grubą pałką, walił tak długo, aż bity nie stracił przytomności.

Wieczorem urządzano rewizję osobistą, a gdy znaleziono u kogo choćby kawałek brukwi czy też marchwi, wówczas więzień ten dostawał najpierw „łanie“, a następnie na 4 dni szedł do „bunkra“. Kto wyszedł z tej karni, wyglądał jak trup. W bunkrze w trzech rzędach skuci za szyję i ręce żelaznymi łańcuchami, siedzieli więźniowie na zimnych, mokrych, cementowych posadzkach, tuląc się jeden do drugiego. Stać nie mogli, gdyż nie wysoko nad posadzką znajdowała się siatka żelazna, naładowana prądem o wysokim napięciu. Niejeden już przez nieostrożność utracił życie porażony tym prądem. Siedzieli w tym bunkrze najróżniejsi ludzie z całej Polski. A ci, którzy tam byli, w 60% zostawali straceni. Za całą strawę dostawali oni kromkę chleba, a niekiedy trochę zupki. Częściej natomiast obdarzano ich porcją uderzeń i kopniaków. Uciec z obozu było niemożliwym. Trzy wysokie wieże, obsadzone przez czujnych wartowników, strzegły tego obozu śmierci.

Jak długie wydawały mnie się wieczory, gdy po krótkim posiłku czekałem na apel. Bywało, że niekiedy musieliśmy spędzać długie godziny w niepokoju i trwodze. Dla mnie beczynność stała się nie do zniesienia. Nasuwające się wciąż myśli o domu, kolegach, nauce nie dawały mi spokoju. Gdy nareszcie wszyscy już znaleźli się na swoich legowiskach, to i wtedy nie można było od razu zasnąć. Opowiadania więźniów z wszystkich stron Polski, z Wilna, Lublina, Warszawy, Inowrocławia itd., nie pozwalały na uśnięcie. Najciekawsze były opowiadania

o bojach w Warszawie. Całą noc człowiek nigdy nie spał, gdyż przenikające do szpiku kości zimno dawało się bardzo we znaki.

Najgorszym z wszystkich katów obozu wychowawczego był wyzuty z natury ludzkiej podoficer Beutler. Człowiek ten jak wampir nasyczał się bólem katowanych więźniów. On to przy każdym apelu kazał stawać z gołą głową, pół nago na dziedzińcu i trzymał nas tak długo, jak mu się podobało. Inni również nie byli lepsi. Wszyscy z całą bezwzględnością wypełniali odnoszące się do Polaków hasło „Ausrotten“. A środki, jakimi się posługiwali, wystarczyły zupełnie, ażeby wszystkich więźniów wyniszczyć. Lecz robili to oni z pewnym jakby poczuciem rozkoszy, zadając własnoręcznie tortury. Kultura niemieckich najeźdźców okazała się tutaj w całej swej istotnej postaci. Lubili oni patrzeć na zmuszonych do bicia siebie więźniów, śmiejąc się przy tym i napędzając do szybkości. Za karę umieli oni postawić ofiarę swych zbrodni w siatce drucianej naładowanej prądem lub w bunkrze tak wąskim, że tylko stać na baczność było można.

Okropne były to chwile, kiedy skatowany towarzysz wracał do baraku. Nieustanne jęki mogły przyczynić się do pomieszania zmysłów. Z dnia na dzień coraz więcej traciłem nadzieję, iż kiedykolwiek z tego okropnego miejsca wyjdę. Aż stało się coś nieoczekiwanego. Było to dnia 9. XI. Od rana, jak zwykle, ustalonym trybem ruszyłem do pracy. Po obiedzie około godz. 15. zostałem nagle zawołany do oficera służbowego. „Alle Sachen mitnehmen!“ padły słowa, oznaczające, iż nadszedł dzień opuszczenia Żabikowa. Z radością nie wiedziałem, co robić; czy się śmiać, czy płakać. W pośpiechu zapomniałem o trzewikach i o ręczniku, lecz oczekiwanie na wolność było tak radosne, że taka drobnostka jak zgubienie ręcznika nie wchodziła w ogóle w rachubę. Po nieodzownej kąpeli, ubrany w swoje rzeczy, czekałem na papiery. Noc tę, najdłuższą dla mnie z całego okresu pobytu w Żabikowie, spędziłem w niepewności. Nie wiedziałem, czy wyjdę na wolność, czy też będę wysłany do innego „straflagru“. Lecz o godz. 8,35 (pamiętam dokładnie) wydostałem się za bramy obozu wychowawczego w Żabikowie.

Nie wydostałem się zupełnie na wolność, ale zaprowadzono mnie do „durchgangslagru“ w Górczynie. Miałem tam czekać na przydział pracy. Jeszcze tego samego dnia 10. XI. wieczorem przez płot wydostałem się na ulicę. Podążyłem do domu, gdzie z niepokojem oczekiwali mnie rodzice, dowiedziawszy się już uprzednio w Gestapo co do moich losów. Następnego dnia wróciłem do obozu. Dnia 14. XI wyszedłem całkowicie na wolność tj. otrzymałem przydział pracy w Poznaniu. Nowym miejscem pracy była fabryka opon samochodowych „Ogehei“. Przebyłem tam aż do wybuchu działań wojennych w Poznaniu...

12

Henryk Paluszkiewicz

ur. 27. 1. 1925 w Radgoszczy, pow. Międzychód.

Wysiedlony do Włoszczowej, pow. Jędrzejów.

Obecnie: Chodzież, ul. Paderewskiego 5.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. im. św. Barbary w Chodzieży. Kl. II b gimn.

Opowiadanie mojego ojca, który był w obozie w Pile*).

Obóz w Pile, pomimo że był obozem tymczasowym, śmiało można zaliczyć do najgorszych obozów w Niemczech, gdzie krwawi oprawcy hitlerowscy katowali i znęcali się nad zamkniętymi tam Polakami, nie wykluczając nawet księży. Obóz ten mieścił się na starym lotnisku, gdzie stały już od dawna wybudowane baraki. W pierwszych miesiącach okupacji niemieckiej codziennie zwożono samochodami i spędzano pieszo niewinnych Polaków, najpierw do więzienia, gdzie po wstępnych przesłuchaniach i katowaniu pędzono do wyżej wymienionego obozu. Najpierw przyprowadzano do kancelarii, gdzie stawiano ich z podniesionymi rękoma pod ścianę. Zwróceniu twarzą do ściany, musieli tak długo stać, aż wyczerpani z sił padali na podłogę. Wówczas krwawi oprawcy zaczęli się znęcać nad biedakami, szczególnie nad księżmi, nie bacząc na ich siwe głowy i podeszły wiek. Następnie pobitych i skrwawionych do niepoz-

*) Przebywał w obozie od 9. 10. 1939 do 2. 12. 1939, w tym pierwsze trzy tygodnie w więzieniu obozowym.

niania wpędzili do jednego baraku, w którym mieściło się około 1.500 Polaków. Warunki, jakie tam panowały, były okropne. Na starej cuchnącej i zawszawionej do najwyższego stopnia słomie leżeli prawie jeden na drugim wynędniali i niepodobni do ludzi Polacy. Aby jeszcze więcej ich zeszpecić i ośmieszyć, nie pozwolili się golić, zaś włosy każdemu ostrzygli zupełnie krótko.

Codziennie wieczorem robiono zbiórki, na których ustalano podział pracy na dzień następny. Przy zbiórkach gestapowcy wykorzystywali każdą okazję, kopiąc i bijąc po twarzy. Po skończonym podziale wpędzano wszystkich do baraku i po kolacji złożonej z ćwierć litra wody i kilku ziemniaków wszyscy musieli kłaść się na słomę. Rano o godz. 4³⁰ była pobudka i po otrzymaniu 30 dkg chleba następował wymarsz do całodzienniej pracy pod eskortą hitlerowców. Gdy grupa przechodziła przez miasto, ludność niemiecka szydziła i śmiała się, plując w twarz wyczerpanym i obojętnym już Polakom. A młodzi jeszcze bandyci hitlerowscy nawet rzucali kamieniami.

Praca odbywała się w krochmalni i była bardzo ciężka. Osłabieni, wynędniali, głodni musieli nosić na plecach 100 kg worki z krochmalem i ładować je do wagonów. O godz. 6 wieczorem kończono pracę i następował wymarsz do baraków. W barakach znów powtarzały się te same sceny bestialskiego katowania.

Nieraz wieczorami komendant obozu, zwany „polizeiratem“, urządzał sobie widowiska. Ustawiano w jeden rząd kilku mężczyzn, którzy nie zginając kolan musieli dłońmi sięgnąć do ziemi. Następnie kilku innym zdrowym i silnym kazali kopać schylonych, słabych, ledwo trzymających się Polaków. Polak na jego życzenie miał skopać do krwi drugiego Polaka. Gdy który z nich nie chciał tego zrobić, względnie kopał bardzo lekko, został natychmiast zabrany na bok, gdzie w obecności wszystkich generalnych katów komendant obozu, oficer, w najhulaniebniejszy sposób zbił i skopał do krwi swą bezbronną ofiarę. Gdy się zmęczył, siadał zżiajany i kazał w taki sam sposób zakrwawionej ofierze kopać schylonych nieszczęśliwców. Zmuszony, prawie obłąkany z bólu, robił to, co mu kazano. Zaś ban-

dyci hitlerowscy z założonymi rękami, z biczami, bijąc od czasu do czasu, śmiali się z bezbronnych i niewinnych Polaków.

13

Janusz Kamiński

ur. 22. 3. 1925 w Poznaniu.

W czasie okupacji przebywał w Poznaniu, ul. św. Wojciecha 31.

Obecnie: Poznań, Al. Marcinkowskiego 26.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. im. Bergera w Poznaniu. Kl. III.

Osiemnastego listopada 1944 roku byłem na „einsatzu“ przeszło trzy miesiące. Dni były bardzo zimne i częste deszcze przemacały latową odzież.

Postanowiłem samemu zrobić sobie urlop, ponieważ nie chciało mi go udzielić, abym mógł przywieźć z domu ciepłą bieliznę i ubranie. Tegoż dnia dwóch moich kolegów niespodziewanie otrzymało przepustkę urlopową, więc postanowiłem jechać z nimi, ale bez przepustki. Już w pociągu, gdyśmy dojeżdżali do Kutna, wszedł policjant badać przepustki. Ja oczywiście jej nie miałem, więc aresztował mnie. Byłem zdenerwowany w najwyższym stopniu, gdy mnie prowadził na rewir policji kolejowej. Tu na rewirze po raz pierwszy poznałem niemiecką policję. Spisanie protokołu nie trwało zbyt długo, bo każdy musiał mówić to, co mu wmawiano. Po szczegółowej rewizji zamknięto mnie w brudnej zapchanej ludźmi celi. Noc spędzona w areszcie była wprost straszną. Na długich ławach nie było już miejsca, zaledwie trochę zostało go na podłodze. Skulony, zdenerwowany przesiedziałem całą noc.

Rano około godziny piątej zaczął się ruch. Jednych spośród aresztantów prowadzono na Gestapo, innych brano na przesłuchy. Około południa wywołano mnie na przesłuchy. W jednym pokoju sprawdzono personalia, po czym jakiś policjant zaprowadził mnie do szefa rewiru. Opasły Niemiec siedział za biurkiem, a obok dwóch młodszych. Szef zapytał mnie, dlaczego uciekam z robót. Odpowiedziałem mu, że nie uciekam, tylko chcę jechać zabrać sobie zimową bieliznę i wrócić. „Nieprawda!

Kłamiesz!" krzyknął na moją odpowiedź. Następnie zaprowadzono mnie do celi, nie pozwalając się wytłumaczyć.

Po pewnym czasie całą grupę aresztantów wraz ze mną ustawiono w dwójki, skuto kajdankami i poprowadzono do więzienia. Tu przyjęto nas w ohydny sposób. Zaraz zrewidowano kieszenie, potem klucznik przy pomocy kalifaktorów rozbierał do koszuli, raz jeszcze przetrząsając kieszenie. Następnie wepchnął mnie z dwoma innymi do celi. W tej zimnej, wilgotnej norze siedziałem trzy dni.

Na trzeci dzień zostałem wywołany z celi i wraz z kilkoma innymi więźniami zaprowadzony na podwórze więzienne, następnie skuto każdego z osobna i pod eskortą SS-manów zaprowadzono na dworzec. Tutaj załadowano nas do wagonów i powieziono do Płocka. Na miejscu byliśmy około godziny drugiej po południu. Na dworcu ustawiono nas dwójkami i biegiem popędzono do gmachu Gestapo, odległego od dworca mniej więcej siedemset pięćdziesiąt metrów. Na Gestapo zamknięto nas w celi.

Na drugi dzień zaczęły się znów przesłuchy. Trwały krótko. Potem zaprowadzono nas do pracy na podwórzu. Uważał na nas jeden SS-man z dwoma tresowanymi psami. W pewnej chwili stanąłem, aby wyprostować plecy, a już obydwie psy rzuciły się na mnie i zaczęły kęsać mnie po nogach. Na to przyszedł ów SS-man i począł bić mnie pięścią po głowie i twarzy. Na zakończenie kopnął mnie i wskazał na porzuconą przeze mnie łopatę. Po tym „masażu“ musiałem bezzwłocznie zabrać się na powrót do pracy, mimo że z przetrąconego nosa ciekła mi krew, a pogryzione nogi okropnie bolały.

Po pewnym czasie ustawiono nas w dwójki i wyprowadzono na ulicę. Pod eskortą dwóch SS-manów na rowerach i psa pognano nas biegiem do obozu karnego odległego o 7 km. Drogę tę przebyliśmy w przeciągu 20 minut. Tu wprowadzono nas do jakiejś szopy pilnie strzeżonej przez SS. Cały dzień nic nam nie dano do jedzenia, nawet tutaj. Śmiertelnie znużeni pokładaliśmy się spać na słomie, bez przykrycia. Regulamin był

tutaj bardzo ostry. Rano o piątej pobudka, o pół do szóstej kawa, a o trzy kwadranse na szóstą wymarsz do pracy. W czasie pracy w południe dziesięć minut przerwy. O godzinie piątej koniec pracy i powrót do obozu. Tutaj dopiero obiad, na który była cienka zupka. Drogę do miejsca pracy odbywaliśmy zazwyczaj biegiem. Nieraz musieliśmy biec dwa albo i więcej kilometrów. Kopaliśmy rowy strzeleckie. Dziennie musiał każdy, chory czy zdrowy, wykopać i wykończyć pięć metrów rowu w twardym, gliniastym gruncie. Kto nie zrobił danej mu działki, bywał bity przez „leistungs“-Polaków do nieprzytomności i pozbawiony racji chleba, która mimo że była bardzo nikła, stanowiła poza obiadem główny posiłek. W obozie tym byłem 29 dni.

Kiedy zostałem zwolniony, nie wierzyłem własnemu szczęściu i rozplakałem się jak dziecko. Do dziś mam jeszcze mocno nadwerżone ścięgna lewej ręki od zbytniego wysiłku przy kopaniu i przetrącony nos od pobicia przez gestapowców.

14

Alfons Juraszek

ur. 13. 7. 1922 w Gnieźnie.

Mieszka obecnie w Gnieźnie, ul. Dąbrówki 11, m. 9.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. im. Bol. Chrobrego w Gnieźnie. Kl. IV gimn.

...Pewnej niedzieli w końcu października, względnie w początkach listopada*) zwołano wszystkich Polaków z Penkunu, miejscowości leżącej w powiecie Greifenhagen, na zachód od Szczecina, celem podpisania arcyklamliwej deklaracji. Nie pamięć dokładnie całej jej treści, wiem tylko, że zwrócono główną uwagę na noszenie „P“, przestrzeganie godziny policyjnej, to jest siódmej, nieopuszczanie bez specjalnej przepustki swej wsi, no i w końcu podano nam wszem wobec i każdemu z osobna, iż jesteśmy wolnymi robotnikami polskimi, przybyłymi *ochotniczo*

*) 1941 r.

do pracy w Rzeszy. Jak te ochotnicze zaciągi wyglądały, wiemy bardzo dobrze.

Deklaracji nie podpisaliśmy. W kilka dni później zjawia się Gestapo i — rzecz znana w takich wypadkach — łanie (gumą, pięścią, nogą, gdzie popadło), po czym odstawiono nas do obozu w Pölitz (Police). Samo to „uniwersalne sanatorium“ leży w obrębie wielkiego osiedla fabrycznego tej nazwy, a około 30 km od Szczecina.

Na przywitanie wyasygnowano każdemu po 20 gumowych w nerki i przyjęto w skład pensjonariuszy. Następnego dnia zostaliśmy przydzieleni do najrozmaitszych prac.

Mnie zwerbowano do ładowania cegieł. Kto przy tym robił, wie, co znaczy podawać cegły bez rękawic, a tym bardziej w mrozie. Ubranie na mnie lekkie; drelichowy letni mundur, świecący dziurami, koszula, cienkie kalessy, onuce, trzewiki i czapka letowa. Tak odzianemu trzeba było stać calusieńki dzień od świtu do zmroku na kładce, przerzuconej z barki na molo, i rytmicznie machać rękoma, przez które przeszło w ten sposób tysiące, tysiące cegieł. Wiatr przenika wyświechtane łaty. Głód — nie największy, ale duży (siedząc pół roku później w więzieniu szczecińskim byłem bardziej głodny). Nogi i uszy odmrożone, a ręce, pożał się Boże, popękane i tak poprzecierane, że krew ciecze. Wszystko dokucza, nie można odróżnić co boleśnniejsze.

Nie ma żadnego kolegi, każdy zajęty tylko sobą i w sobie zamknięty. Strach żyć i strach ginąć. Ulgą i chwilą upragnioną był wieczór. Przecież czekała na nas w baraku kolacja i zaprowiantowanie: pół a może trzy czwarte litra wodnistej zupki, zdaje się, że 400 g chleba i coś około 10 g smarowania dziennie. Czasami zdarzało się, że oprócz wieczerzy były ćwiczenia. A więc na komendę: skakać żabkę, „padnij, powstań“, „biegiem marsz“, przy czym oczywiście niejeden oberwał gumą po głowie.

Tak mijały dni i tygodnie, dopóki nie uczułem się znów „wolnym“ robotnikiem Polakiem w Rzeszy; i oczywiście „ochotniczym“, bo w końcu trzeba było się na to zgodzić.

Henryk Przybylski

ur. 5. 12. 1923 w Bukowcu, pow. Nowy Tomyśl.

Podczas okupacji pracował u gospodarza Bremermanna w Bramkamp, pow. Nienburg (pod Bremą) do września 1944. Potem: Arbeitslager Liebenau, pow. Nienburg.

Obecnie: Gniezno, ul. Lecha 2.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. im. Bol. Chrobrego w Gnieźnie, kl. IV.

Nasuwa mi się zaraz rok 1940. Mój wyjazd do Niemiec i rok 1944 — mój pobyt w ciężkim lagrze koncentracyjnym w Liebenau, pow. Nienburg.

Pamiętnego dnia 18 listopada 1943 roku zostałem przez Gestapo zabranym i wtrąconym do lochów. Prowadzili mnie najpierw do małej celi. Tam kazano mi się rozebrać. W tym czasie przystąpiło do mnie trzech gestapowców z koprowymi drutami, a zagnawszy mnie w kąt celi, zaczęli mnie na zmianę bić. Jak długo mnie bito, nie wiem, gdyż po kilkunastu uderzeniach zemdlałem. Obudziłem się wyczerpany i posiniony w tej samej celi. Było to pierwsze moje przywitanie, po którym dwa dni leżałem na sali chorych.

Dopiero na trzeci dzień pobudka o godzinie 4 wezwała mnie na ranną gimnastykę, którą sobie gestapowcy z nami urządzali. Bicie było na każdym kroku, gdy tylko człowiek na jakiegoś z tej bandy natrafił. Już od gimnastyki począwszy śmierć zbierała swe żniwo. Żyliśmy tam tylko na kawie i chlebie. Ciężka praca przy kanalizacji wyczerpywała ludzi z resztek sił. Jedliśmy trawę, liście, co tylko nam w ręce wpadło. Wprost okropne i zgroza. Ludzie słabli z dnia na dzień, choroby szerzyły się okropne. Śmierć zbierała coraz obfitsze żniwo.

Ja już z głodu wytrzymać nie mogłem. Idąc raz koło śmietnika, złakomiłem się na zgniłą kartoflę. Na moje nieszczęście zostałem przy tym przychwycony przez jednego Ukraińca, pomocnika Gestapo, gdzie po okropnym zbiciu mnie wyraził się drań, że dostanę 21 dni więcej. Już zaczynałem załamywać się duchowo. Człowiek ledwo nogą ruszał, a tu z tak wielką oziębłością i dzikością ten straszny brutal hitlerowski powiedział, że dokłada mi jeszcze 21 dni do mej kary.

Naprawdę nie wytrzymałbym w takich warunkach, w jakich byłem ostatni, ani tygodnia dłużej. Stan mego zdrowia zmusił naszego „lagerführera“ do pozostawienia mnie w lagrze. Zostałem zwolniony z pracy kanalizacyjnej. Pracowałem przy okropnej pracy w lagrze. Boże... nawet słów mi brakuje do opisanie tego, co przecierpiałem.

Zostałem przeznaczony do zawieszania i zdejmowania lin z szubienic. Ach, jakie to okropne... Widzę to jeszcze jak dziś, mam własną osobę, jak zakładać musiałem liny. Pod szubienicami stali skazańcy, którzy zrezygnowani czekali na swą śmierć. Wtedy to hitlerowski kat w gumowych rękawiczkach spełniał tak straszną egzekucję w obecności wszystkich zakładników, którzy kilkakrotnie musieli obchodzić dziedziniec, patrząc wciąż na skazańców. Boże broń, kto ośmielił się głowę skierować w inną stronę, wówczas padał pod nogami gestapowca, który na oczach wszystkich na pół uśmiercał swą ofiarę. Tak ginęli ludzie. Naprawdę brak mi słów do wyrażenia swego oburzenia. Jest to bestialstwo i barbarzyństwo, gdyż dziennie w ten sposób mordowano 15—30 ludzi.

Jeszcze gorsze metody stosowali ci barbarzyńcy w specjalnych bunkrach. Łzy do oczu same mi się cisną, gdy wspomnę mych kolegów i współtowarzyszy niedoli, którzy może już dawno są na drugim świecie...

Bunkry w Liebenau przesycone są krwią ludzką. Iluż tam ludzi w bestialski sposób zamordowano! Bunkry te były budowane na wzór łazienek. Było tam mnóstwo kabin, gdzie gestapowcy torturowali swe ofiary. Jedne z nich były po metrze długie, szerokie i wysokie. Znajdował się tam otwór średnicy 20 cm, przez który leciała woda. Skazaniec musiał litrowym naczyniem wodę wylewać, co było wprost niemożliwością, gdyż po godzinie kończyły się jego katusze.

Druga i trzecia cela były złączone razem. Zmieniano w nich temperaturę ciepła i zimna. Do takiej właśnie celi dostał się mój najbliższy towarzysz niedoli, który został na 24 godziny skazany pod nr. 22—23. Scena była okropna. Musiał biedak nago przechodzić z celi do celi i tak długo chodził, póki z wyczerpania nie padł. Ja go szczególnie obserwowałem i gdy tylko padł,

zaraz o tym lagerführerowi doniosłem, że nr. 113 w kabinie 22—23 poniósł śmierć. Dostaliśmy rozkaz uprzątnięcia go. Lecz przychodząc na miejsce, co widzimy? Ciało ludzkie całkiem w zgrupionej krwi, które jeszcze słabe znaki życia dawało. Na polecenie lagerführera zanieśliśmy go na rewir, czyli salę chorych. Bardzo denerwująco podziałał na mnie widok człowieka w takim stanie.

Dwa dni upłynęło po tej strasznej scenie. Idąc w południe koło rewiru nie chciałem własnym oczom uwierzyć, zobaczyłem mego towarzysza niedoli, który ledwo trzymał się na nogach jak był szantażowany przez jednego z gestapowców. Po krótkiej ostrej rozmowie kopnął go ten brutal z całej siły. Skutki tego były straszne. Widziałem, jak przewrócił się i padł twarzą na druty kolczaste, gdzie poniósł śmierć na miejscu...

W taki sposób ginęło dużo ludzi. Nie było dnia spokojnego. Każdy się liczył z coraz to nowszą metodą i szykaną śmierci, którą gestapowcy z diabelską kombinacją wymyślali. Wydaje się to może niejednemu niemożliwym, lecz niestety, ja w własnej osobie przechodziłem i widziałem te hitlerowskie katusze. Czasy okupacji niemieckiej zostawiły w mej pamięci niezatarte ślady.

Cześć poległym bohaterom, którzy swe niewinne życie złożyli dla Ojczyzny.

16

Edmund Hundert

ur. 10. 4. 1919 w Kolsku, pow. Zielona Góra.

Podczas okupacji mieszkał i obecnie mieszka w Żabikowie pod Poznaniem, ul. Mickiewicza 3. Aresztowany przez Niemców w dniu 17. 5. 1941 w Żabikowie, doprowadzony do punktu zbornego w Luboniu, przewieziony został do Fortu VII w Poznaniu. Do obozu koncentracyjnego w Dachau wywieziony został w dniu 23/24 maja 1941.

Uczeń Państw. Lic. Budowl. Oddział III Drogowy.

...Przewieziono mnie wraz z dziesięcioma innymi karetką piekarską do Fortu VII w Poznaniu. Za mną setki Polaków staje na tym samym punkcie zbornym ze wszystkich powiatów woj. poznańskiego. Wśród nich spotykam wielu kolegów i znajomych. Oczy wszystkich smutne, zapatrzone w dal, oczekujące,

co będzie dalej. Sam nie upadam na duchu i pogodziłem się z losem. Chociaż ustawiczne jęki, nawoływania przerażają mnie na moment — i o tym zapominam.

W forach przebywam jeden tydzień. W nocy z 23 na 24 maja 40 roku pod pręgierzem batów załadowano nas jak bydło do wagonów towarowych, po sto osób do jednego. Razem ze mną w tym dniu wyjechało 1.500 osób, pośród nich 600 księży. Przed samym wyjazdem słyszę „ryczącego pasterza“ z nahajką w rękę: „Jedziecie do pracy do Niemiec, kto się tam będzie dobrze sprawował, ma możliwość powrotu, ja się o to postaram“ (tłum. z jęz. niem.).

Dzień ten przypadał na święto Bożego Ciała. Jechaliśmy procesją w obecności tylu duchowieństwa, po ziemiach niemieckich. Na każdej postojowej stacji, a było ich moc, nie wolno mi było spojrzeć przez zakratowane okienko. Znając język niemiecki słyszałem, jak nas witano. Przed nami ogromna brama niczym łuk triumfalny, za nim długi, ogromny dziedziniec, otoczony wysokim murem i zabudowaniami. W każdym narożniku z dala widoczna wysoka wieża, przyozdobiona w karabiny maszynowe. Ciało me przenikają dreszcze; wiem, że po przekroczeniu tej bramy ginę dla świata wolnego. Zaczynam nowy żywot — i tak się też stało.

Przy przejściu przez bramę witano nas biczyskami jak nieposłuszne bydło. Kiedy już się znalazłem na dziedzińcu, widzę przed sobą w kształcie prostokąta otwartego ogromny budynek. A na dachu jego wymalowane 2—3-metrowymi literami 10 przykazań obozowych:

Istnieje jeszcze jedna droga do wolności, jej odcinkami są: 1. karność, 2. czystość, 3. ślepe posłuszeństwo, 4. porządek itd. a 10. miłość do ojczyzny.

Obóz Dachau to obóz reprezentacyjny. Tu zakosztowałem życia obozowego. Wielu w czasie mego pobytu na terenie tego obozu zginęło, już dalej nie pojechali i nie wrócą już nigdy.

Mnie los popędził dalej. Zostałem wraz z innym transportem przewieziony do karnego obozu w Mauthausen, który znajdował się w kamieniołomach. Tu dopiero poznałem, co znaczy obóz koncentracyjny. Uważano nas za zboczeńców, bandytów pol-

skich (bezpośrednio poinformowani przez straż konwojową). Muszę dla wyjaśnienia podać, że transport ten składał się z kwiatu inteligencji polskiej.

Na drugi dzień rano przybyłem do Monachium, a stąd w kierunku do Dachau. Znali niemal wszyscy, co znaczy słowo Dachau. Momentalnie straciłem swój humor, ujrzałem przed sobą wielką przepaść, z której nie będzie powrotu. Mielśmy jechać do pracy, a nie do obozu. „To kłamstwo, jak mogą“ itp. słowa słyszę zewsząd. Sam po raz pierwszy słyszę o Dachau. Złéce-ważyłem wszystko, dałem swawolę fantazji. W prosty sposób znalazłem wyjście: „jakoś to będzie“... „Niech żywi nie tracą nadziei!“

O dziwo! na dworcu pełno popielatych mundurów z trupimi czaszkami na głowach i las bagnetów, automatów, niczym kompania honorowa. Słyszę głosy przypominające ryk bydła: „wszyscy wysiadać!“ Wielu pada lub zostaje w wagonach z wycieńczenia i pragnienia; tych się na miejscu dobija bagnetem. A ilu już w czasie marszu zabito?... Kolumna nasza nie miała końca, rozprzestrzeniła się na kilometry.

Pierwszy postój na wielkim dziedzińcu. Na miejsce zaję-chałem nocą. Całą drogę z dworca do obozu pędzono nas w zwartej gromadzie, bijąc nielitościwie różgami, nahajkami, biczyskami. Wielu poniosło śmierć po drodze.

Dziwnym zbiegiem okoliczności sam nie doznawałem specjalnych doraźnych urażeń cielesnych. Do obozu przybyłem tylko ze sińcem na twarzy od bykowca.

Na terenie tego obozu jeszcze krócej przebywam. Po trzech miesiącach pognano mnie 8 km na północ do nowo budującego się obozu Gusen. Tu zastałem piekło na ziemi. Jak dotąd miałem nadzieję powrotu do domu, licząc że już w 1 roku wojna się skończy. Straciłem ochotę do dalszej walki o rychły powrót do domu, powrót wydał mi się beznadziejny. Sypiam na ziemi pod gołym niebem, nakryty mokrym kocem. Ten stan rzeczy trwa okres miesiąca. Nie ma innej drogi wyjścia jak zginąć i wyjść na wolność przez komin krematorium.

Z perspektywy czasu poznałem, że najkrytyczniejsza chwila w życiu ludzkim sama podsuwa drogę wyjścia, z tym, że trzeba

iść tą drogą i nie załamywać się mimo chwilowych zwątpień. Przetrwalem chwile krytyczne i dzisiaj wraz z wszystkimi cieszę się odzyskaną wolnością, jedną — drugą.

Z kolei chciałbym w kilku słowach zobrazować życie obozowe. W obozie dla każdego znalazła się praca, wszystkie jej rodzaje były reprezentowane. Najgorsze były prace masowe, polegające na noszeniu brył, ogromnych ciężarów w postaci kamienia czy dźwigarów żelaznych, kopania dołów, budowy dróg, tzw. „łopata i taczka“. To prace, których się najwięcej czepiali, bo każdy kat mógł łatwo wskazać, jak wzruszać ziemię i ile nakładać na taczkę. Najmniej prześladowani byli ci, którzy wykonywali prace zawodowe, bo wszechwładcy nie mieli o nich pojęcia. I ja wykonywałem taką pracę w charakterze miernika.

Podczas pracy nie wolno było odpoczywać, broń Boże siadać. Wszelkie próby wykroczenia przeciw tym zakazom były karane. Bicie na miejscu batami, drągami żelaznymi. Częste raporty karne pociągały za sobą przesłuchy i bicie do nieprzytomności.

Wiemy wszyscy, że każda maszyna, a tym więcej człowiek żyjący w takich okrutnych warunkach nie może żadnej pracy wykonać bez chwili choćby krótkiego odpoczynku. Tym bandytom nie chodziło o wyniki pracy, lecz o jak największe tępienie jeńców.

Często siebie przechodzili w pomysłowości. Wymierzali chłostę 100—150 razy, szczerbami psami, wieszano, rzucano liną jak lassem na szyję pętlę. Nieraz dla rozrywki kazało więźniom biec w pewnym kierunku, po czym za nimi strzelano, motywując strzał zamierzoną ucieczką.

Odżywianie nędzne: woda i kawałek chleba, herbata z gorzkich ziół. Takie odżywianie powodowało wiele chorób. Najczęstsze to biegunka i tyfus. Główne przyczyny masowych zgónów. Dziennie średnio 50—75 osób. Ciała ich palono w krematoriach.

Szczytem barbarzyństwa XX wieku było utworzenie w obozie domu publicznego. Korzystać musieli z niego bez wyjątku wszyscy. Kobiety dostarczał obóz kobiet, dalej o tym nie będę pisał, reszta sama wiadoma. Mnie los od tej przyjemności ochronił, gdyż zostałem zwolniony. Dzień ten trudno opisać.

Uzyskać znów wolność, chociaż tę pseudowolność, ale zawsze za murami obozu. Opuszczając sanatorium, jak je nasi barbarzyńcy nazywali, musiałem dziesięć wskazań podpisać. Wiele mógłbym tu pisać, przytoczę jeszcze 2 charakterystyczne obrazki z życia obozowego.

Po dzień dzisiejszy widzę nodchodzącego staruszka, młodego sercem i duszą, a zniszczonego zupełnie fizycznie. Podchodzi do okna i prosi o kawałek chleba kolegę, słowami: „Daj kawałek chleba, bym jeszcze raz przed śmiercią skosztował ten chleb Boży. Ja jutro umieram“. Na to słyszę odpowiedź: „Kiedy umierasz, na co ci chleb, zostaw drugiemu, co żyć jeszcze może“.

I odszedł od okna „starowina“ młody. Zaledwie uszedł kilka kroków, runął jak kłoda na lagrowej drodze, odchodząc z tego świata. Tak kończyło setki ludzi.

Przytoczę tu zaraz drugi obrazek. Odbywa się odkażanie obozu. Tłumy męczenników obozowych w stroju adamowym spędza się na miejsce zbiórki. I tu bez jedzenia, głodno i chłodno na okres 2 dni i nocy. Czego tu zobaczyć nie można, konających na pierwszym planie. Gdzieś na uboczu leży człeczyna, wije się z bóleści żołądka. Z budowy można określić, że silnie zbudowanym i zdrowym był mężczyzną na wolności.

Dziś umiera z głodu przy zdrowych płucach i sercu.

Nie wiadomo, skąd zjawia się między nami nasz pan i władca, komendant obozu w Gusen Bogdan Chmielewski. Widząc nieszczęśliwego, staje butem na jego szyi, a biedny nieszczęśliwy ginie śmiercią męczeńską pod stopami tyrana.

Oto dwa fragmenty godne uwagi. Niesposób przytaczać więcej, mógłbym dziesiątki i setki takich obrazować. W końcu niejeden pomyślałby, że mam bujną fantazję i zbyt jestem przeczulony. Często w potocznej mowie słyszę: „Musiało nie być tak źle. Żyjesz i wróciłeś zdrów.“ Sam mogę jedynie osądzić, czym zapłaciłem mój 1½ roczny pobyt w obozach niemieckich.

Ukoronowaniem mego pobytu w obozie było oświadczenie w Domu Żołnierza w Poznaniu przy ul. Niezłomnych, dziś leżącym w gruzach: „Proszę pana, pan wrócił wyłącznie dlatego, że zabrano pana przez pomyłkę. Oto po półtora roku doszliśmy do przekonania, że pan niewinnie siedzi w obozie. Wi-

dzi i słyszy pan, że my jako główni kierownicy Rzeszy niemieckiej z jej wodzem kierujemy się wyłącznie sprawiedliwością. Teraz wracaj pan spokojnie do domu i pracuj dla dobra przyszłego wielkiego państwa niemieckiego.“...

17

Józef Kamiński

ur. 25. 2. 1923 w Bydgoszczy.

Czasy okupacji spędził w Poznaniu, ul. Pocztowa 16.

Obecnie mieszka w Poznaniu, ul. Podlaska 25. Jest uczniem Państw. Gimn.

i Lic. im. Bergera w Poznaniu. Kl. IV gimn.

Była to niedziela, 20 kwietnia 1940 r. Wiosna z całym rozmachem i wszystkimi danymi jej przez naturę środkami brała świat w swoje objęcia. Słońce w poczuciu obowiązku ze zdwojoną energią słało swe życiodajne ciepło na ziemię, budząc wszystko do nowego życia, dając nowe nadzieje. Zdawało się, że nic nie potrafi zmienić biegu rzeczy, że wieczór minie jak wszystkie inne, że noc przejdzie spokojnie, że nazajutrz życie popłynie normalnym trybem, że nadzieja stanie się rzeczywistością.

Zapadł wieczór. Na zachodzie słońce tonęło w horyzoncie, pozostawiając po sobie rozognioną lunę. Godzina dziewiąta minęła. Księżyc wypłynął majestatycznie na firmament niebieski, malując na ścianach budynków swym srebrzystym światłem jakieś niesamowite cienie.

Wtem niespodziewanie wkradły się w ciszę wieczorną odgłosy uderzeń podkutych obcasów o kamienie. Zbliżają się! Trzask drzwi wejściowych... Ciężkie kroki na schodach... Dola-
tują ostre, pojedyncze wyrazy niemieckie. Coraz bliżej... Pukanie w drzwi... „Uczeń?“.. „Pan pójdzie z nami“.

Po formalnościach w Domu Żołnierza i po trzydniowym pobycie na forach siódmych*), w którym to czasie cela wypełniła się po brzegi towarzyszami niedoli, wpakowano nas do wagonów i rozpoczęła się podróż w nieznane. Transport liczył około 600 osób. Moje samopoczucie polepszyło się znacznie z chwilą, gdy ujrzałem kilku kolegów z miejsca pracy. Wspólne zwie-

*) Obóz koncentracyjny w Poznaniu.

rzenia, połączone z młodzieńczą wiarą w lepsze jutro, pozwoliły na optymistyczne ujęcie eskapady. Wiary tej nie zdołała podkopać nawet w okropnych warunkach przetrzymana półtoradniowa podróż. Strażnicy nie pozwolili przez cały jej czas wychylić nosa z wagonu, obdarzając nas wszystkich tylko trzema wiadrami wody na pięćdziesięciu ludzi. O celu podróży dowiedzieliśmy się z chwilą przybycia na miejsce, tj. gdy ukazał się budynek stacyjny z nazwą stacji — Dachau. Bezwzględność, z jaką traktowano nas podczas czterokilometrowego marszu do obozu, zachwiała nasz optymizm, pozwoliła zrozumieć istotny cel całej podróży. Szalone tempo marszu, wycieńczenie podróżą dało się szybko, zwłaszcza starszym, we znaki. Coraz częściej mijało się rzucony tłumok, płaszcz lub walizkę. Coraz więcej wydłużały się szeregi. My, młodzi, braliśmy osłabionych między siebie, nie pozwalając, broń Boże, upaść. Na takim skupiały się wśród śmiechu smarkatej gawiedzi hitlerowskiej razy kolbą i kopniaki SS-owców.

Po formalnościach lagrowych, które towarzyszyły każdemu świeżemu transportowi, umieszczono nas na blokach. Tu przetrzymaliśmy szczęśliwie pięć tygodni.

Dni podobne były do siebie jak krople wody. Jak przed- tak i popołudnie spędziliśmy na uprawianiu gimnastyki. Po upływie tych pięciu tygodni podzielono nasz transport na dwie grupy: inteligencję wywieziono do Mauthausen; rzemieślniczo-robotnicza, do której mnie przydzielono, została na miejscu.

Cały okres pobytu w Dachau do kwietnia 41 r. nie pozostawił na mnie żadnych specjalnych wrażeń, gdyż ginęły one w monotoności życia codziennego, stały się codziennością dnia. Każde radosne uczucie, wywołane czy to jakimś świętem, listem z domu, dobrą wiadomością, tłumiła myśl o niepewności jutra, spowodowana ciężką pracą, złym wyżywieniem oraz coraz więcej dającym się we znaki wycieńczeniem fizycznym. Jak w smutku topiące świat szare, ołowiane chmury w dżdżysty dzień jesienny, tak i myśli te rzucały cień niepewności na wszystko, co miało być wkrótce, co będzie kiedyś. Z czasem zorientowawszy się w stosunkach lagrowych, trafiłem na jedną

z najlepszych prac — do szpitala obozowego. Od tego czasu datuje się u mnie wzrost wiary w własne siły, co dla utrzymania się na powierzchni obozowej jest czynnikiem najważniejszym. Koszmarne myśli zaczęły ustępować, dając miejsce wierze i ufności w lepsze jutro.

Charakteryzując sam obóz — Dachau uważany był wówczas w porównaniu z Gusen i Mauthausen za jeden z najlepszych. Tu przysyłano także chorych z innych obozów, gdzie po przyjeździe do sił wracali ponownie do pracy. Zdrowszych więźniów wysyłano tymczasem do innych obozów. Stała załoga Dachau rekrutowała się przeważnie, z rzemieślników, którzy zatrudnieni byli w zakładach stolarskich, oraz z robotników pracujących na olbrzymich plantacjach. Pokażne warsztaty szewskie i krawieckie zaopatrywały w obuwie i ubrania cały szereg obozów. I z pewnością tylko przez wzgląd na fachowe siły i olbrzymie zyski panowały z początku w obozie znośne stosunki. Oczywiście z biegiem czasu siły opuszczały każdego.

Na początku maja 41 r. wyjechałem wraz z grupą sanitariuszy do Oświęcimia. Dwudniowa podróż pozostawiła na mnie niezatarte wrażenie. Droga wiodła przez Salzburg, Linz, wzdłuż podnóża Alp. Na zawsze utkwiał mi w pamięci widok pokrytych wiecznym śniegiem, okolonych całunem chmur nagich szczytów skalnych Alp. Tam wolność bez granic — tu kilka metrów kwadratowych. Wolność! Ten, kto widział wzdłuż i wszerz tylko dwumetrowy mur i wieżyczki strażnicze, pozna i nauczy się cenić największy skarb, którego istnienia może wcale nie przypuszczał, to jest — wolność.

Po przybyciu do szpitala obozowego w Oświęcimiu szybko żyłem się z tutejszymi sanitariuszami. Życie lagrowe popłynęło swoim trybem. Ale jakże odmiennym! Tu poznałem w całej swej okazałości wyrafinowaną i okrutną politykę niemiecką. Okropne warunki spania, niski stan higieny, minimalna ilość jedzenia, ciężka praca, połączona z katowaniem — oto co czekało każdego, za którym zamknęła się brama obozu. Mało było takich, którzy zdrową nogą przeszli ją w powrotnym kierunku, opuszczając to piekło na zawsze. Większość jechała, ale nie daleko — krematorium znajdowało się tuż przy obozie.

Po półtorarocznym istnieniu obóz liczył — przy numerze bieżącym około 30 tys. — niespełna 10 tys. więźniów. Przesądzony był los każdego Żyda; zostawiano mu najwyżej kilka dni życia. Najczęściej zabijano po prostu kijami, albo strzelano jak do królików. I tak zdarzały się nieraz sceny naprawdę makabryczne; z czasem my, pielęgnicy, zaczęliśmy je uważać za zupełnie naturalne, idąc zawsze śmiało naprzód, zostawiając sterczący komin krematorium — przeznaczeniu. Jak wiadomo, główny cel obozu — to wykańczanie ludzi. Niesposób jest nie wspomnieć o sposobach auschwitzowskich. Otóż gdy liczba chorych szpitala obozowego wydawała się komendanturze zbyt wielka, stosowano czystkę. Organizowano np. transporty po 300—400 osób, mające rzekomo zawieźć chorych do sanatorium; po takich wszelki ślad ginął, gdyż zamieniano obozowy bunker na komory gazowe. Wiosną 1942 roku kończono kilka kilometrów od Oświęcimia nowy obóz, który był w stanie pomieścić kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Zaczęto też tych chorych i wycieńczonych, którzy byli jeszcze w stanie odbyć tę drogę o własnych siłach, pakować w ten obóz. Miałem możność zobaczyć warunki życia, w jakich znaleźli się ci chorzy. Ich okropność przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Do tego doprowadzić mogły typy wyzute z wszelkich najdrobniejszych uczuć człowieczeństwa, to mogli działać tylko Niemcy — dla Polaków.

W baraku, a raczej stodole, leżały gdzieniegdzie na słomie... trupy. Tak, trupy. Gdyż z około tysiąca osób, które tu przyszły, przez niespełna dwa dni tylko dwustu pozostało przy życiu. I tych szukano pomiędzy tymi pozostałymi.

Bez końca można by mnożyć przykłady na bestialstwo hitlerowców. Chcę tylko opowiedzieć jeszcze jedno.

Któregoś dnia po południu jeden z moich kolegów wywołany został przed lagerführera w celu załatwienia pewnych formalności, jak go poinformowano. Kolega ten był lubiany przez wszystkich; ileż to wieczorów uprzyjemniał on sam swą wspólną grą na skrzypcach. Nie przeczuwając nic złego, rozstaliśmy się z nim na wesoło. Było to trzy godziny przed apelem

wieczornym. Minęła jedna godzina i zapomniano niemal o tym zdarzeniu. Wszyscy byli przekonani, że już wrócił. Gdy wtem jak gromy z jasnego nieba zaczęły sytać się jakieś wiadomości. Wszędzie, na korytarzach, na salach grupki kolegów rozprawiających nad czymś gorączkowo: „Z tego bloku też... i z tego też... dwóch... za co... to niemożliwe — podczas apelu...”

Godzina szósta. Na placu bloki stanęły w szeregach, jak co wieczór. My zgromadziliśmy się wszyscy w „pflegerni”. Cisza... Każdy stara się stłumić w sobie ten bezsilny bunt. Wzrok skierowany w bezkresną dal. Myślą jesteśmy gdzieś... przy nim. Nerwy naprężone do ostatecznych granic... Wtem... Głuchy łoskot salwy karabinowej rozdarł powietrze, odbił się o mury, wdarł przez okna, jakby uderzył w głowy... Za chwilę suche, pojedyncze wystrzały pistoletowe... Jeszcze raz przemknęła, jakby na falach echa wystrzałów, postać drogiego kolegi i uleciała... gdzie?... to będą jutro ci następni wiedzieć...

18

Malinowski Mieczysław

ur. 9. 7. 1923 w Rogoźnie.

Do wojny mieszkał w Rogoźnie, tamże przebył czas okupacji.

Wysłany na prace okopowe, został 27 sierpnia 1944 r. zaaresztowany i wysłany do Żabikowa, gdzie przebywał do 10. 9. 1944 r. w celi L dla politycznych.

Obecnie: Rogoźno, ul. Wielka Poznańska 53.

Uczeń Gimn. i Lic. im. Przemysława w Rogoźnie Wlkp. Kl. IV.

Przy apelu porannym*) kierownik obozu pracy („Lagerführer“) zwrócił się do mnie, bym dziś do pracy nie szedł, ponieważ otrzymałem list polecony, który osobiście muszę w kancelarii odebrać. Wiadomość ta wywołała u mnie zdziwienie jak i niepokój. Nic dziwnego, byłem przecież przy pracy okopowej zaledwie 10 dni, miejsca mego pobytu oprócz matki nikt nie znał. Skąd więc list polecony? Był to zwykły podstęp. Ostrzeżony przez życzliwych rodaków, oczekiwałem, czegoś nie-

*) 27 sierpnia 1944 r. w niedzielę.

zwykłego. Niebawem widok niemieckiego żandarma w wysokim hełmie na głowie wyjaśnił mi wszystko.

Wskazano mu mnie.

Przystąpił do mnie i w sposób nadzwyczaj brutalny wepchnął do kancelarii. Przeżywałem tam wtedy najstraszniejszą chwilę mego życia: założenia kajdan na ręce. Byłem świadom, że nie jestem złoczyńcą ani zbrodniarzem, a jednak zimno stali przenika mnie, kajdany ograniczają swobodę ruchów; ta myśl sprawiała mi niewypowiedziany ból. Ostatnim wysiłkiem woli wstrzymałem łzy, które drgały pod powiekami; stłumiłem krzyk, którego wybuch wstrzymały silnie zwarte, zacięte wargi.

Tam też dowiedziałem się, że nocny telefon przyniósł rozkaz z „Gestapo“, bym został aresztowany i odtransportowany do Poznania. W stodole, w miejscu mego legowiska, nastąpiła ścisła rewizja, która nie przyniosła pożądaných rezultatów. Nie pozwolono mi nic zabrać i tak lekko ubranego czekał dwugodzinny „marszobieg“ przed rowerem żandarma. Szedłem i biegłem na przemian. Kajdany pobrzękując ciążyły u mych rąk.

Czemu wtedy i słońko było tak bezlitosne i piekło niemiłosiernie?

Nie prosiłem o łaskę, o nic nie prosiłem! Dumę Polaka ceniłem wysoko. Żaden przechodzący Niemiec nie zauważył u mnie bólu czy przejęcia, a każdemu napotkanemu rodakowi wzrokiem dziękowałem za życzliwość i litość, którą mi gestem okazywał.

Zakurzony, zlany potem, czując bezwład w skrępowanych rękach, dotarłem do miejsca pierwszego postoju: posterunku żandarmerii w Biedrusku. Tam przejął mnie drugi żandarm, który był w większym stopniu „nadczłowiekiem“, aniżeli poprzedni, chociażby dlatego, że dłonie moje złożył w boleśnieszszy układ i silniej skrępował, jak i częściej częstował kułakami, kopniakami i wykrzyknikami: „Ty polski psie!“

Postępowaniem tym wzbudził we mnie upartą obojętność; nie reagowałem na nic. Rąk już nie czułem, z powodu silnego skrępowania napęczniały mi i przybrały barwę fioleto. Odsta-

wiono mnie do celi więziennej, gdzie zdjęto mi kajdany, które nie wystawały wcale nad powierzchnię ciała.

Zostałem sam w celi z własnymi myślami. W jednym kącie celi stała prycza z desek, wokoło zimny kamień ścian, posadzki, a w górze, gdzieś pod sufitem, małe, okratowane okienko, od zewnątrz zabite deskami, by do środka nie dostał się żaden promyk słońca, którym tak cieszą się ludzie wolni.

Usiadłem na pryczy; w tym zmroku nie widziałem nawet mych dłoni, leżących na kolanach. Przyłgnałem do nich wargami i pieszczotliwie całowałem. W oczach innych byłbym śmiesznym — ale wówczas działo się we mnie coś strasznego: drgało morze niewypłakanych łez pod powiekami, w duszy coś szalało, dławilo, dusiło; wgryzałem zęby w wargi, by żaden krzyk nie wyszedł z mych piersi.

Gdzież sprawiedliwość? Gdzie Bóg? Za co to wszystko? — pytania, na które nie było odpowiedzi.

Upłynęło chwil kilka, przezwyciężyłem słabość, psychiczne załamanie, palce rąk wsunąłem w sploty włosów, których kilka godzin tylko jeszcze właścicielem być mogłem, i pogrążyłem się we wspomnieniach.

Jak na ekranie filmowym przewijały się przeróżne fragmenty życia mego. Od najwcześniejszych dni mych dziecinnych lat, lat szkolnych, do dnia dzisiejszego. Oczyma wyobraźni ujrzałem najbliższych: chorą matkę, kalekę, która nie dalej jak 10 dni temu żegnała mnie znakiem krzyża, gdym się rozstawał. Biedaczka! W życiu się tyle nacierpiała, a wiadomość o aresztowaniu mnie może być bólem śmiertelnym; ujrzałem ojca, którego 5 lat już nie widziałem — brał czynny udział w wojnie polsko-niemieckiej, w bitwie pod Raszynem dostał się do niewoli germańskiej, gdzie przeszedł całą nędzę polskiego jeńca wojennego w niemieckich obozach, skąd do ostatniej chwili przychodziły serdeczne listy, pełne tęsknoty i ojcowskiej miłości; ujrzałem też siostrę, którą germański gad 16-letnią 4 lata temu wyrwał z matczynych rąk i wysłał w głąb swej stolicy do pracy; wspomniałem brata, który tydzień przede mną w innym kierunku został wysłany na prace okopowe.

Czy ich już więcej nie ujrzę? Nie usłyszę słodkiego głosu matki? Nie położy już ojciec swej spracowanej dłoni na mej głowie? Nie ujrzę już rodzeństwa? Nie wspomnę razem z nim czasów wspólnych dziecinnych zabaw? — Z tymi i podobnymi im myślami spędziłem popołudnie niedzielne i bezsenną, długą jak wieczność noc. Przez ten czas nikt się nie zatroszczył o mnie, nikt nie przerwał mej samotności dobrym czy złym słowem.

Nazajutrz stukot ciężkich butów żołnierskich, trzask klucza w zamku, zgrzyt zasuwy: wchodzi żandarm. Znowu czuję zimno stali na rękach i opuszczam celę. Usadawiają mnie na otwartej platformie ciężarowego auta, przywiązując doń, obok na krześle zajmuje miejsce „SS”-żołnierz. Za pół godziny znajduję się w centrali „Gestapo”, w byłym „Domu Żołnierza” w Poznaniu.

Staję przed obliczem politycznego urzędnika - kobiety, która każe zdjąć mi kajdany, dając do zrozumienia, że łaskę czyni.

„Coś wyżarł?” (Was hast du ausgefressen?) — pierwsze pytanie. „Nie wiem” — brzmi moja odpowiedź. Z wielką dozą ironii dodaje: „Niewinny, co? Niewinny?” i „Precz! Precz! Pod ścianę!” — krzyczy.

Postawiają mnie pod ścianę, zakładają kajdany na ręce i twarz do ściany stać każą na baczność. Na wysokości oczu wisi portret z wizerunkiem największego zbrodniarza świata i ludzkości:—Himmlera. Każą patrzeć na niego, nie spuszczać wzroku. Tak stałem około pięciu godzin. Znowu moc pytań, na które odpowiedzią mogło być co najwyżej wzruszenie ramion. Następnie sprowadzili mnie poprzez wiele ganków i schodów do podziemnych lochów.

Tam na wstępie zabrali mnie kaci do sali oprawców, położyli na niewielką ławkę (która, jak się potem w celi dowiedziałem, nazywana jest „Maryśka”) i czynili próbę wytrzymałości gumowych pałek na tylnej części mego ciała, skutkiem czego człowiek kilka dni ani spać na plecach, ani siedzieć nie mógł.

Po tym przywitaniu, któremu towarzyszyły kułaki, kopniaki i wyzwiska, wpakowano mnie do niewielkiego lochu (3 m × 2 m), bez dostępu świeżego powietrza i światła. Tam

po raz pierwszy zetknąłem się z współtowarzyszami. Łącznie ze mną było nas 19-tu. Nikt nikogo nie znał, nikt nie rozmawiał, tylko oddychanie, które z braku powietrza raczej chrapać nie przypominało, zakłócało ciszę lochu. Po kilku godzinach wyprowadzono nas wszystkich w nocy na dziedziniec, gdzie stała słynna aresztantka. Wychodząc z celi, nie mogłem złapać w płuca powietrza, dwa dni kęsa w ustach nie miałem, a mając już silną gorączkę, czułem się jak pijany. Około 65, łącznie z 7-ma kobietami, wduszono nas w aresztantkę, która zawiozła nas za druty kolczaste obozu w Żabikowie. W drodze 5-ro, w tym 3 kobiety, zemdląło, którzy jednak dopiero przy opuszczaniu samochodu mogli osunąć się bezwładnie na ziemię. Widziałem, jak te osoby biciem i kopaniem cucono, nas wyprowadzili, tamtych więcej nie spotkałem.

Naturalnie, u nich panuje wszędzie ład, porządek i czystość; więc przeszliśmy przez łaźnię, gdzie, oprócz mycia się, każdy miał możliwość oglądać dotychczasowe siniaki względnie zdrowe jeszcze ciało, jako miejsce na przyszłe siniaki. Tutaj także straciliśmy „wszystkie“ wszy, których nie mieliśmy, oraz długie, pielęgnowane włosy.

Nie potrzebuję nadmieniać, że przy każdym zetknięciu się z „trupią czaszką“ przybywało siniaków.

Około północy wepchnięto mnie z dwoma jeszcze współtowarzyszami do wielkiej celi. (Nazajutrz dowiedziałem się, że ta cela jest celą „L“ i pomieszcza nie więcej, jak 314-tu). Popędzani przez zbirów wpadliśmy do celi z impetem, tratując pogrążonych we śnie na podłodze przyszłych kolegów. Żaden głos bólu, skargi czy jęku nie wydarł się z piersi tamtych. Znali katów, wiedzieli, że oni potrafią uderzeniem nahajki w najlepszym razie, a w najgorszym kulą rewolwerową te głosy stłumić. Do rana było niedaleko, spędziłem drugą noc bezsen- nie i drugi dzień bez posiłku.

Nazajutrz, co za szczęście! Wśród nowych współtowarzyszy znalazłem kolegę z lat gimnazjalnych: Tola Müllera, potem Bronka Erdmana, Edę Nowaka, pp. Mańczaka, Skrzypczaka i wielu innych zacnych obywateli Rogoźna. Serdeczne powita-

nie, moc pytań z ich strony, na które niestety mogliśmy dać tylko skromne odpowiedzi, bo nie byłem ostatnio w Rogoźnie.

Choć byłem ogólnie osłabiony, głodu nie czułem. We wtorek w południe otrzymałem pierwszą porcję strawy, niecały litr zupy z liści starej kalarepy, które — nierozgotowane, twarde i w całości — miały gorzki smak. Co do jedzenia, zbyt dużym jest dodawać, że głód był najwierniejszym towarzyszem. Rano otrzymał każdy pół litra czarnej kawy, w południe niecały litr zupy, wieczorem ćwierć litra kawy i 1½ kg chleba na czterech. Porcja chleba dla jednego nazywana była po więzieniu „pajdą“, każda część jej „pajdką“. Co czwartek każdy dostawał dodatek tzn. skibkę 1,5 cm grubości, po więzieniu „caritas“ nazywaną. Co wtorek natomiast dawano łyżkę płynnego sera białego lub łyżkę czegoś w rodzaju marmelady. Pewnej niedzieli zostało kartofli z obiadu i na naszą celę z tego powodu przypadły 4 wiadra duszonych kartofli jako dodatek. Przypadła mniej więcej jedna łyżka na jednego. Nikt nie zrezygnował z niej, mimo iż było to zaraz po obiedzie, najlepszy dowód stanu żołądka.

Politycznych więźniów nie wysyłano na prace pozacelowe, dusiliśmy się cały dzień w zaduchu, smrodzie i kurzu. Na drugi dzień mego pobytu złowiłem na sobie 12 wszy. Więcej wyjaśnień nie potrzeba. Życie współwięźniów było serdeczne. Jeden drugiego mimo różnic charakterów rozumiał. Podczas mego tam pobytu komendantem celi był niejaki kpt. Krupik ze Środy, któremu los sprawił niespodziankę, bo do jego celi przyprowadzono mu 21-letniego syna, który 2 lata po ojcu był aresztowany.

Trudno mi opisać nastrój, jaki w celi panował. Można było między sobą rozmawiać; mało kto jednak z tego korzystał, gdyż dla głodnego człowieka, tak wycieńczonego, jest to wysiłek nie lada. Cały dzień kręciliśmy z papieru sznurki, z których w dwójkę trzeba było zrobić 10-metrowy pas dziennie. Robota właściwie nie trudna, dla nas jednak była ciężką. Dziwna, niewypowiedziana melancholia panowała w celi, nikogo nie było stać na głośniejszą mowę, jeśli mówiono, to szeptem. Spaliśmy jeden obok drugiego pokotem leżąc na twar-

dej ziemi. Rano o 5-tej uderzenia wartownika kolbą o ścianę od zewnątrz budziły nas; wtedy komendant celi głośno wymawiał datę dnia, np.: „8 września! Pobudka! Wstać! Dzień dobry, koledzy!“ „Dzień dobry, panie komendancie!“ — brzmiała odpowiedź. Potem apel, liczenie więźniów, do umywalni i do pracy do celi. Największą przyjemnością dla mnie było, gdym mógł gdzieś pod ścianą usiąść się razem z Tolem i Bronkiem i wspomnienia szczęśliwej przeszłości wywoływać. Wspomnienia te były tak dalekie od naszej strasznej rzeczywistości, że uważaliśmy je raczej za błogie sny.

Widziałem, jak słabsi koledzy długi nieraz czas zmagali się ze śmiercią. Oj, straszny to był widok. Stoimy nad takim bezradni, mimo że między nami są lekarze; nikt nie tylko pomóc, ale nawet ulżyć nie może. Zlany potem leży na barłogu, wstrząsany straszną febrą przedśmiertną, w agonii jeszcze wymawia mało zrozumiałe imiona najbliższych i dusza jego opuszcza ciało, by przed oblicze samego Boga zanieść skargę. Mimo woli pięści ściskają się i przez ściśnięte zęby wydobywają się słowa przekleństwa na tych, którzy „nadludźmi“ są, na tych, dla których zwyrodniałych czynów brak odpowiednio określającego słowa we wszystkich słownikach świata.

Raz za to, że w biegu do umywalni jakiś starzec potknął się i upadł, a biegnący za nim zatrzymali się, kolbami i nahajkami wepchnęli nas do sadzawki, która, co bardzo mnie zdziwiło, nie była głębsza jak 1,5 m. Brzegi strome, gładko wycementowane, półtora metra wystające ponad powierzchnię wody i to właśnie było „genialną“ cechą tej łaźni. Nie mogącym się wydostać z tego powodu z sadzawki, w szczególności były to starsze osoby, rude psy germańskie pomagały, ale z takim skutkiem, że nie wszyscy wróciliśmy do celi.

Drugi raz — za to, że „kapusie“ (nazwa więzienna; są to Niemcy odsiadujący też karę, ale wyższość ich rasy zezwala im gnębić innych) orzekli, iż w ten dzień cela za mało pracowała, co było niezgodne z prawdą, — wyciągnięto nas przed barak, ustawiono w kolumnę i przy świstach nahajek i nieludzkich wrzaskach „trupich czaszek“ musieliśmy biegać aż do wyczerpania sił. Gdy kto padł podczas biegu, a działo się to bardzo często, nie

wolno było go mijać pod groźbą uderzeń kolbą — a biec przez niego, tratować. W płucach brakło tchu, mięśnie nóg odmawiały posłuszeństwa, a człowiek robił ten wariacki bieg. Potykał się, ślizgał po leżących ciałach współkolegów, padał..., sam był tratowany..., wstawał..., dalej biegł... Gdy większa część zasłala swymi ciałami plac biegu, zezwolono wracać do celi, lecz za to w ten dzień jeść nie dali, a w trzy następne dni po pół porcji.

Co dzień rano i wieczorem ubywało z celi, co noc przychodzili nowi.

Upłynęło już wiele dni długich, okrutnych — aż pewnego piątku przy wieczornym apelu wywołano pokrotnie moje nazwisko. Zapowiedź jakiejś nowej szatańskiej pomysłowości — przeleciało jak błyskawica przez mą głowę i struchlałem. Wyciągnięto mnie z szeregu i kazano na środku placu stać. Różne myśli przechodziły przez mą głowę. Co ze mną zrobią? Wszelkie możliwości rozpatrywałem, najmniej liczyłem na wolność, gdyż wiedziałem, że takich szczęśliwców jest zbyt mało, bym i ja mógł do nich należeć. Od godz. 7-ej wieczorem do 11-ej musiałem stać przy drucie kolczastym. Wrześniowa, chłodna noc, a ja w jednej koszulinie i krótkich spodeńkach sportowych. Cały dygotałem, ręce zgrabiały mi, a zęby w nieustannym ruchu dzwoniąc uderzały o siebie.

Wreszcie wzięto mnie do łaźni i... przeklęte zbiry zrobili ze mnie, ku swojej dzikiej ucieście, zabawkę. Ustawili pod natrysk, przywiązali nogi i ręce do najbliższych rur wodociągowych i może przez kwadrans czasu na przemian puszczały to kipiącą wodę, to znów zimną. Kurczyłem z bólu mięśnie jak mogłem, a przez zaciśnięte zęby wydobywał się co najwyżej syk. Łez nie mogli odróżnić od spływającej wody. Nie dość tego, ciało moje, pokryte otwartymi ranami i strupami od pożarcia przez robactwo, zanurzyli kilka razy do wanny z lizolem. Z pewnością lizol zatruł wszelkie robactwo, które naprawdę licznie żerowało na mym ciele; ale co za ból... co za ból...

Gdy sprzykrzyło im się pastwić nade mną, zabrali moją odzież do odwszawienia, a mnie samego zostawili. Tak stałem w przewiewnym miejscu około 1½ godz., które wiekiem zdawały

się być, na cemencie, bez ubrania, z poparzonymi ramionami i piekącymi ranami.

Nareszcie zdecydowali się, gdy już cały dygotałem miotany silną gorączką, przynieść odzież, ale... — oby im Bóg za to zapłacił — odzież zupełnie mokrą. Po kolei z każdej części garderoby wycisnąłem wodę i ubrałem się.

W takim stanie zostawili mnie w nieszczelnej, z desek zbitej, tzw. celi wyjściowej. Przez szpary między deskami widziałem pyzatą pełnię księżyca, który zdawał się śmiać z mej więziennej doli, na domiar wiatr za ścianą wył, wypychając do wnętrza jeszcze większy chłód. Siedzieć nie mogłem, bo zimno zbyt dokuczało. Przy chodzeniu znowu przylegiwanie mokrej odzieży do ciała było tak nieprzyjemne, że wołałem stać bez ruchu raz gorąco czując, to znów miotany febrą. Suchy język, spieczone wargi świadczyły, że trawiony byłem silną gorączką. Jedno wiedziałem: gdy teraz nie dostanę się pod ciepłą pierzynę, gdy nie zostanę otoczony czułą opieką — to nie wytrzymam i niewątpliwie nadejdzie mój koniec.

Mimo że kolacji pozbawili mnie, nie miałem głodu; czułem w ustach jakiś dziwny, słodko-mdławy smak. Do rana oka nie zmrużyłem. Nad ranem przyszli po mnie, wywlekli i postawili w szeregu podobnych mi kolegów. Stąpienie sprawiało mi trudności, prawie ból. Naraz poczułem, że kolana uginają się pod mną, oczy przysłania mgła i... padłem bez czucia.

Nie wiem, jak długo to trwało, dotkliwe kopnięcia rudego zbira wróciły mi czucie. Zapakowano do aresztantki i zawieziono znowu do centrali „Gestapo“ w Poznaniu.

To samo wejście, te same twarze, te same lochy. I nawet nowa powtórka na „Maryśce“, z tą tylko różnicą, że teraz nie tak bardzo odczuwałem ból — półprzytomność była tego przyczyną.

Wezwano mnie na jakieś tam piętro przed oblicze komisarza. Kazał na baczność stać i mówił coś do mnie i mówił. Ja słuchałem i świadomy byłem tego, że on mówił, ale nic nie rozumiałem. Słowa jego, aczkolwiek wolno mówił, zlewały się w jakąś niezrozumiałą dla mnie całość. Starłem się uwagę

skupić, ale daremnie. Jakieś pojedyncze wyrazy obijają się o uszy, dla których do dziś dnia trudno znaleźć mi powiązania.

Szpiegostwo..., sabotażowanie..., ociąganie się przy pracy..., agitowanie innych..., obóz koncentracyjny..., na zawsze...

Wreszcie, Boże, czy to prawda? Słyszę słowo: zwolnienie (Entlassungschein): nie wierzę, ostatnim wysiłkiem woli zbieram rozpierzchnięte myśli. On powtarza raz..., drugi..., siada i zaczyna pisać.

Naraz rozkoszny spazm chwyta mnie za gardło, chcę krzyczeć, drzeć się, zagryzam wargi do krwi, by stłumić burzę, co w wnętrzu szaleje.

Skończył. Kładzie papier przede mną i wskazuje drzwi.

Cały dygocąc, zgrabiałą ręką biorę z trudem ten papier i wychodzę. Wśród labiryntu krużganków i schodów szukam wyjścia. Znalazłem duże, oszklone drzwi, poprzez które, o Boże, widać ludzi wolnych. Rzuciłem się do nich, ale cóż? Zamknięte. W moim umyśle, trawionym gorączką, jakoś trudno chce pogodzić się to, że oni tam wolni, że ja wolny, a drzwi zamknięte. Zaczynam bez namysłu z całych sił szarpać. Nie ustępuję. Dobiega do mnie dwóch zbirów, częstują mnie kulakami (tym razem ostatnimi już), przeczytali papier i wypuścili.

Nie wiedziałem, że wychodząc trzeba zgłosić się przy okienku, przedłożyć papiery, na podstawie których oglądający naciska na guzik, przez co drzwi można otworzyć.

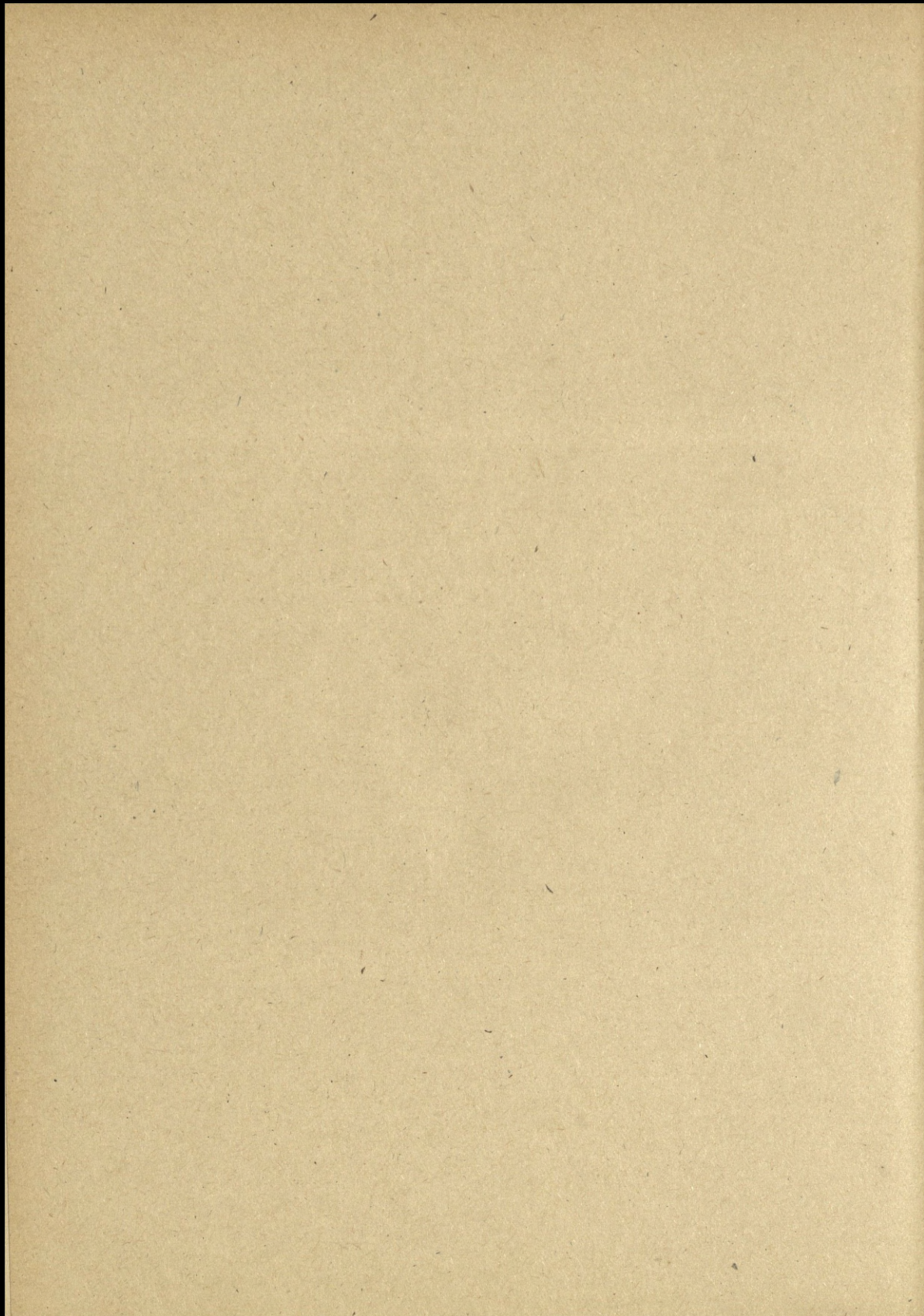
Stałem na ulicy, brudny, bez guzików u marynarki; porwał mnie prąd ludzkich ciał i szedłem bez woli, bez celu. Zaszedłem na jakieś peryferie miasta i tu ocknąłem się. Przecież do domu wracać mam. Zawracam, popychany przez spieszących się ludzi. Duże miasto, nikt nie zwraca uwagi na mnie, może i lepiej. Opary unoszące się z stęchłej, mokrej marynarki drażnią nozdrza. Zaczyna nawiedzać mnie dokuczliwy głód. Żadnych znajomych nie spotykam, odwiedzać ich nie mam ochoty, ani odwagi, a wyciągać rękę po kawałek chleba to już wcale nie. Postanawiam wytrzymać. Kieruję się na dworzec i tam dowiaduję się, że pociąg do Rogoźna odchodzi za 3 godziny. Chcę, cały zziębnięty, odpocząć i schronić się przed zimnym wiatrem gdzieś w kącie poczekalni, ale wielka tablica na drzwiach z napisem:

„Nur für Deutsche“ broni wstępu. Wszedłem na peron i wtuliłem się w kącik ławki, której oparcie tylne i boczne zasłoniło mnie od wiatru. Przesiedziałem tak i potem w wielkim tłoku zajechałem do Rogoźna. Z dworca do domu zaprowadziły mnie dwie przygodne towarzyszki podróży, gdyż o własnych siłach z pewnością bym nie doszedł.

W domu łązy radości...

WYZWOLENIE

IX



Jerzy Krasuski

ur. 28. 12. 1930 w Poznaniu.

Okres okupacji przebył w Dąbrowie Tarnowskiej (woj. Kraków).

Obecnie: Poznań, ul. Kręta 7.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. im. św. Marii Magdaleny w Poznaniu. Kl. IIa gimn.

...W czerwcu 1944 r. komunikat przyniósł radosną wieść o wyzwoleniu Lwowa. W kilka tygodni później ujrzeliśmy front o 40 kilometrów od nas pod Mielcem. Bezustannie słychać było ponury huk armat. W nocy na wschodzie obserwowaliśmy błyski wystrzałów. Drogi zaroily się od samochodów, czołgów i wozów. W powietrzu bezustannie krążyły niemieckie samoloty. Ludność, bojąc się walk ulicznych i wyczynów kwaterujących hitlerowców, usunęła się z miasta, które przybrałoby wygląd miasta umarłych, gdyby nie masy wojska. Po kilku dniach front przysunął się bliżej i ustabilizował się o 16 km od Dąbrowy. Na tym miejscu pozostał mimo kontrataków niemieckich aż do chwili rozpoczęcia wielkiej ofensywy radzieckiej. 17 sierpnia dwa sowieckie samoloty zrzuciły w Dąbrowie pierwsze bomby, które ciężko uszkodziły trotuar. Stało się to hasłem powszechnej ucieczki.

I my, choć mieszkaliśmy na uboczu, usunęliśmy się do pobliskiej wsi Oleśnicy. Tu byliśmy prawie odcięci od świata. Sympialiśmy w stodole, co jest tylko w normalnych czasach przyjemne. Późnymi wieczorami obserwowaliśmy łuny na wschodzie, ogień artylerii przeciwlotniczej i naloty na Tarnów. Reflektory co chwila oświeślały gwiazdziste niebo. Groźny i majestatyczny widok. Po tygodniu uspokoiło się. Na froncie ustały silniejsze działania, samoloty niemieckie zupełnie zniknęły, wojsko również odjechało, tak że w Dąbrowie pozostało

może 20 żołnierzy. Za to odbywały się liczne łapanki za ludźmi do pracy przy umocnieniach. I mnie kiedyś chwycił żandarm, ale puścił, bo byłem za młody. W powietrzu wciąż krążyły samoloty sowieckie, „Iwany“, których ponury warkot wpływał deprymująco na ojca. Ojciec, choć dawniej zawsze kipiał humorem, od czasu słynnych aresztowań, jakie przeprowadziło gestapo w maju 1944 r., wpadł w zupełną apatię. „Iwany“ nie były groźne, gdyż ani nie strzelały, ani też nie rzucały bomb. Zajmowały się jedynie różnymi wywijasami w powietrzu i rzucaniem ulotek. Tak przeszło lato i jesień, która tego roku była śliczna i pogodna.

W grudniu sytuacja zaczęła się psuć. Wzrosło zapotrzebowanie na ludzi do umocnień, „Iwany“ zaczęły często ostrzeliwać miasto. Dochodziły coraz silniejsze i częstsze salwy artyleryjskie. Święta Bożego Narodzenia były smutne i upłynęły pod znakiem zbliżającej się groźby walk.

Wreszcie przyszła najcięższa klęska, wysiedlanie całych wsi, zabieranie dobytku, przy czym niemiecka policja znęcała się nad Polakami. Długie karawany wysiedlonej i zrozpaczonej ludności, ciągnące drogami, fotografowali później Niemcy i ogłaszali w gazetach jako: paniczną ucieczkę przed bolszewizmem. Zanim jednak fala wysiedleń doszła do nas, rozpoczęła się oczekiwana od pół roku ofensywa sowiecka. Pierwszą jej oznaką były ataki lotnictwa radzieckiego na drogi, pociągi, mosty.

15 stycznia przybyła do Dąbrowy wsławiona w walkach na zachodzie 15 pancerna dywizja SS. Pojawiły się również pierwszy raz od pięciu miesięcy samoloty niemieckie. O godzinie 10 16 stycznia usłyszeliśmy potężny huk armat. W powietrzu zaczęły się toczyć gwałtowne walki powietrzne przy udziale artylerii przeciwlotniczej.

Szczególnie dwa epizody utkwily mi w pamięci. Grupa samolotów sowieckich rozpoczęła bombardowanie mostu na Dunajcu. Baterie przeciwlotnicze odpowiedziały potężnie acz bezskutecznie. Niebo pokryło się dymkami od wystrzałów, ziemia drżała od detonacji bomb. Wtem widzę na zachmurzonym

niebie, że błyski pocisków artyleryjskich skoncentrowały się głównie na jednym samolocie. W jednej chwili stanął w płomieniach i po chwili zniknął. Wtem spoza lasu, okryty chmurą dymu, wychynał samolot strzelając z karabinu maszynowego. Wreszcie spadł prawie zupełnie spalony. Szczątki jego skutkiem zderzenia z ziemią rozniesione zostały szeroko po polach. W kilka godzin później 5 maszyn sowieckich ukazało się nad miastem, lecz w tejże chwili nadleciały dwa niemieckie. Niemcy jak błyskawica unieśli się w górę, sowieckie pozostały na dole. Zastukotały karabiny maszynowe. Po chwili dwa radzieckie samoloty spadły we wsi, w której mieszkaliśmy. Ogień bębniący na froncie wzrastał się.

W nocy ujrzelśmy cofające się oddziały niemieckie. Na drugi dzień rano, w niedzielę, mieliśmy ostatni niemiecki komunikat. Głosił on, że pod Baranowem, nad Wisłą rozpoczęła się ofensywa sowiecka. W Dąbrowie nakazano wszystkim mężczyznom opuścić miasto. Uczył to i mój ojciec i dotychczas nie wrócił. W południe w niedzielę ustał ogień. Zaległa zupełna cisza, bo i Niemców już w mieście nie było. Nagle wieczorem ujrzelśmy pociąg z niemieckimi minierami. W nocy usłyszeliśmy potężne huki, wciąż się zbliżające, i ujrzelśmy łunę. To niemieccy bandyci wysadzali tory kolejowe i palili stację. Nagle ujrzelśmy potężny słup ognia i huk targnął powietrzem. Mosty wyleciały w powietrze. Straszliwa, niezapomniana noc. Huki poczęły się oddalać, a wreszcie zniknęły. Zaległa znów straszliwa cisza. W poniedziałek po południu wkroczyły do Dąbrowy serdecznie witane oddziały radzieckie. Wtem o godzinie 5 po południu potężne detonacje targnęły powietrzem, świst lecących kul zamroził krew w żyłach. Na wzgórzu ukazały się dwa niemieckie „tygrysy“. Lecz o dziwo, po oddaniu kilku salw czołgi odjechały z powrotem. Nadeszła straszna noc. Nalot nocny samolotów niemieckich. Bombardowanie bombami fosforowymi, od których rozpala się ziemia, trwało 15 minut. Na zachodzie słychać było coraz silniejsze detonacje. Później dopiero dowiedzieliśmy się, że gdyby nie szybkie nadejście posiłków, mielibyśmy z powrotem Niemców...

Hanna Słonińska

ur. 11. 7. 1934 w Poznaniu.

W czasie okupacji mieszkała w Poznaniu — Rataje, ul. Łucznicza 17.

Obecnie: Poznań, ul. Grunwaldzka 58.

Uczennica 34 Publ. Szkoły Powszechnej w Poznaniu. Kl. VI.

...Gdy Rosjanie zbliżali się, Niemcy ewakuowali nas do miasta*). Znaleźliśmy schronienie na ul. Franciszka Ratajczaka. Rosjanie otoczyli miasto. Nadszedł dzień bombardowania. Rozpoczął się atak na miasto celem zdobycie go. Bomba uderzyła i w ten dom, gdzie myśmy mieszkali. W schronie wszczął się popłoch i ludzie zaczęli uciekać. Przeszliśmy otworem w murze do następnego budynku pod nr 18. Tam siedzieliśmy tylko 1 godzinę, ponieważ i w ten dom uderzyła bomba.

Zaczęło się palić. Wtedy zostawiliśmy wszystkie rzeczy w schronie i pobiegliśmy przed siebie mimo zakazu żołnierzy niemieckich. Znaleźliśmy schronienie na ul. św. Marcina.

Siedzieliśmy tutaj cztery dni bez wody, bez jedzenia i światła. Pragnienie gasiliśmy śniegiem, a myliśmy się winem owocowym albo wcale.

Jednak i ten dom zapalił się. Wtenczas poszliśmy do jakiejś starej pralni na Wały Zygmunta. Tam zostaliśmy kilka dni. Gdy Rosjanie zdobyli Wały Zygmunta, wróciliśmy do ukochanej willi. I tak zakończyła się moja niedola.

Antoni Muszyński

ur. 6. 6. 1931 w Rogowie, pow. Żnin.

W czasie okupacji mieszkał w Poznaniu.

Obecnie: Poznań, ul. Emilii Szczanieckiej 2, m. 13.

Uczeń XXXIII Szkoły Powsz. w Poznaniu. Kl. VIa.

...Pracowaliśmy ciężko do chwili, kiedy dzienniki niemieckie z konieczności podały do wiadomości, że Armia Czerwona ruszyła zza Wisły i zajęła Warszawę. Teraz dopiero rozpoczęły się czasy! Ludzie stali przed składami i piekarniami i kupowali, co się dało, w końcu już chleba zabrakło i byliśmy bez chleba.

*) z dzielnicy Rataje do centrum Poznania.

Niemcy jak szaleni wyjeżdżali na zachód*). Do ostatniej prawie chwili tramwaje były przepełnione uchodźcami niemieckimi, ulicami ciągnęły karawany sanek, rowerów, wózków i wozów konnych pełnych najrozmaitszych tobołków. Na dworcu działy się okropne rzeczy, tłumy Niemców oczekiwały na przyjazd pociągów. Raz po raz wyniesiono zaduszone dziecko, na które nikt nie patrzył oprócz zapłakanej matki. Gdy już Niemców wszystkich wywieźli, a Poznań był już prawie okolony przez Rosjan, wtedy dowództwo niemieckie wystosowało do Polaków rozkaz, że wszyscy Polacy mają opuścić natychmiast pieszo miasto, gdyż zostało ono obrane jako forteca. Ale żaden Polak nie wyszedł z miasta. Wkrótce już trzeba było schodzić na dół do schronów, gdyż pociski artyleryjskie zaczęły padać na miasto. Gdy na chwilę wyszedłem na ulicę, zobaczyłem niemieckich żołnierzy, jak robili barykady i szykowali się do walki ulicznej.

Poszedłem z powrotem do schronu i zagrałem z kolegą w szachy, gdy nagle wlatuje jedna pani do schronu i woła: „Wy tu jeszcze siedzicie, a Ruski już na ulicy stoją“. Zerwałem się jak szalony i wybiegłem na ulicę. Patrzę! A tu przed naszą bramą stoi dwóch rosyjskich oficerów, a cały tłum ludzi koło nich. Na rogu stały ich czołgi, a żołnierze już zataczali armatki polowe. Moja radość była ogromna. W pierwszej chwili stanąłem i nie mogłem słowa wymówić z radości, ale mimowolny lęk wkładał się do serca, bo przecież wojna jeszcze nie koniec, co chwilę pocisk przelatywał nad naszym domem, jeść też nie było co, od trzech dni byliśmy bez chleba. Ale w końcu poleciałem się przywitać z „towarzyszami“ i zapomniałem o wszystkim. Na rogu leżały ciała niemieckich żołnierzy, tych, co przed godziną robili barykady.

Wróciłem się do schronu i — zaledwie wszedłem, gdy nagle rozległ się huk i o mało nie upadłem na ziemię od wstrząsu. Jak się okazało, to niemiecki pocisk uderzył w dach naszego domu. Rozpętała się dopiero burza. Niemiecka artyleria powiadomiona, że Rosjanie zajęli już początek Wildy, zaczęła zza Warty ślać całe serie zapalających strzałów, dopiero gdy Niemców wyparto na Cytadelę, wyszliśmy po raz pierwszy ze schronu.

*) Opowiadanie dotyczy Poznania.

Tadeusz Bąkowski

ur. 15. 2. 1929 w Sierakowie Wlkp.

Podczas okupacji mieszkał w Poznaniu, Górna Wilda 84.

Obecnie: Chodzież, ul. Kościuszki 9.

Uczeń Państw. Ginnazjum i Liceum im. Bergera. Kl. I gimn.

Dnia 20 stycznia 1945 roku, idąc do pracy, zauważyłem w mieście nadzwyczajny ruch. To Niemcy szykowali się do ucieczki. 22 stycznia wieczorem usłyszeliśmy pierwsze detonacje, które się wzmaczały z dnia na dzień. Do pracy już nie chodziłem, bo organizacja niemiecka już się rozprzegła. Dom, w którym mieszkam, leży przy ulicy Górna Wilda róg Wybickiego, miałem więc dobry punkt obserwacyjny. Z drugiej jednak strony obawialiśmy się, że dom nasz, który jest widoczny z daleka jak zamek, także może coś oberwać, dlatego też w schronie panował wielki niepokój. Naprzeciw jest poczta, z której Niemcy w pośpiechu urządzili szpital. W pobliżu nas kręciło się dużo niemieckich żołnierzy biało ubranych, z karabinami i maszynówkami.

Domyślaliśmy się, że wojska radzieckie muszą się zbliżyć, ponieważ żołnierze zaczęli się kłaść na ziemię, gotowi do strzału. Dnia tego, tj. 27, przeżywaliśmy najstraszniejsze, a zarazem i najradośniejsze chwile. Najstraszniejszą chwilą była ta, gdy pięć pocisków, jeden po drugim, uderzyło w nasz dom. W schronie myśleliśmy, że to chyba nasza ostatnia chwila. Niemcy zaczęli już barykadować domy, które chcieli razem z ludźmi podpalić, jednak im się ta bestialska robota nie udała, gdyż wojska radzieckie nader szybko się zbliżyły i zmusiły Niemców do ucieczki. W tym czasie panowała w schronie śmiertelna cisza, nikt nie odważył się wyjrzeć na ulicę, co się dzieje. Nagle radosne krzyki. Wojska radzieckie zajęły już naszą ulicę! Nie zważając na pociski, które jeszcze nad nami świstały, bieглиśmy na ulicę, aby przekonać się o tym fakcie. W schronie panowała wielka radość, mimo że kilku z lokatorów straciło mieszkanie. Pomiędzy tymi byłem i ja. Dostało ono dwa pociski. Radość była jednak wielka, gdyż zostaliśmy po pięcio- i półletniej okupacji hitlerowskiej oswobodzeni.

Aleksander Wtorkowski

ur. 29. 12. 1930 w Poznaniu.

W czasie okupacji przebywał w Poznaniu, ul. Strzelecka 22/24.

Obecnie: Poznań, ul. Kantaka 5.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. im. Bergera w Poznaniu. Kl. Ia lic.

Okropna zamieć wojenna miała się ku końcowi. W panicznym popłochu Niemcy opuszczali mury Poznania. Gdy już cywilna ludność niemiecka z Poznania się „ulotniła“, rozlepiono plakaty wzywające Polaków do opuszczania miasta, „weil das ein Feind ist, der keine Rücksichten kennt“. Polacy jednak pochowali się po niskich, ciemnych i wilgotnych piwnicach, nieraz z bochenkiem chleba, nie wiedząc co będzie jutro. A opasli przedstawiciele dumnych „kulturträgerów“ rozafiszowali na dobitek, że ludność pozostająca w Poznaniu nie dostanie już produktów żywnościowych na przydziałowe kartki. Za to Cytadela była wprost przeładowana zapasami żywności. Jak to? Przecież opasłe Fryce muszą walczyć, by zwyciężyć, a więc też — solidnie jeść. Już w październiku dzień w dzień wozy i samochody z mąką, cukrem, kaszą, grochem, ziemniakami i różnorodnymi produktami, tu liczonymi na tony, znikały poza murami Cytadeli. Załogą jej po ogłoszeniu Poznania twierdzą było 18 tysięcy wojska, około 2 tysiące niemieckiej ludności cywilnej i kilkuset Polaków zabranych przemocą.

Wstawał świt. Było to we wtorek 23 stycznia. Regularnie o godzinie 7 rozpoczynała się kanonada. Pociski padały z wszystkich stron. W małej, ciasnej piwnicy o tej godzinie właśnie rozpoczynało się życie. O ile starczyło od poprzedniego dnia wody, to przy akompaniamencie padających pocisków i beztróskiego pogwizdywania zabieraliśmy się z Henrykiem do mycia (Henryk był to mój „sklepowy“ kolega). Wilgotna atmosfera piwnicy całkiem nas nie zrażała, więc chlupaliśmy z lubością w zimnej wodzie, przeciągając się jak koty i prostując zbolale członki od conocnego spania na krzeselku. Weszło to już w regulamin, dlatego że było w naszym sklepie „aż“ siedem łózek na „tylko 24 kobiety z dziećmi“. Cóż więc mężczyźni? Nieraz zadowalniali się deską na wilgotnej posadzce

i poduszką pod głowę. Najczęściej jednak spędzaliśmy nocę na pogawędkach, śpiąc we dnie przeciętnie 3 godziny na dobę. Po umyciu się ruszaliśmy biegiem do pompy po wodę, w strachu, czy się szrapnele nie poczną ryc wokoło. Później nieraz w największym ostrzeliwaniu stawałem z Heńkiem w ogonkach za chlebem, gdyż pomimo zakazu piekarze wypiekali. Dopiero gdy odłamki zaczynały za mocno gwizdać, rozsądek, mający przewagę nad apetytem na dawno już nie widziany chleb, nakazywał nam uciekać. W piwnicy kobiety warzyły strawę na małych polowych piecykach, dzieciaki piszczały po kątach, a reszta prowadziła pogawędki lub cicho piosenki ucila. Wieczorem w wielkim skupieniu odmawialiśmy wspólną modlitwę. Tak jednostajnie schodził dzień za dniem.

Minęły dwa tygodnie. Łuny palących się domów gorzały purpurą dniem i nocą. Iskry roznoszone przez dym nieraz wzniewały pożar. Niemcy jak gdyby lubowali się w czerwieni, która im przypominała tyle krwi przelanej, dzień w dzień podpalali po kilka domów.

Ojciec Henryka objął komendę nad mężczyznami i rozstawiał w nocy posterunki, składające się z dwóch mężczyzn na jednogodzinną służbę, które miały za cel obserwować, czy na nasz dom nie padają iskry, które by mogły wzniecić pożar.

We wtorek, 30 stycznia, wybuchł w sąsiedniej kamienicy przy ulicy Strzeleckiej 22 pożar. Iskra, która wpadła przez okno, zatliła kanapę, tak że ta się zajęła. Zrobiono tam alarm, lecz bez zupełnego zorganizowania i bez przybórów do gaszenia nie mogli stłumić pożaru. Płomienie wzrastały. Ojciec Heńka z kilku mężczyznami pośpieszył na pomoc, szybko objął akcję i podzielił pomiędzy wszystkich czynności. Dwóch mężczyzn zlewało resztkami wody i zarzucało piaskiem kanapę i inne sprzęty, które się w międzyczasie zajęły, reszta podawała wodę i piasek. W pokoju, gdzie pożar wybuchł, można było wytrzymać wśród zwartych kłębow dymu najwyżej dwie minuty. Po wyjściu stamtąd mężczyźni ślanieli się jak pijani. Na koniec po pół godziny udało się ogień stłumić, a kanapę i resztę płonących sprzętów wyrzucić oknem na ulicę.

W piątek, dnia 2 lutego, zdarzył się w naszej kamienicy wypadek. Przed bramą domu (przy ulicy Strzeleckiej 22) stało kilku mężczyzn, gdy nagle w ulicę uderzył pocisk. Mężczyźni ratowali się ucieczką, lecz w tejże chwili drugi pocisk uderzył w podwórze. Na miejscu padły dwie ofiary, a trzy osoby były ciężko ranne. Trzeba je było odnieść do pobliskiego szpitala, który pod przewodnictwem polskiego lekarza był czynny. Huk armat nie ustawał, a ranni potrzebowali pomocy. Kilku mężczyzn, pomiędzy nimi ja z Heńkiem zrobiliśmy z kocy i kijów nosze i nieprzytomne ofiary własnej nieostrożności wynieśliśmy w stronę szpitala. Droga była okropna. Na ramionach jęczał żałośnie człowiek, wokół gwizd odłamków, a pod stopami pagórkowate zwaliska wypalonych domów. Po drodze napotkaliśmy policjanta, trzymającego na narożniku Placu Świętokrzyskiego posterunek, który na odgłos kroków wypalił w powietrze, a później dopiero rzucił pytanie „Wer da?“ Pomimo tyle grozy śmieszną nam się zdała wystraszona twarz Fryca. Jeden z mężczyzn zakpił: „Bald kommen die Russen?“, a Fryc spuścił nos formalnie na kwintę i nic nie odpowiedział.

Charakterystyczne były śnieżne papachy pruskich żołdaków, którzy trzeciego wpadli do nas na pięciominutowy postój. Z koni buchała para. A ten dziwny uśmieszek, niby drwiący, a jednak jakiś inny, nie licował z dumnymi „panami świata“. Teraz częstowali wokoło papierosami, nie pomnając, że kilka dni temu jeden z nich, patrząc z sadyzmem na suche kartofle, które ludzie spożywali, sam obżerał się chlebem i wędlinami, a na koniec rozdeptał cukierki na oczach biednych dzieci, w ten sposób pokazując swą „wyższość“ nad Polakami.

Zaobserwowaliśmy coraz więcej taborów, ciągnących od strony Dębiny na Cytadelę. Czwartego, w niedzielę, byliśmy nareszcie wolni. Zwycięstwo!

6

Grzegorz Chmielewski
ur. 9. 5. 1929 w Radomiu.

*W czasie okupacji mieszkał w Poznaniu, św. Marcin 20. Obecnie tamże.
Uczeń Państw. Gimn. i Lic. im. Bergera w Poznaniu. Kl. I gimn.*

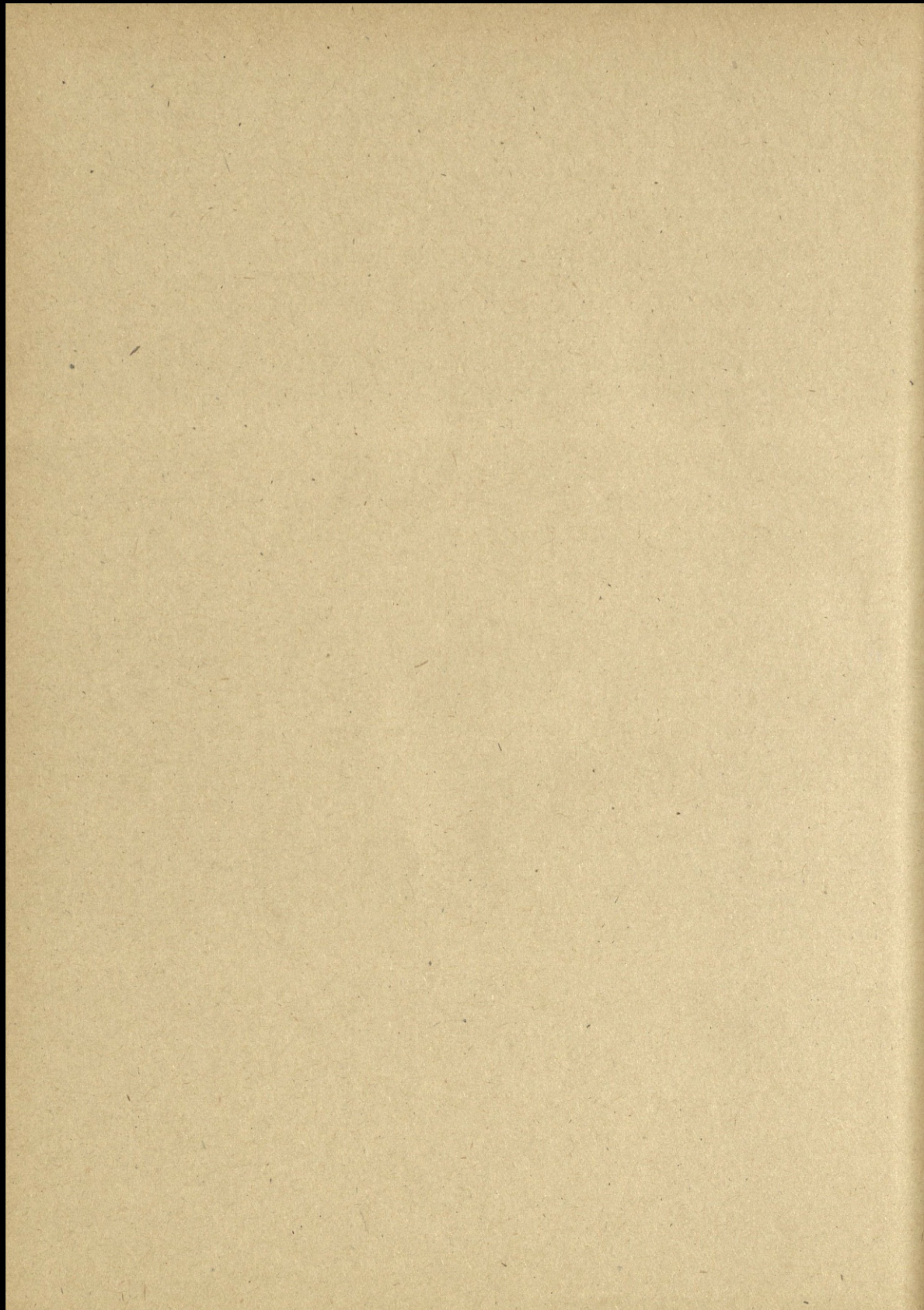
Nie mogłem usnąć. Widocznie wpływało na to ciężkie i duszne powietrze, zatruwane wydechami kilkunastu osób znajdujących się w pobliżu.

cych się w schronie. A schron, raczej piwnica, był wilgotny i bardzo mały. Z tego powodu wszyscy nie mogli też wygodnie spać. Po kilka osób spało w jednym łóżku, że jednak i łóżek była za mała ilość ze względu na brak miejsca, więc część mężczyzn musiała się zadowolić spaniem na krzesłach. Obok mnie, a właściwie na mnie, spał z jednej strony mój brat, a z drugiej ojciec. Ludzie jęczeli i wzdychali, jak gdyby jakaś zmora przyniatała im piersi. Zmorą tą była ciągła niepewność o życie, kilkunastodniowy pobyt pod ziemią i liche pożywienie. Leżałem w ubraniu, tak jak i wszyscy. Do mych uszu dobiegał wyraźnie huk pękających pocisków jak i wystrzały z ręcznej broni. Wtem ktoś szarpnął drzwiami i usłyszałem znajomy głos p. Osińskiego, który otrzeźwił mnie momentalnie: „Pożar! Wszyscy mężczyźni na górę!” Porwaliśmy się z naszych legowisk i chcemy wyjść, gdy jakiś zbir w niemieckim mundurze zagroził nam drogę i pod grozą rewolweru zmusił do pozostania. Po chwili przyszło jeszcze dwóch. Niebawem jednak oni odeszli i wyszliśmy na ulicę.

Przed naszymi oczyma rozciągał się widok straszny. Z wszystkich stron przelewało się morze płomieni. W powietrzu unosił się deszcz iskier i opadał szeleszcząc na ziemię. Mimo że była noc, jasno było jak w dzień. Na jednym z palących się domów widziałem kilku mężczyzn zwalających z dachów płonące belki i deski, inni znów rozwalali palącą się na jezdni barykadę, zbudowaną z mebli, która zagrażała jednemu z domów. Lecz i nam zagrażał pożar. Mnie przeznaczono do pilnowania, aby ogień z nr. 58 nie przerzucił się na nasz dach. Wśród ciągłego gwizdania pocisków spędziłem na straży około trzech godzin.

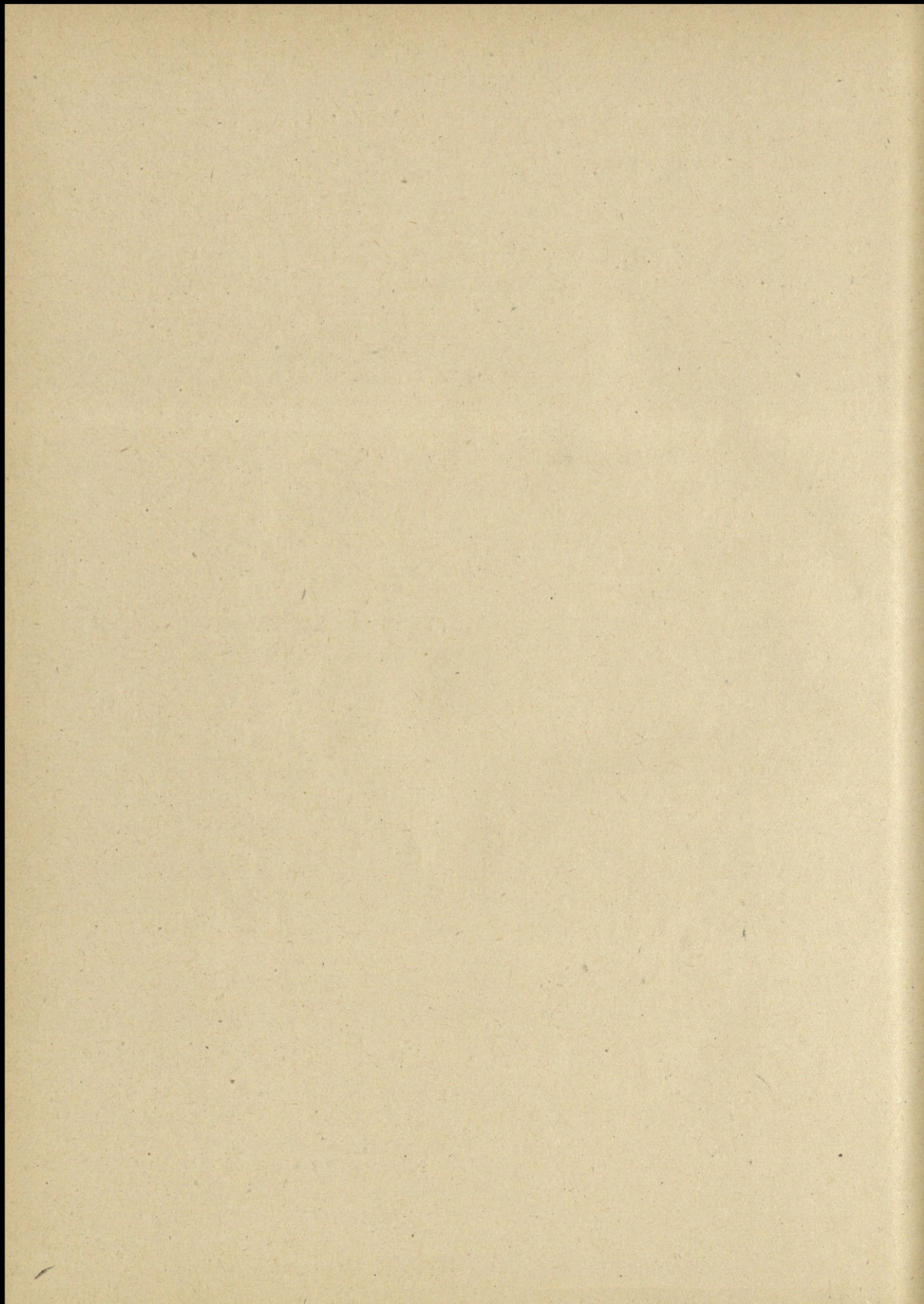
Nagle wśród gwizdu kul, wybuchów pocisków usłyszałem warkot potężnych motorów. Podpełznąłem się na krawędź dachu i spojrzałem w dół. Ulicą posuwały się dwa czołgi a za nimi kilku żołnierzy sowieckich. Szli odważnie, a ludzie ścisкали im przyjaźnie ręce. Wtem pocisk, najpierw jeden, po chwili następne poczęły padać w pobliżu czołgów, które odpowiedziały seriami wystrzałów, skierowanych w kierunku kościoła św. Marcina, gdyż jak przypuszczałem (co okazało się później słusznym), stało tam działo niemieckie. Niespodziewanie padł pocisk

w grupę żołnierzy sowieckich. Ujrzałem błysk, ogłuszył mnie huk, a po chwili dobiegły mych uszu jęki. Czołgi zaczęły się powoli cofać nie przestając strzelać. Dogonił jednak jednego z nich pocisk i spowodował wybuch zbiornika z benzyną. Nie miałem możliwości śledzić dalszego przebiegu walki, gdyż nasza kamienica mimo ogromnych wysiłków zaczęła się palić. Przez wyłom spowodowany przez bombę zajęło się pierwsze piętro. Podziemnymi gankami dostaliśmy się w bezpieczne miejsce na ulicy 27 Grudnia. Z okazałej kamienicy przy ul. św. Marcina 57, w której przeżyliśmy w nocy z 4 na 5 lutego tyle tragicznych chwil, dziś sterczą tylko walące się mury otoczone rumowiskiem cegieł.



CAŁOKSZTAŁT WYDARZEŃ

X



VIII/1

Maria Kolankówna

ur. 20. 9. 1931 w Gnieźnie.

Wysiedlona do Kielc. Ojciec zaginął. Pozostalo 5 osieroconych dzieci, z których Maria jest najstarsza. Obecnie u dziadka, Stanisława Żółtowskiego, Gniezno, ul. Chociszewskiego 28.

Uczennica Publ. Szkoły Powsz. Nr 6 w Gnieźnie, kl. VI.

...Nasz tatuś również poszedł na wojnę. Zostaliśmy sami, tj. mamusia i 4 moje siostrzyczki. Skoro samoloty nieprzyjacielskie nadleciały i zaczęli bombardować, mamusia spakowała bieliznę i pościel i uciekliśmy na wieś do wujka. Tam byliśmy 4 tygodnie. Miałam wówczas 8 lat, a jednak zauważyłam i sama odczułam, że smutek ogarnął serca Polaków. Poczęły zbliżać się święta Bożego Narodzenia. Mamusia dzieliła się z nami opłatkiem i życzyła nam, abyśmy drugą gwiazdkę obchodziły już w wolnej Ojczyźnie. W drugie święto radość nas spotkała, bo wrócił mój tatuś z niewoli. I tak żyliśmy w niepokoju z dnia na dzień, ponieważ wrogowie nasi nie spali, gdyż aresztowania Polaków z dnia na dzień zwiększały się, a nawet zaczęli ludzi wyrzucać i wywozić do Gubernatorstwa. I nas to również spotkało...

Pewnego dnia już pod wieczór, gdy mamusia nas myła i rozbierała do snu, wpadło kilku gestapowców i kazali nam wyjść z mieszkania bez niczego i pognali do lagru. Po upływie 2 okropnych tygodni życia w lagrach wywieźli nas do Kielc. Życ nam było ciężko wśród obcych. Zamieszkiwaliśmy w 1 pokoju nas 7 osób przy ul. Domaszowskiej. Tatuś mój pracował w fabryce „Społem“, moje siostrzyczki i ja chodziłyśmy do szkoły. Mamusia trochę szyła u krawcowej, nieraz coś sprzedaliśmy na życie, bo wróg wydzielał nam kartki, z których wyżyć nie było można. Potem rodzina mamusi wspomagała nas paczkami i tak żyliśmy 4 lata, wciąż wyczekując na coś lepszego, z nadzieją w lepszą przyszłość, a wróg nasz nie ustawał w gnębieniu... Po powstaniu w Warszawie masowo aresztowali mężczyzn i kobiety

i wówczas ojca zabrali z ulicy, gdy szedł do fabryki, i wywieźli do Austrii.

Mamusia rozpaczała, myśmy modliły się o szczęśliwy powrót ojca. Plugawy German długo już cieszyć się nie miał, bo dochodziły nas słuchy, że wojska radzieckie idą nas oswobodzić. Jakżeśmy się cieszyli, że niedługo wrócimy do swoich, do Gniezna. Długo nie trwało. W styczniu 45 r. nastąpił krwawy odwet. Wojska rosyjskie odważnie rozgromiły siłę nieprzyjacielską. Ludność chroniła się w piwnicach i schronach, bo strzelanina była straszna, Mamusia nasza cieszyła się, że już nie długo wrócimy do babci.

Niestety Bóg chciał inaczej. Gdy artyleria ostatnie już pociski wyładowywała, wpadł pocisk do naszego domu i zabił nam mamusię. Ach! Jak strasznie było. Mamusia po 2 dniach ciężkich cierpień odeszła od nas na zawsze, zostawiając nas 5 sierotek wśród obcych ludzi. Plakałyśmy nad stratą mamusi bardzo. Znajomi pochowali matusię na cmentarzu w Kielcach, a my samiuteńkie, bezradne wróciłyśmy do mieszkania. Tam gospodyni domu wymyślała na nas, okradła, aż pewnego dnia wyrzuciła z domu.

Oj, ciężka sieroca dola. Jaka tęsknota nas ogarnęła za matką. Wtem przyszedł jeden pan z fabryki „Społem“ i zaprowadził nas do S. S. Dominikanek. Tam byłyśmy 1 miesiąc, aż wreszcie przyjechał nasz kochany dziadzio. Z dziadziem poszłyśmy na cmentarz pożegnać się z naszą mamusią i przyjechałyśmy do Gniezna. Niedługo potem wrócił tatuś. Wiadomość o śmierci mamusi mocno tatusia zmartwiła. Tak, kochane koleżanki, kochajcie i szanujcie swoje matki, bo matka to skarb, a życie sieroce smutne.

2

Krystyna Zielińska

ur. 29. 3. 1933 w Poznaniu.

W czasie okupacji mieszkała w Poznaniu, ul. Wrocławska 15.

Obecnie: Poznań, ul. Wrocławska 30.

Uczennica Publ. Szkoły Powsz. Nr 37 w Poznaniu, kl. V.

Od chwili zajęcia Poznania przez Niemców żyłam ciągle w strachu. Nie znałam jeszcze Niemców, bo nikt mi o nich nie

mówił, byłam jeszcze mała, liczyłam zaledwie sześć lat. Dopiero od tej chwili, kiedy ich z bliska widziałam, zaczęłam myśleć o nich i poznawać ich. Byli bardzo niedobrzy dla Polaków, więc ich bardzo znienawidziłam i czułam do nich wielki wstręt jak do ludzi dzikich. Wywozili Polaków do baraków, do Gubernatorstwa i zamykali ich do więzień i obozów, i tam ich mordowali. Żyłam ciągle w strachu i w obawie o mojego tatusia, który poszedł do wojska polskiego i poległ za Ojczyznę pod Warszawą. Żyłam ciągle w strachu, bo nie miałam tatusia, a mamusia musiała iść do pracy, a ja sama z młodszą siostrą byłyśmy w domu. Mamusia nam ciągle mówiła i słyszałam od innych, którzy do nas przychodzili, że tak nie będzie, że Niemcy przegrają tę wojnę, więc miałam nadzieję, że nam będzie kiedyś dobrze.

Ja odgrywałam tę małą gospodynię kartkową i wszystkie sprawunki i zakupy dla mamusi robiłam. Nabrałam odwagi i nie bałam się już tak bardzo Niemców. Więc też z dnia na dzień byłam śmielszą i odważniejszą. Moja mamusia mnie zawsze pocieszała i zachęcała do nauki i do pracy. Przychodził do nas jeden pan wieczorem i udzielał mi nauki w polskim języku. Ja się dużo nauczyłam, bo nauka polska bardzo mnie zajmowała, na ulicy słyszałam tylko mowę niemiecką, a ja nic nie rozumiałam. W tym samym czasie przygotowałam się do Pierwszej Komunii Świętej, opanowałam naukę o Bogu i w roku 1944 przyjąłam Pierwszą Komunię Świętą. Od czasu kiedy zaczęłam się po polsku uczyć, nie bałam się Niemców, bo się nimi nie zajmowałam, a zajęłam się nauką.

Przy końcu roku 1944, kiedy już więcej umiałam myśleć i słyszałam od starszych, że wnet u nas Niemców nie będzie, bo muszą uciekać, bardzo się cieszyłam i nie mogłam doczekać, kiedy to nastąpi. A było to dobrze — mówiłam — bo oni też Polaków i polskie dzieci zimą wywozili. Aż razu pewnego usłyszeliśmy strzelanie i tak głośne, że miałam strach nie tylko ja, ale mamusia i inni również, więc schowaliśmy się do schronu. O Boże! co się wtenczas robiło, tak mocno strzelali i wokoło się paliło, a myśmy płakali i módlili się o ocalenie, a Bóg nas ocalił. Polacy i Sowieci wypędzili Niemców nie tylko z naszego

Poznania, ale z całej Polski. My serdecznie ich witaliśmy, a oni nam dali jeść, bo byliśmy głodni, siedząc przez przeszło trzy tygodnie w schronie. Cały dzień i noc strzelali, więc nie mogliśmy nic gotować.

Po oswobodzeniu nas, kiedy mogliśmy wyjść ze schronu, kiedy zobaczyłam nasze miasto, to zapłakałam, że tak mocno uszkodzone. Myślałam wróciłam się do naszych szkół, że są popalone, gdzie się będziemy uczyły, i kto nas będzie uczył, bo tylu nauczycieli Niemcy pomarnowali. I doczekałam się upragnionych dni, że zaczęliśmy się uczyć i nasi nauczyciele powrócili, choć nie wszyscy. Będąc w czasie wojny pilną, przyjęta zostałam do piątej klasy i bardzo z tego się cieszyłam, że moje trudy i nauka podczas okupacji nie poszły w las, bo otrzymałam w nagrodę piątą klasę.

3

Tadeusz Kaliszan

ur. 21. 1. 1930 w Poznaniu.

Obecnie: Poznań, Karmelicka 1, m. 24.

Uczeń XXXVI Szkoły Powsz. Kl. VI.

Gdy w wrześniu 1939 r. wpadła do Polski niemiecka nawała, nie zrozumiałem jeszcze dokładnie doniosłości tej chwili, ponieważ liczyłem wówczas dziewięć lat. Przekonałem się dopiero, jakie to okropne. Idąc z matką przez Stary Rynek zauważyłem od razu, że mamusia stanęła jak wryta i zbladła jak trup, spoglądając na szczyt ratusza. Poszedłszy za jej wzrokiem, rozplakaliśmy się oboje, patrząc jak Orzeł polski zostaje zrywany. To był tylko wstęp. Nastąpiły dni i noce okropnego wyczekiwania na wysiedlenie. Siadaliśmy wieczór w oknie i wyglądaliśmy, kiedy auto zajedzie, by i nas zabrać na poniewierkę. Widok był okropny. Patrzyliśmy, jak matki tuliły do piersi zziębnięte dzieci, dla których nie było wolno zabrać nawet ciepłej kołderki, a mróz był straszny. Czekaliśmy, ale jakoś Bóg dał, ominęło nas tym razem. Najokropniejszym dla mnie było, iż nie mogłem się uczyć. Szkół dla dzieci polskich nie było. Wtenczas mamusia zaczęła mnie oraz kilka dziewczynek uczyć sama wieczorami, bo w dzień musiała pracować w fabryce.

Tak jakoś przeszło do marca 1940 r., gdy i do nas zapukano ordynarnie do drzwi i kazano za sześć godzin mieszkanie opuścić. Zaczęła się włóczęga po wszystkich częściach miasta i szukania jakiegoś schronienia. Dostaliśmy małe mieszkanko, tam mieszkaliśmy rok. Potem kazano nam się wprowadzić do piwnicy i mamusia została przymusowo stróżką. Tatuś musiał pracować poza domem, a ja z mamusią musiałem dbać o porządek w trzech pięciopiętrowych kamienicach, na podwórzu i sporym kawałku ulicy. Od niemieckich lokatorów musieliśmy dużo wycierpieć. Potem zaczęto brać polskie dzieci do szkoły a stamtąd do robót na wieś. Mamusia się uwzięła i powiedziała: „Do szkoły nie pójdziesz, niemieckim parobkiem nie będziesz.“ Ponieważ mamusia nie miała czasu mnie uczyć, więc poszukała polską nauczycielkę i rozpoczęła się tułacza nauka, raz w tym domu, raz w owym, bo Niemcy robili łapanki na ulicach i w domach, więc trzeba było się kryć, by nie wpaść w ich ręce. Mamusia nauczyła mnie też po niemiecku mówić i miała z tego powodu wiele kłopotu, ponieważ zaczęła się do nas schodzić policja i jakiś tam „bloklajter“ i zaczęli nas męczyć, byśmy podpisali „Volksliste“, mówiąc, że mówimy tak ładnie po niemiecku. Mamusia powiedziała: „Tak samo jak pan nie jest Polakiem i mówi po polsku, tak my nigdy nie będziemy Niemcami; narodowości nie można zmieniać jak rękawiczek.“ Przyznał rację, ale za jakiś czas przyszło gestapo i zabrali tatusia. Tatuś siedział od lutego 1943 r. do kwietnia w Żabikowie. 26 kwietnia został wywieziony do Gross-Rosen, a 3 maja już został wykończony. Prawdopodobnie spalony, dlatego że był, jak twierdzili, „ein harter Pole“. Teraz zaczęli Niemcy sarkać, że nie chodzę do szkoły. Znowu mamusia w obawie, by mnie nie wywieziono, biegała, by mi dano lekką pracę. Dostałem się do Ratusza do biura, tu przechodziłem gehennę, bo tam była Niemka, która mnie dręczyła na każdym kroku, i to przeszło; z jakąż radością witaliśmy pierwszy sztandar polski. Niemcy przestali istnieć, a my jesteśmy żywi. Niestety nie wszyscy. Nie powołamy już do życia tych, którzy męczeńską śmiercią zginęli. Cześć ich pamięci!

Marian Wiśniewski

ur. 12. 3. 1924 w Poznaniu.

W r. szk. 1944/45 był uczniem kl. D. IV Państw. Lic. i Gimn. w Lesznie.

Opuścił zakład z końcem roku szkolnego.

Obecnie: Szamotuły, ul. Kapłańska 6.

Nie mogłem w żaden sposób z tym się pogodzić, że wszystko już się skończyło, że wolność, swoboda i dobrobyt mają być czymś, co minęło i nigdy już dla nas, Polaków, nie ma powrócić...

Właściwie czegoż mi przedtem brakowało? Miałem Rodziców, dom, kolegów, miałem Ojca, którym szczyciłem się przy lada okazji (był przecież komisarzem policji państwowej w Lesznie), chociaż więc miałem wtedy już ukończonych lat piętnaście i trzy klasy gimnazjum, tak byłem przyzwyczajony do beztrzęsłego życia, że sądziłem, iż wiecznie taki stan rzeczy trwać musi.

O, jakże szeroko otwarły mi się oczy po owej klęsce wrześniowej, gdy po ewakuacji przyszło mi powracać w me rodzinne strony!

Dziwne były wtedy zrządzienia losu! Hen, gdzieś za Bugiem, spotkałem się cudem jakimś z Matką i 9-letnią siostrzyczką. Musiałem się wtedy nimi zaopiekować, choć może nieudolnym opiekunem z początku się okazywałem. Dalej więc wspólnie uciekaliśmy aż za Łuck. Wtedy okazało się, że wszelkie usiłowania nasze były daremne... Polska przestała istnieć jako państwo. Postanowiliśmy udać się do naszych znajomych w Lublinie. Traf chciał, że Lublin był zajęty właśnie w tym czasie przez Niemców, Piaski Lubelskie zaś przez Rosjan. Gdy zatrzymaliśmy się niezdecydowani w Piaskach, Rosjanie wycofali się, odstępując tę miejscowość Niemcom. Widziałem wtedy po raz pierwszy w życiu wojska hitlerowskie. Było to 4 października 1939 roku.

Do Lublina nie było już daleko. Nie ciężka zresztą była to podróż, bo już poprzednio skutkiem niemieckich nalotów terrorystycznych na bezbronną polską ludność cywilną utraciliśmy wszystkie bagaże i trudno mi nawet powiedzieć, jak uszliśmy z życiem.

W Lublinie — cudownym zbiegiem okoliczności — spotkałem się z Ojcem, który dostawszy się do niewoli niemieckiej jako oficer, więziony był gdzieś na lotnisku lubelskim. Udało mu się stamtąd uciec i ukrywał się u znajomych. Wybraliśmy się więc w komplecie wraz z wielu innymi powracającymi uciekinierami w daleką podróż do domu, do Leszna.

Niestety, miasta tego oglądać nie było nam danym. Dowiedziawszy się bowiem, że Niemcy czekają na powrót mego Ojca, musieliśmy uchodzić dalej i dopiero 25 października 1939 r. zatrzymaliśmy się w Szamotułach, gdzie zamieszkaliśmy u krewnych.

Dopiero wtedy miałem możliwość poznać Niemców bez maski. Na każdym kroku dawali odczuć, że oni są zwycięzcami, my zwyciężonymi. Do 1 czerwca 1940 roku byłem tutaj świadkiem ich bestialskiego panowania. Ustawiczna branka mężczyzn i kobiet, ciągle deptanie żołdackim butem naszych najświętszych uczuć religijnych i narodowych...

Usunęli bezbożną ręką wszystkie krzyże przydrożne, figury i kaplice, powywozili księży do obozów koncentracyjnych, powyrzucali ludzi z mieszkań (co też i nas spotkało), wystrzelali masę „zakładników“ na oczach zebranych tłumów — wprost trudno wyszczególnić wszystko zło przez nich wyrządzone.

Zostaliśmy na bruku, a raczej — dosłownie — na śniegu, bez dachu nad głową, z kilkoma tylko tobołkami pozostawionymi w ogólnym zamieszaniu przez naszych krewnych, których wywieziono do G. G., o nas całkiem zapominając. Znaleźliśmy schronienie u obcych ludzi. Niebezpiecznie było w tym czasie nawet pokazać się na ulicy. Oni — zarozumiały, w pychę urosły „naród panów“ — żądali, aby im się kłaniać i płaszczyć się przed nimi. Nie stosujących się do tego nakazu Polaków bili, katowali, obcinali im włosy. A jednak — z dumą powiedzieć to mogę — choć kilkakrotnie z tej przyczyny zostałem znieważony i pobity, nigdy czapki przed nimi nie uchyliłem. Wziąłem się na sposób: chodziłem z gołą głową, unikając zetknięcia się z którymkolwiek z „zielonych“, „stangretów“ lub „czarnych“, jak nazywaliśmy policję SA i SS.

Zaczęły krążyć wśród Polaków tajne gazetki, które podnosiły nas na duchu. Niejeden jednak z grona moich przyjaciół pozbawiony został życia za przechowywanie, wzgl. rozpowszechnianie tych ulotek.

Ojciec mój w tym czasie ukrywał się. Zmizerniał, schudł i zmienił się nie do poznania... Później, nie widząc innego wyjścia z krytycznej sytuacji, skorzystał ze szczęśliwego zbiegu okoliczności i objął posadę agenta ubezpieczeniowego w Pozn. Zakładzie Ubezpieczeń „Vesta“ (Posensche Feuer-Versicherungs-Sozietät). Trzeba było przecież z czegoś żyć! Lecz nie udał się ten wybieg. Ktoś widocznie powiedział jedno słówko za wiele i — w styczniu 1943 roku zabrano go do Poznania, gdzie uwięziono we forcie VII.

Mieliśmy od niego jakimś sprytnym sposobem przemycane listy, zawierające bardzo dużo rozmaitych wiadomości. Z nich wynikało, że dn. 20. 1. 43 znajdował się w celi 39, dn. 12. 3. 43 w więzieniu przy ul. Młyńskiej, dn. 16. 4. 43 znów we forcie VII w celi 1, dn. 25. 5. 43 w celi 14, dnia 6. 6. 43 pisał z Warszawy, z więzienia przy ul. Daniłowiczowskiej 7, później zaś, dn. 6. 7. 43, z Lublina (z Majdanku, Pole 4). Na tym się skończyło. Dnia 14 listopada 1944 r. dostaliśmy stamtąd urzędową wiadomość o jego śmierci, która nastąpiła dn. 1 października 1943 r.

Matka po tym nieszczęściu zmuszona była pracować w jakiejś szmaciarni, wypłatając jakieś pasy z rozmaitych strzępów materiałów. Siostra brała w tym czasie tajne lekcje polskiego, historii, geografii, religii i rachunków u p. Fasińskiej, byłej nauczycielki szkoły powszechnej w Szamotułach. Ta pani przygotowała ją do kl. 6, później jednak musiała swą działalność zawieść, ponieważ Niemcy czegoś się domyślali i tajne nauczanie zaczęło być zbyt niebezpieczne.

Ja zaś 1 czerwca 1940 roku zostałem — dosłownie gwałtem — wysłany do Rzeszy. Z olbrzymim transportem wywieziony zostałem w głąb Niemiec. W Berlinie zaopatrzone nas w oznaki z literą „P“, które każdy zobowiązany był nosić mocno przyszyte na ubraniu, na prawej piersi. Wydano nam dokumenty z odciskiem palca i ze zdjęciem fotograficznym każdego z nas, „upiękuszonym“ wielkim „więziennym“ numerem. Odczytano

nam okólnik z rozporządzeniami dotyczącymi Polaków, zapowiadając z góry, że ten fakt musi być utrzymany w tajemnicy.

Przede wszystkim zabroniono nam wszelkiego rodzaju schadek i zgromadzeń. Ostrzeżono, że nie wolno nam pod żadnym warunkiem bez specjalnego zezwolenia policji wychodzić poza obręb miejsca zamieszkania, korzystać z jakichkolwiek środków lokomocji, uczęszczać do restauracji, kin, teatrów, a nawet, jak się później okazało, do kościoła. Ba, w ogóle zabroniono nam domagać się czegokolwiek... Wszelką opieszałość lub samowolne opuszczenie miejsca pracy miano uważać za akt sabotażu, a nawiązywanie kontaktu z jeńcami wojennymi tej samej lub innej narodowości, nawet z Niemcami, miało być karane jak najsurowiej. Ostrzeżono nas też, że jeśli ktoś nie będzie przestrzegał godziny policyjnej lub zarządzeń administracyjnych, pociągnięty będzie do odpowiedzialności.

Z Berlina porozysłało nas w najróżniejsze strony Niemiec. Dostałem się do Spreewaldu, mianowicie w okolicę miasta Lübben (gdzie były międzynarodowe oflagry) do Schönwalde. Tam u gospodarza, niejakiego Klauscha, pracowałem przez 3½ miesiąca. Nie przyzwyczajony do wysiłku fizycznego, nie mając pojęcia o pracy na roli, stale byłem łzony, aż raz wysmagano mnie batem i przeniesiono dn. 19. 9. 40 r. do Kaden w tymże powiecie. Tam u gospodarza — nazwiskiem Mrose — zatrudniony byłem jako parobek do dn. 14. 10. 41. Ustawiczne szykany, ciągle wytykanie palcem i poniżanie mej godności narodowej przez moich „szefów“, zaślepionych propagandą hitlerowską, stale w kółko powtarzających o „polskich świniach, które 60 tysięcy Niemców wymordowały w Bydgoszczy“ — wszystko to mogło człowieka doprowadzić do obłędu, tym więcej że władam dobrze językiem niemieckim i każde słowo było dla mnie jak sztylet wbijany w serce. Gdziekolwiek człowiek się ruszył lub gdy czegoś potrzebował, wszędzie panowała ciężka atmosfera nienawiści do Polaków, którzy — jak wieść niosła — „są mordercami 60 tysięcy Niemców w Bydgoszczy, zwyrodnialcami wyzutymi z czci i sumienia, złodziejami i — jeszcze raz! — mordercami 60 000 Niemców w Bydgoszczy.“

Czyż można było wytrzymać, bohatersko nosząc na piersi oznakę „P“ i stale będąc łżonym przez szalonych, po siedemkroć przeklętych fanatyków idei hilterowskich?... Nikt nie wstydził się nosić swój „order“ ani nie wstydził się swej polskości. Jeden z moich kolegów głośno wypowiedział słowa: „Nie wstydzę się, że jestem Polakiem, przeciwnie, dumny jestem z tego. Lecz wam za to przyjdzie wstydzić się, żeście się Niemcami urodzili!“ Za te słowa został ukarany: zabrano go do obozu karnego i nigdy go już więcej nie widziałem.

Mnie jakoś zawsze Bóg miał w Swej opiece. Kilkakrotnie starałem się odpierać ciosy, lecz odpowiedzią na to było nasłanie na mnie policjanta, który zbiwszy mnie po twarzy, ostrzegał, że jeśli raz jeszcze powtórzy się coś takiego, pójdę i ja do obozu.

Stosunek „szefów“ do mnie stał się jeszcze trudniejszy do zniesienia. Udałem się do „Arbeitsamtu“ z prośbą o zmianę miejsca zatrudnienia. W odpowiedzi ukarano mnie grzywną za samowolne opuszczenie miejsca pracy. Postanowiłem więc tak pracować, aby mnie wysłano albo do obozu karnego, albo do innej miejscowości. Przestałem się krępować... Każdy zarzut zbijałem z miejsca zarzutem, każdą pracę wykonywałem tak, aby pozostawiała wiele do życzenia. Innej rady znaleźć nie mogłem. Ot, jak to mówią: „ryzyk — fizyk — uda się, albo nie.“

Poznali we mnie upartego Polaka. „Der polnische Student“ — wyrażali się o mnie ironicznie między sobą. Rezultat był taki, że przez kilka dni dostawałem obcięte do minimum racje żywnościowe, a później nagle przeniesiono mnie gdzie indziej.

Widocznie Bóg miał mnie w Swej opiece! Od 15 października 1941 roku miałem rozpocząć pracę w Gossmar, pow. Luckau Nieder/Lausitz, u gospodarza, nazwiskiem Haschke. Ten jednak zasięgnąwszy informacji co do mojej osoby, kazał mi po 24 godzinach szukać pracy gdzie indziej. Przydzielono mnie wtedy do gospodarza w Luckau, niejakiego Klinkmühlera, który jednak nie trzymał mnie dłużej niż miesiąc, nie mogąc pogodzić się z tym, że władając językiem niemieckim rozumiałem wszystko, o czym Niemcy między sobą mówili. Było mu

solą w oku to, że nie rozstawałem się nigdy z polską lekturą. Widząc, że potrafię rozmówić się z Francuzami, Ukraińcami, Czechami, Jugosłowianami i Rosjanami i że nieraz prowadzę z nimi dłuższe dyskusje, z czego on ani słowa nie rozumiał, wydalili mnie dnia 17 listopada 1941 r., oddając do dyspozycji władz.

Te jednak nie mogły mi dowieść żadnego przestępstwa, skierowały mnie więc do miejscowości Falkenhain w pow. Luckau, gdzie u majątnego gospodarza — nazwiskiem Kretschmann — byłem na obserwacji. Niejednokrotnie rozmawiali ze mną ludzie, którzy — jak wyczułem — mieli za zadanie wybadać mnie i dowiedzieć się o moich przekonaniach względem reżimu hitlerowskiego. Byłem więc przez okrągły rok potulny jak baranek oraz liczyłem się ze słowami i czynami do tego stopnia, że zmyliłem całkowicie czujność donosicieli niemieckich. Z drugiej strony przyznać muszę, że traktowano mnie nienajgorzej, toteż powoli zrównoważyłem się wewnątrz. Nie byłem zresztą sam, bo miałem współkolegę Polaka, z którym razem pracowałem. Później przybył jeszcze jeden robotnik, Ukraińiec, a w końcu pewna rodzina polska, wysiedlona z okolic Przemysła.

Gdy wyczułem, że nikt już na mnie większej nie zwraca uwagi, zacząłem się brać do cichej „roboty“. Wszyscy Polacy z całej wsi, w liczbie 38, czuli do mnie sympatię i ufali mi. „Krzyżacy“ Sienkiewicza i Mickiewicza „Pan Tadeusz“, książki, stanowiące moją własność prywatną, były przez nich czytane z wypiekami na twarzy i stale były w obiegu. Jedna z matek prosiła, bym uczył jej córeczkę 8-letnią czytać i pisać; blisko więc pół roku udzielałem jej lekcji polskiego i rachunków. Przychodzili do mnie często koledzy, którzy szeregowali się przeważnie z niższych klas społeczeństwa. Ciesząc się ich poważaniem, musiałem rozstrzygać wszelkie kwestie sporne, a także tłumaczyć treść anglo - amerykańskich i rosyjskich ulotek, drukowanych w przekładzie niemieckim. Kawalerski mój pokój na strychu zamienił się w miejsce tajnych schadzek.

Zawsze jednak czujni moi „szefowie“ zaczęli znów coś węszyć. Częste kontrole policji kończyły się fiaskiem, gdyż dzięki swemu sprytowi i organizacji nigdy nie zostaliśmy zaskoczeni niespodziewanie: każdy w odpowiedniej chwili zdołał się ulotnić do domu.

Pogorszył się jednak stosunek Niemców do mnie i zaczęli szukać jakiegoś punktu zaczepnego. Jakąkolwiek pracę wykonywałem, czy cięższą, czy lżejszą, uznawali ją teraz stale za mało doskonałą. Pewnego razu — było to 6 marca 1944 roku — mój „szef“ zaczął czynić mi rozmaite wyrzuty. Łącząc mnie na swój germański sposób, uderzył mnie parokrotnie w twarz.

Zastrąkowałem i nie poszedłem do pracy. Policja zabrała mnie do więzienia w Jetsch, pow. Luckau. W pierwszych trzech dniach głodzono mnie tam, później zaś odżywiano mikroskopijnymi porcyjkami, bijąc i popychając.

Po 8 dniach wysłano mnie do Luckau, gdzie z powodu braku sił roboczych niemieckich zatrudniano we fabryce prądnic „Fimag“ Polaków z różnych obozów karnych (z Frankfurtu n. O., Breetzu i innych miejscowości), którzy nie odcierpieli jeszcze całkowicie za swoje „przewinienia“, np. za ucieczkę, nieostrożne słowa, za pobicie Niemca, „sabotaż“ itp. Polacy ci wykonywali najcięższe prace w tzw. „kolumnie podwórzowej“. Zaliczono mnie do nich. Musieliśmy dźwigać wielkie ciężary nawet na deszczu i w spiekocie, bez odpoczynku prawie, bez względu na to, czy była niedziela, czy nie. Nie upadaliśmy na duchu, choć nie było dnia, aby któregoś z nas policja fabryczna nie odprowadziła do specjalnej ubikacji na „wytrzepanie gumowymi pałkami“.

Trzy miesiące pracowałem w takich warunkach. Poznałem tutaj życie obozowe, w którym obowiązywała nas karność i posłuszeństwo. Trzeba było przywyknąć do marnych porcji żywnościowych. Stale byłem pod obserwacją, a jednak w gromadzie czułem się lepiej. Prędko przyzwyczałem się do nowego trybu życia i zjednałem sobie życzliwość całej kolumny kolegów.

Nagle z głównej fabryki reflektorów, chłodnic i prądnic (na 24, 40 i 80 KW) marki „Fimag“ z Finsterwalde przyszło do na-

szej fabryki zapotrzebowanie robotników. Wybrano najlepiej prowadzących się Polaków i — widocznie przez pomyłkę — wliczono między nich i mnie.

Nasze miejsca zajęli polityczni więźniowie niemieccy.

6. 6. 1944 r. rozpocząłem pracę we Finsterwalde, czując się tutaj prawie jak na wolności. Nasamprzód pracowałem w elektrycznej spawalni, później zaś kolejno w malarni, wiertarni, „sztancowni“ i dziale budowy chłodnic.

W fabryce tej było zatrudnionych przeszło 2 tysiące Polek i Polaków, około tysiąca Francuzów i bardzo wielu Ukraińców, Włochów, Rosjan, Węgrów, Holendrów, Belgów, Czechów, Serbów i Niemców. Robotnice i robotnicy ci pracowali na dwie zmiany — we dnie i w nocy. W „lagrze“ wyżywienie było marne, a pchły, wszy i pluskwy nie dawały spać, lecz mimo to czułem się swobodniejszy.

10 grudnia 1944 roku z kolegami: Krajewskim z Zamościa i Strzelczykiem z Łodzi — zorganizowałem P. A. K. T., czyli Polskie Amatorskie Koło Teatralne. W rekordowym czasie pokonawszy wiele trudności „urobiliśmy“ naszego lagerführera i zbudowaliśmy własnymi siłami przy współpracy kolegów scenę w świetlicy „lagrowej“. P. Krajewski wziął na swe barki kierownictwo, p. Strzelczyk reżyserię, a ja wykonanie dekoracji. Zebrała się wokół nas grupa młodzieży i w dniu 25 grudnia 1944 roku wystawiliśmy po raz pierwszy na scenie komedijkę w 4 aktach pt. „Muchy Kleparskie“ (podobną do komedii J. Korzeniowskiego: „Majster i czeladnik“) dla Polaków pracujących we „Fimagu“. Na przedstawieniu było około tysiąca widzów. Już pierwszym przedstawieniem pozyskaliśmy sobie wśród Niemców coś w rodzaju szacunku. Nie spodziewali się, że Polacy, ci „podludzie“, to „bydło robocze“, potrafią coś pokazać i zorganizować w przeciągu 14 dni. Scena, jej urządzenia, dekoracje, orkiestra, stroje oraz uszminkowani artyści, zdolni, zgrani — wprost słów im brakło...

Zachęcenii powodzeniem, działając w celu podniesienia ducha wśród polskich wygnańców, wystawiliśmy jeszcze kilka rewii, unikając wszelkich tematów politycznych, 21. 2. 1945 pokazaliśmy na scenie „Okreżne“ Korzeniowskiego, później znów kilka rewii,

a w ostatniej, 6 marca 1945, odtńczyliśmy na zakończenie w 4 pary krakowiaka w strojach narodowych.

Tego było Niemcom za wiele. Rozwiązali całe nasze kółko i wszystkich „artystów“, bez wyjątku, wysłali d. 17 marca 1945 r. do Senftenbergu, pow. Calau. Tam postawili nad nami wartowników i naganiali do kopania rowów i stawiania barykad. Racje żywnościowe znów zmniejszono nam do minimum, a spać kazano na podłodze w sali byłego teatru. Ha, cóż to było za spanie! Właściwie całą noc każdy zajęty był wybieraniem insektów z odzieży. Tak kobiety jak i mężczyźni różnych narodowości wspólnie znosili ten sam los.

Tak upłynął mi czas do dnia 21 kwietnia 1945 r. godziny 11³⁰, kiedy to skorzystałem z nagłego wysunięcia się patroli i czołgów rosyjskich... Dzięki szybkiej orientacji i przytomności umysłu udało mi się przedostać poza linię frontu...

Dziś jestem znów w Lesznie, tak często przeze mnie wspomnianym w czasie przymusowego pobytu na obczyźnie. Nieraz wracam myślą do tych lat, które spędziłem w Niemczech. Wrażenia i przeżycia z tego okresu pozostawiły w moim sercu ślady niezatarte.

5

Jerzy Topuszek

ur. 5. 3. 1926 w Poznaniu.

W czasie okupacji mieszkał w Poznaniu, następnie w Orzechowie, pow. Września. Obecnie znowu w Poznaniu, ul. Żnińska 7.

Uczeń Państw. Gimn. i Lic. im. św. M. Magdaleny w Poznaniu. Kl. I gimn. przysp.

Rok 1939. Nagle, jak grom z jasnego nieba — wojna! Zwaliła się nam straszliwa teutońska nawała. Po krótkich zmaganiach zapanowała pięść niemiecka. Gad niemiecki pokazał nam swoją wysoką kulturę. Czuliśmy, jak zapada nad nami wieko trumny. Skończył się okres 20-letniej wolności. Znikąd żadnej pomocy i ratunku. Zrzućeni do najniższej kasty pariasów, byliśmy traktowani jako bydło robocze, dla którego nie ma miejsca na ziemi, które powinno być wytępione zupełnie. Czyż nie ma już dla nas lepszej doli?

W chwili wybuchu wojny mieszkałem w Poznaniu. Przyjąłem to wszystko ze spokojem. Przecież mamy własną armię, która wroga odrzuci i rozbije. Niepokoila mię tylko myśl o losie ojca, który jako wojskowy stanął w szeregu obrońców. Czy też wróci do domu cały i zdrowy? Natomiast ja z matką wyjechaliśmy z transportem ewakuacyjnym w głąb Polski. Myślałem, że tu przeczekamy spokojnie do końca tego bałaganu. Aż tu pewnego dnia zbombardowały i ostrzelały nas niemieckie samoloty, zauważywszy przechodzące obok nas wojsko. Na szczęście było tylko pięciu rannych żołnierzy i jedna kobieta.

Kilka dni później zbliżyły się do nas oddziały polskie i niemieckie. Znaleźliśmy się między liniami. Granaty artyleryjskie zaczęły z warkotem i gwizdem przelatywać nad nami. Co tu robić? Złapaliśmy w ręce parę tobołków i nura do lasu. Całą noc trwała walka. Nad ranem, kiedy już zamilkły odgłosy bitwy, postanawiamy wrócić do domu. Wychodząc z lasu spotykamy na drodze niewielki oddział. Grzybiaste hełmy, ponure twarze. Niemcy. Zrozumiałem, że straciliśmy coś najdroższego człowiekowi, to jest wolność.

Jestem już z powrotem w kochanym, starym Poznaniu. Nie ucierpiał wiele wskutek działań wojennych. Na ulicach widzę masy wojska i dużo niemieckich chorągwi. Na razie jest spokój. Ale to tylko tymczasowy. W składach jeszcze jest towar. Płaci się polskimi pieniędzmi i można sobie coś kupić. Parę dni później obsadza miasto policja. Zjeżdżają się masowo Niemcy do swego, jak głoszą, prastarego niemieckiego miasta Poznania. Sytuacja się pogarsza. Zaawansowaliśmy do godności „polskich świń“. Na każdym kroku szykany i bicie po twarzy. Czyż możemy równać się z narodem panów? Mało tego. Zaczyna się masowe wywłaszczanie Polaków z mieszkań. Wywożą ich do protektoratu na głód, poniewierkę, a może nawet na śmierć. Gdy budzę się w nocy słysząc warkot samochodu, skóra na mnie cierpnie ze strachu. Może to po nas jadą i wyrzucą gdzieś na dworze obdartych z mienia. Zakładają ogromne obozy śmierci, obozy zniszczenia. Czyż nie ma kary za te podłości i szaleństwa? Pomsty, pomsty!

Pewnej nocy zostałem aresztowany. Za co, nie wiem do dziś. Ja, smarkacz czternastoletni, miałem być groźnym przestępcą politycznym. Ja miałem podkopywać państwo niemieckie. Odprowadzono mnie do Domu Żołnierza, w którym panowało osławione Gestapo. Po krótkim przesłuchaniu i paru uderzeniach po głowie odwieźli mnie do fortu nr VII. Tam odebrawszy po drodze kilka szturchańców stanąłem pod drzwiami celi nr 34. Potężny kopniak pomógł mi „wjechać“ do celi. Zobaczyłem na barłogach pod ścianami około trzydzieści bladych cieni. Zrozumiałem, że wpadłem na dobre i chyba jakimś cudem mogę się stąd wydostać. Rozpacz ogarnęła mnie wielka. Wozili mnie dwa razy na przesłuchy do Gestapo. Za każdą taką przejażdżką dostawałem tęgie lanie. Nic mi jednak nie udowodnili. Po dwóch miesiącach nareszcie wypuścili mnie z ponurych murów fortu siódmego. Do domu leciałem galopem. Byle jak najdalej, jak najdalej.

Pracowałem w fabryce przy obróbce drzewa. Dwunastogodzinny czas dość ciężkiej pracy bardzo wyczerpywał. A tu stale pędzili, wciąż im mało i mało. Mijają lata. Żadnej zmiany. Niemiecka potęga wciąż rośnie i coraz to nowsze sukcesy. A Polska krwawi wciąż pod butem okupanta. Masy synów polskich giną. Ojczyzno! Czy już nigdy nie zrzucisz z siebie hańbiących kajdan?

Nieraz myślałem sobie, czy w ogóle wróci ta upragniona i wyczekiwana wolność. Pocieszałem się usłyszanymi wiadomościami. Gdy dowiedziałem się, że niemiecka ofensywa na wschodzie się załamała, a na zachodzie rozpoczęła się inwazja, odżyłem. Jest jednak sprzymierzeniec, który może poskromić i rozbić w proch naszego ciemięzcę. Odtąd Niemiec ponosi klęskę za klęską. Nie ma już tych bajkowo opisanych wyczynów. Grunt spod nóg się usuwa. Pomimo to wciąż nowe hasła, nowe nawoływania. Teraz już wiem, że Polska będzie, że powstanie z letargu. Teraz już wiem. Oczekuję wyzwolenia.

Przyszedł wreszcie ten upragniony dzień. Nie ma najeźdźcy i gnębiących nas praw. Żyjemy! Nie wierzę, że to prawda; to sen lub złudzenie. W mieście pełno biało-czerwonych flag. Więc to jednak prawda! Wolność!...

Sabina Kotlarkówna

ur. 27. 7. 1928 w Wielichowie, pow. Kościan.

W czasie okupacji po powrocie z uchoźtwa w Ostrowie Wlkp., w dniu

8. 8. 1944 wywieziona na tzw. „Einsatz“. Obecnie: Kępno, ul. Kościuszki 4.

Uczennica Państw. Gimn. i Lic. w Kępnie, kl. IIIb gimn.

3. IX. 1939. Trzeci dzień już mija od chwili, gdy rozpętała się straszliwa burza wojenna...

Stoję wsparta o ścianę naszego węglowego wagonu i spoglądam w dół z zaciekawieniem. Ta jazda w towarowych wagonach, sen pod gołym niebem, ciągnące szosami sznury uciekinierów wraz ze swym dobytkiem, nie widziane jeszcze okolice, tryb życia tak odmienny od dotychczasowego — wszystko to bawi mnie niepomrotnie i dostarcza wielu niezaznanych dotąd wrażeń i emocji. Dla mnie ta cała ewakuacja jest jakby przedłużeniem wakacji, które zawsze tak szybko mijają i w serduszkach dziecięcym pozostawiają po sobie żal, tęsknotę i miłe wspomnienia. Słońce oświeca rozciągające się przede mną pola ziemniaków i brukwi, zniszczone i podeptane. Nieco dalej zauważam ruiny wioski, ni śladu tam życia ludzkiego, tylko kominy odymione sterczą sponad dymiących zgłiszczy.

Pierwszy to obraz spustoszenia wojennego, więc czyni na mnie ogromne wrażenie. Serce ściska mi się boleśnie i zadaje sobie pytanie: co stało się z mieszkańcami wioski? — Wszyscy pasażerowie w przygnębieniu spoglądają na to dzieło wojennego zniszczenia. Lecz pociąg posuwa się stale, choć zwolna — i spalona wioska niknie nam z oczu. Po chwili sieć torów kolejowych zagęszcza się — wjeżdżamy na stację kolejową małego miasteczka. Na budynku dworcowym widnieje napis: Zielkowice. Pociąg nasz zwalnia coraz bardziej, wreszcie staje. Niebezpiecznie jest zatrzymywać się na stacjach, więc pasażerowie domagają się, by pociąg wyruszył. Niestety, jest to niemożliwe, transport nasz bowiem znajduje się między dwoma innymi, prócz tego w odległości 1½ km w kierunku Warszawy tor jest uszkodzony. Niezadowolenie wzrasta. Wtem rozlega się przerażliwy krzyk: — Samoloty jadą!

Spoglądam w górę i spostrzegam na błękitie nieba kilkanaście punkcików. Maleńkie, srebrne, połyskujące w promieniach słońca. Jadą zwolna i ociężale. To bombowce niemieckie. Są bardzo wysoko i warkotu ich wcale nie słychać. Zaczynam je liczyć: „Raz, dwa, trzy“... lecz w tej chwili huk ogromny wstrząsa powietrzem, potem drugi i trzeci. Przerywam obserwację i wspinam się na krawędź wagonu, chcąc zobaczyć, co się stało, ale czyjaś ręka ujmuje mnie gwałtownie i ściąga mój czerwony sweterek, przy tym słyszę głos: — Nie można mieć nic czerwonego ani białego na sobie, bo to z góry widać...

Patrzę ze zdumieniem na mówiącą osobę. Czyż z wysokości kilku tysięcy metrów widać mój wyblakły sweterek? a teraz tak mi zimno...

Padają coraz to nowe bomby. Huki ich wybuchu, głośny ryk spóźnionej syreny alarmowej, krzyki przerażonej ludności tworzą przeraźliwą kakofonię. Z dworcowego budynku wybiega komendant placówki O. P. L. i nakazuje wychodzić z wagonów i uciekać w pole. Ludzie gwałtownie pchają się ku wyjściom, zeskakują z wagonów, wyrzucają bagaże. Harmider, popłoch, zamieszanie...

W naszym wagonie pierwsza porywa się ku wyjściu owa nerwowa osoba, która uprzednio zdjęła mi swetr. Wyrzuca swe walizki, gdy wtem pada bomba zapalająca i ogarnia je płomieniem. Nowy krzyk i lament.

Bomby padają coraz gęściej po obu stronach pociągu oraz na polach, żadna natomiast nie trafia w wagony. Ludzi ogarnia jednak coraz większy popłoch. Biegają z miejsca na miejsce, nie wiedząc, w którą stronę się zwrócić. Wszędzie bomby, wszędzie czyha śmierć...

Ostrów, VI. 1940 r. — Siedzę z robótką w ręku i wspominam wypadki minionych dni wojny...

Szczęśliwie powróciliśmy z ewakuacji. Dola wysiedleńcza ominęła nas również — więc mam to, co uszczęśliwia, jak dziś ogólnie utrzymują, jednak ja wcale szczęśliwa nie jestem. Czuję brak szkoły, mimo że dzień cały mam wypełniony pracą — i niezmierzoną pustkę w życiu. Teraz wiem dopiero, czym jest wolność, teraz, gdy mi ją odebrano. Zrozumiałam

przez te miesiące wojenne wiele rzeczy, które uprzednio były mi nieznane, spoważniałam, więc z politowaniem uśmiecham się, wspominając mój entuzjazm i dzieciinną radość z powodu ewakuacji...

Nie mam żadnych osobistych życzeń, wszystkie skoncentrowały się w jednym potężnym uczuciu, którym jest tęsknota za wolnością. W sercu mam silną nadzieję, że powróci ona szybko...

Nie zdaję sobie sprawy, na czym właściwie ta moja nadzieja i pewność oparta; ale idąc za ogólnym popędem, wpatruję się w Paryż, jako na ostatnią i niezawodną deskę ratunku. Wypadki bynajmniej nie układają się pomyślnie, wróg zajął Belgię, Holandię, połowę Francji i stoi teraz pod Paryżem, z którego my wyczekujemy pomocy i pobudki do zrzucenia kajdan.

Im dłużej myślę na ten temat, tym jaśniejsza wydaje mi się przyszłość; tak promienna, jak jutrzienka wschodząca — i wzruszająca, i do głębi serc przenikająca, jak melodia, która przez uchylone okno płynie do pokoju i budzi mnie z rozmarzenia.

Zrywam się z miejsca i razem z moim bratem wyglądam przez okno. Ulicą maszeruje oddział żołnierzy niemieckich z bębнами i trąbami; co chwila zatrzymują się, biją w bębny i dmą w trąby, ogłaszając wszystkim stronom świata wieść o nowym zwycięstwie. Za nimi biegnie tłum ludzi krzycząc z uciechy.

„Paryż padł!“ — jeden potężny okrzyk wybija się ponad wszystkie inne, rozlega się złowrogim echem wśród murów kamienic, a w sercu moim znajduje bolesny oddźwięk. Czuję, że grunt usuwa się nam pod nogami i znika ostatnia deska ratunku, a cały ten gmach nadziei, który w sercu zbudowałam i z pieczołowitością wielką strzegłam, rozpada się w gruzy...

Ostrów, wrzesień 1942 r. — Pracuję od kilku miesięcy jako „Kindermädchen“ i wykonuję wszystkie możliwe w gospodarstwie domowym prace.

Jakie przykre zajęcie, a przy tym dni tak niemiłosiernie się wloką! Od wpół ósmej rana do dziewiątej wieczora pracuję naprawdę machinalnie, bo ani trochę zapалу ni życia w czyn-

ności moje nie kładę. Milczę prawie cały dzień, odpowiadam tylko zapytana. O czym mam mówić z Niemcami?...

...Zresztą widzę jasno, jak wielka przepaść nas dzieli; oni przedstawiciele „herrenvolku“, a ja zepchnięta do roli „untermenscha“. Nie chcę więc ich nadludzkiej godności ubliżać przez narzucanie się z rozmową, przy tym czuję moją wyższość i dumę z powodu przynależności do narodu męczeńskiego i prawego. Duma ta nie pozwalała mi szukać niczyjej protekcji i dlatego znajduję się na takim stanowisku...

Ostrów, 17. VIII. 1943 r. — Z gorączkowym niepokojem i podnieceniem słucham wiersza deklamowanego przez ośmioletniego chłopca, a jednocześnie spoglądam na zegar.

Jest godzina 15,45. Za kwadrans rozpocznie się akademія, urządzona przez Z. H. P. Teraz ostatnie przygotowania, generalna próba. W pokoju przeznaczonym na występ gromadzą się już goście. Czwarta część pokoju, mająca służyć za widownię, zasłonięta jest „kotarą“ zrobioną z kilku białych obrusów, na niej widnieje lilijka, krzyż harcaerski oraz data: 15. VIII. 1920 — dzień „Cudu nad Wisłą“, bohaterstwa i męczeńskiej śmierci tylu polskich harcerzy, a zarazem dzień triumfu i niesłuchanego zwycięstwa. Obchodzimy go bardzo uroczyście, chcąc uczcić poległych bohaterów, a przypomnieniem „Cudu“ wlać w serca nową otuchę. Prócz tego dzień ten dla naszej drużyny jest specjalnie uroczystym świętem; przed dwoma laty bowiem odbyło się poświęcenie sztandaru i przyrzeczenie pierwszych członków, do których się również zaliczałam. Od-tąd dzień ten obchodzimy szczególnie uroczyście.

Zegar ścienny wybija godzinę czwartą...

Zamykamy na wszystkie możliwe sposoby drzwi wejściowe, przysuwamy do nich szafę i zaczynamy. Druh drużynowy Drapieżny Orzeł, zagaja uroczystość. Mimo swego nazwiska nie jest wcale tak groźny; przemawia prosto, łagodnie i serdecznie, wskazuje cel, dla którego się dziś zebraliśmy. W oczach słuchaczy błyszczą łzy.

Program postępuje punkt za punktem. Deklamacje, referaty, śpiewy. Wszyscy śpiewają, jak mogą najgłośniejszym, w danej chwili nikt nie pamięta, że można się tym narazić. Zresztą i w dobo-

rze piosenek przebija pewna przezorność; oprócz hymnu narodowego i kilku innych śpiewane są przeważnie nowoułożone piosenki na melodie niemieckie. Na korytarzu bowiem słysząc każdą melodię, natomiast słowa trudno rozróżnić.

Zbliża się najuroczystsza chwila akademii.

Na dane hasło obecni powstawają, druh chorąży wnosi sztandar, który budzi nasz zachwyt, choć wspaniałością nie może równać się z przedwojennymi. Patrzymy nań ze wzruszeniem. To nasz sztandar! Nasze godło!

Stoimy wyprężeni na baczność. Za chwilę rozbrzmiewa potężna pieśń:

W niewoli płyną całe lata...

Śpiewamy z ogromnym zapałem i podnieceniem, zwłaszcza refren, będący streszczeniem naszych uczuć i pragnień, wypada potężnie. Teraz bez wątpienia idący po schodach usłyszaliby jego słowa — i jeśli by był Polakiem, dołączyłby swój głos do naszego wołania:

...bo my chcemy, bo my chcemy wolną Polskę mieć!...

Jeśli by zaś był Niemcem, zdziwiłby się, słysząc niezrozumiałe słowa śpiewane na melodię hymnu Trzeciej Rzeszy:

...denn wir fahren gegen England...

Zwolna pieśń cichnie, lecz wszyscy stoją, gdyż trzej harcerze składać mają teraz przyrzeczenie harcerskie. Kładą na drzewcu proporca dwa palce prawej ręki i uroczyście wypowiadają słowa przyrzeczenia: „Mam szczerą wolę całym życiem pełnić wierną służbę Bogu i Polsce.“

Następnie drużynowy przypina im do mundurków krzyże harcerzy III stopnia. Teraz już kilku spośród widzów nie mogąc się powstrzymać, szlocha głośno.

Jednak my nie dozwalamy nikomu długo się rozczulać. Odśpiewujemy Rotę Konopnickiej, poczem następuje trzecia część uroczystości, której program wypełniliśmy żarcikami, anegdotkami, loteriami, grą itp.

Na scenę wychodzą dwie dziwaczne postacie, aż dzieciaki na ich widok pootwierały buzie i wytrzeszczyły oczy. Idą wolno i zatrzymują się nad płonącym w pośrodku ogniskiem, zrobionym z lampek elektrycznych, osłoniętych czerwoną bibułą. Jeden osobnik dobywając zza pasa szabli, cieniuchnym głosem śpiewa:

*To jest owa słynna szabla, oj,
którą Kain zabił Abła, oj...*

Na to drugi, błyskając dwoma skrzyżowanymi sztyletami, wtóruje mu basem już bardziej aktualną zwrotkę:

*To są owe słynne miecze, oj!
wiedz o tym, miły człowiecze, oj!
że w braku szabli, rapiera, oj!
niesiemy je na Hitlera, oj, oj, oj!*

Wybuchy śmiechu rozdzielają każdą zwrotkę. Wreszcie, ku ogólnemu żalowi śpiewacy odchodzą, a na ich miejsce ukazuje się jakiś człowiek, za wędrowca przebrany, z torbą podróżniczą przewieszoną przez ramię. Z daleka przychodzi, pragnie rozgrzać się przy ognisku, siada więc i wyśpiewuje zasłyszane nowiny:

*Czy wy, ludzie, o tym wiecie,
z Niemcem kruchą dzisiaj w świecie...*

— — — — —
*Wiecie wy, że w Ameryce
wojska pełne są ulice?
Wszystko się gromadnie zbiera
do generała Hallera.*

Wszyscy pokładają się ze śmiechu, tak wesołe i dowcipne są niektóre zwrotki. Burza oklasków zrywa się co chwile. Lecz zwolna ognisko przygasa.

Po wyczerpaniu wszystkich punktów programu kładziemy na stół gry towarzyskie. Wśród miłej zabawy czas szybko upływa. Zegar wybijający godzinę wpół dziesiątą przypomina,

że czas zakończyć. Smutna powinność, jednak nikt nie chce przez przekroczenie godziny policyjnej wpaść w ręce Gestapo. Kończymy więc pieśnią: „Pod Twoją obronę...” — wysyłamy patrolkę dla zbadania, czy schody i najbliższa „okolica” bezpieczne, poczem wszyscy rozchodzą się.

Pozostaję w opustoszałym pokoju wraz z kilkoma „Orłami”. Do nas należy posprzątanie, zatarcie śladów dzisiejszej uroczystości. Pakujemy sztandar w papierową teczkę i chowamy na strychu, pod podłogą. Referaty, wiersze, program, protokół — wszystko to jako pamiątki dzisiejszego obchodu zostaje spakowane i włożone do skrzyni z piaskiem, stojącej na korytarzu. W mieszkaniu jest niebezpiecznie przechowywać cokolwiek.

Rozmawiamy żywo o minionej uroczystości. Jak też pięknie było! Szkoda, że już minęła tak prędko, a jutro trzeba znów iść do pracy...

Na to wspomnienie dreszcz mnie przejmuję. Czemuż chwile radosne są tak rzadkie i krótkie, a prócz nich życie jest ciągłym pasmem udręczeń, trosk i pracy? — pytam w duszy, a jednocześnie zdaje mi się, że echa prześpiewanych pieśni, wspomnienie uroczystości i straszne widmo niewoli szepcą mi odpowiedź: Nie każde, tylko niewolników życie jest takie!

S i e m k o w i c e, 26. VIII. 1944 r.

*Posłuchajcie, wy, cywile,
jak to na okopach mile...*

— śpiewa dziarsko kolumna ludzi, maszerując drogą przez las. Każdy ma łopatę przerzuconą przez ramię, plecak lub torebkę w rękę. Maszeruję wraz z innymi, dźwigając ogromną siłę. Na twarzy mam uśmiech, gdyż ta cudowna pogoda wprawia mnie w doskonały humor. Spójrzcie tylko, jak tu pięknie! Brzozy szumią na wietrze, na ziemi spośród mchu wychylają się gdzieśgdzie czerwone kapelusze muchomorów, słońce pomarańczowym blaskiem prześwieca między drzewami.

Zmieniła się całkowicie moja praca i jak dotychczas — po-
wiem szczerze — jestem zadowolona z tej zmiany. Boże, jak

duszo i nieprzyjemnie było siedzieć cały dzień w mieszkaniu, cerować, sprzątać lub uczyć dzieciaka czytać i pisać po niemiecku! Cały dzień słyszeć tylko niemiecką mowę! Tutaj przynajmniej można mówić po polsku.

Już dwa tygodnie znajduję się na okopach. Wywiezienie moje było dla rodziców ciosem ogromnym, ale ja sama zbyt nie przejmowałam, owszem, czułam nawet ciekawość, jak to życie okopowe wygląda, a przede wszystkim chęć jakiegokolwiek zmiany. Wprawdzie, gdy wyjeżdżałam, ścisnęło mi się serce i na ustach zawisło właściwe każdemu wygnańcowi naszych czasów pytanie:

— Czy powrócę?

Czułam, jak łzy napływają mi do oczu, więc zacisnęłam szybko powieki nie chcąc, by wypłynęły. Za nic w świecie nie chciałam okazać, że smucę się, przeciwnie, humorem moim i pogodą pocieszyć pragnęłam rodziców i dodać animuszu braciom, którzy całą czwórką odprowadzili mnie na dworzec. Odjeżdżałam wśród grzmotów i błyskawic szalejącej burzy — wszystko w ogóle nastrajało mnie smutno, toteż w pierwszych dniach mego pobytu tutaj czułam się ogromnie przygnębiona. Ale teraz słoneczna pogoda lata udzieliła się i mnie — więc cieszę się terazniejszą dobą i staram przywozić na pamięć tylko to, co piękne i dobre, a zapomnieć o wszystkich złych stronach życia.

Śpimy w stodole na słomie, mamy więc bardzo zdrowo, tylko zdaje się, trochę za dużo świeżego powietrza — bo stodoła wrót wcale nie ma, a dach dziurawy jak sito. Dobrze, że deszcz nie pada.

Wstajemy o 5 rano, śpiewamy wspólnie „Kiedy ranne“, przygotowujemy na cały dzień prowiant i udajemy się do pracy. Przyjemnie jest pracować w lesie, natomiast w nieocienionym polu upał zbyt dokucza. Często dezertujemy z pola i zapadamy w gąszcz jeżyn, którymi zaspokajamy zarówno głód jak i pragnienie.

Wieczorem po powrocie z pola czeka na nas obiad — szkoda tylko, że tak daleko, bo aż na Bugaju, tj. 4 km stąd. Przynosimy go we wiadrze od razu dla całej grupy, najgorsze, że cza-

sem jest tak okropny, z wielką ilością much i innych przyjemnych i smacznych stworzonek, że nie można go jeść. Wylewamy wtedy całą zawartość wiadra na podwórze ku uciesze psa i kota naszej gospodyni, a sami zmuszeni jesteśmy jeść „dworskie“ kartofle, których pole rozciąga się tuż przy naszej stodole. Po tych wszystkich wyżej wymienionych czynnościach myjemy się przy studni, a potem siedząc na naszych słomianych posłaniach, długo w noc śpiewamy. Tak więc przedstawia się to nasze życie.

Za tydzień mamy jechać do domu. Powiedzieli nam przecież, że zostaniemy tu najwyżej trzy tygodnie... Ilekroć wspominam tę niemiecką obietnicę, na myśl przychodzą mi słowa mego ojca, które powiedział do mnie przy odjeździe: „Pamiętaj, dziecko, że kopanie okopów nie jest celem waszego wywiezienia: jedzicie na zniszczenie i prędzej nie powrócicie, aż czasy się zmienią.“

Nie wiedziałam początkowo, do czyjego zdania się przychylić, teraz jednak przyznaję raczej słuszność rozumowaniu ojca i dlatego z pewną obawą patrzę w przyszłość.

Siemkowice, 24. X. 1944 r. — Budzę się, zdrętwiała z zimna i patrzę wokoło.

Wschodząca jutrzienka różowi wierzchołki drzew i mgłą jeszcze owionięte szczyty dalekich wzgórz. Na polach i łąkach leży szron. Wiatr wieje przez otwory w stodole, porusza zmurzone belki, które skrzypią przeraźliwie. Słyszę, że ktoś maie woła, więc zrywam się szybko i wychodzę ze stodoly. Na drodze stoi Krysia, moja koleżanka, która jest w obozie ożegowskim, we wsi odległej stąd 3 km. Mieszka wspólnie z Zosią J., przyjaciółką moją z dzieciennych lat. Po wyrazie jej twarzy poznaję, że ze złą wieścią przychodzi. Spoglądam na nią pytająco: „Zosia ciężko chora, prosiła, byś przyszła“ — mówi Krysia. Nie namyślając się długo, wskakuję na rower, stojący przed chatą gospodyni, i za chwilę we dwie mkniemy w stronę Ożegowa. Po drodze Krysia opowiada mi przebieg choroby Zosi: „Czuła się źle od kilku tygodni, była kilka razy w C. K., skąd zawsze odesłali ją do roboty. Wczoraj dopiero, gdy już

wstać nie mogła, zawołano lekarza i ten skonstatował tyfus brzuszny. Dziś nie ma już żadnej nadziei, by żyła. Gorączkuje silnie; czasem tylko odzyskuje przytomność i podczas jednej takiej chwili powiedziała, że chce się widzieć z tobą.“

Przejmuje mnie uczucie niezmiernego żalu, łzy ściskają gardło, nie jestem w stanie słowa przemówić. Pędzę z wichrem w zawody, jakieś złowrogie przeczucie mówi mi, że nie zdążę. Biedna Zosia!

Nie wiem już, jak długo trwa ta jazda — wydaje mi się, że wieki całe, że końca jej nigdy nie będzie.

Lecz oto wjeżdżamy do wsi, mijamy kilka chat, zatrzymujemy się przed jedną, na której widnieje plakat z czerwonym krzyżem, i kierujemy się do wejścia. Drzwi jednak zamknięte, nikogo do wnętrza nie wpuszczają. Przez uchylone okno zapłakana sanitariuszka Polka informuje nas, że Zosia przed chwilą umarła...

Leżę na moim słomianym pościeliu i bezmyślnym wzrokiem wpatruję się w dal. Zdaje mi się, że straciłam dzisiaj kilka lat życia. Wierzyć mi się nie chce, uprzytomnić sobie nie mogę, że to się stało...

Wtem rozlega się wesóły śmiech, który drażni mię niewymownie. Helcia, moja współmieszkanka, przynosi mi list i widząc mój smutek śmieje się, chcąc mnie rozweselić. List jest od koleżanki z Ostrowa, sekretarki tajnego związku P. C. K., do którego wstąpiłam przed kilku miesiącami. Jadzia, gdyż takie jest imię wyżej wymienionej, od czasu wywiezienia mnie do okopów listownie donosi mi o nowościach i pracy organizacyjnej. Ostatecznie, otrzymane przed miesiącem wiadomości były niepokojące; Gestapo wpadło na trop organizacji i urządziło rewizję i poszukiwania celem jej wykrycia. Z pewną niecierpliwością rozrywam kopertę i przebiegam oczyma znajdującą się we wnętrzu kartkę zawierającą następujące słowa:

„Wczoraj otrzymałam wiadomość, że nasz nieodżałowany kolega i organizator Bogdan N. po czterodniowym pobycie w obozie koncentracyjnym, a w trzy tygodnie po zaarrestowaniu zmarł, mając lat 18.

Cześć Jego pamięci!”

Brzeźnica, 9. 1. 1945. — Pracujemy w otwartym polu, na wzgórzu, przy rowie przeciwpancernym. Dziś rano termometr wskazywał — 17°C, a ostatnio obiecywali nam, że gdy przyjdzie piętnastopniowy mróz, pojedziemy do domu. Ziemia skuta jest lodem na 20 cm głęboko. Szpadla wcale w nią włożyć nie można, kujemy więc kilofami. Wolno idzie praca. Kilofy tak ciężkie, a ręce słabną coraz bardziej zgrabiałe z zimna nie mogą ich utrzymać. Pracujemy na zmianę, gdyż pik mamy mało, co chwila któraś pęka w zetknięciu się ze zlodowaciałą skorupą i przez to coraz więcej osób stoi beczynn timerznie.

W tych wynędzniałych postaciach nikt z pewnością by dziś nie rozpoznał tych samych ludzi, którzy cztery miesiące temu szli do pracy z piosnką na ustach maszerując dziarsko. Teraz raczej widmom są podobni, twarze ich wychudłe i zsiniałe od mrozu, oczy wpadnięte i zagasłe, powieki opuchnięte, wargi koloru ziemi. Strzepują ręce, chcąc zagrzać się, i na myśl przychodzi owa obietnica trzytygodniowego pobytu na okopach.

Na to wspomnienie śmiech szyderczy i bolesny zarazem wybiega mi na usta: jakże mogłam choć moment jeden być tak naiwna i wierzyć w spełnienie tej obietnicy? Teraz, gdy zima w całej pełni, cel zesłania nas na „Einsatz“ jest aż nadto widoczny. Latem jeden człowiek potrafi wykonać tę samą pracę, nad którą teraz dwadzieścia osób daremnie się trudzi. Ale im przecież o pracę nie chodzi!

Mróz przenika do szpiku kości. Coraz zimniej i zimniej. Ręce i nogi sztywnieją — zda się, że te ślaniające się postacie lada chwila upadną na ziemię, by już nie powstać. Wicher niemiłosiernie smaga po twarzach, przewiewa przez cienkie płaszcze i kurtki. Oddech zamarza na kołnierzach i okrywa je białym szronem. I tak beznadziejnie długo wloką się godziny, tak jak beznadziejna jest ta pustka, wokół nas otaczająca, i dola nasza.

Nic już nie czujemy, ani głodu, ani zmęczenia, czy senności, radości ani smutku — nic, tylko to zimno, to straszne zimno mrozące oddech i krew w żyłach. Serca z wolna pogrążają się w otchłań rozpacz i wątpienia i napelniają buntem — szemrzą

przeciw odwiecznym wyrokom Opatrzności. „Boże, czy to się już nigdy nie skończy?!”

Brzeźnica, 16. I. 1945. — „Wyjdź na powietrze, dziś tak ładnie, a przy tym ruch niezwykle na szosie; popatrzymy trochę” — mówi do mnie Helcia przybiegając ze dworu.

Nie mam ochoty wychodzić, bo moje odmrożone nogi bołą mnie bardzo, ale wreszcie dają się uprosić i wychodzimy na rynek. Powietrze przesycone jest zapachem benzyny, a słońce świeci tak ładnie i radośnie, że aż serce się raduje, patrząc na nie. W górze warczą samoloty, a na szosie w popłochu pędzą tanki, samochody pancerne, czerwonokrzyskie, ciężarowe, wozy, powózki, rowery — wszelkiego rodzaju pojazdy tłoczą się, najeżdżają na siebie i wśród zamieszania i hałasu dążą w kierunku Wielunia. Siedzący na wozach mają twarze przerażone; kobiety płaczą, dzieci krzyczą.

Nie spodziewałam się ujrzeć czegoś podobnego. Serce zabiło mi jakimś niewyraźnym, ale radosnym przecuciem i silnie uścisnęłam ręce koleżanki.

„Może to już... koniec?” — szepnęłam jej w ucho. Ona rozpromienionym wzrokiem spojrzała mi w twarz, ale w tej chwili uwagę naszą zwróciło auto wojskowe, które zatrzymało się w pobliżu. Z niego wysiadło kilku żołnierzy niemieckich. Wyglądali strasznie; twarze mieli brudne od kurzu i dymu, mundury poplamione krwią. Otoczyła ich zaraz gromada niemieckich dzieci i zasypała pytaniami, a oni urywanymi zdaniami zaczęli opowiadać:

„Rosjanie w Radomsku... rano podjechali pod miasto, zbombardowali dwa transporty wojskowe, stojące na dworcu. O 11 wzięli miasto... nasza armia rozbita... cofamy się... następują nam na tyły... zaraz tu będą.”

Wtem słyszymy wesołe krzyki od strony granicy (przez Brzeźnicę biegła granica Niemiec i G. G.), więc odwracamy się. To „nasi” wracają od okopów, ale już bez „sip” i łopat. Jeden przez drugiego krzyczą na nasz widok:

„Rosjanie w Radomsku! Do domu idziemy! Do domu! Obersturmführer i wszyscy szachtmajstrowie uciekli! Do domu wracamy!”

Ze zdziwieniem spoglądam na ten tłum. Ludzie, w których, zdawało się, że tylko iskierka życia się tli, są jakby odrodzeni, jakby ktoś wlał w nich nowy źródło życia. Wychudłe ich twarze rozjaśnione są uśmiechem, oczy błyszczące radością; idą śpiesznie, biegną raczej do kościoła, stanowiącego nasz „lager”. Wtem z przeciwnej strony nadbiegają „chore”, które były zatrudnione w kuchni, i wołają już z daleka: „Do domu wracamy! Wszyscy już zwiali, ani ich nie widać! Nawet sam lagerführer! I siostry z C. K. także! Do domu idźmy!”

Prawdziwy szal radości ogarnia ludzi. Skaczą, tańczą, całują się, opowiadają zasłyszane wieści, które wzrastają do bajecznych rozmiarów.

Rozpoczyna się gorączkowe pakowanie, nie trwające jednak długo, bo każdy zabiera tylko to, co mu pod rękę wejdzie. Reszta rzeczy leży rozrzucona w słomie. Cóż bowiem znaczą te wszystkie drobiazgi wobec ogromu radości, którą w serca ludzkie zlała ożywiona nadzieja w Zmartwychwstanie?!

Ci, którzy są już gotowi, wyruszają małymi grupkami z kościoła. Na cmentarzu stoją termosy z nietkniętym obiadem, ale dziś nikt nań ani nie spojrzy.

Z wielkim pośpiechem kończę również pakować moje rzeczy. Helcia, gotowa już, stoi na dole (ja jestem w trzeciopiętrowym łóżku) i niecierpliwi się. Wreszcie zeskakuję w dół, zakładam plecak, w ręce biorę kartony i wyruszamy śpiesznie. Nie czuję już wcale bólu odmrożonych nóg — zresztą nie mam czasu myśleć o takich blahostkach.

Na dworze jest szaro. Wczesny zimowy zmrok już zapadł. Na niebie zabłysły miliony gwiazd, księżyc majestatycznie wypłynął zza chmur. Mróz zwiększył się znacznie, ściał roztajała za dnia powierzchnię szosy. Co chwila rozbłyskują ognie, huki wybuchów wstrząsają powietrzem, ale my idziemy niczym nie przestraszone, szczęśliwe, że nadszedł wreszcie ten tak gorąco z dawna oczekiwany Dzień Wolności, a z nim chwila powrotu do swych ukochanych.

Sabina Hanna Gruszczyńska

ur. 16. 7. 1927 w Powidzu, pow. Gniezno.

W czasie okupacji przebywała w GG.

Obecnie, po wyprowadzeniu się z Gniezna, mieszka w Poznaniu, Górna Wilda 59, m. 16.

Uczennica Miejsk. Żeńsk. Lic. i Gimn. im. bł. Jolanty w Gnieźnie. Kl. Ic lic.

Koniec sierpnia 1939 roku.

Takie cudne, letnie dni. Spędzamy je u dziadka. Właśnie wracamy znad jeziora na obiad. Po drodze widzimy dużo ludzi, zgromadzonych przy plakatach. Podchodzimy. Na czerwonym tle wielkimi literami wypisane słowo: Mobilizacja. Spieszymy szybko do domu. Wszyscy są bardzo poważni, dużo mówią na ten temat. Już w tym samym dniu wielu mężczyzn odchodzi do wojska; żegnani śpiewem, orkiestrą wojskową i łzami — wyjeżdżają na zachód. Nie rozumiem, dlaczego ludzie płaczą. Będzie wojna — to dobrze, zawsze sobie wyobrażam, jak to nasi żołnierze zwyciężają Niemców. Miałam wtedy 12 lat, więc wojnę widziałam w pięknych kolorach. Niestety, od tej chwili następne sześć lat miało mnie zapoznać z okropnościami wojny i przekonać, jak bardzo się myliłam.

Rano 1 września oficjalne wypowiedzenie wojny. Od tej chwili całe falangi uchodźców przechodzą przez nasze miasteczko w kierunku wschodnim, w stronę Warszawy. Idą i nasi kochani żołnierze, zmęczeni i głodni. Gdzie? — nie wiedzą. Radio wciąż pociesza, lecz nikt już nie wierzy. Tatusz chce uchodzić, lecz nie uzyskał na to ogólnej zgody reszty rodziny, więc zostajemy.

12 września zajęcie naszego miasteczka przez Niemców. Od pierwszego dnia zaczynają się aresztowania i rozstrzeliwanie dobrych patriotów - Polaków. Wszędzie przestrasz i zgroza.

Nasza nadzieja tylko w Warszawie. Przecież tam musi się ta fala najeźdźców niemieckich załamać. Z trwogą myślimy o dwóch starszych siostrach, które są w Warszawie. Warszawa wzięta po zacieklej walce. To dla nas straszny cios.

Drugi cios dotknął nas niedługo potem. 21 października zostaje aresztowany mój ojciec i jako więzień polityczny przebywa najpierw w Gnieźnie, a potem w Poznaniu. Drżymy o jego

życie. Cała nasza nadzieja spoczywa w Bogu, modlimy się gorąco o uwolnienie tatuśka.

Tyle krewnych i znajomych po więzieniach. Tatuś także jest tam nadal. Dostajemy pierwszy list z Warszawy od sióstr. Żyją i są pełne nadziei, że niedługo to potrwa. Ludzie powoli otrząsają się z apatii, w jaką popadli. Przebąkują tu i ówdzie o jakimś cudzie, który jest spodziewany na 8 grudnia i ma nam przynieść wolność.

Niestety, znów pomyłka. Nie cud, lecz wysiedlenie. W nocy z 13 na 14 grudnia przyszli „kulturalni Niemcy” i wyrzucili nas z domu, pozwalając zabrać ze sobą małą walizkę z zapasami żywności na kilka dni. Całe wysiedlenie trwało 15 minut. Już jesteśmy w barakach. Następnie wywożą nas pociągami w nieznane. A tam tatuś nic nie wie, Boże! jak się będzie martwił o nasz dalszy los. Jedna myśl osładza tę niedolę, to, że nie tylko my jedni cierpiemy, lecz także nasz los dzielą tysiące Polaków.

Po tygodniowym obwożeniu nas po tzw. „Generalnym Gubernatorstwie” wysadzają nas w Krakowie. Tutaj przebywamy tydzień w barakach, lecz już w innych warunkach, jak poprzednio, gdyż na ogół całe społeczeństwo polskie chętnie przychodzi z pomocą.

Przydzielono nam mieszkanie. Małeńki pokoik z kuchnią. Pierwszą wojenną wigilię i święta Bożego Narodzenia spędzamy bez opłatka, lecz z myślą o ojcu, którego niepewny los tak bardzo nas niepokoi.

Powoli przyzwyczajamy się i organizujemy jako tako swoje życie. Ponieważ mieliśmy dużo znajomych sprzed wojny w Krakowie, więc wystarali się mamusi o pracę, także bracia rozpoczynają na nowo przerwana naukę. Moją siostrzyczkę Zosię i mnie wysyła mamusia do starszych sióstr do Warszawy. Tutaj zaczynam chodzić do szóstej klasy szkoły powszechnej. W pierwszym roku wojny jest bardzo ciężko. Niemcy rabują i wywożą co lepsze w głąb Niemiec, zaś Polacy wegetują z dnia na dzień, jednak zawsze z nadzieją w sercu w lepsze jutro.

Staramy się wszelkimi sposobami o wiadomość o tatusiu. Piśmemy do różnych więzień, niemieckiego Czerwonego Krzyża

i innych instytucji. Odpowiedzi nie ma. W końcu w listopadzie 1940 r. interweniujemy do Międzynarod. Czerwonego Krzyża. Już wkrótce przychodzi odpowiedź. Jest przeraźliwie krótka i straszna. Ojciec nie żyje. W kilka dni później przychodzi Gestapo i zawiadamia nas z polecenia Międz. Czerw. Krzyża, iż ojciec został rozstrzelany dnia 13 marca 1940 r. w lasach pod Poznaniem.

Mamusia jest bardzo chora. Wobec tego jadę z najstarszą siostrą Marią do Krakowa. Staramy się wszyscy pocieszyć mamusię, by i ten cios zniosła mężnie jako Polka i by przyjęła bez szemrania to nowe doświadczenie z rąk Najwyższego. Przecież nie cierpi sama jedna, my z nią, a poza tym wokół tyle matek i żon — Polek cierpi tak samo.

Terror niemiecki się wzmaga. Tysiące Polaków wędruje do więzień, tysiące ginie pod kulami hitlerowskich oprawców. Już w pierwszym roku wojny stają się sławne obozy w Majdanku, Treblince i Oświęcimiu. Tam tyle naszych ginie za to, że są dobrymi Polakami. Coraz gorsze wiadomości. To znowu brat tatuś, wujek Marian ze Środy, rozstrzelany, to ciocia Krysztalkiewiczowa z Gniezna wzięta do więzienia, a kuzyni mamusi ze Śląska w obozach koncentracyjnych. Lecz to wszystko nie może nas zachwiać, załamać. To wszystko nas uodpornia na nowe ciosy czyni jeszcze lepszymi synami i córkami Matki-Polski. Nie damy się! Nie złamie nas najeźdźca niemiecki! Myśli i serca wszystkich Polaków łączą się i bratają. Wszędzie wre praca podziemna przeciw okupantowi. Wszystkie serca pałają chęcią zemsty za ogrom krzywd. W jedności siłą, zbratani potrafimy się oprzeć nawale germańskiej i zwycięstwo ostateczne po naszej będzie stronie.

Ukończyłam szkołę powszechną i chodzę do szkoły handlowej. Mój brat przyjeżdża do Warszawy i będzie chodził na politechnikę, która ze względu na bezpieczeństwo nosi nazwę „Wyższej Szkoły Technicznej“. Mamusia chce, żebym przyjechała do Krakowa. Tak lubię Warszawę, lecz trudno — jadę. W Krakowie kończę szkołę handlową i zaczynam pracować jako ksiązkowa w wydawnictwie rolniczym. Niemcy masowo wysyłają ludzi

do Niemiec na roboty, także pewien procent i z naszej firmy. By tego uniknąć, jadę z powrotem do Warszawy.

W stolicy każdy czuje się pewniej. Nie ma tutaj tyle „oswobodzicieli Europy“, jak np. w Krakowie czy Lwowie. Zresztą w Warszawie Niemcy nie czują się tak pewnie. Dumnie, z tą typową niemiecką butą maszerują grupkami po głównych ulicach, lecz na inne ulice nie „lubią“ chodzić. Obawiają się, by ich zwłok nie wyłowiono na drugi dzień z Wisły.

Siostra moja Maria została aresztowana i osadzona w więzieniu na Pawiaku. Po wielkich staraniach w pół roku później zgodzili się gestapowcy uwolnić ją na 2 tygodnie ze względu na stan zdrowia; za wysoką kaucję. Po dwóch tygodniach było dużo poszukiwań, lecz przecież Warszawa jest taka duża, więc ich poszukiwania spęłży na niczym.

Nadszedł lipiec 1944 r., tak obfitujący w wypadki. Serca wszystkich radowały się, gdyż Niemcy załamywały się. Już Rosjanie niedaleko, rozpoczęta inwazja we Francji. Nikt nie słucha propagandy niemieckiej, wszyscy śmieją się z jej bezecnych kłamstw. Jesteśmy w Świdrze, miejscowości podmiejskiej Warszawy. Używamy w całej pełni wakacji. Front się coraz bardziej zbliża, więc wracamy do Warszawy, gdyż sądzimy, że najbezpieczniej jest w mieście. W Warszawie napięcie. Przyjeżdżamy ostatnią kolejką. Słyszać daleki huk armat, podobno Rosjanie są na przedmieściach Pragi.

Na drugi dzień, to jest 1 sierpnia, nadlatują samoloty sowieckie. Syreny wyją, — alarm. Bombardowanie obiektów wojskowych, poza tym wielkich szkód nie ma. W mieście coraz większe napięcie, ludzie coś wyczuwają, chodzą różne wersje. Tak upływają chwile aż do godzin popołudniowych. O godz. 3 rozpoczyna się powstanie na Żoliborzu, stopniowo poprzez dzielnice przenosi się do śródmieścia. W pierwsze dni — olbrzymi entuzjazm, pisma polskie, audycje polskie. Szyjemy chorągwie. Wzruszenie nas ogarnia na widok pierwszych oddziałów powstańców, maszerują w szyku bojowym na placówkę. To „nasi chłopcy“ — tak zwie się ich popularnie w Warszawie. Wszyscy sądzą, że najdalej za kilka dni Warszawa będzie całkowicie opanowana

przez powstańców. Potem te dni przesuwają się na tydzień, dwa — i znów wszystko będzie dobrze.

Na razie nie jest źle, żywności na ten okres starczy. Lecz z dnia na dzień ta droga sercu Warszawa jak bardzo zmienia swój wygląd. Na skrzyżowaniach ulic powstają barykady, chodniki pozrywane, na ulicach pełno dołów, z których wybiera się piasek potrzebny do umocnień. Nie chodzi się ulicami, są przekopane otwory z piwnic jednej kamienicy do drugiej, lub przekopy.

Rozpoczyna się planowe bombardowanie, dzielnica po dzielnicy. Znikają całe grupy budynków, zmieniają się w gruzy najpiękniejsze budowle Warszawy. Najgorsze to „ryczące krowy“, ziejące ogniem. Niosą śmierć i zagładę, wszystko się od nich zapala, nawet asfalt płonie na ulicach. Wciąż obstrzał ciężkiej artylerii. Istne piekło.

W końcu brak żywności, a woda jak drogocenną jest rzeczą. Po wodę stoi się w ogonkach od 5-tej rano. Niemcy bombardują te obiekty, gdzie znajdują się studnie. Tysiące ludzi ginie, płaci krwią za wodę. Lotnicy niemieccy bombardują te miejsca po wiele razy, przewracają na nowo gruzy i trupy. Zaś garstka powstańców zdobywa się na nadludzkie wysiłki, broni się w gruzach, wobec przeważającego, dobrze zaopatrzonego w amunicję wroga.

Mieszkamy w śródmieściu, na Żurawiej, gdzie początkowo jest spokój. Lecz wkrótce i do nas to wszystko dociera. Jak dokładnie słyszeć całą walkę, która rozgrywa się tuż obok nas, na Placu Trzech Krzyży, Alejach Jerozolimskich i w sąsiednich blokach domów.

16 września giną mi wszystkie trzy siostry od bomb. Nie wierzę, gdy mi o tym donoszą. Idziemy z mężem najstarszej siostry i narzeczoną młodszej siostry pod gradem kul, by zobaczyć, przekonać się. Najpierw idziemy piwnicami, a potem świeżym przekopem. Po prostu nie poznajemy domu. Z pięciopiętrowej olbrzymiej kamienicy, okolonej z czterech stron w podwórzu oficynami — tylko żelazne okucia głównej bramy, dalej olbrzymi dół i kupa gruzów. Już nie ma Marci, Milki i Zosi, tylko kupa gruzów... ślad istnienia...

Przychodzą chwile, że można oszaleć. Nie, nie wolno tak dużo myśleć, trzeba, bym skoncentrowała swą uwagę gdzie indziej, lecz tak trudno, tak bardzo ciężko.

Nie mam już drogich osób, lecz przecież nie jestem sama. Wraz ze mną setki tysięcy warszawian tak samo przechodzą tę gehennę.

Tymczasem ta droga stolica wznosi się z dymem pożarów pod tron Najwyższego, błagając miłosierdzia i łaski. Księża masowo udzielają odpuszczenia grzechów. Coraz więcej ludzi ginie, nie starczy sił, by wszystkich grzebać. Z dnia na dzień gorzej — oczekujemy zewsząd pomocy.

Na koniec 2 października kapitulacja. Ludzie wychodzą z piwnic; osmoleni, wychudzeni i głodni. Dużo niesie w rękach walizki lub tobołki — to resztki mienia tak bogatej Warszawy. Wciąż trzeba iść po gruzach, niektóre ulice zasypane na wysokość pierwszego piętra gruzami. Jest nakaz, że wszyscy muszą wychodzić, opuszczać miasto.

Teraz nadchodzi najgorszy moment: pożegnanie Warszawy. Ostatni rzut oka na miasto-cmentarz, gdzie zostawia się wszystko co najświętsze i najdroższe. Ponieważ jestem chora, więc jadę z transportem 'rannych, wagonem towarowym do Pruszkowa. Tam staję przed komisją lekarską, która ma uznać, czy jestem zdolna do pracy w Rzeszy. Komisja potwierdza stan chorobowy i zostaję wysłana pociągiem wraz z współtowarzyszami niedoli, podobno w kierunku Krakowa. Tymczasem za Częstochową pociąg skręca w stronę Niemiec. Nie pozostaje nic innego jak ratować się ucieczką. Gdy to udaje się szczęśliwie, już każdy na własną rękę wyrusza dalej. Ja jadę do Mamusi do Krakowa.

Jestem znów w Krakowie. Długo choruję, gdyż straszne przeżycia i niedostatek w czasie powstania odbiły się ujemnie na moim zdrowiu. Potem dalsze prawie pół roku trzeba się ukrywać, gdyż Niemcy wyłapywali starannie „bandytów warszawskich“. Co dzień i noc urządzone były łapanek, w których tysiące uciskanych warszawian dostawało się do obozów, skąd bezpośrednio jechali do Rzeszy.

Z chwilą oswobodzenia Krakowa przez Armię Czerwoną inny duch wstąpił w nas. Postanowiliśmy wracać do domu, do Wielkopolski. Po kilkunastodniowej uciążliwej podróży znaleźliśmy się znów w rodzinnych stronach, by na nowo rozpocząć życie w wyzwolonej Ojczyźnie.

8

Krystyna Pénier

ur. 9. 8. 1926 w Włocławku,

Podczas okupacji wysiedlona do Sokółowa Podlaskiego.

Obecnie: Rogoźno Wlkp.

Uczennica Państw. Lic. i Gimn. im. Przemysława w Rogoźnie Wlkp. Kl. I lic.

...Ostatnie dni budzą we mnie jakiś smutek. Zdaje mi się, że nie ma dla mnie ani radości, ani nawet uśmiechu szczęścia. Smutek wszechwładnie zagościł w moim sercu. W wolnej chwili analizuję swoje uczucia. Sama siebie nie poznaję. Cóż mnie tak pesymistycznie nastraja? Smutna wracam z gimnazjum do domu. Po drodze spotykam koleżankę jeszcze z okresu przedwojennego, wspólnie wówczas wiłyśmy promiennie przyszłość, wspólnie w marzeniach dziewczęcych stąpałyśmy po zamkach z bajki. A teraz — co za szalona różnica!... Czas robi swoje.

W potoku wypowiedzianych słów dowiaduję się, że okres wojny przeżyła w znośniejszych ode mnie warunkach. Z kolei i ja czynię swoje zwierzenia.

Przypominam sobie dokładnie ów nieszczęsny dzień, 1 września 1939 r. Słowo „wojna“ zostało wypowiedziane milion razy przez miliony ust. Nie sądziłam nigdy, że dzień ten będzie rozpoczynał okres niedoli i łez rozpacz.

Fala ludzka, uchodząca przed germańskim najeźdźcą, i nas poniosła aż do Warszawy. Po kilku tygodniach tułaczki z rozpaczą w sercu wróciliśmy do swoich pieleszy. Widziałam, jak wraże hordy gospodarowały się na naszej ziemi. Wszystko to, co tchnęło polskością, co świadczyło o prawie Polaków do tej ziemi, przyprowadzało hitlerowców do szału wściekłości. Zaraz w czyn wprowadzali Bismarcka „ausrotten“. Według przygotowanej listy systematycznie zabierali prawych Polaków.

Jednych wtrącali do więzień, drugich w okropny sposób torturowali.

Ziemię naszą okupiliśmy strumieniami krwi i rzekami łez. Nadszedł 4. grudzień 1939 r., chmurny ranek zimowy, godzina 6. Wściekle dobijanie się do drzwi budzi nas ze snu. Zadrżały w nas serca, tknięte złowieszczym przeczuciem, że dobijają się gestapowcy. Weszli butni oprawcy z bronią gotową do strzału, oświadczając, że natychmiast dom ten musimy opuścić. Z łaski zostawili kilkanaście minut do zapakowania potrzebnej bielizny.

Wywieźli nas do lagru w Kowanówku, po tygodniu wywieziono nas pociągiem za Wisłę... do miejsca przeznaczenia — Sokołów Podlaski.

Nie będę tobie, moja droga, opowiadała szczegółów z początkowych dni pobytu w owym mieście. Wspomnę tylko, że mieszkańcy Polacy wiele nam okazali serca.

Mimo niedoli Polacy nie zatracili jednakże wiary w słoneczne jutro. Młodzież polska okazała hart ducha i niezłomną wolę. Gdy zdawało się, że czarny orzeł swymi skrzydłami obejmie cały świat i krwawymi szponami rozszarpie serca prawych Polaków, wówczas to młodzież tworzy tajne organizacje, wieczorami gromadzą się w prywatnych domach, uczą się, dodają sobie otuchy i wiary w lepsze jutro. Zapaleńcy na całe dni znikają w lasach i tam ćwiczą oko i ramię, by gdy nadejdzie stosowna chwila, gromić niemieckiego ciemięzcę.

Nie masz pojęcia, co znaczy nauka w takich warunkach. Gromadziliśmy się piątkami, dziesiątkami w małych pokoikach. Każdy z natężeniem słuchał słów profesora, a jeszcze więcej odgłosów ulicy. Ile razy warkot motoru, przejeżdżającego samochodu przyprawiał nas o największe zdenerwowanie. Żywo mam w pamięci postać starosty w czarnym mundurze z nieodstępnym automatem. Ileż on wycisnął łez ludzkich?!

Nawykliśmy do takich warunków i dzisiaj z dumą stwierdzam, że nasz wysiłek nie poszedł na marne.

Obecnie potrafię docenić, co to jest wolność. Rozumiem słowo „naród“ i z największą czcią wymawiam słowo: „Polska“, bo dla Niej to miliony ginęły! Teraz żywo pojmuję historię narodu polskiego, zwycięstwa i klęski, chwile rozwoju i upadku. Właś-

nie na skutek osobistych przeżyć skryształizowały się we mnie pojęcia Polki-obywatelki.

Porównując owe czasy tajnego nauczania z obecnymi warunkami, zdaje mi się, że śnię cudny sen na jawie. Wspominam słowa wykładowcy: „Jak dzielni są Polacy, ile mają hartu ducha, patrzcie, oto ten, którym nie powstydziliby się żadne państwo, to Polak! Polak, który kształcił się, słysząc odgłosy strzałów egzekucji, który widział, jak giną jego dzielni rodacy, cześć i chwała im!”

Pewien rodzaj dumy rozpiera mą pierś, bo w tym wielkim dziele jest i mój udział i moich najbliższych.

W zwierzeniach moich, moja droga, jest może wiele liryzmu, lecz wybacz, bo tak chętnie chciałabym się z tobą podzielić moimi przeżyciami. Jednakże te przeżycia nikną w porównaniu z nieszczęściem, które spotkało moją rodzinę.

8 sierpnia 1942 r. tatuś powracał samochodem z Warszawy do Sokołowa. Na drodze gestapo przeprowadziło rewizję i skonfiskowało całe pliki prasy „Polski podziemnej”. O tym w szczegółach powiadomił mnie pewien pan, naoczny świadek. Gdy opowiadał o tym, to łzy jemu napływały do oczu. Chwile wówczas przeżyte mam głęboko w sercu wyryte. Dokładnie sobie zdawałam sprawę, że już mego kochanego ojca więcej nie ujrzę, wiem, jakie przechodził katusze, ale miałam tę pewność, że raczej zginie, a nie zdradzi nikogo. Rozpacz i żal przejmowały nas do głębi. Następnego dnia, jak można było przypuszczać, gestapo urządziło rewizję. Po rewizji zrabowali nam rzeczy, które były naszą własnością. Do więzienia zabrali mamusię i braci — zostałam sama.

Wówczas pustka i rozpacz były wyłącznymi gośćmi w moim sercu. Myślałam, że dostanę obłędu. Pobiegłam do więzienia i poprzez mglistą szybę i kratę patrzyłam na mamusię. Ujrzałam jej opanowanie, odczułam tę walkę, która rozgrywała się w jej sercu, wiedziałam, że mamusia przed niemieckimi zbirami chce okazać swoją godność i dumę Polki.

Potem jak szalona pobiegłam szukać jakiegoś ratunku. Niepewność jest gorsza nieraz od najsmutniejszej rzeczywistości. Rodzicom i braciom nie mogłam nic pomóc.

Wywieźli ich do „Pawiaka“ i tam na nowo przechodzili tortury. Słowo „Pawiak“ mało mówi temu, który nie zna jego historii lub sam nie przeżywał w jego murach. Tu całe pokolenia narodu polskiego ginęły, i to jego kwiat. Jednakże te ofiary nie były daremne. Z krwi i kości powstałi mściciele.

Po pewnym czasie do domu powróciła mamusia i bracia. Mówili wiele, o swoich przejściach, o metodach hitlerowskiego śledztwa.

Tego nie będę tobie, moja droga, opowiadała, bo o tym wiesz z opowiadania innych osób i z gazet.

Ojca mego osadzili w słynnym Majdanku. Przeklinałam nie-szczęśny los, złorzeczyłam swej doli, a teraz, gdy czas ukoił pierwszy ból, przewidziałam, że trzeba było, by wśród tych milionów męczenników znalazł się i mój ukochany tatuś. Potrzeba było, by przeszedł golgotę męczennika-Polaka, potrzeba było, by swe życie złożył Ojczyźnie w ofierze, bo zdaje mi się, że krew jego przeważyla szalę sprawiedliwości Bożej na naszą stronę.

Może to jest przesąd. Od chwili, gdy go straciłam, stał się dla mnie ideałem Polaka — ojca, pamięć po nim jest dla mnie świętością. Dumną jestem i nie bez pewnej satysfakcji przyrównuję sylwetkę mego ojca z bohaterami narodu polskiego. Zginął tak, jak ginęły miliony Polaków, a zwłoki jego spalono w krematorium.

Miałam żal ogromny, teraz jednak pogodziłam się z losem, Bóg tak chciał...

Z jednej strony chciałabym, by zwłoki mego ojca spoczęły w ziemi rogozińskiej, a z drugiej strony może jest lepiej, że nie znam miejsca ich spoczynku, bo dumna jestem, że nie będą ich czciły tysiące, lecz miliony... Miliony ust będą szeptać za ofiary męczenników modły do Pana Zastępów, milionom będą przewodziły ich duchy, dla licznych pokoleń będą wzorem.

Moja kochana! Dumna jestem z mego ojca, że chętnie poniósł życie w ofierze, a nie zdradził sprawy świętej i nie wydał współ-towarzyszy.

Wróciłam z rodziną w strony rodzinne. Wprawdzie wśród nas brakuje osoby drogiego ojca, lecz mam tą wiarę, że duch jego

czuwa nad nami. Wróciłam do Rogoźna, do tych jędnostajnych pól, do parku i lasów kojąco szumiących, do tej jeziornej fali cicho szemrzącej.

Chciałabym im powierzyć ból i zadowolenie, smutek i radość. I gdy sama rozmawiam z naturą, wiem, że jestem rozumianą. Wówczas wydaje mi się, że drzewa w swym poszumie opowiadają moją pieśń życia, ptaszkowie leśni w niej nucą swoje trele i fala cichuteńko im zawtórjuje... Wszystko to koi stargane moje nerwy, dodaje wiary w słoneczne jutro i daje pewność, że ofiara, cierpienie i łzy nie idą na marne...

9

Felicja Polcynówna

ur. 8. 5. 1923 w Wągrówcu.

W czasie okupacji przebywała w Gnieźnie, Rynek 1.

Obecnie: Gniezno, Park Kościuszki 33.

Uczennica Miejsk. Żeńsk. Lic. i Gimn. im. bł. Jolanty w Gnieźnie. Kl. Ic lic.

Wspomnienia okupacji niemieckiej dla tych, którzy przetrwali ją na naszych wielkopolskich terenach, należą do najgorszych.

Są koszmarem, który — oby jak najprędzej — zniknął z naszej pamięci. Staliśmy się łupem germańskiej krwiożerczości. Poznaliśmy na żywych naszych organizmach ogromną skalę niemieckich metod, stosowanych z cynizmem i perfidią. Sponiewierano nas, pognębiono, odmówiono prawa do życia. Traktowano nas jak zwierzęta robocze, istoty bezduszne. Korciło ich, że trwaliśmy, że czuliśmy, więc godzono w nas setkami, tysiącami pocisków obelg i kłamstw nikczemnych. Wiedzieli, że nie usłyszą odpowiedzi, bo terrorem pozbawili nas wolności słowa, bodaj że myśli.

A myśmy w zamkniętych kółeczkach grup młodych fantastów odpierali atak po ataku, zarzut po zarzucie. Sięgnęliśmy do historii polskiej (tylko i wyłącznie i jedynie polskiej), do naszej literatury — i tam szukaliśmy praw do życia, tych praw, których nam tak bezwzględnie odmawiano. I stamtąd czerpaliśmy siły, aby trwać.

Zagadnienie „Dagome iudex“ czy „Ego Mesco“*) — równało się zagadnieniu: być albo nie być. Tłumaczyliśmy artykuły gazet niemieckich krzyczące o praniemieckości naszych ziem i zbijaliśmy kruche dowody naszymi, wydobytymi z początków polskich dziejów.

Czegośmy tam nie znajdowali! Dziedzina ogromna dokumentów i dowodów naszej dużej kultury i poczucia własnej godności otworzyła się przed naszymi zdumionymi oczyma.

Fatalne były warunki, w jakich żyliśmy. Trudno je odczuć temu, kto ich nie podzielał. Były momenty zupełnego załamania, kompletnej depresji. Zawsze jednak w takich chwilach zjawiał się ktoś, komu sił na dłużej starczyło, i wpływ takiej osoby dźwigał dziesiątki innych.

Ukochaliśmy polskość całym sercem. Chciano nam ją wydrzeć, wyszydzić, wykpić, sponiewierać. Tęskniliśmy za wolnością, marzyliśmy o chwili wyzwolenia, bo poczuliśmy się godni doczekać jej.

Dotkliwie stwierdziliśmy trafność maksymy łacińskiej: „Inter arma silent leges, inter arma silent musae“. Milczało prawo na naszych terenach, milczały muzy wśród nas. Tak bardzo brakło nam tego wszystkiego, co należy do kulturalnego życia.

Usiłowaliśmy urządzić ten i ów poranek literacki. I chociaż były to próby nieudolne, jednak znaczenie tych poczynañ było duże.

Niezapomnianym pozostanie dla naszej gromadki zielono-święteczny poranek roku 44, który poświęciliśmy Norwidowi, naszej wojennej zdobyczy. Odkryliśmy Norwida i przywłaszczyliśmy sobie na wyłączną własność, bo twórczość jego, jak niczyja inna, odpowiadała nam w niewoli.

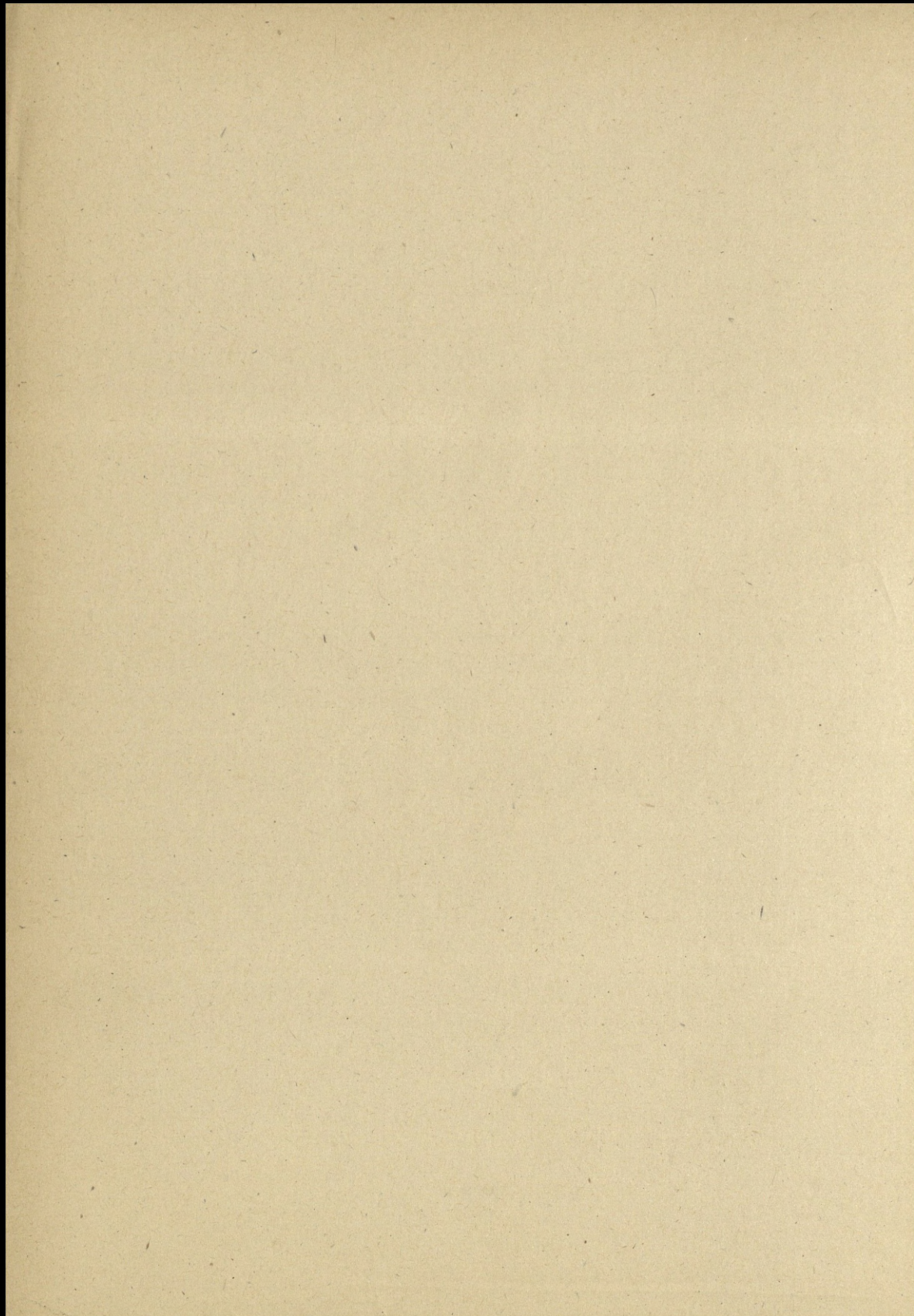
*) Słynny dokument z lat 990—992, w którym książę polski Mieszko I. wraz z żoną Odą i synem, Lambertem, oddają Polskę w jej ówczesnych granicach Stolicy Apostolskiej. Dokument sam, a zwłaszcza pierwsze jego słowa stały się punktem wyjścia dla rozmaitych hipotez naukowych co do początków państwa polskiego. Uczeni niemieccy twierdzili, że „Dago“ było właściwym imieniem Mieszka, i na tej podstawie budowali teorię o normańskim pochodzeniu dynastii piastowskiej i państwa polskiego. Inni uczeni czytają pierwsze słowa dokumentu jako „Ego Mesco“.

Przeklinaliśmy jego „Kłátwami“, modliliśmy się jego „Litanią“. Interpretacja „Fortepianu Szopena“, wypowiedziana przez jednego z nas, wzruszyła wszystkich do łez.

Byliśmy wtedy tacy szczęśliwi w całym naszym nieszczęściu. Tyle dumy, poczucia własnej godności i pewności o słuszności naszej sprawy rozpierało nam serca, że staliśmy ponad przyziemnymi, oszczerczymi, nienawistnymi ujadaniami wroga.

Z Arturem Górskim rozważaliśmy „Ku czemu Polska szła“. Razem z nim nabieraliśmy słońca w oczy i obojętni na ciosy skierowane przeciw nam trwaliśmy. Może to niewielka zasługa, może nikt jej nie uzna; postępowaliśmy zgodnie z naszym polskim sumieniem, a ciągły bunt wobec kłamstw i prześladowań wroga był dowodem naszej skrupowanej, przytłumionej, ale trwałej i upartej żywotności.

SPIS AUTORÓW



	Str.
1. Allery Wiesław — Rogoźno Wlkp.	43
2. Banasiewicz Franciszek — Krotczyn Wlkp. . .	210
3. Bąkowski Tadeusz — Poznań	260
4. Chmielewski Grzegorz — Poznań	263
5. Chudziński Zdzisław — Poznań	206
6. Cielecki Mieczysław — Kalisz	83
7. Dąbrowski Marian — Rogoźno Wlkp.	71
8. Dreżewski Zygmunt — Poznań	39
9. Garwolińska Irena — Słupca	80
10. Garyantasiewiczówna Regina — Poznań . . .	49
11. Gąsiorowski Józef Jan — Żnin	90
12. Górská Teresa — Kalisz , ,	58
13. Gruszczyńska Sabina Hanna — Gniezno . . .	298
14. Gutowski Tadeusz — Słupca	140
15. Harmacińska Grażyna — Słupca	121
16. Hasińska Teresa — Poznań	52
17. Hoffmann Maciej — Międzychód	169
18. Holzhausen Stefan — Szamctuły	75
19. Hundert Edmund — Poznań	233
20. Jagiełło Anna — Kępno	158
21. Jahns Bożena — Poznań	103
22. Jakubowski Henryk — Ostrów Wlkp.	165
23. Janiszewski Juliusz — Poznań	100
24. Jankowska Maria — Polska Wieś (pow. pozn.) .	130
25. Jaźwiecki Janusz — Kalisz	134
26. Juraszek Alfons — Gniezno	229
27. Kaliszan Tadeusz — Poznań	272
28. Kamińska Eugenia — Gniezno	186
29. Kamiński Ireneusz — Gniezno	175
30. Kamiński Janusz — Poznań	227
31. Kamiński Józef — Poznań	238
32. Kaźmierczak Janusz — Chodzież	73

33. Kierska Anna — Poznań	146
34. Klak Jerzy — Poznań	198
35. Kolankówna Maria — Gniezno	269
36. Konopacki Henryk — Szamotuły	167
37. Kornaszewski Andrzej — Ostrów Wlkp.	149
38. Kotlarkówna Sabina — Kępno	285
39. Kotlarkówna Wanda — Kępno	118 156
40. Kotowska Urszula — Ostrów	139
41. Kowalska Halina — Poznań	112
42. Krajewski Zygmunt — Poznań	109
43. Krasuski Jerzy — Poznań	255
44. Krupska Teresa — Poznań	50
45. Krysiakówna Ryszarda — Poznań	107
46. Krzoska Genowefa — Poznań	99
47. Lebedziówna Aleksandra — Gniezno	124
48. Leciejewski Franciszek — Pocznań	196
49. Lewandowska Maria — Poznań	137
50. Łakomy Zenon — Poznań	51
51. Łukomska Bożena — Poznań	193
52. Łyskówna Helena — Rogoźno Wlkp.	75
53. Malinowski Mieczysław — Rogoźno	242
54. Marciniakówna Celina — Rąbiń	110
55. Marszał Zbigniew — Rogoźno Wlkp.	69
56. Mikołajczak Alfons — Gniezno	155
57. Muszyński Antoni — Poznań	258
58. Nadolski Zdzisław — Poznań	183
59. Noszczyński Stefan — Poznań	132
60. Nowakówna Julia — Rogoźno Wlkp.	63
61. Paluszkievicz Henryk — Chodzież	225
62. Pénier Krystyna — Rogoźno Wlkp.	304
63. Polcynówna Felicja — Gniezno	308
64. Posieczek Zbigniew — Poznań	53
65. Przybylski Henryk — Gniezno	231
66. Remleinówna Grażyna — Poznań	49
67. Schneider Zenon — Poznań	132
68. Słonińska Hanna — Poznań	258

69. Stachowiak Seweryn — Poznań	214
70. Stachowiakówna Zofia — Poznań	160
71. Stefaniak Edmund — Poznań	102
72. Sternal Stanisław — Poznań	219
73. Sobecka Ineza — Gniezno	105
74. Szulcówna Józefa — Poznań	115
75. Szulcówna Walburga — Chodzież	138
76. Szychówna Teresa — Poznań	41
77. Tokłowiczówna Janina — Poznań	105
78. Tomaszewska Łucja — Ostrów Wlkp.	199
79. Topuszek Jerzy — Poznań	282
80. Urbanowiczówna Seweryna — Poznań	76
81. Warczyńska Krystyna — Poznań	106
82. Werwicka Barbara — Poznań	190
83. Węgrzyn Jan — Kalisz	60
84. Wikiera Marian — Ostrów Wlkp.	163
85. Wiśniewski Marian — Leszno Wlkp.	274
86. Włodarczakówna Alina — Poznań	41
87. Wtorkowski Aleksander — Poznań	261
88. Zborowski Tadeusz — Rogoźno Wlkp.	44
89. Zielińska Krystyna — Poznań	270
90. Żelazkówna Irena — Poznań	126



31900/2